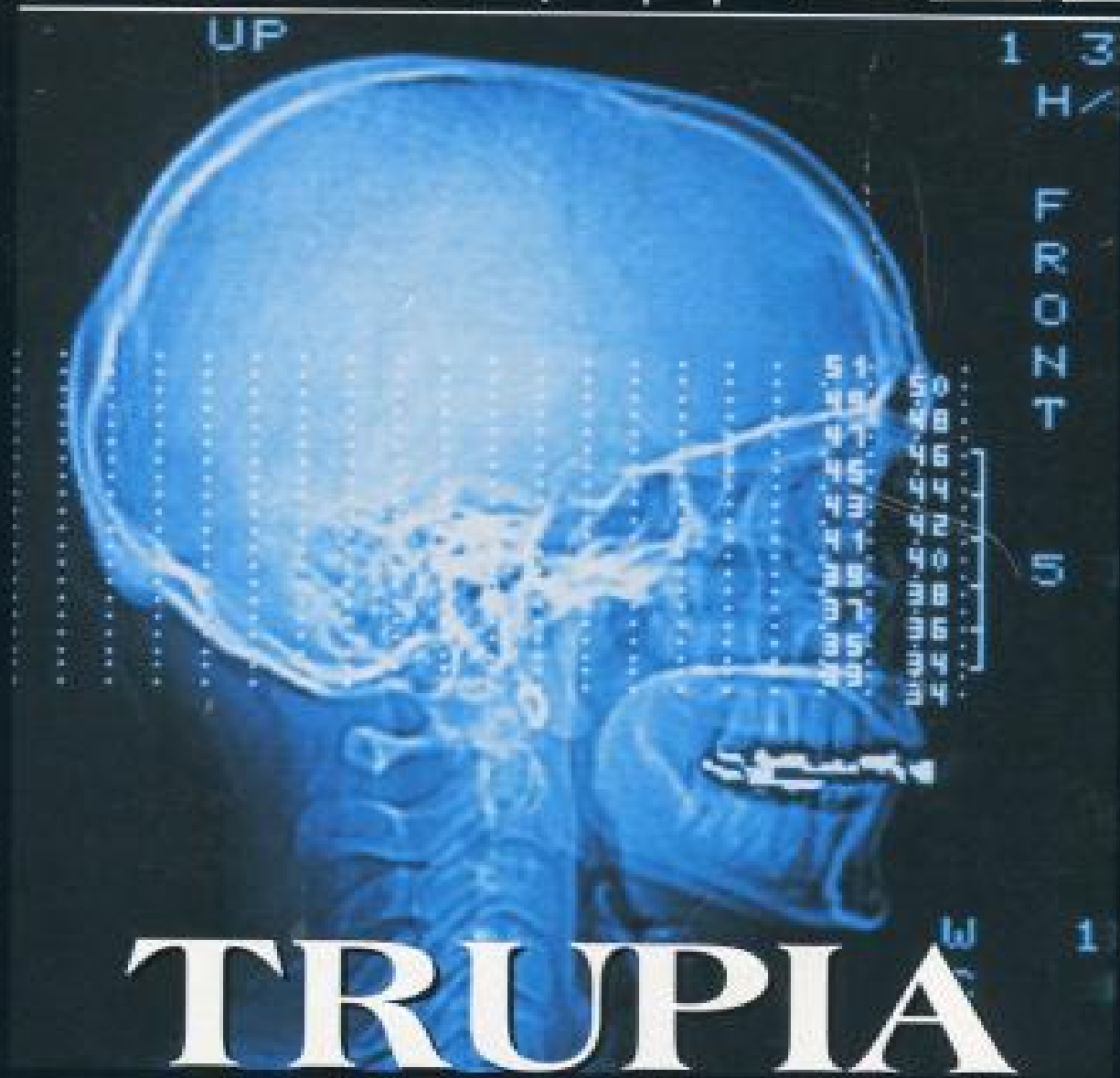


Patricia
CORNWELL



**TRUPIA
FARMA**

Prószyński i S-ka

PATRICIA CORNWELL

TRUPIA FARMA

(The Body Farm)

Przełożyła: Grażyna Ewa Gorzdek



Prószyński i S-ka

1997

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

*Senatorowi Orrinowi Hatchowi ze
stanu Utah w uznaniu ogromnych zasług
na polu zwalczania przestępczości*

*Ci, którzy na statkach płynęli po morzu,
Uprawiając handel na wielkich wodach,
Widzieli dzieła Pana
I cuda Jego na głębinach.*

Psalm 107:23-24



Był szesnasty października. Z okna mojego pokoju widziałam, jak skrajem ciemnego lasu przemyka jeleni, ledwo widoczny w brzasku budzącego się dnia. Z góry i z dołu dobiegały odgłosy bulgoczącej w rurach kanalizacyjnych wody i w miarę jak coraz częściej słychać było głośne wystrzały z niewidocznej przez okno strzelnicy, jedno po drugim zapalały się w sąsiednich pokojach światła, zwiastując koniec nocy. Zasnęłam i budziłam się zgodnie z rytmem wyznaczanym przez huk broni palnej.

W Quantico w Wirginii, gdzie mieści się Akademia FBI, niczym wyspa otoczona przez jednostki piechoty morskiej, te odgłosy nigdy nie milkną. Spędzałam tu zwykle kilka dni w miesiącu, mieszkając na silnie strzeżonym piętrze budynku Akademii, gdzie nikt, kogo nie upoważniłam, nie zawracał mi głowy telefonami ani wizytami po wypiciu zbyt dużej ilości piwa w miejscowej restauracji.

Inaczej niż w spartańskich pokojach akademika, które zajmują świeżo upieczeni agenci i oddelegowani policjanci, miałam w swoim apartamencie telewizor, telefon, kuchnię i własną łazienkę. Palenie papierosów i picie alkoholu było tu zabronione, ale podejrzewałam, że szpiegowie i świadkowie pod specjalną ochroną, którzy zwykle zajmują te właśnie pomieszczenia, łamią owe zakazy równie często jak ja.

Czekając, aż w kuchence mikrofalowej zagrzeje się poranna kawa, otworzyłam teczkę, aby przejrzeć akta, które czekały na mnie od wczorajszego wieczora. Nie zrobiłam tego wcześniej, gdyż nie chciałam zajmować się czymś takim przed snem. Pod pewnymi względami bardzo się jednak zmieniłam.

Od ukończenia medycyny o każdej porze dnia i nocy byłam przygotowana na obcowanie z najstraszliwszą ludzką tragedią. Mogłam pracować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w izbie przyjęć lub do świtu przeprowadzać sekcje zwłok. Sen był dla mnie zawsze tylko krótkotrwałym stanem, przeniesieniem się do odległego, mrocznego, chociaż dającego wytchnienie miejsca, którego później zwykle nie pamiętałam. Ale wraz z upływem lat coś się we mnie zaczęło zmieniać. Bałam się pracować w nocy, ponieważ nawiedzały mnie koszmary senne, w których pojawiały się przerażające obrazy z mojego życia na jawie.

Emily Steiner miała jedenaście lat, pojawiające się oznaki dojrzewania wywoływały zapewne wstydlivy rumieniec na jej twarzy, gdy pod datą pierwszego października pisała w swoim dzienniku:

Czuję się taka szczęśliwa! Jest pierwsza w nocy i mama nie wie, że piszę pamiętnik, bo leżę w łóżku przy latarce. Poszliśmy do kościoła na składkową kolację i Wren też tam był! Zauważył mnie. Później dał mi ogniste kulki! Schowałam je gdy nie patrzył. Leżą teraz w moim tajnym pudełku. Dzisiaj po południu spotykamy się z grupą znajomych, ale Wren prosił mnie, abym umówiła się z nim wcześniej, nie mówiąc o tym nikomu.

Tamtego popołudnia Emily wyszła ze swojego domu w Black Mountain o piętnastej trzydzieści i udała się do oddalonego o dwie mile kościoła. Dzieci, które tam były, pamiętają, że po spotkaniu, gdzieś około godziny

osiemnastej, gdy słońce chowało się już za niewysokimi wzgórzami, Emily sama wyruszyła w drogę powrotną do domu. Z gitarą w futerale w rękę skręciła w kierunku głównej drogi, aby potem pójść na skróty obok niewielkiego jeziora. Policja uważa, że właśnie wtedy spotkała mężczyznę, który kilka godzin później pozbawił ją życia. Być może zatrzymała się nawet, aby z nim porozmawiać. A może w ogóle go nie widziała, śpiesząc się, by wrócić do domu przed zapadnięciem zmroku.

W Black Mountain (zachodnia część Północnej Karoliny) mieszka siedem tysięcy ludzi. Tamtejsi policjanci bardzo rzadko miewali do czynienia z morderstwami lub seksualnym wykorzystywaniem dzieci. Z całą pewnością zaś nigdy przedtem nie spotkano się tam z przypadkiem łączącym oba te przestępstwa. Nie mieli więc powodów, aby zastanawiać się nad sprawą Tempie'a Brooksa Gaulta z Albany w stanie Georgia, chociaż jego twarz widniała na rozesłanym po całym kraju plakacie, przedstawiającym dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców. Ani notoryczni mordercy, ani popełnione przez nich zbrodnie nie interesowały ludzi mieszkających w tym malowniczym zakątku.

Ja też nie rozumiałam, co mogło sprowadzić Gaulta w takie właśnie miejsce lub dlaczego miałby wybrać na swoją ofiarę Emily, dziewczynkę tęskniącą za ojcem i chłopcem o imieniu Wren. Chociaż gdy przed dwoma laty Gault wyruszył na swoją zbrodniczą wyprawę do Richmond, sposób, w jaki wówczas wybierał ofiary, wydawał się nam także pozbawiony wszelkiej logiki. Prawdę mówiąc, cały czas działał podobnie.

Wyszłam z pokoju i, idąc przez nasłonecznione, przeszklone korytarze, czułam, że wspomnienia krwawej działalności Gaulta w Richmond legły cieniem na tym pogodnym poranku. Jeden jedyny raz zbrodniarz ten znalazł się w moim zasięgu. Dosłownie mogłam go dotknąć, ale wyskoczył wtedy przez okno i uciekł. Nie miałam wówczas broni, a w takich sytuacjach nie

wolno nam się zbliżyć do uzbrojonych przestępców. Jednakże do tej pory nie mogę pozbyć się wątpliwości, czy na pewno zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby nie pozwolić mu uciec.

W Akademii nigdy nie podawano dobrego wina i żałowałam, że poprzedniego wieczora wypiałam kilka kieliszków w tamtejszej stołówce. Być może dlatego poranny bieg treningowy po trasie J. Edgara Hoovera znosiłam gorzej niż zwykle.

Mój Boże, pomyślałam, chyba nie dam rady.

Żołnierze z piechoty morskiej rozmieścili wzdłuż drogi zamaskowane stanowiska z teleskopami, przez które obserwowali strzelnice. Biegając, czułam na sobie natrętne męskie spojrzenia i byłam pewna, że zauważyli na mojej granatowej podkoszulce złocisty emblemat Departamentu Sprawiedliwości. Brali mnie pewnie za kobietę-agenta lub oddelegowaną do Akademii policjantkę, a to przypomniało mi o mojej siostrzenicy, która prawdopodobnie odbywała poranny bieg treningowy tą samą trasą. W głębi duszy wolałabym, aby Lucy mieszkała gdzie indziej. To pewne, że miałam swój udział w jej decyzji o wyborze takiej właśnie kariery zawodowej i ciągle bardzo mnie to niepokoiło. Jak zwykle, najbardziej martwiłam się o nią podczas porannych treningów, gdy byłam wykończona i boleśnie uświadamiałam sobie, że, niestety, się starzeję.

Odbywały się właśnie ćwiczenia terenowe Oddziału Ratowania Zakładników wchodzącego w skład FBI i powietrze wypełniał stłumiony łoskot śmigieł helikoptera. Tuż obok mnie przejechała niewielka ciężarówka, ciągnąca za sobą bramkę piłkarską, a za nią samochód z żołnierzami. Zrobiłam w tył zwrot i lekkim truchtem zawróciłam do gmachu Akademii, oddalonego o półtorej mili. Gdyby nie las anten na dachu i lokalizacja na kompletnym odludziu, bryła budynku mogła sugerować, że jest to nowoczesny hotel zbudowany z brązowej cegły.

Gdy dobiegłam wreszcie do posterunku straży, ledwo miałam siłę, aby pomachać do oficera siedzącego za oszklonymi drzwiami. Z trudem łapiąc oddech, spocona jak nieboskie stworzenie, postanowiłam przebyć resztę drogi krokiem spacerowym. Nagle usłyszałam, że tuż za mną hamuje samochód.

– Próbujesz popełnić samobójstwo czy coś w tym guście? – rozległ się donośny głos kapitana Pete’a Marino, który wychylał się z przedniego siedzenia srebrnej crown victorii. Anteny radiowe na samochodzie kołysały się niczym wędki, kierowca zaś, mimo wielu moich przestróg, nie miał zapiętych pasów bezpieczeństwa.

– Wiem, że są prostsze sposoby – wysapałam przez opuszczone okienko do wnętrza wozu. – Na przykład jazda bez pasów.

– Skąd mogę wiedzieć, kiedy będę musiał w pośpiechu się stąd ewakuować?

– Jeśli będziesz miał krakę, to na pewno błyskawicznie wydobędziesz się z auta – odpowiedziałam. – Wylecisz jak z procy przez przednią szybę.

Marino był doświadczonym detektywem z sekcji zabójstw w Richmond, gdzie pracowaliśmy oboje, a ostatnio awansował i został przeniesiony do Pierwszego Okręgu Podmiejskiego, najniebezpieczniejszego obszaru w całym mieście. Od wielu lat pracował dla FBI przy Programie Zapobiegania Ciężkim Przystępstwom.

Miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat i był przykładem skumulowania się w jednym człowieku wielu słabości ludzkiej natury, głównie złej diety i nadużywania alkoholu. Jego twarz, na której życie odcisnęło wszystkie trudne i przykre przejścia, okolona była mocno przerzedzonymi, siwymi włosami. Marino miał sporą nadwagę, kiepską kondycję fizyczną i skłonność do słodyczy. Wiedziałam, że on także przyjechał tu jako

konsultant w sprawie Emily Steiner, ale zastanowiła mnie walizka na tylnym siedzeniu samochodu.

– Zostajesz tu jakiś czas? – zapytałam.

– Benton wciągnął mnie do Ochrony Ulic.

– Ciebie i kogoś jeszcze? – Byłam ciekawa, bo wiedziałam, że do Ochrony Ulic nie szkolono pojedynczych osób, ale całe zespoły zadaniowe.

– Mnie i moją szturmową drużynę podmiejską.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że do twoich obowiązków w nowej pracy należy teraz wywalanie kopniakami drzwi?

– Jednym z wyróżnień, jakie spotykają człowieka po awansie, jest to, że z powrotem wsadzają go w mundur i wypędzają na ulicę. Na wypadek gdyby pani doktor tego nie zauważyła, przypominam, że nie ma już Jednostek Specjalnych pracujących w sobotnie noce.

– Dzięki za wiadomość – odpowiedziałam chłodno. – Nie zapomnij wkładać grubego ubrania.

– Że co? – W szklach jego ciemnych okularów odbijały się światła przejeżdżających samochodów.

– Jodynowanie ran po kulach boli.

– Nie mam zamiaru dać się zranić.

– Nie znam nikogo, kto planuje takie rzeczy.

– Kiedy przyjechałaś?

– Wczoraj wieczorem.

Marino wyciągnął ze schowka paczkę papierosów.

– Dużo się dowiedziałas o sprawie?

– Przejrzałam trochę dokumentacji. Zapewne detektywi z Północnej Karoliny przedstawią więcej materiałów na spotkaniu.

– To mi wygląda na robotę Gaulta. Jestem wręcz pewien, że to on.

– Oczywiście, są pewne podobieństwa – przytaknęłam ostrożnie.

Wyciągnął z paczki marlboro i wsunął go do ust.

– Przygwożdżę tego cholernego sukinsyna, nawet gdybym musiał iść po niego do piekła.

– Jeśli się okaże, że jest w piekle, wolałabym, żebyś go tam zostawił – powiedziałam. – Zjemy razem lunch?

– Oczywiście, pod warunkiem że stawiasz.

– Zawsze ja stawiam – stwierdziłam niezbity fakt.

– I powinnaś. – Zapalił silnik. – To ty jesteś w końcu cholernym doktorem.

Ruszyłam kłusem i wbiegłam na drogę prowadzącą do tylnego wejścia na salę ćwiczeń. W szatni zastałam trzy młode, wysportowane kobiety w różnych stadiach nagości.

– Dzień dobry – przywitały mnie chórem, co pozwoliło mi je natychmiast zidentyfikować. Agentki Wydziału do Spraw Zapobiegania Narkomanii znane były powszechnie ze swojej uprzedzającej grzeczności i irytująco dobrych manier.

Zaczęłam zdejmować z siebie mokre od potu ubranie. Nigdy nie umiałam się przystosować do obowiązującego tutaj, typowo męskiego, niemal wojskowego stylu bycia. Denerwowało mnie, gdy kobiety, nie mając na sobie skrawka ubrania, bez skrępowania gawędziły lub pokazywały sobie siniaki. Owinąwszy się dokładnie ręcznikiem, udałam się pod prysznic. Ledwo zdążyłam odkręcić wodę, gdy zza plastikowej zasłony spojrzęła na mnie para znajomych zielonych oczu. Mydło wyslizgnęło mi się z dłoni i, skacząc po kafelkach posadzki, zatrzymało się tuż przed zabłoconymi adidasami mojej siostrzenicy.

– Lucy, czy możemy porozmawiać, gdy stąd wyjdę? – Mówiąc to, ze złością zaciągnęłam zasłonę.

– Niech to! Len o mało mnie nie wykończył dziś rano! – zawołała wesoło, podając mi mydło. – Było wspaniale. Następnym razem, gdy będziemy trenować na Yellow Brick Road, poproszę go, żebyś mogła się do nas przyłączyć.

– Bardzo dziękuję, ale nie skorzystam – zaprotestowałam, wcierając szampon we włosy. – Nie mam ochoty nadwerężyć sobie więzadeł ani połamać kości.

– No dobrze, ciociu Kay, ale uważam, że powinnaś chociaż raz spróbować. To coś w rodzaju rytuału.

– Nie dla mnie.

Lucy milczała przez chwilę, a potem odezwała się niepewnym głosem:

– Chciałabym cię o coś zapytać.

Wypłukałam włosy, wytarłam oczy, a następnie odsunęłam zasłonę i wyjrzałam na zewnątrz. Moja siostrzenica stała przed kabiną natryskową, spocona i utyłana od stóp do głów, w szarej koszulce z emblematem FBI, na której widniały ślady krwi. Miała dwadzieścia jeden lat i kończyła studia na uniwersytecie stanowym w Wirginii. Jej rysy nabrały pociągającej wyrazistości, krótko ostrzyżone kasztanowe włosy były rozjaśnione słońcem. Pamiętałam ją jeszcze jako grubiotkę nastolatkę, rudzielca z długimi włosami i aparatem na zębach.

– Oni chcą, żebym wróciła tu po ukończeniu studiów – poinformowała mnie. – Pan Wesley wystawił mi doskonałą opinię i jest duża szansa, że FBI mnie przyjmie.

– Czy właśnie o tym chciałaś ze mną porozmawiać? – zapytałam, czując narastający niepokój.

– Jestem ciekawa, co o tym sądzisz.

– Wiesz przecież, że na razie wstrzymano nabór nowych ludzi do FBI.

Lucy przyglądała mi się uważnie, próbując się domyślić, co chcę przez to powiedzieć.

– I tak nie mogłabym zostać agentem od razu po szkole – powiedziała w końcu. – Chodzi o to, abym zaczęła się teraz w Ośrodku Badań Technicznych, może dzięki jakiemuś stypendium. A co będę robiła potem? – Wzruszyła ramionami. – Kto to wie?

Niedawno otwarty Ośrodek Badań Technicznych FBI mieścił się na tym samym piętrze co Akademia. Pracownikom wydawano specjalne przepustki i czasami czułam się nawet nieco urażona, że będąc głównym specjalistą do spraw medycyny sądowej w Wirginii i konsultantem do spraw patologii w Pomocniczym Oddziale Śledczym FBI, nigdy jeszcze nie dostałam pozwolenia, aby przekroczyć próg pomieszczeń, do których moja siostrzenica miała wstęp każdego dnia.

Lucy zdjęła buty treningowe i spodnie, następnie ściągnęła przez głowę podkoszulek i sportowy staniczek.

– Później dokończymy tę rozmowę – powiedziałam, zwalniając dla niej kabinę.

– Ojej! – pisnęła, gdy woda zaczęła spływać po zadrapaniach na jej ciele.

– Musisz to umyć dokładnie wodą i mydłem. Skąd masz te zadrapania?

– Ześlizgnęłam się w dół po nasypie i otarłam dłonie liną.

– Uważam, że powinnaś przemyć skaleczenia spirytusem.

– Nie ma mowy.

– O której wychodzisz z Ośrodka?

– Nie wiem. To zależy.

– Tak czy inaczej, jeszcze się zobaczymy przed moim wyjazdem do Richmond – obiecałam i wróciłam do przebieralni, aby wysuszyć włosy.

Nie upłynęła minuta, gdy Lucy, także bez cienia dziewczęcej wstydlivosti, przemaszerowała obok mnie, mając na sobie jedynie zegarek firmy Breitling, który dostała ode mnie na urodziny.

– Cholera! – zaklęła pod nosem, ubierając się. – Nie uwierzysz, jak ci powiem, ile mam dzisiaj do zrobienia. Wyczyścić cały twardy dysk, załadować go ponownie, bo brak mi już miejsca, wsadzić tam całą masę nowych rzeczy i jeszcze przerobić mnóstwo plików. Miałam nadzieję, że nie będziemy już mieli problemów z komputerami.

Lucy narzekała bez przekonania. Kochała robić to, co należało tu do jej obowiązków.

– Spotkałam dziś rano Pete’a Marino. Ma tutaj zostać przez cały tydzień – poinformowałam ją.

– Zapytaj go, czy nie chce sobie postrzelać – poprosiła, wciskając adidasy do swojej szafki i z impetem trzaskając drzwiczkami.

– Mam przecucie, że będzie miał okazję robić to bardzo często. – Gdy to mówiłam, Lucy już wychodziła, mijając w drzwiach kolejne pół tuzina agentek Wydziału do Spraw Zapobiegania Narkomanii, ubranych w czarne dresy.

– Dzień dobry – przywitały nas uprzejmie.

Gdy zdejmowały adidasy, sznurowadła aż bębniły o skórę butów.

Gdy ubrałam się wreszcie i zaniiosłam torbę treningową do pokoju, okazało się, że jest kwadrans po dziewiątej. Byłam już spóźniona.

Mijając po drodze dwie pary strzeżonych drzwi, błyskawicznie zbiegłam trzy piętra niżej, wsiadłam do windy w sali czyszczenia broni i zjechałam sześćdziesiąt stóp w dół, na poziom Akademii. W sali konferencyjnej przy długim dębowym stole siedziało dziewięciu policjantów z wydziału śledczego, psychologowie z FBI i analityk z Programu Zapobiegania

Cieżkim Przystępstwom. Zajął miejsce obok Pete'a Marino, przysłuchując się wstępnym komentarzom na temat omawianej sprawy.

– Ten facet wie cholernie dużo o procedurze zbierania materiału dowodowego.

– Wie o tym każdy, kto kiedyś siedział.

– Ale zauważcie, że on się w tym czuje jak ryba w wodzie.

– To zaś wskazywałoby na to, że może nigdy nie był karany.

Dołożyłam moją dokumentację do materiałów, które krążyły po stole, i poprosiłam szeptem siedzącego niedaleko mnie psychologa, aby podał mi kserokopię pamiętnika Emily.

– Może, ale jeśli chodzi o mnie, nie zgadzam się – powiedział Marino. – Fakt, że ktoś kiedyś siedział, wcale nie musi oznaczać, że boi się znowu trafić do pierdła.

– A jednak większość ludzi obawiałaby się tego, no wiesz, znasz przysłowie: na złodzieju czapka gore.

– Gault nie jest taki jak większość ludzi. On lubi ryzyko.

Ktoś podał mi zestaw kolorowych kserokopii, przedstawiających dom Steinerów, zbudowany w stylu rancza. Na jednej z odbitek widać było otwarte okno na parterze, przez które napastnik wszedł do niewielkiej pralni, wyłożonej glazurą w biało-niebieskich kolorach i z białym linoleum na podłodze.

– Biorąc pod uwagę usytuowanie tego domu, rodzinę i wreszcie samą ofiarę, można powiedzieć, że Gault poczyna sobie coraz zuchwałiej.

Na kolejnych odbitkach oglądałam korytarz z wykładziną dywanową, wiodący do sypialni obitej tapetą w pastelowe wzory, przedstawiające bukietki fiołków i fruujące baloniki. Na łóżku z baldachimem naliczyłam sześć poduszek, a kilka innych leżało na półce w garderobie.

– Mamy do czynienia z człowiekiem niemal zupełnie pozbawionym słabych punktów.

Sypialnia urządzona jak dziecinny pokój należała do matki Emily, Denesy Steiner. Zgodnie z informacjami policji, napastnik zbudził ją około drugiej w nocy, przykładając lufę pistoletu do głowy.

– Facet pewnie teraz śmieje się z nas w kułak.

– Niestety, nie po raz pierwszy.

Pani Steiner opisała napastnika jako mężczyznę średniego wzrostu i budowy. Nie była pewna co do rasy, ponieważ nosił rękawiczki, miał na twarzy maskę i ubrany był w długie spodnie i marynarkę. Zakneblował ją i związał jaskrawo-pomarańczową taśmą, a potem wepchnął do garderoby. Następnie poszedł do pokoju Emily. Wyciągnął dziewczynkę z łóżka i zniknął z nią w mroku nocy.

– Moim zdaniem, powinniśmy nieco ostrożniej rozważyć hipotezę, że sprawcą jest ten facet. Mam na myśli Gaulta.

– Słuszna uwaga. Musimy być otwarci na każdą ewentualność.

– Czy łóżko matki było zasłane? – spytałam.

– Z całą pewnością – potwierdził jeden z detektywów, mężczyzna w średnim wieku, o obleśnej, czerwonej twarzy. Jego przenikliwe szare oczy przesuwają się badawczo po moich popielatych włosach, ustach, świdrujący wzrok zanurzył się na moment w rozchylenie przy kołnierzyku bluzki w białoszare paski, z którego wystawała popielata apaszka. Jeszcze przez chwilę kontynuował oględziny, przyglądając się moim dłoniom. Zarejestrował, że mam na palcu pierścioneł z kameą i ani śladu obrączki.

– Jestem doktor Scarpetta – przedstawiłam się, patrząc na faceta bez cienia uśmiechu. Gały czas czułam jego wzrok na swoich piersiach.

– Max Ferguson, Stanowe Biuro Śledcze, Asheville.

– A ja jestem porucznik Hershel Mote, komenda policji w Black Mountain – wyciągnął do mnie chropowatą dłoń siedzący po drugiej stronie stołu mężczyzna w stroju koloru khaki, wystarczająco stary, aby znaleźć się już na emeryturze. – Bardzo mi przyjemnie, pani doktor. Dużo o pani słyszałem.

– Jeżeli chodzi o szczegóły – zwrócił się Ferguson do pozostałych – pani Steiner posłała łóżko przed przyjściem policji.

– Dlaczego? – drążyłam dalej tę kwestię.

– Może nie chciała czuć się jeszcze bardziej zakłopotana – pośpieszyła z wyjaśnieniem Liz Myre, jedyna kobieta psycholog w tym gronie. – Jeden nieproszony gość już złożył jej wizytę w sypialni. A wkrótce miała przybyć policja.

– Jak była ubrana, gdy przyszliście? – zapytałam.

– W różowy kombinezon zapinany na suwak i skarpetki – powiedział Ferguson, zajrzawszy do raportu.

– Czy zawsze sypia w takim stroju? – usłyszałam za sobą znajomy głos i odwróciłam się.

Szef sekcji, Benton Wesley, zamknął za sobą drzwi i nasze oczy na moment się spotkały. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o ostrych rysach twarzy, których nie łagodziły nawet siwe włosy, ubranym w jednorzędowy ciemny garnitur. Pod pachą dźwigał plik papierów i rzutnik karuzelowy. Zebrani w milczeniu obserwowali, jak przysunął sobie krzesło stojące u szczytu stołu, usiadł i zaczął coś szybko pisać wiecznym piórem firmy Mont Blanc.

Nie odrywając wzroku od kartki, powtórzył pytanie:

– Czy pani Steiner miała na sobie taki właśnie strój w chwili napaści?

– Moim zdaniem, wygląda to raczej na podomkę – powiedział Mote. – Flanela, długie rękawy, suwak z przodu.

– Nie miała pod tym nic oprócz majtek – dodał Ferguson.

– Nie pytam cię, skąd to wiesz – odezwał się Marino.

Zauważyłem odcisk gumki od majtek i brak zarysu stanika. Państwo płaci mi za to, że jestem spostrzegawczy. Biuro Federalne natomiast za raporty – rozejrzał się dookoła – a nie za gówna.

– Nikt nie zapłaci ci za gówna, chyba że będziesz srał złotem – zauważył Marino.

Ferguson wyciągnął z kieszeni papierosy.

– Czy komuś przeszkadza dym?

– Mnie.

– I mnie też.

– Kay. To jest raport z sekcji zwłok i więcej fotografii. – Wesley pchnął w moją stronę grubą kopertę.

– Odbitki laserowe? – zapytałam, gdyż nie jestem zwolenniczką pracy na podstawie takiej dokumentacji; nadaje się ona wyłącznie do oglądania z daleka.

– Nie. Prawdziwy McCoy.

– Świetnie.

– A więc zastanawiamy się nad cechami osobowości przestępcy i metodami jego działania, tak? – Wesley rozejrzał się dookoła, a kilka osób przytaknęło, kiwając głowami. – I mamy już jednego potencjalnego podejrzanego. Czy może raczej podejrzewamy, kto to może być.

– Jak dla mnie, sprawa jest jasna – powiedział Marino.

– Przyjrzyjmy się okolicznościom zbrodni, a potem zajmiemy się wiktymologią. – Wesley zaczął przeglądać leżące przed nim papiery. – I jeszcze coś, myślę, że lepiej będzie, jeżeli na początku nie będziemy łączyć z tą sprawą znanych nam przestępców. – Popatrzył na nas badawczo zza okularów do czytania.

– Czy mamy plan sytuacyjny?

Ferguson podał mu fotokopię mapy okolicy.

– Zaznaczono tu dom ofiary i kościół. A także drogę nad jeziorem, którą ofiara przypuszczalnie wracała do domu po spotkaniu w kościele.

Emily Steiner była filigranowej budowy i miała bardzo dziecinny wygląd – nie wyglądała na więcej niż osiem, dziewięć lat. Na ostatniej szkolnej fotografii, którą robiono zeszłej wiosny, ubrana była w zielony sweter zapinany na guziki. Jasnoblond włosy, uczesane na bok z przedziałką, przytrzymywała z jednej strony spinka w kształcie papugi.

Później Emily nie była już fotografowana, aż do tamtego rzeźkiego, sobotniego poranka siódmego października, kiedy to pewien starszy mężczyzna przyjechał nad jezioro Tomahawk łowić ryby. Gdy ustawił na podmokłym gruncie ogrodowe krzeselko, zauważył w pobliskich krzakach małą różową skarpetkę. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że skarpetka znajduje się na dziecięcej stopie.

– Przeszliśmy tą ścieżką – zaczął relacjonować Ferguson, wyświetlając slajdy i wskazując cieniem długopisu na ekranie omawiane miejsca – i tutaj znaleźliśmy ciało.

– Jak daleko stąd do jej domu i kościoła?

– W obu przypadkach około mili, samochodem. Nieco mniej w linii prostej.

– Wygląda na to, że ścieżka nad jeziorem jest stąd o rzut kamieniem.

– Mniej więcej.

– Dziewczynka leżała z głową skierowaną na północ – kontynuował Ferguson. – Na nogach miała skarpetki, na lewej częściowo zsuniętą. Zegarek. Naszyjnik. Do dziś nie znaleziono błękitnej flanelowej piżamy i

majteczek, które Emily miała na sobie w chwili porwania. Tu widzimy powiększenie rany z tyłu głowy.

Cień długopisu przesuwiał się po ekranie, a poprzez grube mury nad nami słychać było stłumione odgłosy wystrzałów ze strzelnicy.

Ciało Emily Steiner było nagie. Ze szczegółowego raportu lekarza sądowego z Buncombe County wynikało, że dziewczynka była molestowana seksualnie. Widniejące na przezroczach duże, ciemne, błyszczące plamy na wewnętrznej stronie ud, górnej części piersi i na ramieniu wskazywały miejsca, z których usunięto fragmenty skóry. Dziewczynkę zakneblowano i związano jaskrawo-pomarańczową, szeroką taśmą izolacyjną. Bezpośrednią przyczyną śmierci była rana postrzałowa z małokalibrowego pistoletu, znajdująca się w tylnej części czaszki.

Ferguson wyświetlał slajd po slajdzie, a zebrani przyglądali się w kompletnym milczeniu kolejnym zdjęciom bladego, obnażonego ciała dziewczynki. W swojej karierze zawodowej nie spotkałam jeszcze nikogo, kto zobojętniałby na widok okaleczonych lub zamordowanych dzieci.

– Czy wiemy, jakie warunki pogodowe panowały w Black Mountain między pierwszym a siódmym października? – zapytałam.

– Było pochmurno. W nocy temperatura pięć-sześć stopni Celsjusza, w ciągu dnia nieco powyżej dziesięciu – odpowiedział Ferguson. – Mniej więcej.

– Mniej więcej? – Spojrzałam na niego zdziwiona.

– To znaczy średnia – zaczął mi wyjaśniać, gdy ponownie zapalono światło. – Jak zapewne pani wiadomo, dodaje się temperatury z poszczególnych dni i nocy, a później dzieli przez ich liczbę.

– Agencie Ferguson, w takich przypadkach ważna jest każda zmiana pogody – powiedziałam beznamiętnym głosem, którym maskowałam narastającą niechęć do tego człowieka. – Nawet jeden dzień, kiedy

panowałyby na przykład bardzo wysoka temperatura, mógłby wpłynąć na stan zachowania ciała.

Wesley zaczął kolejną stronę notatek. Przerwał na chwilę pisanie i spojrzał na mnie.

– Pani doktor, zakładając, że zamordowano ją wkrótce po uprowadzeniu, w jakim stadium rozkładu powinno znajdować się ciało w dniu znalezienia, to jest siódmego października?

– Biorąc pod uwagę opisane przed chwilą warunki pogodowe, spodziewałabym się umiarkowanego rozkładu – odpowiedziałam. – Oczekiwałabym również naruszenia ciała przez insekty, a także, być może, innych oznak pośmiertnej ingerencji w ciało ofiary, w zależności od tego, jaki dostęp miały do niego drapieżniki.

– Innymi słowy, powinno być w znacznie gorszym stanie, niż widzimy tutaj – postukał palcem w fotografię – zakładając, że nie żyła od sześciu dni.

– Tak mi się właśnie wydaje.

Na czole Wesleya błyszczały kropelki potu, a kołnierzyk jego białej, wykrochmalonej koszuli był lekko wilgotny. Żyły na skroniach i szyi nabrzmiały.

– Jestem zdziwiony, że nie dobrały się do niej psy.

– No nie, ja nie jestem. To nie miasto, gdzie wszędzie biegają gromady kundli. My trzymamy nasze psy zamknięte w zagrodach lub wyprowadzamy je na smyczy.

Marino oddawał się swojemu potwornemu nawykowi – rozrywał na drobne strzępki styropianowy kubek po kawie.

Ciało Emily było bardzo blade, niemal szare, z niewielkimi przebarwieniami w kolorze zielonkawym w dolnym prawym sektorze. Koniuszki palców były suche, a paznokcie odchodziły od skóry opuszek. W

niektórych miejscach widać było ubytki włosów, skóra zaś na rękach zaczynała się już łuszczyć. Nie znalazłam śladów obrażeń wskazujących na walkę, żadnych zadrapań, siniaków ani złamanych paznokci.

– Drzewa i inna roślinność mogły ją chronić przed działaniem słońca – analizowałam głośno warunki, w jakich leżało ciało dziewczynki. – Poza tym wydaje mi się, że rana nie krwawiła zbyt obficie, co tłumaczyłoby, dlaczego nie znaleźliśmy śladów po drapieżnikach.

– Możemy zatem brać pod uwagę hipotezę, że została zamordowana w innym miejscu – podsumował Wesley. – Brak ubrania, brak krwi, sposób, w jaki ukryto ciało, i tak dalej, mogą sugerować, że dziewczynka została okaleczona i zamordowana gdzieś indziej, a następnie ciało podrzucono do lasu. Czy możesz stwierdzić, kiedy usunięto fragmenty skóry?

– Mniej więcej w chwili zgonu – odpowiedziałam.

– Aby usunąć ślady po ugryzieniu?

– Tego nie mogę stwierdzić na podstawie samej dokumentacji.

– Czy według ciebie ślady te przypominają uszkodzenia ciała, z jakimi mieliśmy do czynienia w przypadku Eddiego Heatha? – Wesley miał na myśli trzynastoletniego chłopca z Richmond, zamordowanego przez Temple'a Gaulta.

– Tak. – Otworzyłam inną kopertę i wyjęłam z niej plik fotografii z sekcji zwłok. – W obu przypadkach wycięto kawałki skóry z ramion i górnych wewnętrznych części ud. Eddie Heath także został zabity strzałem w tył głowy, a jego ciało podrzucono w inne miejsce.

– Uderzyło mnie też, że pomimo różnicy płci, widać wyraźne podobieństwa w typie ciał chłopca i dziewczynki. Heath był drobnej budowy, tuż przed okresem dojrzewania. Emily też była filigranowa, a jej drugorzędne cechy płciowe zaczęły się dopiero ujawniać.

– Pewną drobną różnicę stanowi w tym wypadku fakt, że w okolicach ran na ciele dziewczynki nie widać krzyżujących się, płaskich nacięć nożem – zwróciłam uwagę.

Marino pośpieszył z wyjaśnieniami dla policjantów z Północnej Karoliny.

– W przypadku Heatha przyjęliśmy hipotezę, że Gault próbował początkowo usunąć z ciała ofiary ślady ugryzień, masakrując te miejsca płytkimi nacięciami nożem. Potem jednak najwidoczniej uznał, że w ten sposób nie zatrze śladów, i usunął z ciała fragmenty tkanki skórnej wielkości kieszeni w mojej koszuli. W przypadku porwanej dziewczynki prawdopodobnie od razu wyciął powierzchniowo pogryzione kawałki jej ciała.

– Muszę powiedzieć, że nie podoba mi się takie założenie. Nie mamy przecież żadnej pewności, że zrobił to Gault.

– Liz, to zdarzyło się raptem dwa lata temu. Nie sądzę, aby Gault narodził się na nowo albo zaczął pracować dla Czerwonego Krzyża.

– Nie możemy tego wykluczyć. Pamiętaj, że na przykład Bundy pracował potem w przytułku.

– A pan Bóg przemówił do syna Sama.

– Mogę cię zapewnić, że Pan Bóg nic nie powiedział Berkowitzowi – przerwał Wesley dość apatycznym tonem.

– No więc, moim zdaniem, Gault mógł tym razem, jeżeli to był on, po prostu wyciąć kawałki ciała ze śladami ugryzienia.

– Oczywiście, mogło tak być. W tej dziedzinie sprawdzają się powszechnie panujące reguły i ci faceci, dzięki praktyce, także ulepszają swój warsztat.

– Mój Boże, mam nadzieję, że ten nie będzie się już rozwijał. – Mote przyłożył sobie ligninową chusteczkę do górnej wargi.

– Czy jesteśmy gotowi, aby spróbować określić sylwetkę tego człowieka? – Wesley spojrzął na zgromadzonych przy stole. – Czy zgadzamy się na białego mężczyznę?

– Jest to okolica w większości zamieszкана przez białych.

– Bez wątpienia.

– Wiek?

– Działa logicznie, a to wskazuje na pewną dojrzałość.

– Istotnie. Nie sądzę, abyśmy mieli do czynienia z młodocianym przestępcą.

– Byłbym za dwudziestolatkiem. Może bliżej trzydziestki.

– Według mnie to raczej ktoś dobijający trzydziestki, w każdym razie nieprzekraczający trzydziestu pięciu.

– Jest świetnie zorganizowany. Na przykład sposób użycia przypadkowego narzędzia zbrodni. Oprócz tego, które zabierał ze sobą, często używał innego, znalezioneo na miejscu. Poza tym wszystko wskazuje na to, że nie miał najmniejszego problemu z kontrolowaniem ofiary.

– Według opinii rodziny i przyjaciół, Emily była dzieckiem, na które nietrudno wpłynąć. Dziewczynkę określano jako nieśmiałą i lękliwą.

– Poza tym była bardzo chorowita. Często bywała w gabinetach lekarskich i przywykła słuchać poleceń dorosłych. Mamy więc podstawy, aby sądzić, że posłusznie wykonywała to, co jej kazano.

– Nie zawsze. – Na twarzy Wesleya nie było widać żadnych emocji, gdy kartkował pamiętnik nieżyjącej dziewczynki. – Ukryła przecież przed matką fakt, że o pierwszej w nocy jeszcze nie spała, leżąc w łóżku z latarką. Wydaje mi się także, że nie zamierzała jej powiedzieć o planowanym na niedzielne popołudnie spotkaniu. Czy ten chłopak, Wren, przyszedł wcześniej, tak jak zamierzał?

- Zjawił się dopiero o piątej po południu, na zebraniu w kościele.
- Co wiemy o stosunku Emily do innych chłopców?
- Typowy dla jedenastoletniej dziewczynki. Czy mnie kochasz? Zakreśl „tak” lub „nie”.
- Co w tym dziwnego? – zapytał Marino i wszyscy się roześmiali.

Po raz kolejny zaczęłam przeglądać fotografie, a kiedy ułożyłam je przed sobą na stole jak karty tarota, zauważyłam pewne wyraźne niekonsekwencje. Rana postrzałowa w tyle głowy uszkodziła prawy płąt mózgu, rozrywając po drodze oponę twardą i odcinek środkowej tętnicy oponowej.

- Ile hoteli jest w okolicy Black Mountain?
- Około dziesięciu. Można też wynająć w pobliżu pokój gościnny w którymś z prywatnych domów, razem ze śniadaniem.
- Czy sprawdziliście już listy gości?
- Przyznaję, że nie pomyśleliśmy o tym.
- Jeśli Gault był w mieście, musiał się przecież gdzieś zatrzymać.

Wyniki badań laboratoryjnych także wydawały mi się niepokojące: poziom sodu w ciele szklistym podniesiony do 180, a potasu do 58 jednostek.

– Max, zacznijmy od Travel-Eze. Jeżeli weźmiesz to na siebie, ja sprawdzę Acorn i Apple Blossom. Być może trzeba będzie zajrzeć też do Mountaineera, chociaż to chyba trochę za daleko.

– Gault z całą pewnością zatrzymał się w miejscu, które gwarantowało anonimowość. Nie sądzę, aby było mu na rękę, że personel widzi, kiedy wychodzi i kiedy wraca do hotelu.

– Tak, ale nie miał wielkiego wyboru. W naszej okolicy nie ma dużych hoteli.

– Na pewno nie zatrzymał się w Red Rocker ani w Blackberry Inn.

- Też tak myślę, ale na wszelki wypadek sprawdzimy.
- A co myślicie o Asheville? Jest tam kilka sporych hoteli.
- To prawda, mają tam wszystko, czego potrzebują.
- Myślisz, że zabrał dziewczynkę do pokoju hotelowego i tam ją zabił?
- Nie. W żadnym wypadku.
- Nie mógłby trzymać w hotelu dziecka jako zakładnika bez zwrócenia czyjejś uwagi, na przykład pokojówki czy sprzątaczk.

– Dlatego byłbym zdziwiony, gdyby Gault zatrzymał się w hotelu. Policja zaczęła poszukiwania Emily natychmiast po jej porwaniu. Komunikaty podawano we wszystkich lokalnych wiadomościach.

Sekcję zwłok przeprowadził doktor James Jenrette, lekarz sądowy wezwany po znalezieniu ciała. Pracował jako anatomopatolog w szpitalu w Asheville i zobowiązany był także do przeprowadzania wszystkich autopsji w tej spokojnej, pagórkowatej okolicy, co z całą pewnością nie zdarzało mu się zbyt często. Jego podsumowanie raportu z sekcji zwłok Emily, które brzmiało: „Niektóre wyniki badań nie dają się wyjaśnić obecnością rany postrzałowej w tyle głowy”, było zdecydowanie niepełne. Zdjęłam okulary i, rozcierając grzbiet nosa, słuchałam Bentona Wesleya.

- A jak wygląda w tej okolicy sprawa wynajmowania domów turystom?
- Zdarza się to bardzo często – odpowiedział Mote. – Wiele osób z tego korzysta. – Odwrócił się w stronę Fergusona. – Max, przypuszczam, że to także powinniśmy jak najszybciej sprawdzić. Sporządź listę, wtedy zobaczymy, kto w tym czasie wynajmował komuś dom.

- Nie zdziwiło mnie, kiedy Wesley, wyczuwając mój niepokój, zapytał:
- Doktor Scarpetta? Mam wrażenie, że chciałaby pani doktor coś dodać.
- Jestem zaskoczona, że obrażenia ciała Emily nie wywołały żadnej reakcji organizmu – powiedziałam. – A poza tym, mimo że stan ciała wskazuje, iż śmierć nastąpiła zaledwie kilka dni przed znalezieniem

dziewczynki, poziom jej elektrolitów nie pasuje do wyników fizycznych oględzin...

– Jej co? – Wyraz twarzy Mote'a nie był w tej chwili najinteligentniejszy.

– Poziom sodu w organizmie Emily jest zdecydowanie wyższy niż przewidują normy, a ponieważ pierwiastek ten pozostaje w miarę stabilny także po śmierci, możemy przyjąć, że jego poziom był już wysoki w chwili śmierci dziewczynki.

– O czym to świadczy?

– Może wskazywać, że dziewczynka była bardzo odwodniona – wyjaśniłam. – A poza tym, jak na swój wiek, Emily miała niedowagę. Czy wiemy coś na temat sposobu jej odżywiania? Może była na coś chora? Wymiotowała? Miewała biegunki? Może brała jakieś środki moczopędne? – zadawałam kolejne pytania, przyglądając się twarzom siedzących przy stole.

Nikt nie potrafił mi odpowiedzieć. Po chwili odezwał się Ferguson:

– Zapytam jej matkę. I tak muszę porozmawiać z nią po powrocie.

– Poziom potasu także jest podwyższony – kontynuowałam. – To również należałoby wyjaśnić, ponieważ ilość potasu w ciele szklistym zwykle zwiększa się po śmierci, gdy ścianki komórek przestają być szczelne i wydostaje się on na zewnątrz.

– W ciele szklistym? – zdziwił się Mote.

– Płyn oczny świetnie nadaje się do przeprowadzania tego typu testów, gdyż jest odizolowany i dobrze chroniony, a zatem mniej podatny na zanieczyszczenia – odpowiedziałam. – Poziom potasu w ciele Emily wskazuje, że śmierć nastąpiła wcześniej, niż wynika z poprzednich oględzin.

– To znaczy kiedy? – zapytał Wesley.

– Sześć, może siedem dni przed wykonaniem sekcji.
– Czy można tę sprzeczność wytłumaczyć w inny sposób?
– Oddziaływaniem bardzo wysokich temperatur, które mogłyby zakłócić proces rozkładu ciała – odpowiedziałam.

– No tak, ale to niemożliwe.

– Albo błędem lekarza – dodałam.

– Możesz to sprawdzić?

Skinęłam głową.

– Doktor Jenrette uważa, że strzał w głowę spowodował natychmiastową śmierć – powiedział Ferguson. – A zatem, skoro śmierć nastąpiła gwałtownie, mogło nie być żadnych reakcji organizmu.

– Mam na ten temat odmienne zdanie – wyjaśniłam. – Według mnie, rana od kuli nie musiała wcale spowodować natychmiastowego zgonu dziecka.

– Jak długo dziewczynka mogła jeszcze żyć? – zapytał Mote.

– Nawet kilka godzin – odpowiedziałam.

– Czy ów brak reakcji organizmu można wyjaśnić w inny sposób? – ponownie zapytał Wesley.

– *Commotio cerebri*. To coś w rodzaju zwarcia elektrycznego – uderzenie w głowę, natychmiastowa śmierć, a potem niemal zupełny brak obrażeń. – Przerwałam na chwilę. – Istnieje jeszcze możliwość, że wszystkie obrażenia ciała, łącznie ze strzałem w głowę, powstały po śmierci.

Siedzący przy stole pogрузyli się na dłuższą chwilę we własnych myślach.

Z filiżanki po kawie, którą wypił Marino, pozostała kupka styropianowych kulek, a stojąca przed nim popielniczka wypełniona była papierkami po gumach do żucia.

– Czy znalazłaś coś, co wskazywałoby na to, że najpierw została uduszona?

Odpowiedziałam, że nie.

Marino nerwowo otwierał i zamykał trzymany w palcach długopis.

– Porozmawiajmy trochę o jej rodzinie. Co wiemy o ojcu, poza tym, że nie żyje?

– Był nauczycielem w Broad River Christian Academy w Swannanoa.

– Czy tam właśnie uczyła się Emily?

– Nie. Chodziła do publicznej szkoły podstawowej w Black Mountain. Jej ojciec zmarł jakiś rok temu – dodał Mote.

– Przeczytałam to w materiałach śledztwa – powiedziałam. – Czy miał na imię Charles?

Mote pokiwał głową.

– Co było przyczyną jego śmierci? – zapytałam.

– Nie jestem pewien. Ale to była śmierć naturalna.

– Miał kłopoty z sercem – wyjaśnił Ferguson.

Wesley wstał i podszedł do białego ekranu na ścianie.

– No dobrze. – Wziął do ręki czarny flamaster i zaczął robić notatki. – Uporządkujmy wiadomości. Ofiara pochodzi z rodziny należącej do klasy średniej, biała dziewczynka, w wieku jedenastu lat, ostatni raz widziana przez swoich rówieśników pierwszego października około godziny osiemnastej, gdy samotnie wracała do domu po spotkaniu w kościele. Wybrała drogę na skróty wzdłuż jeziora Tomahawk, małego, sztucznego zbiornika wodnego. Gdy spojrzycie na mapy, które dołączyliśmy do waszych materiałów, zauważycie na nich budynek klubowy na północ od jeziora i publiczny basen, oba czynne tylko latem. Nieco dalej znajdują się korty tenisowe i tereny piknikowe, dostępne przez cały rok. Według słów

matki, Emily dotarła do domu po wpół do siódmej wieczorem. Poszła prosto do swojego pokoju i do kolacji ćwiczyła grę na gitarze.

– Czy pani Steiner pamięta, co Emily jadła tamtego wieczora? – zapytałam.

– Powiedziała mi, że na kolację był makaron z serem i sałata – odpowiedział Ferguson.

– O której godzinie? – Zgodnie z raportem z sekcji zwłok, w żołądku Emily znaleziono niewielką ilość brązowej substancji.

– Około wpół do ósmej, tak zeznała matka.

– Czy to mogło zostać strawione do drugiej w nocy, kiedy została porwana?

– Tak – potwierdziłam. – A nawet jeszcze wcześniej.

– Możliwe, że gdy była przetrzymywana, nie dawano jej nic do jedzenia i picia.

– Czy to wyjaśniałoby wysoki poziom sodu w jej organizmie i odwodnienie? – zapytał mnie Wesley.

– W pewnym stopniu tak.

– W domu nie ma żadnego alarmu antywłamaniowego, nie ma też psa. – Wesley podawał dalsze informacje, notując coś w swoich papierach.

– Czy coś zostało skradzione?

– Prawdopodobnie jakieś ubrania.

– Czyje?

– Chyba matki. Gdy była zamknięta w garderobie, wydawało jej się, że słyszy, jak napastnik otwiera szuflady.

– Jeżeli tak, to napastnik lubił porządek. Bo pani Steiner powiedziała też, że nie jest w stanie stwierdzić, czy coś zginęło, czy zostało przełożone na inne miejsce.

– Czego uczył ojciec Emily? Czy mamy na ten temat jakieś informacje?

– Biblii.

– Broad River to jedna z tych ortodoksyjnych szkół. Dzieci zaczynają tam dzień od odśpiewania „Nie pozwolę, aby grzech miał nade mną władzę”.

– Żartujesz?

– Jestem poważny jak atak serca.

– Boże!

– Tak, tak, dużo się o Nim tam rozmawia.

– Może mogliby się zająć moim wnuczkiem.

– Do diabła, Hershel, nikt nie jest w stanie wychować twojego wnuczka, bo sam go rozpuściłeś jak dziadowski bicz. Ile ma teraz rowerów? Trzy?

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinie Emily – powróciłam do tematu. – Domyślam się, że to bardzo religijni ludzie.

– To prawda, bardzo.

– Czy Emily miała jakieś rodzeństwo?

Porucznik Mote wziął głęboki oddech.

– To naprawdę smutna historia. Steinerowie mieli jeszcze jedno dziecko, ale zmarło kilka lat temu na tak zwany zespół nagłej śmierci noworodka.

– Czy to także zdarzyło się w Black Mountain? – zapytałam.

– Nie. To było, zanim jeszcze przenieśli się tutaj z Kalifornii. Wiecie, u nas osiedlają się ludzie z całego świata.

– To prawda, przyjeżdża do nas masa cudzoziemców, którzy chcą na starość zamieszkać w tej pagórkowatej okolicy, spędzić tu wakacje czy też wziąć udział w zgromadzeniach religijnych – potwierdził Ferguson. – Cholera, gdybym brał tylko ćwierć dolara od każdego baptysty, nie musiałbym tu teraz z wami siedzieć.

Spojrzałam na Pete’a Marino. Był wyraźnie wzburzony, a jego twarz po prostu żarzyła się jak fajerka.

– Znakomite miejsce dla Gaulta. Ludzie czytają historie o tym skurwysynu w takich magazynach, jak „People”, „The National Enquirer”, „Parade”. Ale nigdy nie przyjdzie im do głowy, że wilk może zaatakować ich stado. Dla nich to ktoś w rodzaju Frankensteina. W rzeczywistości nie istnieje.

– Nie zapominajmy, że telewizja nakręciła o nim film – wtrącił Mote.

– Kiedy to było? – zapytał Ferguson.

– Kapitan Marino powiedział, że w czasie ostatniego lata. Nie pamiętam, kto go grał, ale ten aktor występował w wielu filmach typu „Terminator”. Mam rację?

Marino zdawał się nie słuchać rozmowy. Jego głos zabrzmiał nagle jak głuchy grzmot.

– Czuję, że ten skurwiel ciągle jeszcze tam jest. – Odepchnął swoje krzesło do tyłu i wrzucił kolejny papierek do popielniczki.

– Wszystko jest możliwe – stwierdził Wesley.

– No dobrze, koledzy. – Mote głośno przełknął ślinę. – Będziemy wam bardzo wdzięczni, jeżeli zechcecie pomóc nam wyjaśnić tę sprawę.

– Pete, czy mógłbyś zgasić światło? – zapytał Wesley, spoglądając na zegarek. – Sądzę, że powinniśmy jeszcze przyjrzeć się kilku wcześniejszym przypadkom, aby pokazać naszym gościom z Północnej Karoliny, jak Gault spędzał czas w Wirginii.

Przez następną godzinę panującą w sali konferencyjnej ciemność rozświetlały sceny z takich horrorów, że miałam wrażenie, jakbym obserwowała fragmenty swoich najstraszliwszych koszmarów sennych. Ferguson i Mote nie odrywali oczu od ekranu, przyglądając się temu w absolutnej ciszy.



Przez okna stołówki przy sali konferencyjnej widać było na trawnikach tłuściutkie świstaki, wygrzewające się w promieniach słońca. Kończyłam już swoją sałatę, a Marino czyścił talerz z resztek smażonego kurczaka, zjadał zresztą nawet te, które znalazły się na blacie stołu.

Niebo miało kolor wyblakłego błękitu, drzewa zaś powoli nabierały ognistych barw jesieni, jakimi w pełni miały zapłonąć dopiero później. Właściwie pod pewnym względem zazdrościłam Pete'owi Marino. Wyczerpujące fizycznie ćwiczenia, jakim będzie się poddawał w nadchodzącym tygodniu, wydawały się relaksem w porównaniu z tym, co czekało na mnie, usadowione po ciemnej stronie świadomości niczym olbrzymie, nienasycone i drapieżne ptaszysko.

– Lucy ma nadzieję, że znajdziesz trochę czasu, aby z nią postrzelać – powiedziałam.

– To zależy od tego, czy jej, pożał się Boże, maniery chociaż trochę się poprawiły.

– To śmieszne, ale ona myśli dokładnie to samo o tobie.

Marino wyjął papierosa.

– Pozwolisz?

– Moje zdanie w ogóle się tu nie liczy, bo i tak byś zapalił.

– Nigdy nie dajesz kumplowi szansy, pani doktor. – Gdy mówił, papieros kołysał się w jego palcach. – A ja potrafię się ograniczać. – Wyjął

zapalniczkę. – Powiedz mi prawdę. Mam wrażenie, że ciągle myślisz o paleniu.

– Masz rację. Nie ma minuty, abym się nie zastanawiała, jak można robić coś tak nieprzyjemnego i szkodliwego społecznie.

– Brednie. Brakuje ci tego jak cholera. Nawet teraz chciałabyś być w mojej skórze. – Zapalił i wypuścił kłęb dymu, odwracając głowę do okna. – Pewnego dnia ta melina zapadnie się jak w kloaczną dziurę przez te pieprzone świstaki.

– Dlaczego Gault miałyby przyjechać do Północnej Karoliny? – zapytałam.

– A dlaczego, do diabła, jeździ w inne miejsca? – Marino spojrzał na mnie surowo. – Pytasz i pytasz, ciągle masz jakieś wątpliwości co do tego skurwysyna, a odpowiedź jest zawsze ta sama. Ponieważ miał na to ochotę. I na pewno nie skończy na zabójstwie tej dziewczynki Steinerów. Jakieś inne dziecko, może kobieta, może facet, to nie ma żadnego pieprzonego znaczenia, znajdzie się w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu, gdy Gault znowu poczuje swędzenie.

– I naprawdę myślisz, że on tam jeszcze jest?

Marino zgasił papierosa.

– Tak, jestem o tym przekonany.

– Dlaczego?

– Ponieważ zabawa dopiero się zaczęła – powiedział, obserwując wchodzącego do stołówki Wesleya. – Największe, przeklęte widowisko na ziemi. Więc on siedzi i obserwuje, trzęsąc dupą ze śmiechu, jak bezradne gliny z Black Mountain miotają się dookoła, za wszelką cenę próbując się zorientować, co, do cholery, należy zrobić w takiej sytuacji. Tam u nich popełniane jest statystycznie jedno morderstwo rocznie, wiesz o tym?

Patrzyłam, jak Wesley idzie w stronę baru. Ostrożnie nalał sobie zupy, wziął kilka krakersów i ponieważ nie było nikogo przy kasie, rzucił parę dolarów na papierowy talerzyk. Chociaż nie dał po sobie poznać, że nas zauważył, byłam tego absolutnie pewna. Miał dar dostrzegania najdrobniejszych detali w swoim otoczeniu.

– Niektóre wnioski z oględzin zwłok Emily Steiner każą mi się zastanowić, czy jej ciało nie było przechowywane w chłodni – dzieliłam się swoimi przemyśleniami z Pete’em Marino, widząc kątem oka, że Wesley zmierza w naszym kierunku.

– Ja jestem pewien, że było. W szpitalnej kostnicy – odpowiedział Marino, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

– Wygląda na to, że straciłem coś interesującego – przywitał się Wesley, odsuwając krzesło i siadając przy naszym stole.

– Zastanawiam się, czy ciało Emily Steiner nie było przechowywane w chłodni, zanim znaleziono je na brzegu jeziora – powtórzyłam swoje wątpliwości.

– Z czego to wnioskujesz? – Gdy Wesley sięgnął po pieprz, spod rękawa jego marynarki błysnęły złote spinki do mankietów z emblematem Departamentu Sprawiedliwości.

– Jej skóra była ziemista i sucha – powiedziałam. – Ciało wyglądało na dobrze zachowane i nienaruszone przez owady i inne zwierzęta.

– To raczej wyklucza hipotezę, że Gault zatrzymał się w jakimś motelu turystycznym – rzekł Marino. – Do jasnej cholery, nie trzymał jej przecież w minibarze w swoim pokoju.

Wesley, jak zwykle dokładny, nabrał na łyżkę trochę zupy rybnej i uniósł ją do ust bez uronienia jednej kropli.

– Co zabezpieczono dla potrzeb śledztwa? – zapytałam.

– Jej biżuterię i skarpetki – odpowiedział Wesley. – I taśmę samoprzylepną, którą niestety, usunięto, zanim policja zdjęła odciski palców. W kostnicy nieźle ją pocięto.

– Chryste! – wymamrotał Marino.

– Ale na szczęście jest bardzo nietypowa, a więc mimo to wydaje się obiecująca. Jeżeli chodzi o mnie, nigdy nie widziałem tego typu taśmy w jaskrawo-pomarańczowym kolorze – dodał, patrząc na mnie.

– Ja też nie – powiedziałam. – Czy wasi pracownicy z laboratorium wiedzą już coś na jej temat?

– Jeszcze nie, poza tym, że znaleźli na niej ślady tłuszczu. Może to oznaczać, że rolka, z której pochodziły te fragmenty, była czymś ubrudzona. To na razie tyle, ale i to może się przydać.

– Co jeszcze mają w laboratorium? – zapytałam.

– Wymazy, próbkę ziemi znalezionej pod ciałem, prześcieradło i worek, w którym transportowano ciało znad jeziora – wyliczył Wesley.

W miarę jak mówił, zastanawiałam się, czego jeszcze nie dopilnowano, jakie bezcenne ślady przepadły dla nas na zawsze.

– Chciałabym dostać kopie fotografii ciała i raportów, a także wyniki badań laboratoryjnych, gdy tylko będą gotowe – poprosiłam.

– Wszystko, co mamy, jest do twojej dyspozycji – powiedział Wesley. – Ludzie z laboratorium skontaktują się z tobą.

– Powinniśmy jak najszybciej ustalić, kiedy nastąpił zgon – wtrącił Marino. – Jak na razie, nie ma co do tego jasności.

– Tak, to bardzo ważne i zajmiemy się tym w pierwszej kolejności – przyznał mu rację Wesley. – Czy mogłabyś wykonać jakieś dodatkowe badania?

– Zrobię, co będę mogła – odpowiedziałam.

– Muszę zaraz być na Hogan’s Alley – oświadczył Marino, wstając od stołu i patrząc na zegarek. – Zresztą pewnie już zaczęli, nie czekając na mnie.

– Mam nadzieję, że najpierw się przebierzesz – zauważył Wesley, przyglądając mu się sceptycznie. – Proponuję pulower z kapturem.

– Racja. I padnę z przegrzania.

– Lepsze to niż paść od dziewięćmilimetrowego ślepego naboju – rzekł Wesley. – Są bolesne jak diabli.

– Co? Czy wy dwoje nie spiskujecie przypadkiem przeciwko mnie?

Kiedy się już pożegnał, patrzyliśmy, jak idzie w stronę wyjścia. Po drodze zapinał guziki swetra, opinającego jego potężny brzuch, przyglądał mocno przerzedzoną fryzurę i podciągał spodnie. Marino miał koci zwyczaj doprowadzania do porządku swojego wyglądu, zarówno wtedy, gdy wchodził, jak też, gdy opuszczał jakieś towarzystwo.

Wesley zatrzymał wzrok na brudnej tacy, pozostawionej przez Marino. Gdy po chwili spojrział na mnie, zauważyłam, że jego oczy mają wyjątkowo ciemną barwę, a usta ułożone są w tak surowy grymas, jakby nigdy nie próbowały się uśmiechać.

– Powinnaś jakoś na niego wpłynąć – powiedział.

– Chciałabym mieć taką siłę, Benton.

– Jesteś jedyną osobą, która jest do tego zdolna.

– To przerażające.

– Przerażające jest to, że podczas zebrania był purpurowy jak piwonia. Oczywiście nie robi kompletnie nic, aby polepszyć swój stan. Smażone jedzenie, papierosy, alkohol. – Wesley na chwilę odwrócił wzrok. – Odkąd Doris go opuściła, żyje jak straceniec.

– Widzę pewną poprawę – powiedziałam bez przekonania.

– To tylko krótkie momenty opamiętania. – Nasze oczy znowu się spotkały. – Przecież on się powoli zabija.

Moim zdaniem, Marino lubił po prostu żyć po swojemu, i najgorsze było to, że nie miałam pojęcia, jak można by to zmienić.

– Kiedy wracasz do Richmond? – zapytał Wesley, a ja natychmiast zaczęłam się zastanawiać, co naprawdę chce wiedzieć. Pomyślałam o jego żonie.

– To zależy – odpowiedziałam niespiesznie. – Chciałabym spędzić trochę czasu z Lucy.

– Powiedziała ci, że chcemy ją tu zatrzymać, jak tylko skończy szkołę? Patrzyłam w okno, na trawę i liście kołyszące się na wietrze.

– Jest bardzo przejęta – przyznałam.

– Ale ty nie.

– Nie.

– Rozumiem, Kay. Nie chcesz, żeby Lucy zetknęła się z tą rzeczywistością, z którą ty masz do czynienia. – Jego twarz niemal niedostrzegalnie złagodniała. – Powinno mi to sprawić ulgę, że przynajmniej w jednej sprawie nie jesteś całkowicie racjonalna i obiektywna.

Nie byłam całkowicie racjonalna i obiektywna w co najmniej jednej jeszcze sprawie i Wesley doskonale o tym wiedział.

– Nawet nie orientuję się dokładnie, czym ona się tutaj zajmuje.

– Jak byś się czuł, gdyby taką decyzję miało podjąć jedno z twoich dzieci?

– Jak zwykle, gdy chodzi o moje dzieci. Nie chciałabym, aby musiały pilnować przestrzegania prawa albo służyć w wojsku. Nie chciałabym, aby musiały używać broni. Ale jednak w gruncie rzeczy cieszyłabym się, gdyby w jakiś sposób miały do czynienia z tymi sprawami.

– Ponieważ wiesz, co się dzieje – powiedziałam, patrząc mu w oczy, nieco dłużej niż powinnam.

Wesley zmiął serwetkę i położył ją na tacy.

– Lucy lubi swoją pracę. My też bardzo ją cenimy.

– Miło mi to słyszeć.

– Jest naprawdę niezwykła. Programy, które pomogła nam przygotować dla Programu Zapobiegania Ciężkim Przestępstwom, bardzo zmieniają zasięg naszej pracy. Przedtem nie braliśmy poważnie pod uwagę możliwości, aby śledzić te bestie na całym świecie. Jak myślisz, czy dowiedzielibyśmy się, gdyby Gault zabił tę dziewczynkę Steinerów gdzieś w Australii? Czy taka informacja dotarłaby do nas?

– Prawdopodobnie nie – powiedziałam. – A przynajmniej nieprędko. Przypominam ci jednak, że wciąż nie mamy dowodów, że to Gault ją zabił.

– Wiemy jednak z całą pewnością, że czas działa na naszą niekorzyść. Im później złapiemy sprawcę, tym więcej będzie ofiar. – Wesley sięgnął po moją tacę i położył ją na swojej.

– Myślę, że powinniśmy odwiedzić Lucy – powiedział, gdy wstaliśmy.

– Nie wiem jeszcze, co jej poradzić.

– Rozumiem. Daj mi trochę czasu, to spróbuję ci pomóc.

– Byłabym szczęśliwa.

– Pomyślmy, teraz jest pierwsza. Może spotkamy się tu znowu o wpół do piątej? – zapytał, gdy wychodziliśmy ze stołówki. – A przy okazji, jak Lucy się czuje w Waszyngtonie? – zażartował Wesley; miał na myśli warunki w akademiku, które były dalekie od zadowalających. – Przykro mi, że nie mogliśmy zapewnić jej więcej prywatności.

– Nie rób sobie wyrzutów. Dobrze jej robi wspólne mieszkanie z innymi dziewczynami, chociaż Lucy nie zawsze jest łatwa we współżyciu.

– Geniusze często nie potrafią porozumieć się z otoczeniem.

Przez następne kilka godzin bezskutecznie próbowałam skontaktować się z doktorem Jenrette'em, który, jak się w końcu okazało, wziął wolny dzień i wyjechał pograć w golfa.

Zadzwoiłam także do swojego biura w Richmond, gdzie na razie wszystko było pod kontrolą. Przypadki, które pojawiły się w ciągu dnia, wymagały tylko zewnętrznych badań i zostały zabezpieczone poprzez ściągnięcie płynów fizjologicznych. Na szczęście w ciągu minionej nocy nie było żadnych zabójstw, a moje sprawy sądowe mogły jeszcze trochę poczekać. O umówionej porze spotkałam się z Wesleyem w barze przy sali konferencyjnej.

– Weź to – powiedział, wręczając mi specjalną przepustkę dla gości, którą przyczepiłam sobie do kieszeni żakietu tuż obok identyfikatora.

– Miałeś z tym problemy? – zapytałam.

– Trochę marudzili, ale przekonałem ich w końcu.

– Cieszę się, że przebrnęłam przez pierwsze sito – powiedziałam ironicznie.

– Ledwo, ledwo.

– Miły jesteś.

Gdy wychodziliśmy z baru, przepuścił mnie przodem, lekko dotykając mojego ramienia.

– Nie muszę ci przypominać, że nic z tego, co zobaczysz i usłyszysz w Ośrodku Badań Technicznych, nie może wyjść poza mury tego budynku.

– Masz absolutną rację, Benton. Nie musisz mi o tym przypominać.

Szliśmy korytarzem, na którym tłoczyli się studenci Akademii Narodowej, ubrani w czerwone podkoszulki z emblematami FBI. Wśród śpieszących do klas wysportowanych chłopców i dziewcząt nie było ani

jednej osoby w błękitnym stroju, co według kodu kolorystycznego znaczyło, że w tym roku nie prowadzono zajęć dla nowych agentów.

Dotarliśmy na portiernię, gdzie elektroniczny napis nad dyżurką przypominał o przygotowaniu przepustek do kontroli. Z zewnątrz wciąż dobiegały odgłosy strzelaniny, zakłócając sielankową atmosferę tego jesiennego popołudnia.

Ośrodek mieścił się w trzech podłużnych, połączonych ze sobą beżowych segmentach z betonu i szkła, do których prowadziły szerokie drzwi, umieszczone w głębokiej wnęce. Od pozostałej części Akademii oddzielony był wysokim ogrodzeniem z mocnymi łańcuchami. Szeregi aut na parkingu należały do bardzo licznej populacji pracowników tej placówki, których nie znałam nawet z widzenia, gdyż byli oni połykani i wypluwani na zewnątrz w chwilach, gdy inni tego nie widzieli.

Wesley zatrzymał się przy drzwiach, przed którymi umieszczono sensorowy czujnik kontrolny. Przesunął prawy kciuk nad soczewką czytnika, który zeskanował jego linie papilarne, a w chwilę później na ekranie pojawiło się polecenie podania osobistego numeru identyfikacyjnego. Biometryczny zamek otworzył się z cichym kliknięciem.

– Oczywiście byłeś tu już przedtem? – zapytałam, gdy przytrzymał mi drzwi.

– Wiele razy – potwierdził.

Podążając za nim jasno oświetlonym korytarzem, dwukrotnie dłuższym od boiska futbolowego, zastawiałam się, jakie sprawy mogły go tutaj sprowadzać. Szliśmy po miękkiej, beżowej wykładzinie, doskonale tłumiącej odgłosy naszych kroków. Mijaliśmy laboratoria, gdzie naukowcy w białych kitlach, nałożonych na ciemne garnitury, przeprowadzali eksperymenty, o których nie miałam najmniejszego pojęcia i których nie byłabym w stanie nawet w przybliżeniu scharakteryzować. Inni pracowali

w wydzielonych pomieszczeniach, przy stołach zasłanych różnymi narzędziami, częściami komputerowymi, monitorami i innymi trudnymi do określenia przedmiotami. Z pomieszczenia bez okien, zza podwójnych drzwi, dobiegały odgłosy piły elektrycznej tnącej drewno.

W windzie odbyła się następna kontrola linii papilarnych Wesleya i dopiero po niej mogliśmy wejść w enklawę ciszy, gdzie pracowała Lucy. Pomieszczenia na drugim piętrze spełniały rolę klimatyzowanej czaszki, w której wnętrzu mieścił się sztuczny mózg tej instytucji. Skojarzenie to podkreślał jeszcze szary kolor ścian i wykładziny dywanowej, a także kształt pomieszczeń do pracy, zaprojektowanych na podobieństwo tacy do zamrażania kostek lodu. W każdej kabinie znajdowały się dwa modułowe biurka, na których stały komputery, drukarki laserowe i pojemniki na papier. Bez trudu wypatrzyliśmy Lucy. Jako jedyna miała na sobie firmowy kombinezon FBI.

Siedziała tyłem do nas, mówiąc coś do umocowanego na słuchawkach mikrofonu, jedną ręką pisząc w komputerowym notesie elektronicznym, drugą uderzając w klawiaturę. Gdybym nie wiedziała, czym się zajmuje, mogłabym pomyśleć, że komponuje muzykę.

– Nie, nie – przekonywała kogoś. – Jeden długi sygnał, a ponim dwa krótkie, to znaczy, że prawdopodobnie mamy do czynienia z awarią monitora, może zepsuło się coś w płycie zawierającej kości od wideo.

Odwróciła się na obrotowym krześle i wtedy nas zobaczyła.

– Tak, gdy słyszysz tylko jeden krótki sygnał, to zupełnie co innego – wyjaśniała dalej. – Teraz mówimy o problemach z płytą systemową. Dave, zadzwonię do ciebie później, dobrze?

Na biurku zauważyłam zagrzebany w papierach biometryczny skaner. Na podłodze i na półce piętrzyły się podręczniki do obsługi komputerów, pudełka dyskietek i taśm wideo, pliki pism komputerowych oraz stosy

publikacji z banderolą, na której widniała pieczęć Departamentu Sprawiedliwości.

– Chciałem pokazać Kay, gdzie pracujesz – wyjaśnił Wesley.

Lucy zdjęła z głowy słuchawki, a ja odniosłam wrażenie, że niezbyt ucieszyła się z naszej wizyty.

– Akurat zwała mi się na głowę cała masa problemów – usprawiedliwiała się. – Mamy kłopoty z paroma komputerami. – Spojrzała na mnie i dodała: – Pracujemy nad wdrożeniem Sieci Sztucznej Inteligencji do Spraw Kryminalnych, zwanej w skrócie CAIN.

– CAIN? – zdziwiłam się. – To dość ironiczna nazwa, skoro wiadomo, że system ma pomagać w rozpracowywaniu ciężkich przestępstw kryminalnych.

– Powinniśmy na to spojrzeć jak na ostateczny akt skruchy ze strony pierwszego mordercy. A może właśnie trzeba inteligencji przestępcy, aby schwytać takiego samego gagatka – powiedział Wesley.

– Chcemy przede wszystkim – wyjaśniała dalej Lucy – aby CAIN był systemem automatycznym, który będzie w stanie możliwie wiernie symulować świat realny.

– Innymi słowy, oczekujecie, że będzie myślał i działał w taki sposób, jak my. – Usiłowałam to przełożyć na bardziej zrozumiały język.

– Otóż to. – Lucy zaczęła stukać w klawisze. – Tu, na przykład, mamy doskonale ci znany szczegółowy raport dochodzeniowy.

Na monitorze pojawiły się znajome pytania z piętnastostronicowego formularza, którym posługiwałam się od wielu lat, przede wszystkim w przypadkach, w których mieliśmy do czynienia z niezidentyfikowanym ciałem albo kolejną ofiarą wielokrotnego przestępcy.

– Zostało to trochę skrócone – wyjaśniła Lucy.

– Prawdę powiedziawszy, wypełnianie tych rubryk nigdy nie stanowiło dla mnie jakiegoś problemu – powiedziałam. – Musiałam przy tej okazji przeprowadzić analizę faktów i przesłać ją we właściwe miejsce.

– Teraz dajemy wam wybór – objaśnił Wesley. – Będziecie mieli do dyspozycji terminale, z których można przesłać dane bezpośrednio do głównego banku informacji. A dla opornych zawsze pozostaje tradycyjna forma wypełniania papierków, które następnie wyślą pocztą lub faksem.

– Pracujemy także nad technologią odczytywania pisma ręcznego – mówiła dalej Lucy. – Połączone z komputerem tabliczki do pisania mogą być bardzo przydatne w przekazywaniu informacji, gdy pracownik operacyjny znajduje się w samochodzie, na posterunku lub w sali rozpraw. Poza tym wszystko, co dostaniemy na papierze, odręczne notatki lub inne materiały, będziemy mogli wskanować do tego systemu. Interaktywność systemu CAIN zaczyna się, gdy natrafi on na jakieś powiązania lub gdy będzie potrzebował dodatkowych informacji. Wtedy może komunikować się z pracownikiem operacyjnym za pomocą modemu, przesłać wiadomość głosem albo też użyć poczty elektronicznej.

– Możliwości tego systemu są rzeczywiście nieprawdopodobne – potwierdził Wesley.

Wiedziałam już, dlaczego mnie tu przyprowadził. Na pierwszy rzut oka wydawać się mogło, że te odizolowane stanowiska pracy nie mają nic wspólnego z placówkami FBI w miastach, napadami na banki czy handlem narkotykami. Wesley chciał mnie przekonać, że Lucy, pracując dla FBI, będzie tu bezpieczna. Ale ja wiedziałam swoje, dobrze znałam zasadzki, czyhające w głębi ludzkiego umysłu. Niezapisane strony, które Lucy pokazywała nam na komputerze, już wkrótce zapełnią się szeregami nazwisk i szczegółowymi opisami popełnionych zbrodni. Będzie pracować nad bazą danych, zawierającą informacje o wymyślnych torturach,

okaleczeniach ciała i rodzajach broni. Z pewnością nie pozostanie to bez wpływu na jej psychikę. I pewnego dnia Lucy w tłumie mijanych na ulicach ludzi zacznie widzieć twarze ofiar.

– Domyślam się, że te materiały, przeznaczone dla służb policyjnych, będą także miały znaczenie dla nas? – zwróciłam się do Wesleya.

– To zrozumiałe. Lekarze zajmujący się medycyną sądową będą integralną częścią tej sieci.

Lucy pokazała nam też inne elementy programu, który opisywała słowami trudnymi do zrozumienia nawet dla mnie. Komputery to wieża Babel naszych czasów. Im wyższa technologia, tym trudniej opisać ją normalnym językiem.

– Dla potrzeb tego programu opracowaliśmy specjalny Strukturalny Język Pytań – wyjaśniała dalej Lucy. – Akcent położony jest bardziej na jego deklaratywność niż możliwości nawigacyjne, a to oznacza, że użytkownik wskazuje, co chce otrzymać z banku danych, mniej go natomiast interesuje sposób, w jaki to zostanie znalezione.

Słuchając Lucy, obserwowałam kobietę, która wyłoniła się zza załomu ściany i zmierzała w naszym kierunku. Poruszała się bardzo energicznie i z niewątpliwą gracją, a kitel laboratoryjny falował wokół jej kolan niby spódniczka tancerki. W rękę trzymała aluminiową miseczkę i coś w niej energicznie rozcierała pędzelkiem.

– Czy wiadomo już, na jakich komputerach ten program będzie pracował? – zwrócił się Wesley do Lucy. – Masz jakieś pomysły?

– W obecnej chwili panuje wyraźna tendencja do miniaturyzacji oprzyrządowania na linii użytkownik-baza danych. Wie pan, mam na myśli minikomputery, sieci lokalne. Wszystko teraz robi się mniejsze.

Kobieta skręciła w stronę stanowiska Lucy, a gdy podeszła bliżej, poczułam, że jej wzrok przeświała mnie na wylot.

– Czyżbyś miała umówione spotkanie, o którym nie wiedziałam? – zapytała z chłodnym uśmiechem, stawiając miseczkę na sąsiednim biurku. Wyczułam, że jest niezadowolona z obecności intruzów.

– Carrie, przepraszam cię. Zajmiemy się naszym projektem nieco później – powiedziała Lucy. – Przypuszczam, że znasz Bentona Wesleya. A to doktor Kay Scarpetta, moja ciotka. Pozwól, że ci przedstawię Carrie Grethen – dokonała prezentacji.

– Miło mi panią poznać – zwróciła się do mnie Carrie, znowu badawczo mi się przyglądając.

Zwróciłam uwagę, z jakim wdziękiem siada na krześle, i przez krótką chwilę podziwiałam jej gładkie, kasztanowe włosy, splecione w staromodny francuski warkocz i spięte z tyłu. Mogła mieć najwyżej trzydzieści pięć lat, a porcelanowa cera, wielkie ciemne oczy i pięknie rzeźbione rysy sprawiały, że jej uroda była doprawdy bardzo oryginalna.

Stanowisko pracy Carrie utrzymywała we wzorowym porządku. Rzuciło się to w oczy szczególnie w porównaniu z biurkiem Lucy, która wydawała się zbyt pochłonięta swoim ezoterycznym światem, aby zastanawiać się, gdzie położyć książki czy papiery. Moja siostrzenica, mimo niezwykłego intelektu, wciąż jeszcze miała nawyki licealistki, która żuje gumę i najlepiej się czuje w absolutnym rozgardiaszu.

– Lucy, może pokażesz Kay pozostałe pomieszczenia? – zaproponował Wesley.

– Jasne. – Z widocznym ociąganiem dziewczyna wyłączyła komputer i wstała z krzesła.

– A więc, Carrie, opowiedz mi, czym się tu zajmujesz? – odchodząc, usłyszałam pytanie Wesleya.

Lucy odwróciła się jeszcze w ich stronę i wtedy ze zdumieniem zauważyłam w jej oczach pełne emocji napięcie.

– Jak widzisz, w naszej sekcji nie ma w zasadzie nic nadzwyczajnego – powiedziała jakimś rozkojarzonym tonem, w którym wyczułam zdenerwowanie. – Po prostu ludzie i zwykłe stanowiska pracy.

– Czy wszyscy tutaj pracują na potrzeby programu?

– W przygotowywanie programu CAIN zaangażowanych jest tylko troje z nas. Większość wykonywanych tu prac ma charakter taktyczny. – Lucy znowu się obejrzała. – Mam na myśli wykorzystywanie komputerów w celu usprawnienia naszego działania. Podobnie jak używa się, na przykład, rozmaitych urządzeń elektronicznych do wspomagania operacji podatkowych, i tak dalej.

Prowadząc mnie w odległe zakamarki tej kondygnacji, myślami była zdecydowanie gdzie indziej. Wreszcie zatrzymałyśmy się przed pomieszczeniem zamkniętym na zamek biometryczny.

– Tylko niektórzy z nas mają prawo tu wchodzić – powiedziała, przesuwając kciukiem po ekranie czujnika i wprowadzając swój numer identyfikacyjny. Szare pancerne drzwi otworzyły się bezszelestnie i weszłyśmy do chłodnego wnętrza, w którym panował niespotykany wprost porządek. Znajdowało się tu kilka stanowisk pracy wyposażonych w komputery i monitory, na półkach zaś stały szeregiem modemy z mrugającymi diodami. Kable zwisające ze wszystkich tych urządzeń ginęły pod podwyższoną podłogą, a przez ekrany komputerów przepływały niebieskie pierścienie i spirale, broniąc dostępu do tajnego programu CAIN.

– Tutaj przechowywane są wszystkie informacje o odciskach palców – poinformowała mnie Lucy.

– Z zamków? – zapytałam.

– Ze skanerów, które widziałas po drodze, służących do kontroli przepływu osób i dostępu do informacji.

– Czy ten wymyślny system zabezpieczeń jest dziełem Ośrodka Badań Technicznych?

– Nie, ale usprawniliśmy go na własny użytek. Prawdę powiedziawszy, właśnie teraz jestem w trakcie opracowywania programu, który byłby najwłaściwszy dla naszych potrzeb. Mam z tym mnóstwo roboty.

Pochyliła się nad monitorem i skorygowała jasność ekranu.

– W przyszłości chcemy, aby system ten służył do gromadzenia informacji o odciskach palców znalezionych podczas pracy dochodzeniowej nad przestępstwami. Gdy policjant zatrzyma podejrzanego, będzie mógł użyć elektronicznego skanera do zapisania jego linii papilarnych – wyjaśniała dalej. – Powędrują one natychmiast do CAIN i jeśli sprawdzany popełnił wcześniej jakieś przestępstwo, a my dysponujemy odciskami jego palców, w ciągu kilku sekund będziemy o tym wiedzieć.

– Przypuszczam, że będzie to ściśle połączone z ogólnopństwowym systemem identyfikacji.

– Ogólnopństwowym i, mam nadzieję, w przyszłości także ogólnościatowym. Chcemy, aby wszystkie drogi wiodły tutaj.

– Czy Carrie także pracuje przy tym programie?

– Tak. – Lucy wyglądała na zaskoczoną moim pytaniem.

– A więc jest jedną z wybranych.

– Zgadza się.

– Wydała mi się trochę dziwna – sondowałam dalej.

– Tutaj wszyscy sprawiają takie wrażenie – zauważyła tylko moja siostrzenica.

– Skąd ona pochodzi? – zapytałam, chociaż czułam już, że jestem zbyt dociekliwa. Żywiłam do tej kobiety niezrozumiałą niechęć i dlatego chciałam dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Ze stanu Waszyngton.
 - Czy jest sympatyczna?
 - Jest świetna w swojej pracy.
 - To nie jest odpowiedź na moje pytanie – zauważyłam z uśmiechem.
 - Nie interesuje mnie, jacy są prywatnie pracujący ze mną koledzy.
- Czemu ona cię tak ciekawi? – W głosie siostrzenicy wyczułam niezadowolenie.
- Nie ukrywam, że ta osoba nie zrobiła na mnie najlepszego wrażenia – wyjaśniłam.
 - Ciociu Kay, proszę, nie bądź taka nadopiekuńcza. Czasami wydaje mi się, że z racji swojego zawodu masz skłonność do przypisywania ludziom podejrzanych cech.
 - Rozumiem. A z uwagi na to, gdzie pracuję, mam również podstawy, aby sądzić, że wszyscy są martwi – zauważyłam sucho.
 - To niedorzeczne – powiedziała Lucy.
 - Chcę tylko wiedzieć, czy spotykasz tu jakichś miłych ludzi.
- Byłabym ci niezmiernie wdzięczna, gdybyś przestała się ciągle zastanawiać, czy mam przyjaciół.
- Lucy, nie zamierzam wtrącać się do twojego życia. Pytam, bo chcę mieć pewność, że jesteś ostrożna.
 - Nie, nie dlatego pytasz. Ty chcesz ingerować w moje życie.
 - Nie miałam takiego zamiaru – zapewniłam ją, uświadamiając sobie po raz kolejny, że Lucy, jak nikt inny, potrafi wyprowadzić mnie z równowagi.
 - Miałaś. Wiem, że nie chcesz, abym tu pracowała.
 - Oczywiście że chcę. Przecież to ja wpakowałam cię w tę cholerną sytuację – zareagowałam ostro i od razu tego pożałowałam.
- Lucy patrzyła na mnie bez słowa.

– Przepraszam cię, kochanie. Nie kłóćmy się już – powiedziałam cicho i położyłam jej dłoń na ramieniu.

– Przypomniałam sobie, że muszę coś sprawdzić – oznajmiła nagle Lucy, odsuwając się gwałtownie.

Po czym, ku mojemu zaskoczeniu, odwróciła się na pięcie i wyszła, zostawiając mnie samą w tym objętym specjalnymi względami bezpieczeństwa pomieszczeniu, tak zimnym i jałowym, jak nasze spotkanie. Przez chwilę wpatrywałam się w ekrany monitorów, na których wirowały jarzące się zielono i czerwono światełka. Natłok myśli wywołał w mojej głowie efekt natarczywego, białego szumu. Lucy była jedynaczką, córką mojej lekkomyślnej siostry Dorothy, a ja nie miałam własnych dzieci. Jednakże miłości, jaką czułam do mojej siostrzenicy, nie można było tłumaczyć jedynie tą sytuacją.

Doskonale rozumiałam jej skrywaną nieśmiałość, zrodzoną z poczucia odrzucenia i samotności, w głębi duszy bowiem byłam bardzo do Lucy podobna. Ale ja głęboko ukrywałam swój smutek. Kiedy więc dotykałam jej ran, było tak, jakbym dotykała swoich własnych. Nie mogłam jej jednak tego powiedzieć.

Wyszłam z pokoju i upewniłam się, że drzwi dobrze się za mną zamknęły. Oczywiście, Wesley zauważył, że wróciłam sama i że Lucy nie pojawiła się nawet wtedy, gdy zbieraliśmy się do wyjścia.

– Co się stało? – zapytał, gdy wracaliśmy do Akademii.

– Niestety, doszło do kolejnej z naszych sprzeczek – wyjaśniłam.

– Któregoś dnia, jeśli pozwolisz, opowiem ci o moich nieporozumieniach tego rodzaju – powiedział, patrząc na mnie ze zrozumieniem.

– Jeżeli istnieją jakieś kursy, na których uczą, jak być matką czy ciotką, chętnie zapiszę się na nie. A właściwie żałuję, że nie zrobiłam tego dużo

wcześniej. Benton, zapytałam ją tylko, czy ma tu jakichś przyjaciół, a ona dostała furii.

– Czym się martwisz?

– Mam wrażenie, że jest bardzo samotna.

– Pamiętam, mówiłaś mi już o tym wcześniej. Ale powiem ci, że Lucy nie robi na mnie wrażenia osoby samotnej – powiedział Wesley.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Zatrzymaliśmy się, aby przepuścić kilka samochodów. Słońce było już nisko i mocno grzało mnie w kark. Wesley zdjął marynarkę i przewiesił ją przez ramię. Gdy droga była wolna, ujął mnie delikatnie za łokieć.

– Kilka dni temu wpadłem wieczorem do Globe and Laurel i widziałem tam Lucy z jakąś koleżanką. Nie wiem, czy nie była to właśnie Carrie Grethen, ale mogę się mylić. Odniosłem wrażenie, że świetnie się bawią.

Chyba nie byłabym bardziej zaskoczona, gdyby Wesley powiedział mi, że Lucy uprowadziła samolot.

– Bywa też dość często w barze przy sali konferencyjnej. Chyba znasz swoją siostrzenicę bardzo jednostronnie, Kay. Rodzice czy opiekunowie zawsze są zdumieni, gdy okazuje się, że dzieci posiadają także drugą stronę osobowości, o której do tej pory nie wiedzieli.

– Ta strona, o której wspomniałaś, jest mi rzeczywiście zupełnie nieznana – przyznałam, ale nie poczułam przy tym żadnej ulgi. Świadomość, że nie wiem wszystkiego o naturze Lucy, wzmogła tylko mój niepokój.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, ale kiedy znaleźliśmy się w holu Akademii, zapytałam cicho:

– Benton, czy ona pije?

– Jest wystarczająco dorosła.

– Domyślałam się tego – powiedziałam.

Chciałam go jeszcze o coś zapytać, ale nagle rozległ się charakterystyczny sygnał i Wesley wydobył z za paska pager. W skupieniu czytał informację na ekraniku.

– Wzywają nas do biura – powiedział. – Chodźmy sprawdzić, co się stało.

3

Gdy o osiemnastej dwadzieścia dziewięć Wesley oddzwonił do porucznika Hershela Mote'a, detektyw nie panował nad swoim głosem, w którym brzmiała histeria.

– Gdzie pan teraz jest? – zapytał Wesley.

– W kuchni.

– Poruczniku Mote, proszę się uspokoić. Niech mi pan precyzyjnie określi miejsce, w którym się pan teraz znajduje.

– W kuchni agenta Maxa Fergusona. To koszmar. Pierwszy raz w życiu ujrzałem coś tak przerażającego.

– Czy jest tam ktoś jeszcze?

– Jestem sam. Oprócz tego, co na górze, o czym już panu mówiłem. Zadzwońm po koronera i czekam na jego przyjazd.

– Proszę wziąć się w garść, poruczniku – powtórzył jeszcze raz Wesley, jak zwykle zachowując zimną krew.

Słyszałam, jak Mote ciężko dyszy w słuchawkę.

– Poruczniku Mote. Mówi doktor Scarpetta. Proszę niczego nie dotykać i pozostawić wszystko dokładnie tak, jak pan zastał – poinstruowałam go.

– O Boże – przestraszył się. – Już go odciąłem...

– Nie szkodzi...

– Kiedy wszedłem... Na Boga, nie mogłem go przecież tak zostawić.

– Naprawdę nic się nie stało – zapewniłam go raz jeszcze. – Ale proszę przypilnować, aby teraz nikt go już nie dotykał. To bardzo ważne.

– A koroner?

– Jemu też nie wolno.

Wesley spojrzał na mnie.

– Już tam jedziemy. Spotkamy się za trzy godziny. Musi pan to jakoś wytrzymać.

– Tak jest. Nie będę się ruszał z krzesła, dopóki nie ustąpi ból w piersi.

– Kiedy się zaczął? – spytałam zaniepokojona.

– Gdy tu przyszedłem i znalazłem Maxa. Właśnie wtedy poczułem ból.

– Czy wcześniej zdarzyło się już panu coś podobnego?

– O ile pamiętam, nie. W każdym razie nie tak silny.

– Proszę mi dokładnie opisać, gdzie pana boli – dopytywałam się, coraz bardziej zaniepokojona.

– Dokładnie pośrodku.

– Czy ból promieniuje w kierunku ramion i szyi?

– Nie, proszę pani.

– Czy poci się pan nadmiernie lub ma zawroty głowy?

– Trochę się spociłem.

– Czy ból potęguje się, gdy pan kaszle?

– Nie kasłałem, więc nie wiem.

– Czy miał pan już kłopoty z sercem lub wysokie ciśnienie?

– Raczej nie.

– Czy pan pali?

– Tak, nawet w tej chwili.

– Poruczniku Mote, proszę mnie uważnie posłuchać. Niech pan natychmiast odłoży papierosa i postara się uspokoić. Objawy, jakie pan opisał, są bardzo groźne. Przeżył pan przed chwilą duży szok, a ponieważ

jest pan palaczem, wszystko to może doprowadzić do zawału. Nalegam, aby pan natychmiast wezwał karetkę pogotowia.

– Ból już trochę ustał. Za chwilę powinien tu być coroner, a on jest lekarzem.

– Czy to doktor Jenrette? – zapytał Wesley.

– Tak. To jedyny tego typu specjalista, jakiego tu mamy.

– Nie chciałabym, aby się pan teraz forsował. Dopóki ból nie ustąpi, proszę odpoczywać, poruczniku Mote – powiedziałam stanowczym tonem.

– Będę na pewno, pani doktor.

Wesley zapisał telefon oraz adres i pożegnał się z Mote'em. Zaraz potem wystukał jeszcze jeden numer.

– Czy jest w pobliżu Pete Marino? – zapytał. – Proszę mu powiedzieć, że zaistniała nagła sytuacja. Niech spakuje torbę z rzeczami i jak najszybciej przyjdzie do budynku Oddziału Ratowania Zakładników. Czekam tu na niego i wszystko mu wyjaśnię, gdy się spotkamy.

– Posłuchaj, chciałabym, żeby Katz się tym zajął – poprosiłam Wesleya, gdy wstawał z krzesła. – Musimy zdjąć odciski palców ze wszystkiego, z czego się tylko da, bo zwykle dopiero później okazuje się, które są dla nas ważne.

– Dobra myśl.

– Wątpię, żeby o tej porze był jeszcze na Trupiej Farmie. Może trzeba będzie poszukać go pagerem.

– Jasne. Postaramy się go złapać. – Mówiliśmy o naszym koledze z Knoxville, specjaliście w dziedzinie medycyny sądowej.

Umówiliśmy się za piętnaście minut w holu Oddziału. Gdy przyszłam, Wesley już tam był. Przez ramię miał przewieszoną torbę podróżną. Ja zdążyłam tylko zmienić buty na bardziej odpowiednie do podróży i zapakować trochę rzeczy osobistych oraz apteczkę.

– Doktor Katz już wyjechał z Knoxville – poinformował mnie Wesley. – Dołączy do nas na miejscu.

Srebrzyście połyskujący księżyc ostro odbijał się od ciemnego nieba, a w pobliskim lesie jednostajnie szeleściły liście, co do złudzenia przypominało odgłos padającego deszczu. Skierowaliśmy się w stronę budynku Jeffersona i drogi dzielącej kompleks zabudowań Akademii od terenów, gdzie mieściły się jednostki polowe i strzelnice. Gdy mijaliśmy strefę rekreacyjną, z ukrytymi wśród drzew stołami piknikowymi, nagle zobaczyłam znajomą sylwetkę. Byłam tak zaskoczona, że przez chwilę zastanawiałam się, czy oczy mnie nie mylą. Ale zaraz przypomniałam sobie, jak Lucy wspominała kiedyś, że przychodzi tu czasem, aby w samotności podumać nad różnymi sprawami. Ucieszyłam się, w nadziei że może uda mi się załagodzić niedawne nieporozumienie.

– Benton – powiedziałam. – Poczekaj tu na mnie chwilkę.

Gdy podeszłam bliżej, niespodziewanie dobiegły mnie odgłosy jakiejś rozmowy. Zdumiałam się, że moja siostrzenica rozmawia sama ze sobą. Zbliżyłam się jeszcze trochę i wtedy zobaczyłam siedzącą na blacie stołu Lucy. Już miałam ją zawołać, gdy nagle dostrzegłam drugą postać na ławce. Były tak blisko siebie, że z daleka tworzyły jakby jedną sylwetkę. Znieruchomiałam w cieniu wysokiej sosny.

– To dlatego, że zawsze to robisz – mówiła Lucy urażonym tonem, który dobrze znałam.

– Nie, to dlatego, że ty zawsze podejrzewasz, że to robię. – Głos drugiej kobiety brzmiał bardzo kojąco.

– No dobrze, to nie dawaj mi powodów.

– Lucy, możemy już o tym nie mówić? Proszę.

– Daj mi jednego.

– Wołałabym, żebyś nie zaczynała.

– Nie zacznę. Chcę tylko pociągnąć.

Usłyszałam trzask zapalanej zapałki i nikły płomyczek rozświetlił ciemność. Przez moment widziałam profil mojej siostrzenicy, która zbliżyła twarz do swojej przyjaciółki, niewidocznej dla mnie w mroku nocy. Rozżarzony koniuszek papierosa przesuwiał się, gdy dziewczyny na zmianę go sobie podawały. Odwróciłam się cicho i odeszłam.

Gdy tylko wróciłam, Wesley ruszył do przodu długimi krokami.

– Ktoś znajomy? – zapytał.

– Wydawało mi się – odpowiedziałam.

Szliśmy dalej w milczeniu, mijając puste strzelnice z długimi rzędami plansz celowniczych i nieruchomo stojących metalowych sylwetek. W dali widniała wieża kontrolna, stojąca za barykadą z opon, gdzie Oddział Ratowania Zakładników, zielone berety FBI, ćwiczył z prawdziwą amunicją. W pobliskich krzakach czekał na nas biało-niebieski Bell JetRanger; wyglądał jak olbrzymi śpiący owad. Pilot stał na zewnątrz i rozmawiał z Pete'em Marino.

– Wszyscy już są? – zapytał, gdy nas zobaczył.

– Tak. Dziękuję, Whit – odpowiedział Wesley.

Ubrany w czarny lotniczy kombinezon Whit, wspaniały okaz wysportowanej męskiej sylwetki, otworzył nam drzwi helikoptera. Ja i Marino usiedliśmy z tyłu, Wesley obok pilota, i wszyscy nałożyliśmy słuchawki tłumiące hałas śmigieł.

Po kilku minutach czarna plama ziemi była już daleko pod nami, a w helikopterze zaczęła działać wentylacja i zapaliło się światło. Mogliśmy swobodnie rozmawiać, gdyż nasze głosy przekazywane były za pomocą mikrofonów do słuchawek.

– Ferguson chyba nie zabawił długo w domu – powiedział Marino. – Wiemy coś o tym?...

– Z pewnością. – Głos Wesleya dotarł do nas z kabiny pilota. – Opuścił Quantico zaraz po naszym spotkaniu, około trzynastej.

– O której jego samolot wylądował w Asheville?

– Około szesnastej trzydzieści. Do domu dotarł prawdopodobnie przed siedemnastą.

– W Black Mountain?

– Tak.

– Mote znalazł go o osiemnastej – wtrąciłam.

– Jezu. – Marino spojrział na mnie. – Ferguson musiał chyba zacząć walić konia od razu, gdy tylko przyleciał...

– Jeżeli chcecie, możemy puścić muzykę – przerwał pilot.

– Oczywiście.

– Jaką?

– Klasyczną.

– Do diabła, Benton.

– Jesteś przegłosowany, Pete,

– To pewne, że Ferguson nie zabawił zbyt długo w domu. Niezależnie od tego, kogo lub co należy winić za jego śmierć – podsumowałam naszą przerwana rozmowę, słysząc już w tle utwór Berlioza.

– To wygląda na wypadek. Jakby nie wyszło mu z autoerotyzmem. Ale oczywiście nie wiemy nic pewnego.

– Masz aspirynę? – Marino trącił mnie łokciem.

Sprawdziłam w kieszeni, potem przeszukałam torbę lekarską, ale niestety, bez skutku. Marino zaklął pod nosem, gdy dałam mu znać, że nic nie znalazłam. Dopiero wtedy zauważyłam, że wciąż ma na sobie treningowy dres i adidas, w których ćwiczył w Hogan's Alley. Wyglądał jak trener prowincjonalnej drużyny sportowej, który nie stroni od kieliszka.

Na lewym ramieniu i na plecach jarzyły się w świetle kabiny czerwone plamy. A więc jednak został trafiony na ćwiczeniach.

– Tak, ale gdybyś zobaczyła innych chłopaków – usłyszałam jego zachrypnięty głos. – Benton, może ty masz aspirynę?

– Choroba lokomocyjna?

– Za bardzo mnie to rajcuje – powiedział Marino, który nie nawidził latania.

Pogoda nam sprzyjała, niebo było czyste i lecieliśmy z prędkością około stu pięciu węzłów. Daleko pod nami pobłyskiwały reflektory samochodów, które wyglądały jak oczy jakichś owadów, a światła mijanych zabudowań migotały niczym małe ogniska w lesie. Ta drgająca ciemność mogłaby mnie ukołysać do snu, gdybym tylko zdołała uspokoić nerwy. Niestety, głowę miałam nabitą wrażeniami z mijającego dnia i wciąż pojawiały się nowe pytania.

Nie mogłam się uwolnić od obrazu twarzy Lucy, gdy pochylała się nad zapaloną zapałką, trzymaną przez jej przyjaciółkę. Brzmiały mi w uszach ich namiętne głosy i chociaż nie umiałam sobie tego wytłumaczyć, czułam się oszołomiona. Nie umiałam, a może raczej nie chciałam sprecyzować źródła owego niepokoju. Zastanawiałam się, co Wesley wie o mojej siostrzenicy. Mieszkała w internacie w Quantico od początku jesienno- zimowego semestru, a więc widywał ją ostatnio znacznie częściej niż ja.

Chociaż lecieliśmy już nad górami, w dalszym ciągu nie było śladu wiatru, a ziemia wyglądała jak smoliście czarna równina.

– Wznosimy się na wysokość czterech i pół tysiąca stóp – zabrzmiał w słuchawkach głos pilota. – Wszystko w porządku, tam, w tyle?

– Nie będę nawet pytał, czy tu wolno palić – powiedział Marino.

Była dwudziesta pierwsza dziesiąta. Na atramentowym niebie pojawiły się gwiazdy, a pod nami, niby czarny ocean, rozciągał się nieruchomy Blue

Ridge. Przelecieliśmy nad lasami ukrytymi w głębokich cieniach i skręciliśmy w stronę budynku z czerwonej cegły, przypominającego szkołę. Chwilę później rzeczywiście ujrzeliśmy szkolne boisko, na którym błyskały światła policyjne, a także inne sygnały świetlne, wskazujące nam miejsce lądowania. Gdy dotknęliśmy ziemi, spod brzucha helikoptera posypały się iskry. Pilot usiadł perfekcyjnie, miękko jak ptak, dokładnie na wyznaczonej linii.

– Tutejsza drużyna nazywa się Psy Wojny – odczytał Wesley napis na murze boiska. – Mam nadzieję, że mają lepszy sezon niż my.

Marino obserwował przez okno, jak śmigła powoli zwalniają obroty.

– Nie widziałem meczu futbolowego na boisku szkolnym, odkąd sam przestałem grać.

– Nie wiedziałam, że grałeś w piłkę – zdziwiłam się.

– Jasne. Numer dwanaście.

– Na jakiej pozycji?

– Tylny obrońca.

– To dopiero coś – wyraziłam swój podziw.

– Jesteśmy w Swannanoa – oznajmił Whit. – Black Mountain leży na południe stąd.

Do helikoptera podeszło dwóch policjantów z komendy w Black Mountain. Wyglądali na młodzików, którzy nie powinni jeszcze ani prowadzić samochodu, ani używać broni palnej. Ich blade twarze wyrażały najwyższe napięcie, chociaż starali się nie przyglądać nam zbyt natarczywie. Byli zdecydowanie małomówni, a ponieważ nie wiedzieli, co wydarzyło się w ich miasteczku, rozmowa po drodze niezbyt się kleiła.

Po kilku minutach dojechaliśmy na miejsce. Zaparkowaliśmy w wąskiej uliczce rozbrzmiewającej warkotem silników i rozjaśnionej pulsującymi światłami alarmowymi. Naliczyłam tam jeszcze trzy samochody policyjne,

karetkę pogotowia, dwa wozy strażackie, dwa nieznanego mi marki auta i jednego cadillaca.

– Wspaniale – burknął Marino, zatrzasnąwszy drzwiczki samochodu. – Zjechało chyba całe miasteczko.

Policyjna taśma sygnalizacyjna przeciągnięta była od frontowego wejścia domu Fergusona do pobliskich zarośli, a stamtąd do beżowego dwupiętrowego budynku o aluminiowej konstrukcji. Na żwirowym podjeździe stał ford bronco, a obok nieoznakowany skylark z policyjnymi antenami i kogutem.

– Czy to samochody Fergusona? – zapytał Wesley, gdy wspinaliśmy się po betonowych stopniach.

– Te na podjeździe tak – odpowiedział jeden z policjantów. – Widzicie tamto narożne okno? On jest właśnie tam.

Ku mojemu zaskoczeniu, w drzwiach wejściowych pojawił się nagle porucznik Hershel Mote. Oczywiście nie posłuchał mojej rady.

– Jak się pan czuje? – zapytałam.

– Jakoś się trzymam. – Widać było, że nasze przybycie sprawiło mu wielką ulgę i że gdyby mógł, wyściskałby nas z radości. Ale twarz miał szarą jak popiół. Kołnierzyk bawełnianej koszuli mokry był od potu, który skropił się również na szyi i czole porucznika. Jego ubranie cuchnęło papierosami.

Weszliśmy do środka i przez chwilę kręciliśmy się niezdecydowanie po holu.

– Co zostało zrobione? – zapytał Wesley.

– Doktor Jenrette zrobił zdjęcia, kilka filmów, ale niczego nie dotykał, tak jak prosiliście. Jeżeli go potrzebujecie, jest na zewnątrz i rozmawia z ludźmi z ekipy.

– Mnóstwo tu samochodów – zauważył Marino. – Gdzie są ci wszyscy ludzie?

– Kilku chłopców jest w kuchni. Następnym razem rozgląda się po podwórku i w pobliskim zagajniku.

– Ale nie wchodzili na górę?

Mote westchnął ciężko.

– No dobrze, nie będę wam kłamał w żywe oczy. Byli na górze i wszystko obejrzel. Ale nikt niczego nie dotykał, mogę przysiąc. Jedyne doktor podchodził nieco bliżej. – Umilkł i spojrzał w stronę schodów.

– Max jest... On... Do diabła.

Przerwał i spojrzał na nas, a w jego oczach błyszczały łzy.

– Proszę nam opowiedzieć ze szczegółami, jak pan go znalazł – poprosił Marino.

Zaczęliśmy wchodzić na górę, a Mote ruszył za nami, przygotowując się do złożenia relacji. Podłoga na piętrze pokryta była taką samą ciemnoczerwoną wykładziną, jaką widzieliśmy na dole, a ściany wyłożone sosnową boazerią, polakierowaną na miodowy kolor.

Usłyszałam, jak porucznik głośno przełyka ślinę.

– Zajechałem do Maxa około szóstej wieczorem, spodziewając się, że zjemy razem kolację. Gdy nie otwierał drzwi, pomyślałem, że może bierze prysznic, no, takie tam sprawy, wszedłem do środka.

– Czy zauważył pan przedtem coś, co wskazywałoby, że Ferguson uprawia tego typu praktyki? – bardzo oględnie zapytał Wesley.

– Nie – oświadczył z przekonaniem Mote. – Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Po prostu nie rozumiem... Oczywiście, słyszałem o ludziach, którzy używają do tego różnych dziwnych rzeczy. Ale nie mam pojęcia, czemu one służą.

– Podczas masturbacji pętla służy do zwiększenia nacisku na tętnicę szyjną – wyjaśniłam. – Powoduje to zwolnienie przepływu tlenu i krwi do mózgu, co potęguje orgazm.

– Nazywa się to często kopem na szczycie – dodał Marino z wrodzoną sobie subtelnością.

Mote pozostał przy schodach, a my ruszyliśmy w głąb oświetlonego korytarza.

Sypialnia agenta Maxa Fergusona, urządzone typowo po męsku, była dość skromnie umeblowana. Stały w niej, między innymi, sosnowa komoda i biurko ze składanym blatem, nad którym wisiały pistolety i strzelby. Na stoliku, obok nakrytego kołdrą łóżka, leżał rewolwer, portfel, dokumenty i pudełko prezerwatyw marki Rough Rider. Garnitur, w którym Max był rano w Quantico, wisiał porządnie złożony na krześle, obok stały buty ze skarpetkami.

W połowie drogi między łazienką i garderobą stał drewniany, barowy taboret, a tuż obok leżało ciało Fergusona, przykryte kraciastym kocem. Nad nim wisiał nylonowy sznur, przewleczony przez okrągły haczyk, wbity w drewniany sufit. Wyjęłam z torby rękawiczki i termometr. Gdy ściągnęłam koc z ciała, Marino aż zaklął cicho. Obraz, jaki ukazał się naszym oczom, był bardziej makabryczny, niż Ferguson mógłby wyśnić w swoich najgorszych snach.

Leżał na plecach, a jego pierś przesłaniał czarny biustonosz z miseczkami rozmiaru D, wypchanymi skarpetkami, które pachniały ledwo wyczuwalną wonią piżma. Czarne nylonowe damskie majteczki miał zsunięte aż do wysokości gęsto owłosionych kolan, a na członek naciągnięta była prezerwatywa. Leżące obok pisma pornograficzne zdradzały upodobania Fergusona do skrępowanych kobiet o nienaturalnie dużych piersiach i sutkach wielkości parówek koktajlowych.

Najpierw przyjrzałam się dokładnie nylonowej pętli, mocno zaciśniętej wokół szyi owiniętej ręcznikiem. Sznur, stary i sfatygowany, był przecięty tuż nad doskonale wykonanym węzłem. Ferguson miał przymknięte oczy, a język wywalony na zewnątrz.

– Czy długość sznura wskazuje, że siedział na taborecie? – zapytał Marino, patrząc na kawałek linki zwisający z sufitu.

– Tak – potwierdziłam.

– Walił konia i omsknął się?

– A może stracił przytomność i wtedy spadł ze stołka? – rozważałam.

Marino podszedł do okna i pochylił się nad szklanką z bursztynowym płynem, stojącą na parapecie.

– Bourbon – oznajmił. – Albo coś bardzo podobnego.

Temperatura ciała zmierzona w odbyticy wynosiła trzydzieści trzy stopnie i odpowiadała warunkom, w jakich zmarły znajdował się przez mniej więcej pięć godzin. W niektórych mięśniach rozpoczął się już *rigor mortis*. Zbiorniczek na spermę w kondomie był całkowicie suchy. Podeszłam do łóżka, aby obejrzeć pudełko. Brakowało jednej sztuki, ale gdy rozejrzałam się po łazience, w wiklinowym koszu na śmiecie znalazłam opakowanie z purpurowej folii.

– To ciekawe – mruknęłam, podczas gdy Marino przeglądał szuflady w komodzie.

– Co takiego?

– Wydaje mi się, że mógł nałożyć kondom, gdy się przebierał.

– Według mnie brzmi to logicznie.

– Gdyby było inaczej, opakowanie leżałoby tuż obok ciała, prawda? – Wyjęłam z kosza torebkę i ostrożnie przełożyłam ją do foliowego woreczka. – Wydaje mi się, że wszystko zależy od tego, kiedy ściągnął

majtki. Może zrobił to, zanim nałożył sobie pętlę – zastanawiałam się dalej głośno.

Wróciłam do sypialni. Marino siedział w kucki obok komody i patrzył na ciało Fergusona z niedowierzaniem i niesmakiem.

– A ja zawsze myślałam, że nie ma nic gorszego niż wy kitować w kiblu – powiedział po chwili.

Pominęłam tę uwagę milczeniem i zaczęłam oglądać wbity w sufit hak. Nie sposób było stwierdzić, od jak dawna się tam znajduje. Spytałam Pete’a Marino, czy znalazł w sypialni inne pisma pornograficzne, ale zanim zdążył mi odpowiedzieć, usłyszeliśmy za drzwiami jakiś łoskot.

– Co, u diabła...? – zaklął Marino.

Wypadł na korytarz, a ja za nim.

Porucznik Mote leżał nieruchomo na dywanie tuż przy schodach, twarzą w dół. Gdy uklęknęłam i odwróciłam go na plecy, był już sinoniebieski.

– Zatrzymanie akcji serca! Wezwij karetkę! – zawołałam, rozwierając szczęki Mote’a, aby sprawdzić, czy drogi oddechowe nie są zablokowane.

Kiedy Marino z hałasem zbiegał ze schodów, nacisnęłam kciukiem tętnicę szyjną porucznika, z przerażeniem stwierdzając brak pulsu. Przyłożyłam ucho do jego piersi, ale nic nie usłyszałam. Błyskawicznie rozpoczęłam masaż serca połączony ze sztucznym oddychaniem.

Utrzymywałam tempo sześćdziesięciu ucisków klatki piersiowej na minutę, po skroniach płynęły mi strużki potu, a moje własne serce waliło jak młotem. Bolały mnie ramiona, które już w trzeciej minucie akcji zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Na szczęście usłyszałam na dole czyjeś głosy i tupot butów po schodach. Obok mnie pojawiło się kilku policjantów i pomoc medyczna. Ktoś wziął mnie delikatnie za rękę i odprowadził na bok, czyjeś dłonie w rękawiczkach pośpiesznie montowały kroplówkę i zawieszały butelkę z płynem dożylnym. Słyszałam głośno wydawane

polecenia, czyjeś głosy, wykrzykujące kolejne czynności wykonywane podczas rutynowej akcji ratowania życia.

Gdy oparta o ścianę próbowałam złapać oddech, zauważyłam niewysokiego, jasnowłosego mężczyznę w stroju do golfa, który obserwował całe zajście z podestu. On też uważnie mi się przyglądał i po chwili ruszył powoli w moją stronę.

– Doktor Scarpetta?

Miał miłą, wzbudzającą zaufanie twarz, opaloną nieco poniżej linii włosów, co wskazywało, że często nosi czapkę. Intuicja podpowiadała mi, że jest właścicielem zaparkowanego przed domem cadillaca.

– Tak?

– Nazywam się James Jenrette – przedstawił się, potwierdzając moje przypuszczenia. – Czy dobrze się pani czuje? – Podał mi złożoną w kostkę chusteczkę.

– Wszystko w porządku, ale cieszę się, że pan tu jest – odpowiedziałam szczerze, szczęśliwa, że mogę powierzyć opiekę nad pacjentem kompetentnej osobie. – Zajmie się pan porucznikiem? – Gdy wycierałam twarz i szyję, czułam, jak drżą mi ręce.

– Oczywiście. Pojadę z nim do szpitala. – Jenrette podał mi wizytówkę. – Jeżeli będzie pani miała do mnie jakieś pytania, proszę przekazać mi wiadomość na pager.

– Czy będzie pan rano przeprowadzał sekcję zwłok Fergusona? – zapytałam.

– Tak. Może mi pani asystować. Będziemy mieli okazję, aby o wszystkim porozmawiać.

– Doskonale. Dziękuję i do zobaczenia. – Próbowałam uśmiechnąć się na pożegnanie.

Jenrette pomagał przy przenoszeniu porucznika do karetki, ja zaś wróciłam do sypialni na końcu korytarza. Przez okno widziałam pulsujące, czerwone jak krew światła ambulansu i zastanawiałam się, czy Mote przeżyje.

Ktoś zatrzęsął bramę. Syreny jęknęły, a po chwili rozległ się przejmujący sygnał odjeżdżającej erki. Nie słyszałam, kiedy Marino wszedł do pokoju i prawie podskoczyłam, gdy dotknął mojego ramienia.

– Katz jest na dole – poinformował mnie.

– Potrzebujemy jeszcze jednej karetki – powiedziałam, odwracając się do niego.



Teoretycznie istniała szansa zachowania odcisków palców na ludzkiej skórze. Ale prawdopodobieństwo ich uzyskania było tak znikome, że wielu z nas nawet nie próbowało tego zrobić.

Porowata i elastyczna skóra jest bardzo trudną powierzchnią, dodatkowo zaś komplikuje sprawę jej wilgotność, owłosienie i natłuszczenie. Jeżeli więc zdarzy się nawet niezwykle rzadki przypadek, że linie papilarne zabójcy zostaną na ciele ofiary, są one tak delikatne, że stosunkowo szybko się zacierają.

Doktor Thomas Katz był prawdziwym mistrzem medycyny sądowej i od początku kariery zawodowej postawił sobie za punkt honoru utrwalanie tych najbardziej ulotnych śladów. Poza tym był niezrównanym ekspertem od oznaczania czasu zgonu; posługiwał się przy tym sposobami i metodami wypracowanymi na podstawie własnych doświadczeń, nieznanymi w szerszych kręgach specjalistów w tej dziedzinie. Jego laboratorium, w którym często bywałam, nazywano Trupią Farmą.

Był niewysokim mężczyzną o ciepłych, niebieskich oczach i bujnych, płowych jak len włosach. Miał niezwykle dobrotliwą twarz, co zawsze mnie dziwiło, gdy myślałam o wszystkich tych okropnościach, jakie musiał oglądać z racji swojego zawodu. Gdy spotkaliśmy się na podeście schodów, taszczył ze sobą wentylator okienny, skrzynkę z narzędziami i coś, co wyglądało na fragment rury od odkurzacza z kilkoma dziwnymi dodatkami.

Za nim wdrapywał się po schodach Marino, dźwigając resztę wyposażenia, które Katz nazywał swoim Cyjanoakrylanowym Dmuchającym Wynalazkiem – dwuczęściową aluminiową skrzyneczkę, w której znajdowała się płytką do podgrzewania i komputerowy wentylator. Katz spędzał setki godzin w swoim garażu, wciąż udoskonalając te skądinąd proste urządzenia.

– Dokąd idziemy? – zapytał mnie.

– Pokój na końcu korytarza – wskazałam mu drogę, biorąc okienny wentylator. – Jak minęła podróż?

– Korki po drodze były większe, niż się spodziewałem. Powiedz mi, co dotychczas robiono z ciałem?

– Zostało odcięte i przykryte wełnianym kocem. Sama go jeszcze nie badałam.

– Obiecuję za długo nie marudzić. Odkąd nie używam namiotu, idzie mi znacznie szybciej.

– Co masz na myśli, mówiąc o namiocie? – zapytał Marino, gdy wchodziliśmy do sypialni.

– Do niedawna rozpościerałem nad ciałem plastikowy namiot i dmuchałem do wewnątrz. Ale powstawało przy tym za dużo pary i skóra zbyt szybko się oziębiała. Czy możesz ustawić wentylator w oknie? – Katz rozejrzał się dookoła. – Będę potrzebował miski z wodą. Powietrze jest trochę za suche.

W kilku zdaniach zreferowałam mu wszystko, co sami wiedzieliśmy.

– Czy są jakieś powody, aby sądzić, że to coś więcej niż przypadkowe uduszenie podczas praktyk autoerotycznych? – zapytał, gdy skończyłam.

– Są pewne towarzyszące temu okoliczności – odpowiedziałam.

– Ferguson pracował nad sprawą córki Steinerów.

– To właśnie nazywamy okolicznościami – wyjaśnił Marino.

– W swoim czasie pisały o tym wszystkie gazety.
– Dziś rano byliśmy w Quantico na spotkaniu w tej sprawie – dodałam.
– I on wrócił prosto do domu, a potem stało się to. – Katz zamyślił się, patrząc na ciało. – Wiecie, tydzień temu znaleźliśmy prostytutkę w Dumpster i udało mi się zdjąć z jej kostki odcisk całej dłoni. Ta kobieta nie żyła od czterech lub nawet pięciu dni.

– Kay! – usłyszałam za plecami głos Wesleya. – Mogę cię prosić na chwilę na dół?

– I używał pan wtedy podobnych urządzeń? – dobiegł mnie jeszcze głos Pete’a Marino, gdy szłam w stronę drzwi.

– Tak. Miała pomalowane paznokcie, co, jak się potem okazało, bardzo nam pomogło.

– W czym?

– W zbieraniu odcisków.

– Ma to jakieś znaczenie w tym przypadku?

– Niewielkie. I tak mam zamiar zasypać proszkiem Cały pokój. Przykro mi, ale trochę tu nabałaganę.

– Nie sędzę, żeby on narzekał.

Przy telefonie w kuchni stało krzesło, na którym prawdopodobnie przez kilka godzin siedział Mote, czekając na nasz przyjazd. Obok, na podłodze, stała szklanka z wodą i popielniczka pełna niedopałków.

– Spójrz na to – powiedział Wesley, znany z tego, że zawsze znajdował dziwne ślady w dziwnych miejscach.

W dwudzielnym zlewie pełno było żywności wyciągniętej z zamrażarki. Podeszłam bliżej, aby obejrzeć zawartość niewielkiego pakunku, zawiniętego w białą spożywczą folię. Wewnątrz znajdowały się kawałki zamrożonego mięsa, wyschnięte na krawędziach i przypominające żółtawy, woskowy pergamin.

– Czy myślę się co do tego? – zapytał Wesley ponurym głosem.

– Mój Boże, Benton – powiedziałam cicho, do głębi wstrząśnięta.

To było w zamrażarce, na samym wierzchu tych wszystkich rzeczy. Mielona wołowina, wieprzowina, pizza – wskazywał dłonią w rękawiczce produkty leżące w zlewozmywaku. – Miałem nadzieję, że może to skóra kurczaka albo coś, czego mógł używać jako przynęty dla ryb.

– Nie ma na tym śladów po piórach, a włosy wyglądają zupełnie jak ludzkie.

Wesley milczał.

– Musimy zabezpieczyć to w suchym lodzie i przewieźć do naszego laboratorium – zdecydowałam.

– Dzisiaj już nie damy rady tego przetransportować.

– Im szybciej wykonamy testy immunologiczne, tym prędzej dowiemy się, czy to są fragmenty ciała ludzkiego. Badania DNA potwierdzą tożsamość.

– Najpierw sprawdzimy, czy nie ma na tym linii papilarnych – powiedział Wesley, wkładając pakunek z powrotem do zamrażalnika.

– W takim razie przełożę zawartość do plastikowego woreczka, a folię prześlemy do laboratorium – postanowiłam.

– Dobrze.

Gdy wchodziliśmy na górę, w głowie huczało mi jak w ulu. Marino i Katz stali na końcu korytarza przy zamkniętych drzwiach sypialni. Przez dziurę po wymontowaniu mosiężnej gałki wpuścili rurę, stanowiącą główną część wynalazku Katza, za pomocą której pompowali do wnętrza opary Super Glue.

– Benton, nie widziałam na tych kawałkach żadnych śladów zębów ani nic innego, co sprawca chciałby usunąć – powiedziałam, zdając sobie sprawę, że Wesley także o tym myśli.

– Wiem – potwierdził.

– Prawie skończyliśmy – poinformował nas Katz, gdy podeszliśmy do nich. – Pokój tej wielkości można załatwić porcją mniejszą niż sto kropel Super Glue.

– Pete – zaczął Wesley – pojawił się nieoczekiwany problem.

– A już myślałem, że skończyliśmy na dzisiaj – mruknął Marino, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w rurę tłoczącą trujące opary do sypialni Fergusona.

– To powinno wystarczyć – orzekł Katz, nie zwracając uwagi na miny stojących obok kolegów. – Teraz muszę jeszcze oczyścić wentylatorem powietrze. Zajmie mi to minutę, najwyżej dwie.

Gdy otworzył drzwi, wszystkich aż odrzuciło w głąb korytarza. Na nim jednak drażniący nozdrza, stężony chemiczny zapach nie zrobił najmniejszego wrażenia.

– Przypuszczam, że on się tym narkotyzuje – wymamrotał Marino, gdy Katz wszedł do pokoju.

– Ferguson miał w lodówce coś, co przypomina ludzką skórę – poinformował go Wesley.

– Chcesz, abym się tym zajął? – spytał zaskoczony Marino.

– Nie mam pojęcia, co tu się dzieje – mówił dalej Wesley; w sypialni rozległ się warkot wentylatora. – Mamy już jednego martwego detektywa, u którego w zamrażarce, obok pizzy i hamburgerów, znaleźliśmy dowody obciążające. Drugi detektyw ma atak serca. A poza tym zamordowano jedenastoletnią dziewczynkę.

– Cholera – syknął Marino, a jego twarz przybrała kolor purpury.

– Mam nadzieję, że zabraliście ze sobą dość rzeczy, aby jakiś czas tu zostać – dodał Wesley.

– Cholera – powtórzył Marino. – To łajdak.

Spojrzał na mnie, a ja doskonale wiedziałam, o czym myśli. Miałam jednak nadzieję, że się myli. Bo jeżeli to nie była robota Gaulta, druga ewentualność wydawała mi się jeszcze bardziej przerażająca.

– Czy w tym domu są piwnice? – zapytałam.

– Tak – odpowiedział Wesley.

– Trzeba poszukać większej zamrażarki – powiedziałam.

– Nic takiego nie widziałem. Ale nie byłem jeszcze w piwnicy.

Katz wyłączył wentylator i dał nam znak, że możemy wejść.

– Człowieku, trzeba będzie jakoś sprzątnąć stąd to gówno – powiedział Marino, rozglądając się po pokoju.

Super Glue zasycha białą warstwą, twardniejąc jak beton. Każdy centymetr kwadratowy sypialni, łącznie z ciałem Fergusona, pokryty był białawą, szklistą powłoką. Katz chodził z lampą błyskową i oświetlał pod różnymi kątami powierzchnie ścian, mebli, parapetów okiennych, a także pistoletów na półce. Tylko w jednym wypadku coś zainteresowało go na tyle, aby przyklęknąć na dywanie.

– To nylon – powiedział nasz zaprzyjaźniony, szalony naukowiec zachwyconym głosem, pochylając się nad ciałem Fergusona i oglądając uważnie ściągnięte do kolan majtki detektywa. – Świetna powierzchnia do zachowania odcisków, z uwagi na ścisły splot. Widzę też na niej ślady jakichś perfum.

Delikatnie zdjął plastikową osłonkę z pędzla marki Magna, którego włoski rozchyliły się na wszystkie strony, jak morze anemonów. Następnie odkręcił słoik z proszkiem magnetycznym Delta Orange, zanurzył w nim czubek pędzla i pokrył białą warstwą linie papilarne na błyszczących czarnych majteczkach. Odciski palców zachowały się też częściowo na szyi Fergusona i Katz, chcąc sprawdzić, czy będzie można je wykorzystać, musiał użyć kontrastowego czarnego proszku. Niestety, kontury linii nie

były wystarczająco dobrze widoczne. Pokrywająca wszystko biała zmarzlina powodowała, że w sypialni niemal czuło się przenikliwy chłód.

– Oczywiście, należy być przygotowanym na to, że linie papilarne, które udało mi się zdjąć, należą do zmarłego – mówił Katz, nie przerywając pracy. – Zostawił je pewnie, gdy ściągał majtki. Mógł mieć tłuste dłonie, na przykład od substancji, którą pokrywa się prezerwatywy i która mogła częściowo pozostać na jego palcach. Być może dlatego odciski są tak wyraźne. Czy to będzie wam potrzebne? – zapytał, wskazując na majtki Fergusonsona.

– Obawiam się, że tak – odpowiedziałam.

– W porządku. Wystarczą mi zdjęcia – mówiąc to, wziął do ręki aparat fotograficzny. – Ale chciałbym je dostać, kiedy już skończycie oględziny. Jeżeli nie użyjecie nożyczek, odciski zachowają się w nienaruszonym stanie. To właśnie zaleta Super Glue. Nie można się go pozbyć nawet dynamitem.

– Jak długo chcesz tu jeszcze zostać? – zapytał mnie Wesley tonem, z którego wywnioskowałam, że pragnie jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Muszę zbadać wszystkie ślady, które mogłyby ulec zniszczeniu podczas transportu ciała, a także przyjrzeć się jeszcze raz temu, co znaleźliśmy w lodówce – odpowiedziałam. – Poza tym powinniśmy także przeszukać piwnice.

Wesley pokiwał głową i spojrzał na Pete'a.

– Mógłbyś tu zostać, gdy będziemy na dole?

Marino zgodził się bez sprzeciwu.

– I powiedz im, że muszą pilnować tego miejsca przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – dodał stanowczo Wesley.

– Problem w tym, że nie mają tu tylu policjantów, aby cokolwiek robić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – kwaśno skomentował uwagę

Wesleya Marino. – Pieprzony łajdak załatwił już połowę komisariatu.

Katz spojrział na Pete'a i znieruchomiał, trzymając w powietrzu pędzel.

– Wygląda na to, że jesteście już pewni, kogo szukać.

– Nie jesteśmy niczego pewni – zaproponował Wesley.

– Thomas, muszę cię poprosić o jeszcze jedną przysługę – zwróciłam się do swojego kolegi po fachu. – Chciałabym, żebyś razem z doktorem Shade'em przeprowadził dla mnie na Farmie pewien eksperyment.

– Z doktorem Shade'em? – zdziwił się Wesley.

– Lyall Shade jest antropologiem i wykłada na uniwersytecie w Tennessee – wyjaśniłam.

– Kiedy mielibyśmy zacząć? – zapytał Katz, wkładając nowy film do aparatu.

– Natychmiast, jeśli to możliwe. Ta sprawa zajmie wam około tygodnia.

– Świeże ciała czy stare?

– Świeże.

– Czy to naprawdę męskie imię? – dziwił się Wesley.

– Oczywiście – odpowiedział Katz, robiąc kolejne zdjęcie. – W jego rodzinie nosili je mężczyźni, poczynając od prapradziadka, który był chirurgiem w czasie wojny secesyjnej.

5

Do piwnicy Maxa Fergusona można było zejść po betonowych schodach, znajdujących się na tyłach domu. Przykrywająca je gruba warstwa świeżo spadłych liści świadczyła, że ostatnio nikt tam nie zaglądał. Nie miałam jednak całkowitej pewności, gdyż jesień w górach osiągnęła właśnie apogeum. Gdy Wesley mocował się z drzwiami, bezszelestnie spadały mu pod nogi nowe liście, jakby gwiazdy strząsały z siebie popiół.

– Muszę wybić szybę – oznajmił, szarpiąc klamkę; świeciłam mu latarką.

Odchylił połę marynarki i wyciągnął z zawieszanej na ramieniu kabury pistolet Sig Sauer, kaliber dziewięć milimetrów. Uderzył rękojeścią w oszkloną, środkową część drzwi. Wzdrygnęłam się, słysząc brzęk tłuczonego szkła. Przez moment zamarłam w oczekiwaniu, że z ciemności wyłoni się jakiś policjant. Zawodzenia wiatru nie zmącił jednak żaden odgłos. Jak bardzo musiała bać się Emily, zanim zginęła, pomyślałam. Tam gdzie została zamordowana, nikt nie słyszał jej płaczu ani nie pośpieszył dziewczynce na ratunek.

Odłamek szkła, który pozostał w ramie, upadł z brzękiem na beton, gdy Wesley ostrożnie przełożył rękę na drugą stronę, aby wymacać klamkę.

– Psiakrew – zaklął, napierając na drzwi. – Zamek chyba zardzewiał.

Cofnął się trochę i z całych sił pchnął oporny zamek, który pod ciężarem jego ciała ustąpił. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, a Wesley z impetem

wpadł do środka, wytrącając mi z ręki latarkę, która odbiła się od posadzki i zgasła. Poczułam falę zimnego powietrza, napływającego z głębi piwnicy. W kompletnych ciemnościach chrzęściło tylko szkło, po którym poruszał się Wesley.

– Nic ci nie jest? – zawołałam, trzymając wyciągnięte ręce przed sobą i posuwając się po omacku do przodu. – Benton?

– Chryste! – Jego głos drżał, gdy usiłował stanąć na nogi.

– Nic ci się nie stało?

– Do cholery, niech to szlag trafi! – Usłyszałam, jak porusza się wzdłuż ściany; w pewnym momencie kopnął pustą puszkę po farbie. W tej samej chwili oślepiła mnie nagła jasność. To Benton trafił w końcu ręką na kontakt i zapaliła się goła żarówka wisząca pod sufitem. Gdy mój wzrok przyzwyczaił się już do światła, zobaczyłam Wesleya, stojącego przede mną w pobrudzonym ubraniu i krwawiącego.

– Pozwól, że to obejrzę. – Delikatnie ujęłam go za lewą rękę. – Benton, musimy jechać do szpitala – powiedziałam, widząc na jego dłoni liczne skaleczenia. – W kilku miejscach tkwią odłamki szkła, trzeba ci założyć szwy.

– Przecież ty jesteś lekarzem. – Chusteczka, którą obwiązał sobie rękę, była już czerwona od krwi.

– Musisz jechać do szpitala – powtórzyłam stanowczym tonem, widząc krew także na rozdartej nogawce spodni.

– Nienawidzę szpitali. – Pomimo spokoju wyczuwałam w jego głosie tłumiony ból. – Rozejrzyjmy się i wracajmy na górę. Obiecuję, że przez ten czas nie wykrwawię się na śmierć.

Piwnica sprawiała wrażenie, jakby agent Max Ferguson nie odwiedzał jej od lat. I nie bardzo mogłam sobie wyobrazić, po co miałby to robić, chyba że lubił kurz, pajęczyny, zardzewiałe narzędzia ogrodnicze i gnijące

wykładziny. Ściany były bardzo zawilgocone, a na betonowej posadzce stały kałuże wody. Wszędzie pełno było zasuszonych świerszczy. Zbadaliśmy wszystkie zakamarki i nie znaleźliśmy nic, co, naszym zdaniem, mogłoby mieć związek ze śmiercią Emily Steiner.

– Nic tu nie widzę – powiedział Wesley, a krew kapiąca na posadzkę zarysowała już kształt koła.

– Benton, trzeba jakoś powstrzymać to krwawienie.

– Co proponujesz?

– Możesz przez chwilę patrzeć w tamtą stronę? – poprosiłam.

Posłusznie spełnił moją prośbę, o nic nie pytając, a ja błyskawicznie zdjęłam pantofle i rajstopy.

– W porządku. Pokaż mi teraz rękę – powiedziałam.

Przycisnęłam ją łokciem do boku i zaczęłam zakładać prowizoryczny opatrunek, używając rajstop jako bandaża. Przez cały czas czułam na sobie wzrok Wesleya. A także jego oddech na włosach i dotyk ramienia, które delikatnie opierał na mojej piersi. Niespodziewanie ogarnęła mnie fala gorąca i bałam się, że to zauważy. Pośpiesznie zakończyłam opatrywanie rany i odwróciłam się.

– To powinno wystarczyć, do czasu gdy będę mogła ci założyć coś odpowiedniejszego – powiedziałam, unikając jego wzroku.

– Dziękuję, Kay.

– Właściwie jakie są twoje dalsze propozycje? – zapytałam, starając się nadać głosowi obojętny ton. – Chyba nie planujesz noclegu w helikopterze.

– Poprosiłem Pete'a, żeby coś znalazł.

– Widzę, że lubisz mocne wrażenia.

– Ale nie tego rodzaju. – Wesley zgasił światło i wyszliśmy z piwnicy, zostawiając otwarte drzwi.

Księżyc wyglądał jak przecięta na pół złota moneta, zawieszona na czarnym aksamicie. Zza konarów drzew otaczających posesję Fergusona widać było jasno oświetlone okna w sąsiednich domach. Zastanawiałam się, czy ktoś w okolicy już wie, że on nie żyje. Na ulicy dostrzegliśmy Pete'a Marino, który siedział na przednim fotelu policyjnego radiowozu, palił papierosa i wpatrywał się w rozłożoną na kolanach mapę. W aucie paliło się światło, a przy kierownicy siedział ten sam młody, spłoszony policjant, który kilka godzin temu czekał na nas na szkolnym boisku.

– Co ci się stało, do cholery? – zapytał Marino na widok pokrwawionego Wesleya. – Próbowaleś wybić ręką okno?

– Mniej więcej – lakonicznie odpowiedział Wesley.

Marino przeniósł wzrok z prowizorycznego opatrunku z rajstop na moje gołe nogi.

– No, no, to dopiero coś – mruknął. – Szkoda, że nie uczyli mnie tego, gdy byłem na kursie pierwszej pomocy,

– Gdzie są nasze torby? – zapytałam, puszczając tę uwagę mimo uszu.

– W bagażniku – odpowiedział policjant.

– Posterunkowy Baird wcieli się w rolę dobrego Samarytanina i podrzucił nas w okolice Travel-Eze, gdzie mieli nam załatwić rezerwację – oznajmił poirytowanym tonem Marino. – Zamówiłem trzy komfortowe pokoje po trzydzieści dziewięć dolarów, dziewięćdziesiąt dziewięć centów każdy. Wytargowałem zniżkę, bo jesteśmy glinami.

– Ja nie – spojrzałam na niego surowo.

Marino wyrzucił niedopałek przez okno.

– Nie przejmuj się. Pewnego pięknego dnia uznają cię za glinę.

– Pewnego pięknego dnia ciebie też – odcięłam się.

– Chyba ktoś mnie tu obraża.

– Nie, to ja czuję się urażona. Doskonale wiesz, dlaczego nie powinieneś decydować o żadnych zniżkach w moim imieniu – powiedziałam. Byłam pracownikiem administracji rządowej i moja umowa o pracę bardzo jasno formułowała warunki za trudnienia. Marino świetnie się orientował, że nie mogłam sobie pozwolić na najmniejszą niedokładność w ich wypełnianiu. Miałam wielu wrogów, którzy tylko czekali na moje potknięcie.

Wesley otworzył tylne drzwi radiowozu.

– Proszę cię, wsiadajmy.

Czekając, aż zajmę miejsce, zapytał posterunkowego o stan porucznika Mote’a.

– Jest na oddziale intensywnej terapii.

– Jakie są rokowania?

– Nie najlepsze. Przynajmniej na razie.

Wesley usiadł obok mnie, ostrożnie opierając zabandażowaną rękę na kolanach.

– Pete, jutro czeka nas wiele rozmów – zwrócił się do kolegi.

– Wiem o tym. Kiedy zabawialiście się w piwnicy w doktora, już się tym zająłem. – Podniósł swój notes i pomachał nam przed oczyma stronami pełnymi nieczytelnych bazgrołów.

– Możemy jechać? – zapytał Baird.

– Jak najbardziej – odpowiedział Wesley, który też miał już dość zgryźliwych uwag Pete’a.

Przez niedokręcone szyby wpadało lodowate górskie powietrze. Jadąc przez nieznanne, ciemne ulice rozmawialiśmy ze sobą tak, jakby nie było z nami młodego policjanta. Po krótkiej dyskusji ustaliliśmy plan zajęć na jutro. Ja miałam asystować rano doktorowi Jenrette’owi przy sekcji zwłok Fergusona, Marino wziął na siebie rozmowę z matką Emily Steiner, a Wesley postanowił polecieć do Quantico i oddać do analizy kawałki skóry

znalezione w lodówce Fergusona. Dalsze czynności uzależnialiśmy od wyników tych badań.

Była już prawie druga w nocy, gdy zobaczyliśmy w oddali żółty neon Travel-Eze Motel. Ucieszyłam się, tak jakby zarezerwowano nam pokoje co najmniej w hotelu Four Seasons. Niestety, moja radość szybko prysła, gdy w recepcji usłyszeliśmy, że restauracja jest już nieczynna, obsługa pokoi także właśnie skończyła pracę, a w motelu nie ma żadnego baru. Recepcjonista pouczył nas, że o tej porze powinniśmy raczej myśleć o śniadaniu, niż żałować straconej kolacji.

– Pan chyba żartuje – zagrzmiał Marino, robiąc groźną minę. – Jeżeli natychmiast czegoś nie zjem, flaki wywrócą mi się na lewą stronę.

– Strasznie mi przykro, proszę pana. – Chłopiec w recepcji uśmiechnął się uprzejmie. Miał czerwone policzki, a włosy niemal tak żółte, jak motelowy neon. – Mogę państwu powiedzieć na pocieszenie, że zostały jeszcze automaty ze słodyczami, no i Mr. Zip, jakąś milę stąd.

– Nasz samochód właśnie odjechał. – Marino spojrzał na recepcjonistę piorunującym wzrokiem. – Proponuje mi pan, abym szedł po nocy na piechotę całą milę do jakiejś pieprzonej speluny?

Uśmiech na twarzy chłopca zamarł, a w oczach pojawił się lęk. Spojrzał na Wesleya i na mnie, jakby szukając pomocy.

Byliśmy jednak zbyt zmęczeni, aby mu tłumaczyć zachowanie Pete'a. Gdy Wesley położył na kontuarze zakrwawioną rękę, owiniętą w rajstopy, recepcjonista aż cofnął się z przerażenia.

– Proszę pana! Czy nie potrzebuje pan doktora? – zawołał załamującym się głosem.

– Dziękuję. Wystarczy mi klucz od mojego pokoju – odpowiedział Wesley.

Chłopak odwrócił się i nerwowo zerwał z haczyków trzy wiszące obok siebie klucze, dwa z nich upuszczając na podłogę. Gdy pochylił się, aby je podnieść, jeden znowu wypadł mu z ręki. W końcu udało mu się je pozbierać i położył wszystkie na kontuarze. Do kluczy przymocowane były plastikowe plakietki z numerami pokoi. Cyfry były tak duże, że można je było odczytać z odległości kilkunastu kroków.

– Nie słyszeliście na tym zadupiu o środkach bezpieczeństwa? – Głos Pete’a zabrzmiał tak, jakby on sam nienawidził tego chłopca od urodzenia.
– Powinieneś napisać numer pokoju na kartce i dyskretnie podać ją gościowi, żeby żaden nygus nie dowiedział się, gdzie szukać jego żony lub rolexa. Jeżeli nie czytałeś ostatnio gazet, oświecę cię, że kilka tygodni temu niedaleko stąd popełniono morderstwo.

Oniemiały z przerażenia recepcjonista patrzył, jak Marino, wzięwszy do ręki klucz, przygląda mu się, jakby miał do czynienia z dowodem przestępstwa.

– Nie ma kluczyka do minibaru? A zatem nici z drinków w pokoju, tak?
– Marino znowu podniósł głos. – No i dobrze. Mam już dość złych wiadomości.

Idąc korytarzem, mijaliśmy po drodze włączone telewizory, których ekrany migotały błękitem. Za oknami przesuwały się tajemnicze cienie, rysujące się na przejrzystych firankach. Nasze pokoje były na pierwszym piętrze. Czerwone i zielone drzwi po obu stronach holu przypominały mi plastikowe hotele i domy z gry w monopol. Weszłam do swojego pokoju, który okazał się przytulny i czysty. Na stoliku przy ścianie stał telewizor, koło łóżka plastikowe szklanki i kubek na lód, owinięte opaską sanitarną.

Marino bez słowa pożegnania poszedł wprost do siebie, zdecydowanie zbyt głośno zamykając drzwi.

– Do diabła, co się z nim dzieje? – zapytał Wesley, wchodząc do mojego pokoju.

Nie miałam ochoty rozmawiać o humorach Pete'a. Przysunęłam krzesło do podwójnego łóżka i powiedziałam:

– Najpierw musimy oczyścić twoje skaleczenia.

– Ale dopiero po znieczuleniu.

Przyniósł lód, a następnie wyjął z torby butelkę whisky. Przygotował dwa drinki, podczas gdy ja rozłożyłam na łóżku duży ręcznik i ułożyłam na nim szczypczyki, kilka opakowań betadyny i nylonowe nici.

– Będzie bolało, prawda? – Spojrzał na mnie niepewnie i upił spory łyk szkockiej.

– Będzie bolało jak cholera – odpowiedziałam, wkładając okulary i kierując się do łazienki. – Chodź ze mną.

Dokładnie przemyłam skaleczoną rękę ciepłą wodą z mydłem. Staralam się to robić jak najdelikatniej, ale chociaż Wesley dzielnie znosił moje zabiegi, czułam, że dłoń mu drży. Jego odbijająca się w lustrze twarz była biała jak płótno, a na czole błyszczały krople potu; Dłoń była głęboko rozcięta w pięciu miejscach.

– Masz piekielne szczęście, że nie uszkodziłeś sobie tętnicy – powiedziałam, aby go pocieszyć.

– Daruję sobie wyznania, jak bardzo jestem w tej chwili szczęśliwy.

Gdy skończyłam z dłonią, spojrzałam na pokrwawione kolano, prześwitujące przez rozdartą nogawkę.

– Usiądź tutaj – poleciłam, opuszczając pokrywę sedesu.

– Chcesz, żebym zdjął spodnie?

– Jeśli tego nie zrobisz, będę musiała pociąć ci nogawkę.

– I tak nic już z nich nie będzie – powiedział, siadając i prostując zranioną nogę.

Przeciąłem skalpelem doskonałej jakości wełnianą tkaninę. Rana nad kolanem była bardzo głęboka. Wygoliłem miejsce wokół skaleczenia, a następnie starannie je przemyłem. Zakrwawiona woda spływała na leżący na posadzce gruby ręcznik. Gdy skończyłem, pomogłem Wesley'owi przejść do sypialni, gdzie ponownie napełnił sobie szklanę whisky.

– Dzięki, że o mnie pomyślałeś, ale nigdy nie piję przed zabiegiem – poinformowałam go.

– Domyślam się, że powinienem ci być za to wdzięczny – powiedział.

– Tak, powinieneś.

Trzymając w ręku szklanę, usiadł na łóżku, a ja na stojącym obok krześle. Otworzyłam foliowe torebki z betadyną i posypałam proszkiem ranę.

– Na Boga, co to jest? – zapytał przez zaciśnięte zęby. – Kwas solny?

– Antybakteryjna jodyna do miejscowego odkażania.

– I nosisz to w swojej torbie lekarskiej?

– Tak.

– Nie sądziłem, że twoim pacjentom może się na coś przydać pierwsza pomoc.

– Niestety, najczęściej się nie przydaje. Ale nigdy nie wiadomo. – Wzięłam do ręki szczypczyki. – Czasami ktoś inny jej potrzebuje, na przykład ty. – Wyciągnęłam okruch szkła i położyłam go na ręczniku. – Rozumiem, agencie specjalny Wesley, że może cię to zaszokować, ale na początku swojej kariery miałam do czynienia z żywymi pacjentami.

– A kiedy zaczęli przy tobie umierać?

– Bardzo szybko.

Wesley zacisnął usta, czekając, aż wyciągnę kolejny kawałek szkła.

– Nie ruszaj się – uprzedziłam go.

– Jak myślisz, co gryzie Pete'a? Zachowuje się ostatnio jak osioł.

Wyjęłam ostatnie dwa kawałki szkła i osuszyłam krwawiące miejsca gazą.

– Lepiej napij się jeszcze whisky.

– Dlaczego?

– Wyjęłam już całe szkło.

– A więc skończyliśmy i pora to uczcić – powiedział z ulgą w głosie.

– Niezupełnie. – Pochyliłam się nad jego dłonią, przez chwilę z satysfakcją przyglądając się swojemu dziełu. Potem otworzyłam torebkę z zestawem do nakładania szwów.

– Bez nowokainy? – zaprotestował.

– Niewiele tu szycia i zaręczam ci, że zastrzyk i późniejsze zdrętwienie bardziej by dokuczały – wyjaśniłam spokojnie, chwytając pęsetą igłę.

– Mimo to wolałbym nowokainę.

– Nie mam przy sobie ani jednej ampułki. Może byłoby lepiej, abyś odwrócił głowę. Jeśli chcesz, włączę telewizor.

Wesley odwrócił się i powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Tylko zrób to szybko.

Nawet nie jęknął, gdy zakładałam szwy, ale czułam, że cały drży. Kiedy skończyłam i zaczęłam robić opatrunek, wziął głęboki oddech i odprężył się.

– Jesteś dobrym pacjentem – poklepałam go po ramieniu, wstając.

– Moja żona uważa inaczej.

Nie pamiętałam, kiedy ostatnio, wspominając Connie, wymienił jej imię. A i tak w tych rzadkich sytuacjach, kiedy w ogóle o niej mówił, były to raczej aluzje do siły, która istnieje w sposób tak oczywisty, jak na przykład grawitacja.

– Wyjdźmy na powietrze napić się czegoś – zaproponował.

Za drzwiami balkonowymi znajdował się taras, biegnący wzdłuż całego piętra. Wesley przysunął do siebie dwa plastikowe krzeselka, a ponieważ nie było tam żadnego stolika, szklanki i butelkę whisky postawił na podłodze.

– Chcesz więcej lodu? – zapytał.

– Dziękuję, wystarczy.

Zgasił lampę w pokoju i usiadł koło mnie. W oddali, przy drodze, świeciło kilka latarni.

– Jak oceniałabyś ten dzień w skali od jednego do dziesięciu? – zapytał cicho.

Wahałam się przez chwilę, pamiętając wiele ciężkich dni w swojej karierze.

– Chyba dałabym mu siedem punktów.

– Zakładając, że dziesięć to najgorsze, co można sobie wyobrazić.

– Myślę, że już kiedyś mnie to spotkało.

– Co to było? – Czułam, że patrzy na mnie.

– Nie jestem do końca pewna – powiedziałam wymijająco, nie chcąc przywoływać bolesnych wspomnień.

Wesley milczał, a ja zastanawiałam się, czy myśli o swoim najlepszym przyjacielu, który był kiedyś moim kochankiem. Gdy kilka lat temu Mark zginął w zamachu w Londynie, wydawało mi się, że już nic gorszego mnie w życiu nie spotka. Teraz miałam wrażenie, że chyba się myliłam.

– Nigdy nie odpowiadasz na moje pytania, Kay.

– Powiedziałam ci, że nie jestem pewna.

– Nie o to mi chodzi. Myślę teraz o Marino. Pytałem cię, czy wiesz, co się z nim dzieje.

– Wydaje mi się, że jest bardzo nieszczęśliwy.

– Zawsze był nieszczęśliwy.

– Powiedziałam: bardzo.

Wesley milczał.

– Marino nie lubi zmian – wyjaśniłam.

– Chodzi ci o jego awans?

– Tak, ale też o moją sytuację.

– To znaczy? – Wesley nalał nam jeszcze whisky, delikatnie ocierając się przy tym o moje ramię.

– Moja pozycja w sekcji bardzo się zmieniła.

Nic nie mówił, czekając, że usłyszy coś więcej.

– Myślę, że zdał sobie sprawę, iż zawodowo bardzo go wyprzedziłam. – Wiedziałam, że wyrażam się nieprecyzyjnie. – I to zburzyło dotychczasowy układ. Oczywiście, w jego pojęciu.

Wesley wciąż milczał, popijając drinka i grzechocząc kostkami lodu w szklance. Obydwoje dobrze wiedzieliśmy, na czym tak naprawdę polega problem Pete’a, ale żadne z nas nic na to nie mogło poradzić. Tylko on sam mógł sobie pomóc.

– Według mnie, Marino jest nieszczęśliwy z powodu nieudanego życia osobistego – powiedział w końcu Wesley. – Po prostu czuje się samotny.

– Myślę, że obie te sprawy na równi go rozkładają.

– Był z Doris przez ponad trzydzieści lat i nagle został sam jak palec. To tak, jakby jego życie straciło nagle cały sens. Nie umie się w nim na nowo odnaleźć.

– W zasadzie Marino nigdy się nie pogodził z jej odejściem. Ta bolesna zadra cały czas tkwi w jego psychice. Wydaje mi się, że to właśnie stanowi punkt zapalny, a pożar może wywołać coś zupełnie przypadkowego.

– Tym właśnie się martwię. Boję się nawet myśleć, co by to mogło być.

– On wciąż za nią tęskni. Myślę też, że ciągle ją kocha – powiedziałam i nagle poczułam współczucie dla Pete’a, wywołane prawdopodobnie

alkoholem i późną porą. Zresztą nigdy nie potrafiłam długo żywić do niego urazy.

Wesley poprawił się na krześle.

– Chyba wiem, co to dziesięć punktów. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

– Odejście Connie? – zapytałam, patrząc na niego.

– Utrata kogoś, kogo się kocha. Utrata dziecka, z którym nie układają się stosunki. Niemożność dokończenia czegoś. – Widziałam, że patrzy przed siebie, zwrócony do mnie profilem, oświetlonym przez światło księżyca. – Może oszukuję sam siebie, ale mam wrażenie, że zniósłbym wszystko, jeśli tylko miałbym szansę całkowicie zakończyć sprawę tak, abym mógł uwolnić się od przeszłości.

– Nigdy się od niej nie uwalniamy.

– Zgadzasz się, nie całkiem. Kay, Marino żywi do ciebie uczucie, z którym nie potrafi sobie poradzić. I myślę, że jest tak już od dawna.

– Lepiej, że pozostało ono niewypowiedziane.

– Zabrzmiało to raczej zimno.

– Nie chciałam tego. Nigdy też nie chciałam, aby Marino poczuł się odrzucony.

– Skąd ta pewność, że już się tak nie czuje?

– Niestety, nie mam pewności – westchnęłam. – Prawdę powiedziawszy, w ostatnich dniach był mocno sfrustrowany.

– Powiedziałbym, że wyglądał raczej na zazdrosnego.

– O ciebie.

– Czy zaproponował ci kiedyś randkę? – zapytał Wesley, jak by nie słyszał, co powiedziałam.

– Zaprosił mnie na Bal Policjanta.

– Hm. To brzmi poważnie.

– Benton, nie żartujmy z niego.

– Wcale nie żartuję – powiedział cicho. – Bardzo poważnie traktuję jego uczucia i wiem, że ty także. Poza tym doskonale je rozumiem.

– Ja także.

Wesley odstawił swoją szklankę na podłogę.

– Chyba powinnam już wracać i spróbować się trochę przespać – powiedziałam, nie ruszając się z miejsca.

Benton pochylił się i zdrową ręką ujął przegub mojej dłoni. Palce miał zimne od trzymania szklanki z lodem.

– Whit będzie mógł wystartować, gdy tylko wzejdzie słońce.

Pragnęłam utulić jego dłoń w mojej. Pragnęłam dotknąć jego twarzy.

– Żałuję, że muszę cię tu zostawić.

– Potrzebuję tylko samochodu – powiedziałam, czując, że serce bije mi coraz mocniej.

– Zastanawiam się, gdzie mogłabyś go wypożyczyć. Może na lotnisku?

– Już wiem, dlaczego jesteś agentem FBI. Potrafisz rozwiązywać takie problemy.

Jego palce ześlizgnęły się i zaczął pieścić wnętrze mojej dłoni. Zawsze wiedziałam, że któregoś dnia to się stanie. Kiedy poprosił mnie, abym była jego konsultantem w Quantico, zdawałam sobie z tego sprawę. Mogłam mu wtedy odmówić.

– Bardzo cię boli? – zapytałam.

– Dopiero rano będę naprawdę cierpiał. Kiedy zaczniesz się kac.

– Już jest rano.

Przechyliłam głowę do tyłu i zamknęłam oczy, czując, jak gładzi mnie po włosach. Jego twarz była coraz bliżej mojej, palce delikatnie obrysowywały kontur mojej szyi, aż wreszcie nasze usta spotkały się. Całował mnie tak, jakby zawsze tego pragnął, a ja poczułam cudowną

jasność, rozświetlającą najdalsze zakamarki mojej świadomości i pulsującą w moich żyłach. Nasze pocałunki były gwałtowne jak ogień. Wiedziałam, że to, co robimy, jest niewybaczalnym grzechem, którego nigdy nie będę mogła wyznać. Nie dbałam jednak o to.

Szliśmy do łóżka, rozbierając się po omacku. Kochaliśmy się aż do świtu, pamiętając o jego ranach, które nie przeszkodziły nam czerpać radości z bycia razem. Gdy wyszedł nad ranem, usiadłam w fotelu na tarasie, obserwując wschód słońca nad wierzchołkami gór. Wyobrażałam sobie, jak jego helikopter wzbija się w niebo i wykonuje w powietrzu taneczne ewolucje.



O siódmej czterdzieści pięć posterunkowy Baird przywiózł mnie i Pete'a Marino do centrum Black Mountain i zostawił przed salonem chevroleta, na wprost stacji benzynowej.

Nie mieliśmy wątpliwości, że policjanci rozpuścili wśród miejscowych biznesmenów pogłoskę o przybyciu „federalnych”, którzy zatrzymali się incognito w motelu Travel-Eze. Mimo że nie zgotowano nam żadnego szczególnego przyjęcia, to gdy wyjeżdżaliśmy nowiutkim srebrzystym caprice, absolutnie nie czułam się jak osoba anonimowa. Miałam wrażenie, że wszyscy pracownicy salonu ukradkiem nas obserwują.

– Słyszałam, że kilku facetów nazwało cię Quincy – powiedział Marino, otwierając paczkę chipsów o smaku bekonowym.

– Bywało już gorzej. Czy zdajesz sobie sprawę, ile sodu i tłuszczu trawisz w tej chwili?

– Aha. Mniej więcej jedną trzecią ilości, którą jeszcze mam zamiar strawić. Mam tu trzy paczki i zamierzam zjeść każdy cholerny kawałeczek. A jeżeli masz kłopoty z pamięcią, to pragnę ci przypomnieć, że nie jadłem wczoraj kolacji.

– Co nie znaczy, że musisz być niegrzeczny.

– Robię się niegrzeczny, gdy jestem niewyspany i głodny.

Nie zamierzałam spierać się z nim, kto minionej nocy mniej spał; czułam, że on i tak wie. Rano unikał mojego wzroku i chociaż sprawiał

wrażenie poirytowanego, wiedziałam, że czuje się nieszczęśliwy.

– Aż do rana nie zmrużyłem oka — mówił dalej. – Co za cholerna akustyka w tym, pozał się Boże, motelu.

Opuściłam osłonę przeciwsłoneczną na szybie, jakby mogło mi to przynieść ulgę, i włączyłam radio. Zmieniałam stacje, dopóki nie natknęłam się na Bonnie Raitt. Samochód Pete’a miał być wyposażony w policyjne radio oraz skaner, nie należało się więc spodziewać, że będzie gotowy wcześniej niż po południu. Umówiliśmy się, że podwiozę go do domu Denesy Steiner, skąd później miał go zabrać ktoś inny. Tak więc ja prowadziłam, a Marino jadł i wydawał polecenia.

– Zwolnij – powiedział, patrząc na mapę. – Jeżeli się nie mylę, po lewej jest Laurel. W porządku, zaraz będziesz musiała zjechać na prawo.

Gdy skręciliśmy, niemal od razu zobaczyliśmy jezioro, które z oddali wydawało się nie większe od szkolnego boiska i miało kolor mchu. Rozciągające się wokół tereny piknikowe i korty tenisowe były kompletnie opustoszałe, nic też nie wskazywało, aby schludnie wyglądający budynek klubu był o tej porze roku używany. Nad brzegami jeziora rosły drzewa, płonące purpurą i złotem jesieni. Próbowałam sobie wyobrazić małą dziewczynkę z gitarą, zdążającą do domu przez las pogrążony w głębokich cieniach. Myślałam też o łowiącym ryby mężczyźnie, który doznał szoku, gdy wczesnym rankiem dokonał w przybrzeżnych krzakach makabrycznego odkrycia.

– Chciałabym później wysiąść tutaj i trochę się rozejrzeć – powiedziałam.

– Skręć – polecił Marino. – Jej dom jest zaraz za rogiem.

– Gdzie pochowano Emily?

– Jakies dwie mile stąd. – Wskazał ręką na wschód. – Na przykościelnym cmentarzu.

– Czy to ten kościół, gdzie spotykała się z rówieśnikami?

– Tak. Trzeci Prezbiteriański. Jeżeli wyobrazimy sobie, że teren wokół jeziora to coś w rodzaju Washington Mail, wtedy kościół mamy na jednym końcu, a dom Steinerów na drugim, w odległości dwóch mil od siebie.

Dom wyglądał zupełnie tak samo jak na fotografiach. Wydał mi się tylko nieco mniejszy, co zdarza się często, gdy najpierw oglądamy zdjęcia, a dopiero później same obiekty. Usytuowany na niewielkim wzniesieniu i oddalony od ulicy, stał w otoczeniu rododendronów, wawrzynów, wrzośców i sosen.

Żwirowy podjazd i ganek były świeżo zamiecione, a pod ścianami stały plastikowe worki z liśćmi. Denesa Steiner jeździła zielonym sedanem infiniti. Zdziwiło mnie to trochę, gdyż samochód był zupełnie nowy i bardzo kosztowny. Odjeżdżając już spod domu, zauważyłam kątem oka jej ramię, opięte długim, czarnym rękawem, gdy przytrzymywała drzwi wchodzącemu do środka Pete'owi.

Kostnica w Memoriał Hospital w Asheville nie różniła się niczym szczególnym od wielu innych, które widziałam wcześniej. Było to niewielkie, ponure pomieszczenie, znajdujące się w dolnej części budynku, wyłożone kafelkami i wyposażone w jedno tylko stanowisko do sekcji zwłok, ustawione tuż przy stalowym zlewie. Gdy weszłam tam kilka minut po dziewiątej, doktor Jenrette wykonywał właśnie na ciele Fergusona nacięcie w kształcie litery Y. Gdy krew zaczęła wypływać na zewnątrz, poczułam w powietrzu mdlący, słodkawy odór alkoholu.

– Dzień dobry, pani doktor – przywitał mnie Jenrette, najwyraźniej ucieszony na mój widok. – Fartuch i rękawiczki są w szafie.

Podziękowałam, chociaż nie na wiele mi się przydały, gdyż młody lekarz nie potrzebował mojej pomocy. Przypuszczałam, że sekcja zwłok

Fergusonu nie wniesie do sprawy wiele nowego. Utwierdziłam się w tym przekonaniu, gdy obejrzałam dokładniej szyję denata. Czerwone pręgi po linie, widoczne poprzedniego wieczora, całkowicie zniknęły, nie znaleźliśmy także żadnych śladów uszkodzeń ciała. Przyglądając się pracy doktora Jenrette'a, po raz kolejny uświadomiłam sobie, że badania patologiczne nie mogą zastąpić śledztwa. Gdybyśmy nie znali okoliczności jego śmierci, przeprowadzana sekcja nie dałaby nam jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, co było przyczyną zgonu. Oczywiście, moglibyśmy wykluczyć użycie broni palnej, noża, pobicie czy śmierć na skutek określonych chorób.

– Rozpoznała pani oczywiście, czym pachną skarpetki, którymi wypchany był biustonosz – powiedział Jenrette, nie przerywając pracy. – Ciekaw jestem, czy znaleźliście coś, co by się z tym wiązało, na przykład buteleczkę perfum lub wody toaletowej?

Wyjął na stół organy wewnętrzne. Wątroba Fergusonu była lekko otłuszczona.

– Nie, nie natrafiliśmy na nic takiego – odpowiedziałam. – Jeżeli w podobnej sytuacji używa się zapachów, zwykle uczestniczy w niej więcej niż jedna osoba.

– Czemu? – Jenrette spojrzał na mnie zdziwiony.

– Czy warto dbać o takie sprawy, gdy się jest samemu?

– Tak, to brzmi logicznie. – Przełożył zawartość żołądka do kartonowego pudełka. – Tylko trochę brązowej mazi. No, może jeszcze kawałki czegoś, co wygląda jak orzeszki. Wspominała pani, że przyleciał do Asheville późnym popołudniem?

– Zgadza się.

– Pewnie jadł orzeszki w samolocie. I pił. W jego krwi jest sporo alkoholu.

– Prawdopodobnie pił także w domu – powiedziałam, pamiętając o butelce bourbona w sypialni.

– Mówiąc o udziale więcej niż jednej osoby, miała pani na myśli stosunki homoseksualne czy normalne?

– Zwykle są to geje – odpowiedziałam. – Ale tu zagadką jest dla mnie pornografia.

– Wygląda na to, że przyglądał się nagim kobietom.

– Pisma znalezione obok ciała rzeczywiście przedstawiają rozebrane kobiety – uściśliłam jego uwagę, nie mieliśmy bowiem żadnej pewności, na co patrzył przed śmiercią Ferguson. Wiadomo było jedynie, co przy nim znaleźliśmy. – Dziwi mnie jednak, że w domu nie znaleźliśmy innych świerszczyków ani żadnych przyborów erotycznych – dodałam.

– Zatem powinniśmy spodziewać się więcej tego typu materiałów – rzekł Jenrette, wyjmując piłę Strykera.

– Zwykle ci faceci mają tego pełne kufry – wyjaśniłam. – Nigdy nie wyrzucają starych numerów. To dziwne, że znaleźliśmy tylko cztery magazyny, w dodatku same najświeższe numery.

– Chyba był nowicjuszem.

– Wiele dowodów wskazuje na to, że był niedoświadczony – potwierdziłam. – Ale najbardziej rzuca się w oczy niekonsekwencja.

– To znaczy? – Naciął skalp za uszami i odciągnął skórę w dół, aby odsłonić czaszkę. Twarz Fergusonu zamieniła się nagle w smutną, obwisłą maskę.

– Nie tylko nie znaleźliśmy żadnej butelki z perfumami, ale w domu nie było także innej kobiecej bielizny, poza tą, którą miał na sobie – powiedziałam. – W pudełku brakowało zaledwie jednej prezerwatywy. Lina była stara, ale nie znaleźliśmy motka, z którego została odcięta. Ferguson

był na tyle przezorny, aby okręcić sobie szyję ręcznikiem, ale węzeł, który zrobił, był piekielnie niebezpieczny.

– Jak sugeruje nazwa – przytaknął Jenrette.

– Właśnie. Węzeł wisielca zaciska się błyskawicznie i nie można się z niego wyswobodzić. – powiedziałam. – Nie powinno się go używać, będąc pod wpływem alkoholu i siedząc na lakierowanym stołku barowym, z którego dużo łatwiej spaść niż, na przykład, z krzesła.

– Nie sądzę, aby wielu ludzi potrafiło zawiązać taki węzeł – zauważył Jenrette.

– Zapytałabym raczej, czy Ferguson mógł znać sposób – powiedziałam.

– Może miał książkę o węzłach.

– Nic takiego nie znaleźliśmy, żadnych publikacji o żeglarstwie bądź innych podobnych.

– Czy trudno zrobić taki węzeł, dysponując rysunkami i opisem?

– Nie jest to oczywiście niemożliwe, ale wymaga wprawy.

– Dlaczego jednak użył właśnie takiego węzła? Czy nie wystarczyło zrobić zwykłą pętlę?

– Ten węzeł jest śmiertelnie niebezpieczny. Jego zawiązanie wymaga dużej precyzji. Zresztą sama nie wiem – zawahałam się. – Jak się czuje porucznik Mote?

– Jego stan już się ustabilizował, ale porucznik przez jakiś czas musi jeszcze pozostać na oddziale intensywnej opieki.

Doktor Jenrette włączył piłę Strykera. W milczeniu usunął pokrywę czaszki Fergusona. Odezwał się dopiero, gdy wyjął mózg i zaczął badać szyję.

– Widzi pani, tu nic nie ma. Żadnego krwotoku w mięśniach, kość gnykowa nienaruszona, brak złamań na górnych rogach chrząstki

tarczowej. Kręgosłup także nie jest złamany, ale to się raczej nie zdarza, może z wyjątkiem kary śmierci przez powieszenie.

– Chyba że ktoś był otyły lub miał zmiany reumatyczne kręgów szyjnych i powiesił się w dość dziwny sposób – dodałam.

– Chce pani spojrzeć?

Włożyłam rękawice i przysunęłam się.

– Pani doktor, czy mamy pewność, że Ferguson żył przed powieszeniem?

– Właściwie nie – powiedziałam. – Ale musielibyśmy znaleźć inną przyczynę zgonu.

– Na przykład trucizna.

– Na razie tylko to przychodzi mi do głowy. Ale jeżeli tak, to musiała zadziałać bardzo szybko. Wiemy przecież, że był w domu dość krótko, zanim Mote go znalazł. W tej chwili za przyczynę zgonu możemy przyjąć uduszenie przez powieszenie.

– W jaki sposób?

– Niewyjaśniony – zaproponowałam.

Jenrette zbadał jeszcze pozostałe wnętrzości denata, a następnie umieścił je w plastikowym woreczku i włożył z powrotem do jamy brzuszno-piersiowej. Pomocnik Jenrette'a przeniósł ciało Fergusona do chłodni, a my posprzątaaliśmy po sekcji, polewając wodą z gumowego węża stół i posadzkę. Następnie wysterylizowaliśmy narzędzia, rozmawiając o tym, co zmieniło się w tym rejonie świata, który niedawno jeszcze, z uwagi na panujące tu bezpieczeństwo, był tak atrakcyjny dla młodego lekarza.

Jenrette przyznał mi się, że marzył o założeniu rodziny w środowisku, gdzie ludzie wciąż jeszcze wierzą w Boga i w to, że życie jest Jego darem. Pragnął, aby jego dzieci chodziły do kościoła i uprawiały sport. Chciał je

uchronić przed narkotykami, niemoralnymi wzorami zachowania oraz gwałtem i przemocą rodem z telewizji.

– Niestety, nie ma już takich miejsc. Nawet tutaj. W zeszłym tygodniu robiłem sekcję zwłok jedenastoletniej dziewczynki, która została zgwałcona, a potem zamordowana. A teraz agent stanowy w damskiej bieliźnie. Nie dalej zaś jak miesiąc temu miałem tu nastolatkę z Oteen, która przedawkowała kokainę. Żyła tylko siedemnaście lat. Albo ci kierowcy, jeżdżący po pijanemu. Co jakiś czas też trafiają do mnie, niestety, nie tylko oni, także ci, którzy są ich ofiarami.

– Doktorze Jenrette...

– Proszę mi mówić Jim – zaproponował i wyraźnie przygnębiony zaczął zbierać papiery z biurka.

– W jakim wieku są pańskie dzieci? – zapytałam.

– Moja żona i ja wciąż próbujemy – powiedział cicho, poczym przełknął ślinę i odwrócił wzrok, ale zdążyłam zauważyć smutek w jego oczach. – A pani? Ma pani dzieci?

– Jestem rozwiedziona i mam tylko siostrzenicę, którą traktuję jak własną córkę – powiedziałam. – Kończy studia na uniwersytecie i jednocześnie uczy się w Quantico, gdzie też mieszka w internacie.

– Musi być z niej pani bardzo dumna.

– Jestem – przytaknęłam, chociaż w głębi duszy znowu poczułam nieokreślony niepokój o Lucy.

– A wracając do spraw zawodowych, wiem, że chciała pani porozmawiać o Emily Steiner. Mam tutaj jej mózg, więc może go pani obejrzeć.

– Oczywiście, chętnie to zrobię.

To dość typowe dla patologów, że po sekcji przechowują mózgi w dziesięcioprocentowym roztworze formaldehydu, zwanym formaliną, który

konserwuje tkankę. Umożliwia to przeprowadzenie dodatkowych badań w późniejszym terminie, co jest szczególnie ważne w przypadkach, gdy mamy do czynienia z urazem tego najcudowniejszego, a zarazem najmniej zbadanego ze wszystkich ludzkich organów.

Z punktu widzenia godności człowieka, mózgi przechowuje się w sposób przygnębiająco utylitarny. Jenrette podszedł do zlewu i wyciągnął spod niego plastikowy pojemnik z naklejką, na której widniało nazwisko Emily i numer sprawy. Gdy wyjął mózg z formaliny i ułożył na desce do krojenia, nie miałam wątpliwości, że moje badania tylko potwierdzą podejrzenia o wielu niejasnościach w sprawie okoliczności jej śmierci.

– Nie widzę tu śladu żadnych reakcji organizmu, które wskazywałyby na gwałtowną śmierć – zauważyłam zdziwiona, odsuwając się na moment, gdyż opary formaliny podrażniły mi oczy.

Jenrette przełożył sondę przez ślad po kuli.

– Nie ma krwotoku ani obrzęku. Poza tym kula nie przeszła przez most ani przez zwoje podstawy mózgu, nie zetknęła się też z żadnym obszarem kluczowym dla podstawowych czynności życiowych. – Spojrzałam na Jenrette'a. – Jednym słowem, nie jest to rana śmiertelna.

– Wszystko wskazuje na to, że muszę się z panią zgodzić.

– Powinniśmy zatem poszukać innej przyczyny zgonu.

– Byłbym wdzięczny, gdyby pomogła mi ją pani znaleźć. Nie mamy jeszcze wyników testów toksykologicznych. Dopóki nie wykażą innej przyczyny zgonu, najbardziej prawdopodobną wersją jest ta, że Emily zmarła jednak od rany postrzałowej w głowę.

– Chciałabym zobaczyć próbkę tkanki z płuc Emily – powiedziałam.

– Oczywiście, musimy tylko przejść do mojego biura.

Zastanawiałam się, czy dziewczynka nie została utopiona, ale gdy chwilę potem usiadłam przy mikroskopie Jenrette'a i przyjrzałam się

wycinkowi tkanki płucnej, nie znalazłam tam śladów potwierdzających tę hipotezę.

– Jeżeli zostałaaby utopiona – wyjaśniłam młodszemu koledze – pęcherzyki płucne byłyby powiększone. W przestrzeniach pęcherzykowych powinien się także znajdować płyn obrzękowy z wyraźnymi autolitycznymi zmianami w nabłonku oddechowym płuc. – Poprawiłam ostrość widzenia w obiektywie. – Mówiąc inaczej, gdyby w jej płucach znajdowała się woda, tkanka płucna powinna się rozkładać szybciej niż inne. Ale tak nie jest.

– A co pani myśli o uduszeniu?

– Kość gnykowa jest nienaruszona. Nie wystąpiły również wyboczyny.

– To prawda.

– I co ważniejsze – dodałam – jeśli ktoś chciałby pana udusić, walczyłby pan jak lew o swoje życie. A na jej ciele nie ma żadnych zadrapań czy w ogóle obrażeń wskazujących na samoobronę.

Jenrette wręczył mi pokaznych rozmiarów teczkę.

– Tu znajdzie pani szczegółowy raport.

Rozpoczął nagrywanie na taśmę raportu w sprawie sekcji zwłok Maxa Ferguson, a ja przeglądałam materiały dotyczące zabójstwa Emily Steiner. Moją uwagę zwróciła częstotliwość, z jaką jej matka telefonowała do biura doktora Jenrette'a po znalezieniu ciała. Dzwoniła tu nawet kilka razy dziennie.

– Denata dostarczono w czarnym plastikowym worku, za pieczętowanym przez policję z Black Mountain. Numer na pieczęci: cztery, cztery, pięć, trzy, trzy, siedem. Pieczęć była nienaruszona...

– Doktorze... – przerwałam mu.

Zdjął nogę z pedału maszyny rejestrującej.

– Proszę mi mówić Jim – zaproponował powtórnie.

– Z raportów wynika, że jej matka bardzo często do pana dzwoniła.

– Kilkakrotnie sami ją prosiliśmy o telefon, ale zgadza się. – Zdjął okulary i przetarł oczy. – Rzeczywiście często dzwoniła.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim była w paskudnym stanie psychicznym. Chciała się upewnić, że jej córka nie cierpiała przed śmiercią.

– I co jej pan powiedział?

– Powiedziałem, że z tego typu raną postrzałową głowy najprawdopodobniej nie. Miałem na myśli, że mogła stracić przytomność... no, w czasie gdy robiono z nią inne rzeczy.

Zamilkł na chwilę. Oboje wiedzieliśmy, że Emily Steiner cierpiała. Wszystko wskazywało na to, że przeżyła horror. Od pewnej chwili musiała już zdawać sobie sprawę, że umrze.

– I to wszystko? – zapytałam. – Dzwoniła tyle razy, aby się upewnić, czy jej córka nie cierpiała?

– Oczywiście, nie tylko dlatego. Pytała nas też o inne rzeczy, chciała otrzymać różne informacje. Ale nie było to nic ważnego. – Uśmiechnął się smutno. – Poza tym mam wrażenie, że chciała z kimś porozmawiać. To bardzo miła osoba, która straciła wszystko, co w życiu najważniejsze. Nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo jej współczułem i jak gorąco się modliłem, aby złapano tego zwyrodnialca. Tak długo, jak przebywa na wolności, świat nie będzie bezpieczny.

– Świat nigdy nie będzie bezpieczny. Oczywiście, nam też bardzo zależy, aby go schwytać. Gaulta czy kogoś innego, kto jest zdolny do takich potworności – powiedziałam, otwierając grubą kopertę ze zdjęciami.

Z całego zestawu nie znałam tylko jednej fotografii i zaczęłam ją dokładnie oglądać, podczas gdy doktor Jenrette kontynuował dyktowanie raportu. Nie bardzo mogłam się zorientować, co przedstawia, gdyż nigdy przedtem nie widziałam czegoś podobnego. Poczułam jednocześnie

podniecenie i strach. Na zdjęciu widoczny był lewy pośladek Emily, a na nim widniała nieregularna brązowa plama, nie większa niż kapsel od butelki.

– Na opłucnej trzewnej widoczne rozproszone wybroczyny wzdłuż szczelin międzypłatowych...

– Czy wie pan, co to jest? – zapytałam, ponownie przerywając mu dyktowanie.

Gdy podeszłam do niego, odłożył mikrofon i spojrzał na fotografię. Pochyliłam się, aby pokazać palcem ślad na skórze Emily, i poczułam zapach Old Spice'a. Pomyślałam o moim byłym mężu, który też używał tej wody w nadmiarze.

– W pańskim raporcie nie ma ani słowa o tym znaku – powiedziałam.

– Nie mam pojęcia, co to jest – przyznał się bez próby obrony. Głos miał zmęczony. – Myślałem, że to jakieś pośmiertne zmiany na skórze.

– Nie widziałam nigdy niczego podobnego. Czy usunął pan to ze skóry?

– Nie.

– Jej ciało znajdowało się na czymś, co pozostawiło taki znak.

– Wróciłam na swoje krzesło i oparłam się o blat biurka. – To może być ważne.

– Tak, teraz rozumiem dlaczego – powiedział.

Wyglądał na bardzo przygnębionego.

– Nie leży jeszcze zbyt długo w ziemi – powiedziałam cicho, ale z naciskiem.

Jenrette spojrzał na mnie niespokojnie.

– Z każdym dniem jej ciało będzie w gorszym stanie – mówiłam dalej. – Stanowczo uważam, że powinniśmy jeszcze raz mu się przyjrzeć.

Patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczyma i zwilżył wargi językiem.

– Doktorze – oświadczyłam. – Musimy ją ekshumować, natychmiast.

Doktor Jenrette przekartkował swój notes i sięgnął po słuchawkę. Patrzyłam, jak wykręca cyfry numeru.

– Dzień dobry, mówi doktor James Jenrette – powiedział do kogoś, kto odebrał telefon. – Czy zastałem sędziego Begleya?

Sędzia Hal Begley zgodził się nas przyjąć za pół godziny u siebie w biurze. Pojechaliśmy moim samochodem, a Jenrette wskazywał drogę. Gdy zaparkowałam na College Street, zostało nam jeszcze sporo czasu do spotkania.

Sąd okręgu Buncombe mieścił się w starym budynku z ciemnoczerwonej cegły, który, jak sądziłam, jeszcze do niedawna był najwyższym gmachem w śródmieściu. Miał trzynaście pięter, a na samym szczycie znajdowało się więzienie. Patrząc w górę na zakratowane okna, odcinające się od błękitnego nieba, pomyślałam o moim rodzinnym Richmond. Tamtejsze więzienie było przepełnione i chociaż zajmowało dość rozległy teren, przez okna cel widać było jedynie zaskakujące z drutu kolczastego. Już niedługo, zastanawiałam się, jeżeli przestępczość będzie nadal wzrastać w równie alarmującym tempie, takie miasta, jak Asheville, będą potrzebowały dużo większych więzień.

– Sędzia Begley nie słynie z cierpliwości – ostrzegł mnie doktor Jenrette, gdy wspinaliśmy się po marmurowych schodach sądu. – Muszę panią uprzedzić, że na pewno nie spodoba mu się pani pomysł.

Wiedziałam, że doktorowi Jenrette'owi także się nie podobał, gdyż żaden anatomopatolog nie lubi, gdy kolega po fachu poprawia jego robotę. Poza tym oboje doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że głównym powodem ekshumacji jest niesolidnie wykonana sekcja zwłok.

– Proszę mnie posłuchać – powiedziałam, gdy szliśmy korytarzem trzeciego piętra. – Ja także nie mam na to najmniejszej ochoty. Nie lubię

przeprowadzać ekshumacji. Wolałabym, aby można było się obejść bez tego.

– Szkoda, że nie mam takiego doświadczenia jak pani. Pani styka się z podobnymi przypadkami na co dzień – usprawiedliwił się.

– Bogu dzięki, z takimi sprawami nie mam do czynienia zbyt często – odparłam.

– Nie będę ukrywał, że praca przy sprawie Emily Steiner była dla mnie bardzo wielkim przeżyciem. Być może powinienem był poświęcić jej więcej czasu.

– Myślę, że okręg Buncombe ma szczęście, że pan tu pracuje – powiedziałam szczerze, gdy wchodziliśmy do sekretariatu sędziego. – Chciałabym mieć więcej takich ludzi, jak pan, w Wirginii. Chętnie bym pana u siebie zatrudniła.

Spojrzał na mnie z wdzięcznością, gdy sekretarka, chyba najstarsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałam na tym stanowisku, zmierzyła nas wzrokiem przez grube niczym dno butelki szkła. Na jej biurku zamiast komputera stała elektryczna maszyna do pisania. Patrząc na długie szeregi stalowych szafek na akta stojących wzdłuż ścian, domyśliłam się, że jej mocną stroną musi być wypełnianie formularzy. Poprzez szczelnie zasunięte rolety do sekretariatu przedostawało się niewiele światła dziennego, a powietrze było szare od kurzu. Czułam zapach Rose Milk, kremu, który wcierała sobie w ręce, w chwili gdy wchodziliśmy do pokoju.

– Sędzia Begley oczekuje państwa – oznajmiła, zanim zdążyliśmy się przedstawić. – Proszę wejść. – Wskazała zamknięte drzwi na wprost wejścia. – Uprzedzam, że posiedzenie sądu zostało przerwane tylko na czas lunchu i sędzia musi tam być z powrotem o pierwszej.

– Dziękujemy – powiedziałam. – Postaramy się nie zająć mu więcej czasu.

– I tak dłużej nie będzie z wami rozmawiał.

Doktor Jenrette zapukał nieśmiało w potężne, dębowe drzwi i natychmiast usłyszeliśmy z drugiej strony stanowcze: „Wejść!”

Begley siedział za biurkiem na starym krześle, obitym czerwoną skórą. Był to chudy, brodaty mężczyzna około sześćdziesiątki. Zanim się do nas odezwał, kończąc coś sprawdzać w notesie, poczyniłam pierwsze obserwacje. Porządek panujący na biurku i ilość leżących tam papierów wskazywały, że musi być człowiekiem bardzo zajęтым, lubiącym pracować systematycznie. Niemodny krawat i buty na miękkich podszwach świadczyły zaś, że ani trochę nie interesuje go, co myślą o nim ludzie tacy jak ja.

– Dlaczego domaga się pani ekshumacji? – zapytał głosem o południowej, opadającej intonacji.

– Po przejrzeniu raportów doktora Jenrette’a ustaliliśmy, że pośmiertne oględziny ciała Emily Steiner nie wyjaśniają kilku nasuwających się wątpliwości – powiedziałam.

– Znam doktora, ale chciałbym się czegoś dowiedzieć o pani – wyraził życzenie sędzia, odkładając notes na biurko.

– Jestem doktor Kay Scarpetta, naczelny lekarz stanu Wirginia.

– Powiedziano mi, że pracuje pani dla FBI.

– To prawda. Jestem konsultantem do spraw medycyny sądowej w Sekcji Dochodzeniowej.

– Czy to coś w rodzaju Ośrodka Badań Zachowań Patologicznych?

– Dokładnie to samo. Po prostu kilka lat temu zmieniono nazwę.

– A więc zajmujecie się tam seryjnymi mordercami i innymi zwyrodniałymi przestępcami, z jakimi jeszcze niedawno nie mieliśmy tutaj do czynienia. – Przyglądał mi się bacznie, uderzając palcami w kolano.

– Tak jest – potwierdziłam.

– Policja z Black Mountain poprosiła FBI o pomoc – włączył się Jenrette. – Istnieje podejrzenie, że człowiek, który zamordował Emily Steiner, to ten sam mężczyzna, który zabił wcześniej kilka osób w Wirginii.

– Wiem, wspominał pan o tym przez telefon. Ale, jak na razie, jedyną propozycją z pani strony jest przeprowadzenie ekshumacji. Zanim wydam zgodę na przeprowadzenie tak drastycznej operacji, muszę usłyszeć od was niebudzącą najmniejszej wątpliwości argumentację. Proszę wygodnie usiąść. Do tego właśnie służą krzesła po tamtej stronie biurka.

– Na skórze dziewczynki jest pewien znak – powiedziałam, gdy zajęliśmy już miejsca na wprost sędziego.

– Jaki znak? – zapytał, patrząc na mnie.

– Doktor Jenrette wyjął z koperty fotografię i położył ją na biurku.

Begley oglądał przez chwilę zdjęcie w milczeniu.

– Nie znamy jego pochodzenia – wyjaśniłam. – Ale może nam pomóc w ustaleniu, gdzie leżało jej ciało. To wygląda na uszkodzenie skóry.

Sędzia wziął do ręki zdjęcie i, mrużąc oczy, oglądał je uważnie.

– Nie można wykonać dokładnej analizy na podstawie fotografii? Wydaje mi się, że dysponujemy obecnie takimi możliwościami technicznymi.

– To prawda – przyznałam. – Problem polega jednak na tym, że zanim otrzymamy wyniki tych analiz, ciało będzie już w takim stanie, że jeżeli nawet przeprowadzimy później ekshumację, niewiele dowiemy się z oględzin. Im dłużej będziemy zwlekać, tym mniejsze mamy szanse na stwierdzenie, czy uszkodzenie ciała, o którym mowa, spowodowane zostało skaleczeniem bądź innym mechanicznym działaniem, czy też jest efektem rozkładu tkanki.

– W tej sprawie jest wiele zastanawiających szczegółów, które zaciemniają obraz całości – wtrącił doktor Jenrette. – Potrzebujemy

wszelkiej pomocy przy jej rozwiązaniu.

– Dotarła do mnie wiadomość, że wczoraj wieczorem znaleziono martwego agenta stanowego, zaangażowanego w to śledztwo. Dzisiejsza prasa pisze, że śmierć nastąpiła przez uduszenie.

– Istotnie – potwierdził Jenrette.

– Czy okoliczności jego śmierci także są niejasne?

– Tak – powiedziałam.

– Mam nadzieję, że za tydzień nie pojawicie się znowu w moim biurze, aby prosić o zgodę na jego ekshumację.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – odparłam.

– Ta dziewczynka ma matkę. Jak ona przyjmie wiadomość o tym, co chcecie zrobić?

Żadne z nas nie znało odpowiedzi na to pytanie. Skórzane siedzenie krzesła zaskrzypiało, gdy Begley zmienił pozycję, aby spojrzeć na zegar ścienny wiszący za naszymi plecami.

– Cóż, jeśli chodzi o waszą prośbę, to jest właśnie dla mnie największy problem. Ciągle myślę o tej nieszczęsnej kobiecie i o tragedii, jaką spotkała. Nie chciałbym, aby znowu musiała przeżywać piekło.

– Nie prosilibyśmy pana o podjęcie takiej decyzji, gdybyśmy nie mieli absolutnej pewności, że to konieczne dla dobra śledztwa – wyjaśniłam stanowczym tonem. – Jestem przekonana, że pani Steiner także pragnie, aby sprawiedliwości stało się zadość.

– Proszę sprowadzić do mnie matkę tej dziewczynki – powiedział sędzia, wstając z krzesła.

– Słucham? – zapytał zdziwiony Jenrette.

– Chcę, aby przyszła tutaj jej matka – powtórzył Begley. – Będę wolny o wpół do trzeciej. Oczekuję, że o tej porze spotkamy się wszyscy w moim gabinecie.

- A jeśli nie będzie chciała przyjść? – zapytał Jenrette i oboje wstaliśmy.
- Nie zdziwiłbym się.
- Pan wcale nie potrzebuje jej zgody – powiedziałam spokojnie, chociaż byłam zdenerwowana.
- Tak, ma pani rację, nie potrzebuję – przytaknął, otwierając nam drzwi.

7

Doktor Jenrette musiał iść do szpitalnego laboratorium, ale pozwolił mi skorzystać ze swojego gabinetu. Mogłam stamtąd wykonać kilka niecierpiących zwłoki telefonów.

Najtrudniejsze zadanie, o dziwo, okazało się bardzo proste. Marino nie miał najmniejszych trudności z przekonaniem Denesy Steiner, aby po południu udała się z nim do sędziego Begleya. Bardziej skomplikowane było ustalenie, jak się tam dostaną, ponieważ mój kolega w dalszym ciągu był bez samochodu.

- Skąd takie opóźnienie? – zapytałam.
- Ten pieprzony skaner, który zamontowali w moim aucie, nie działa – wyjaśnił poirytowanym głosem.
- Nie możesz się bez niego obejść?
- Najwyraźniej sądzą, że nie.
- Może wpadnę po was – zaproponowałam, patrząc na zegarek.
- Nie, przyjedziemy sami. Ona ma całkiem przyzwoitą bryczkę. Mówiąc prawdę, niektórzy uważają, że infiniti jest lepszy od mercedesa.
- Akurat teraz nie ma to żadnego znaczenia, bo jeżdżę chevroletem.
- Powiedziała mi, że jej teść jeździł mercedesem, bardzo podobnym do twojego, i że powinnaś pomyśleć o zmianie wozu, na infiniti lub legend.
- Nie podjęłam dyskusji.
- To tylko taki pokarm dla myśli.

– Rozumiem, że tu przyjedziesz.

– Tak, przyjadę.

– Świetnie.

Skończyliśmy rozmowę bez pożegnania. Usiadłam na krześle przy biurku doktora Jenrette'a, czując się wyczerpana i rozżalona. Gdy Marino przeżywał rozstanie z Doris, byłam przy nim i podtrzymywałam go na duchu. Później także moja przyjaźń była mu potrzebna, gdy rzucił się na oślep w wir życia towarzyskiego, szukając zapomnienia w ramionach innych kobiet. Ale on zawsze bezlitośnie krytykował moje życie prywatne, nie czekając, aż poproszę go o radę.

Nie lubił mojego byłego męża i nigdy też nie zaakceptował związku z Markiem. Rzadko miał coś miłego do powiedzenia na temat Lucy czy łączących nas stosunków, a poza tym tak naprawdę nie lubił nikogo z moich przyjaciół. Przede wszystkim jednak nie mógł mi wybaczyć Wesleya. Czułam, że jest o niego chorobliwie zazdrosny.

Gdy o wpół do trzeciej pojawiliśmy się z doktorem Jenrette'em w biurze sędziego, Pete'a jeszcze nie było. Mijały minuty, a moja złość na niego rosła.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie się pani urodziła – zagadnął mnie Begley z drugiej strony dzielącego nas biurka.

– W Miami – odpowiedziałam.

– Nie słyszę w pani głosie południowego akcentu. Powiedziałbym raczej, że pochodzi pani z północy.

– Uczyłam się na północy.

– Może to panią zaskoczy, ale ja też – powiedział.

– Czemu postanowił pan osiąść właśnie tutaj? – zapytał Jenrette.

– Prawdopodobnie kierowały mną te same powody, co panem.

– Ale pan pochodzi z tych stron? – upewniłam się.

– Jeżeli cofniemy się o trzy pokolenia wstecz. Mój pradziad urodził się tutaj w drewnianej chacie. Później został nauczycielem. To ze strony mojej matki. Rodzina ze strony ojca aż do połowy dziewiętnastego wieku trudniła się głównie przemytem alkoholu. Potem mieliśmy kaznodziejów.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i najpierw ukazała się w nich twarz Pete’a Marino, a potem cała postać. Za nim weszła Denesa Steiner. Ponieważ nigdy nie posądziłabym mojego kolegi o rycerskość, byłam zdumiona nadzwyczajną troskliwością i uprzejmością, jaką okazywał tej wyjątkowo spokojnej kobiecie, która niedawno straciła córkę. Pani Steiner podeszła, aby się z nami przywitać. Sędzia wstał z krzesła, więc chociaż było to wbrew moim zwyczajom, poszłam w jego ślady.

– Jestem doktor Scarpetta – uściśnęłam jej rękę, która była zimna i miękka. – Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– A ja jestem doktor Jenrette. Rozmawialiśmy przez telefon.

– Zechce pani usiąść – uprzejmie zaproponował Begley.

Marino przysunął dwa krzesła. Jedno wskazał kobiecie, a na drugim usiadł sam. Pani Steiner mogła mieć najwyżej czterdzieści lat, ubrana była na czarno, a z jej postaci emanował niezwykły smutek. Miała na sobie spódnicę do kolan i zapięty pod szyję sweter. Na twarzy nie zauważyłam śladu makijażu, a jedyną biżuterią, na jaką sobie pozwoliła, była złota obrączka ślubna. Na pierwszy rzut oka przypominała pracownicę opieki społecznej, ale im dłużej jej się przyglądałam, tym wyraźniej widziałam to, czego nie zdołał ukryć purytański strój.

Była piękną blondynką o włosach koloru miodu, gładkiej, jasnej cerze i pełnych ustach. Miała prosty, kształtny nos, mocno zarysowane kości policzkowe, a czerń wełny skrywała bardzo ponętne ciało. Atrybuty żałoby nie zwiodły także znajdujących się w pokoju mężczyzn. Marino po prostu nie spuszczał z kobiety oczu.

– Pani Steiner – zaczął sędzia. – Poprosiłem panią o przybycie, ponieważ obecni tu lekarze zwrócili się dzisiaj do mnie z pewną prośbą. Chciałbym, aby pani także ją usłyszała. Ale najpierw pragnę wyrazić swoją wdzięczność, że zechciała się pani z nami spotkać. W obliczu strasznej tragedii, jaka panią spotkała, wykazała pani tak wielki hart ducha i opanowanie, że nie ośmieliłbym się narażać pani niepotrzebnie na nieprzyjemne przeżycia.

– Bardzo jestem panu wdzięczna – powiedziała cicho, splatając na kolanach białe dłonie.

– A więc, lekarze ci odkryli pewne niepokojące szczegóły na zdjęciach zrobionych po śmierci Emily. To, co znaleźli, wygląda bardzo tajemniczo, postanowili zatem jeszcze raz zbadać ciało pani córki.

– Jak chcą to zrobić? – zapytała naiwnie swoim spokojnym, słodkim głosem, bez cienia miejscowego akcentu.

– Chodzi o przeprowadzenie ekshumacji – wyjaśnił sędzia.

Pani Steiner nie wyglądała na zaskoczoną, raczej na zakłopotaną i serce mi się ściskało, gdy widziałam, jak powstrzymuje łzy.

– Zanim podejmę decyzję – kontynuował sędzia – chciałbym usłyszeć, co pani o tym sądzi.

– Chcecie ją wykopać? – spojrzała pytająco na mnie i Jenrette’a.

– Tak – odpowiedziałam. – Chcielibyśmy jak najszybciej przeprowadzić powtórne badania.

– Nie rozumiem, co takiego można znaleźć teraz, czego nie zauważono wcześniej? – Jej głos drżał, gdy to mówiła.

– Może to nic ważnego – wyjaśniłam. – Ale na fotografiach zauważyłam parę szczegółów, którym chciałabym się lepiej przyjrzeć. Mogą okazać się przydatne w ujęciu mordercy Emily.

– Czy chce nam pani w tym pomóc? – zapytał sędzia.

Pokiwała energicznie głową, z trudem tłumiąc szloch.

– Jeżeli pomoże nam pani, przysięgam, że przyskrzynimy te go zwyrodnialca! – zawołał wzburzony Marino.

– Przykro mi, że narażamy panią na takie przeżycie – sumitował się Jenrette, który wciąż nie mógł się wyzbyć głębokiego poczucia winy.

– Możemy zatem rozpocząć procedurę? – jeszcze raz upewnił się sędzia, pochylając się z szacunkiem w stronę pani Steiner. Jak każdy z nas, współczuł jej bardzo, zwłaszcza że sprawiała wrażenie osoby niezwykle wrażliwej i łatwej do zranienia. Być może to doświadczenie raz na zawsze zmieni jego stosunek do przestępców, którzy w przyszłości będą go prosić o ułaskawienie.

Denesa Steiner wciąż nie była w stanie mówić, skinęła więc tylko głową. Po chwili Marino pomógł jej wyjść z biura, zostawiając tam mnie i Jenrette'a.

– Niedługo zapadnie zmierzch, a mamy jeszcze wiele do zrobienia – powiedział do nas Begley.

– Musimy powiadomić kilka osób i skoordynować ich pracę – dodałam.

– Który dom pogrzebowy zajmował się pogrzebem?

– Wilbura.

– Czy to w Black Mountain?

– Tak.

– A jak się nazywa szef? – Sędzia sięgnął po długopis.

– Lucias Ray.

– A co z detektywem, który pracował przy tej sprawie?

– Leży w szpitalu.

– Prawda – westchnął.

Nie wiem dlaczego, pojechałam prosto w tamto miejsce. Już wcześniej chciałam zbadać tę okolicę, a poza tym byłam wściekła na Pete'a. Bardzo mnie dotknęły jego głupie aluzje pod adresem mojego mercedesa, którego złośliwie porównywał do infiniti.

Nie chodziło, rzecz jasna, o to, czy jego komentarze były słuszne, czy nie. Najbardziej bolało mnie, że świadomie chciał sprawić mi przykrość. Po tym wszystkim nie poprosiłabym go, aby mi towarzyszył, nawet gdybym wierzyła w potwora z Loch Ness, zjawy zamieszkujące bagna i zombie. Nie zgodziłabym się na jego towarzystwo, nawet gdyby mnie błagał, mimo lęku, jaki czułam przed wężami wodnymi. A właściwie przed wszelkimi wężami, małymi i dużymi.

Gdy dotarłam nad jezioro Tomahawk, było jeszcze dość jasno, aby odnaleźć drogę, którą – według posiadanych przeze mnie informacji – szła po raz ostatni Emily. Zaparkowałam auto przy terenie piknikowym i obserwując brzeg jeziora, zastanawiałam się, czemu dziewczynka zdecydowała się iść tędy do domu po zapadnięciu zmroku. Doskonale pamiętałam własne lęki przed kanałami wodnymi, których pełno jest w Miami. Gdy byłam mała, każda pływająca kłoda wydawała mi się aligatorem, a ludzie spotykani na opustoszałych nabrzeżach – potencjalnymi złoczyńcami.

Wysiadłam z samochodu. Wciąż nie mogłam zrozumieć, dlaczego Emily nie bała się tędy chodzić. Chyba że były inne powody, które skłoniły ją do wybrania tej drogi.

Mapa, którą Ferguson rozdał nam podczas spotkania w Quantico, informowała, że pierwszego października Emily wyszła z kościoła wczesnym wieczorem i dokładnie w tym miejscu, w którym się znajdowałam, zeszła z chodnika i skręciła w las. Minęła stoły piknikowe i skierowała się na prawo wydeptaną ścieżką, która wijąc się między

drzewami i zaroślami, prowadziła nad brzeg jeziora. Nie używano jej zbyt często, gdyż miejscami była zupełnie zarośnięta.

Ruszyłam tą drogą, co chwila pokonując kępy wysokiej trawy i gęste zarośla. Cień gór kładł się czernią na coraz większej części jeziora, wzmagął się też przejmujący chłodem wiatr, zwiastując zbliżającą się zimę. Pod stopami szeleściły zeschnięte liście. Gdy dotarłam do miejsca, gdzie na mapie zaznaczono punkt, w którym znaleziono ciało Emili, było już zupełnie ciemno.

Zacząłam szukać w torbie latarki, ale przypomniałam sobie, że leży potłuczona w piwnicy Fergusona. Znalazłam tylko pudełko zapalek, pochodzące z czasów, gdy jeszcze paliłam, zresztą częściowo opróżnione.

– Cholera – zaklęłam cicho, czując, że ogarnia mnie lęk.

Wyjęłam z torby pistolet kaliber 38 i wsunęłam go do kieszeni żakietu. Zaciskając palce na rękojeści broni i mocno wytyżając wzrok, usiłowałam zbadać błotnisty brzeg jeziora w okolicy miejsca, gdzie łowiący ryby mężczyzna znalazł Emilię. Zapamiętane przeze mnie z fotografii krzaki miały przycięte gałęzie, ale był to jedyny ślad, że w ostatnich dniach coś tu zostało zmienione. Resztę ukrył zmrok. Warstwa liści na ziemi była bardzo gruba. Zacząłam rozgrzebywać je nogami, w nadziei że znajdę coś, co uszło uwagi policji.

W mojej pracy zawodowej miałam do czynienia z wystarczającą liczbą przestępstw kryminalnych, aby zrozumieć jedną podstawową prawdę. Miejsce zbrodni żyje własnym życiem. Pamięć o popełnionym czynie zapisuje się w ziemi, owadach i robakach, które zakosztowały płynów cielesnych ofiary, w roślinach zdeptanych butami. Traci ono swoją prywatność tak samo, jak każdy świadek. Żaden kamień nie pozostaje na swoim miejscu, a ciekawość nie mija nawet wtedy, gdy nie ma już dalszych pytań.

Ludzie często odwiedzają miejsca zbrodni jeszcze długo po tym, gdy opadną emocje. Zabierają coś na pamiątkę, robią zdjęcia. Zostawiają także listy, pocztówki i kwiaty. Najczęściej przychodzą po kryjomu i tak też odchodzą, wstydząc się, że nie umieli powstrzymać ciekawości. Nawet zostawiając tam różę, czują, że naruszają jakieś sacrum.

Gdy usunęłam z ziemi liście, nie znalazłam pod spodem żadnych kwiatów. Ale w pewnej chwili poczułam, że czubkiem buta trafiłam na jakieś drobne przedmioty. Rzuciłam się na kolana i, oparta łokciami o ziemię, usiłowałam je wypatrzeć lub wymacać w ciemności. Po dłuższych poszukiwaniach okazało się, że były to cztery kulki gumy do żucia, zapakowane w papierki. Gdy zapaliłam zapalkę, rozpoznałam w nich słodczyce, które Emily opisywała w swoim pamiętniku jako ogniste kulki. Wstałam, ciężko oddychając.

Z lękiem rozejrzałam się dookoła, nasłuchując dobiegających dźwięków. Szelest deptanych przeze mnie liści na ścieżce, której niemal w ogóle nie widziałam, rozbrzmiewał w moich uszach jak przeraźliwy hałas. Niebo było zupełnie bezgwiezdne, a ponieważ zapalki szybko się skończyły, za jedynego przewodnika służył mi nów księżyca. Z mapy wynikało, że znajduję się już niedaleko domu Steinerów. Pomyślałam, że mam bliżej tam niż do zaparkowanego samochodu.

Czułam, że się pocę ze strachu. Bałam się, że stracę orientację, tym bardziej że zapomniałam także o telefonie, który został w wozie. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłam, byłoby spotkanie z którymś z moich kolegów. Postanowiłam, że nawet jeśli bym się zraniła, za żadne skarby nie powiedziałabym im, gdzie to się stało.

Po dziesięciu minutach przedzierania się przez zarośla miałam podrapane nogi i kompletnie zniszczone rajstopy. Ponadto boleśnie uderzyłam się dużym palcem o wystający korzeń i aż po kostki wdepnęłam

w gęste błoto. Kiedy zaś jakaś zwisająca gałąź smagnęła mnie w twarz tak mocno, że o mało nie wykłuła mi oka, stanęłam i poczułam, że zaraz rozpłaczę się z bólu i strachu. Po prawej stronie był gęsty las, który oddzielał mnie od szosy prowadzącej do domu Steinerów, po lewej miałam jezioro.

– Cholera – zakląłam znowu, tym razem głośno.

Droga wzdłuż jeziora wydała mi się bezpieczniejsza. Po kilku minutach zaczęłam się nawet lepiej orientować w terenie, a moje oczy przywykły do rozróżniania kształtów w nikłym świetle księżyca. Kroki stawiałam pewniej i z większym wyczuciem, a kierując się stopniem wilgotności powietrza i zmianami jego temperatury, odgadywałam, kiedy zbliżam się do grząskiego podłoża, a kiedy do bardziej suchego, gdzie znajduje się niewidoczna ścieżka. Czuję się tak, jakbym dla podtrzymania gatunku przeszła błyskawiczną ewolucję i zamieniła się w istotę prowadzącą nocny tryb życia.

Po pewnym czasie wyłoniły się przede mną z ciemności światła ulicy. Był to znak, że dotarłam na drugi koniec jeziora i znajduję się dokładnie na wprost terenów piknikowych, gdzie zaparkowałam samochód. Las w tym miejscu był przetrzebiony, a okolica zagospodarowana na parkingi i boiska tenisowe. Podobnie jak Emily kilka tygodni temu, skręciłam ze ścieżki i znalazłam się na ulicznym chodniku. Dopiero wtedy poczułam, że cała się trzęsę.

Pamiętałam, że kilkadziesiąt metrów dalej znajduje się dom Steinerów. Zbliżając się do niego, zastanawiałam się, co powiem matce Emily. Nie chciałam jej mówić, gdzie byłam i po co, mogłoby ją to bowiem zdenerwować. Nie znałam jednak w tej okolicy nikogo innego, a nie potrafiłam sobie wyobrazić, bym w takim stanie mogła zapukać do obcych ludzi z prośbą o skorzystanie z telefonu.

Mimo bowiem gościnności mieszkańców Black Mountain, każdy z nich zapytałby mnie zapewne, czemu wyglądam, jakbym przedzierała się przez dzikie ostępy. Ktoś nawet mógłby się na mój widok przestraszyć, zwłaszcza jeżeli wolałabym dokładnie nie opisywać, co się stało. Moje rozważania niespodziewanie przerwało przybycie rycerza w samochodzie, który nagle wyjechał z ciemności, o mało mnie przy tym nie potrącając.

Właśnie wchodziłam na drogę prowadzącą do domu Steinerów, gdy Marino wyjechał stamtąd na wstecznym biegu nowym granatowym chevroletem. Kiedy znalazłam się w świetle reflektorów, pomachałam, aby się zatrzymał. Zahamował gwałtownie z piskiem opon, a malujące się na jego twarzy zaskoczenie przemieniło się w grymas gniewu.

– Do kurwy nędzy, chcesz, żebym dostał zawału? Mało brakowało, a bym cię rozjechał.

Bez słowa wsiadłam do wozu i zapięłam pasy.

– Co tu, do diabła, robisz? Cholera!

– Cieszę się, że odebrałeś w końcu samochód i że skaner działa. Muszę natychmiast strzelić sobie dużą wódkę, ale nie mam pojęcia, gdzie w okolicy można się napić – powiedziałam, czując, że dzwonię zębami. – Jak tu się włącza ogrzewanie?

Marino zapalił papierosa, a ja nagle poczułam, że też mam ochotę to zrobić. Jednakże rzucenie palenia było jedną z najważniejszych decyzji w moim życiu. Ogrzewanie powoli zaczynało działać.

– Chryste. Wyglądasz, jakbyś brała udział w zapasach błotnych. – Usiłował być złośliwy, ale już dawno nie widziałam go tak zaskoczonego. – Coś ty tu, do cholery, robiła? Mam nadzieję, że nic ci się nie stało?

– Zaparkowałam wóz przy klubie.

– Jakim klubie?

– Nad jeziorem.

– Nad jeziorem? Co? Włóczyłaś się tam po ciemku sama? Czyś ty do reszty straciła rozum?

– Jedyne, co straciłam, to moja latarka, o czym, niestety, przypomniałam sobie zbyt późno. – Wyjęłam z kieszeni rewolwer i włożyłam go z powrotem do torby. Marino oczywiście to zauważył i wściekł się jeszcze bardziej.

– Wiesz, co ci powiem? Nie mam pojęcia, na czym polega twój pieprzony problem, ale widzę, że nie dajesz sobie z nim rady. Jesteś beznadziejnym przypadkiem i zachowujesz się cholernie dziwnie. Może przechodzisz jakąś transformację?

– Jeżeli nawet przechodziłabym „transformację” lub coś równie osobistego, na pewno nie zwróciłabym się po radę do ciebie. Możesz spać spokojnie. Choćby jedynym tego powodem miała być twoja męska tępota umysłowa oraz wrażliwość przydrożnego słupa, co, oczywiście, nie musi iść w parze z płcią. Nie uważam wcale, że wszyscy mężczyźni są tacy jak ty. Gdybym tak myślała, musiałabym ich całkowicie wykreślić ze swojego życia.

– Może powinnaś.

– Pewnie kiedyś tak zrobię.

– Świetnie! Wtedy będziesz podobna do swojej niedojrzałej siostrzenicy! Nie sądzisz, że to ciekawe, co z niej jeszcze wyrośnie?

– To jest kolejna sprawa, która nie powinna cię ani trochę obchodzić – rzuciłam wściekła. – Nie mogę uwierzyć, że jesteś na tyle głupi, aby oceniać ją tak powierzchownie i niesprawiedliwie tylko dlatego, że dokonała pewnych życiowych wyborów, których ty nie pochwalasz.

– Czyżby? A może problem polega na tym, że ona dokonała właśnie takich wyborów, jakich ja sam bym dokonał. Przecież umawiam się na randki z kobietami.

– Ty w ogóle nie masz pojęcia o kobietach – powiedziałam, czując nagle, że samochód zamienił się w piekarnik i że nie mam pojęcia, dokąd jedziemy. Przykręciłam ogrzewanie i wyrzłam przez okno.

– Na tyle dobrze znam kobiety, aby wiedzieć, że doprowadzasz każdego do szału. Jak mogłaś spacerować sama nocą wokół jeziora! Sama! Do cholery, co byś zrobiła, gdyby on tam był?

– Jaki on?

– Do diabła, jestem głodny. Gdy jechałem w tamtą stronę, widziałem na Tunnel Road jakąś restaurację. Mam nadzieję, że jest jeszcze otwarta.

– Marino, jest dopiero za piętnaście siódma.

– Wyjaśnij mi, po co tam poszłaś – zażądał znowu, gdy oboje byliśmy już trochę spokojniejsi.

– Ktoś zostawił słodycze w miejscu, gdzie znaleziono jej ciało. Gumy do żucia, zwane ognistymi kulkami. – Ponieważ Marino milczał, mówiłam dalej: – Takie same, o jakich pisała w swoim dzienniku.

– Nie pamiętam.

– Dostała je od jakiegoś chłopca. Chyba ma na imię Wren. Napisała, że widziała się z nim przed spotkaniem w kościele i wtedy dał jej te ogniste kulki. Trzymała je ukryte w pudełku.

– Nigdy tego nie znaleziono.

– Nie znaleziono czego?

– Tego tajemniczego pudełka. Denesa także nie mogła go znaleźć. A może Wren zostawił te gumy nad jeziorem?

– Musimy z nim porozmawiać – orzekłam. – Wygląda na to, że jesteś w dobrych układach z panią Steiner.

– Nie zasłużyła na tak straszną tragedię.

– Nikt na to nie zasługuje.

– Widzę Western Sizzler.

- Nie, nie mam ochoty tam iść.
- A co myślisz o Bonanzie? – zapytał, włączając kierunkowskaz.
- Zdecydowanie nie.

Marino, paląc następnego papierosa, przyglądał się restauracjom mijanym na Tunnel Road.

- Bez obrazy, pani doktor, czy nie jesteś aby zbyt wybredna?
- Marino, proszę cię, bez tych wstępów. Gdy tak mówisz, czuję, że znowu chcesz mnie obrazić.

– Gdzieś tu powinien być Peddler. Widziałem adres w książce telefonicznej.

– Czyżbyś sprawdzał adresy restauracji w książce telefonicznej? – zapytałam zdziwiona. Znałam go na tyle, aby wiedzieć, że restauracje interesowały go dokładnie tak samo, jak jedzenie. W sklepach kupował zawsze byle co, aby było łatwe do przyrządzenia, tanie i zapychające.

– Chciałem się zorientować, na wypadek gdyby przyszło mi do głowy zjeść coś porządniejszego. A może zadzwonimy i spytamy, jak się do nich jedzie?

Sięgnęłam po telefon, myśląc o Denesie Steiner, bo na pewno nie ze mną chciał się wybrać dzisiaj na kolację do Peddlera.

- Marino – powiedziałam cicho. – Proszę cię, uważaj.
- Tylko nie zaczynaj mi znowu truć o czerwonym mięsie.
- Akurat tym razem nie to mnie niepokoi – powiedziałam.



Cmentarz przy Trzecim Kościele Prezbiteriańskim wyglądał jak faliste pole wypolerowanych, granitowych nagrobków. Otoczony był łańcuchowym ogrodzeniem, przy którym gdzieniegdzie rosły niewysokie drzewa.

Gdy dotarliśmy tam o szóstej piętnaście, brzask zaczynał dopiero rozjaśniać linię horyzontu. Było tak zimno, że widziałam własny oddech. Pająki ziemne właśnie zaczynały snuć swoje pajęczyny i, idąc z Pete'em w kierunku grobu Emily Steiner, bardzo uważałam, aby nie zniszczyć ich pracy.

Emily była pochowana w rogu cmentarza przylegającym do lasu. Trawnik był w tym miejscu szczególnie wypielegnowany i rosły na nim chabry, koniczyny i stokrotki. Wiedzieliśmy, że przy jej grobie stoi niewielki, marmurowy anioł, ale i tak drogę wskazywały nam odgłosy zgrzytania łopat o zmarzniętą ziemię. Obok rozkopanej mogiły stała ciężarówka z dźwigiem, a jej reflektory oświetlały pole pracy dwóm starszym mężczyznom w skórzanych kombinezonach. Szpadle połyskiwały w mocnym, białym świetle, a w pobliżu czuć było intensywny zapach świeżej ziemi, z której usypano już spore kopczyki w nogach grobu.

Marino zaśwycił latarkę i w ostrym światłocieniu ujrzeliśmy postać smutnego anioła ze złożonymi w tyle skrzydłami i głową pochyloną w modlitwie. Na cokole wyryta była krótka inskrypcja:

Nie ma innej na świecie –

Moja była jedyna.

– Rany! Ale poetyckie! Ciekawe, skąd to – zapytał Marino, przysuwając się do mnie.

– Zapytajmy jego – zaproponowałam, wskazując głową zbliżającego się mężczyznę ogromnej postury, o bujnych, siwych włosach.

Jego wielki, czarny płaszcz falował przy każdym kroku wokół kostek, sprawiając z daleka wrażenie, że człowiek ten unosi się kilka centymetrów nad ziemią. Gdy zrównał się z nami, zauważyłam też długi, czarny szalik, skórzane rękawiczki na potężnych dłoniach i gumowe kalosze nałożone na półbuty. Miał prawie siedem stóp wzrostu, a pierś potężną jak beczka.

– Nazywam się Lucias Ray – przedstawił się, potrząsając przy tym mocno naszymi dłońmi.

– Zastanawiamy się, skąd pochodzą słowa wyryte na pomniku – powiedziałam.

– Pani Steiner bardzo kochała swoją córeczkę. To takie smutne – powiedział przedsiębiorca pogrzebowy, przeciągając głoski w sposób bardziej typowy dla okolic Georgii niż Północnej Karoliny. – Nasi klienci mogą wybierać inskrypcje na pomniki z książki, którą przygotowaliśmy właśnie z myślą o nich.

– A zatem matka Emily wybrała ten napis z książki cytatów? – zapytałam.

– Prawdę powiedziawszy, nie. Jeżeli dobrze pamiętam, mówiła, że to z wiersza Emily Dickinson.

Gdy grabarze odłożyli łopaty, było już na tyle jasno, że widziałam ich mokre od potu twarze, pomarszczone jak zaorane pole. Ciężki, żelazny łańcuch pobrzękiwał głucho odwijany z bębna na ciężarówce. Jeden z

mężczyzn zeskoczył na dno wykopanego dołu, aby zaczepić uchwyty łańcucha na hakach przy betonowej pokrywie krypty. Gdy z uwagą obserwowaliśmy jego pracę, znowu podszedł do nas Ray, aby podzielić się uwagami na temat pogrzebu Emily. Wzięła w nim udział rekordowa liczba ludzi.

– Stali na zewnątrz kościoła, także na trawniku. Dwie godziny trwało, nim wszyscy przeszli obok trumny Emily, aby się z nią pożegnać.

– Czy trumna była otwarta? – zapytał Marino, zaskoczony.

– Nie, proszę pana. – Ray przerwał na chwilę, przyglądając się pracy swoich ludzi. – Co prawda pani Steiner życzyła sobie tego, ale ja stanowczo jej odradzałem. Przekonałem ją, że tak będzie lepiej i że gdy ochłonie z bólu, podziękuję mi za to. Jej córeczka w żadnym razie nie powinna być oglądana. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że wiele osób przyszło na pogrzeb tylko po to, aby pogapić się na ofiarę lub uczestniczyć w wydarzeniu, o którym tyle pisała prasa.

Kołowrót na platformie zazgrzytał, a łańcuchy się napinały, w miarę jak wzrastał warkot silnika. Krypta unosiła się powoli w górę. Grudy ziemi wpadały do dołu, betonowy sarkofag zaś kołysał się w powietrzu, wyżej za każdym obrotem bębna. Jeden z mężczyzn, gestykulując, sprawnie kierował całą akcją.

Dokładnie w chwili gdy krypta bezpiecznie spoczęła na trawie, jak spod ziemi pojawiła się nagle gromada dziennikarzy i fotoreporterów. Zaczęli się tłoczyć wokół wykopanego dołu i betonowego prostopadłościanu, na którym ślady czerwonej glinki wyglądały zupełnie jak plamy krwi.

– Dlaczego przeprowadzacie ekshumację Emily Steiner? – zawołał ktoś z tłumu.

– Czy to prawda, że policja ma już podejrzanego? – pytał ktoś inny.

– Doktor Scarpetta?

– Czemu wezwano FBI?

– Doktor Scarpetta? – Jakaś kobieta przybliżyła do mojej twarzy mikrofon. – Podobno ma pani przeprowadzić powtórny sekcję zwłok?

– Dlaczego bezczescicie grób tego dziecka?

Nagle przez ów zgiełk przebił się głos Pete'a Marino, który ryknął jak ranny zwierzę:

– Wynosić się stąd, ale to już! Utrudniacie nam śledztwo! Słyszycie mnie, do cholery? – Tupnął nogą. – Już was tu nie ma!

Dziennikarze znieruchomieli, przerażeni. Gapili się na niego z otwartymi ustami, a Marino, widząc, że nikt go nie słucha, purpurowy z gniewu, dalej miotał pod ich adresem obelgi.

– Jeżeli ktoś tu cokolwiek zbezczescił, to właśnie wy, gnojki! Jeżeli natychmiast się stąd nie wyniesiecie, porozwalam wasze aparaty i wszystko, co znajdzie się w moim zasięgu, łącznie z waszymi obrzydliwymi łbami.

– Marino – powiedziałam, kładąc dłoń na jego ramieniu. Był tak spięty, że ciało miał twarde niczym żelazo.

– Od lat muszę się z wami użerać, dupki, i naprawdę mam już tego dosyć! Słyszycie! Mam już tego dosyć, jesteście bandą zasranych skurwysynów, pierdolonych pasożytów!

– Marino! – Szarpałam go za rękę, czując, jak strach paraliżuje każdy nerw mojego ciała. Nigdy dotąd nie widziałam Pete'a w takiej furii. Boże, modliłam się, żeby tylko nikogo nie zastrzelił.

Wysunęłam się przed niego, chcąc zmusić go, aby na mnie spojrzał, niestety, jego wzrok krążył gdzieś ponad moją głową.

– Marino, posłuchaj mnie! Oni już odchodzą. Proszę, uspokój się. Marino, nie denerwuj się tak. Zobacz, wszyscy już odeszli. Mam rację? Dopiąłeś swego. Prawie uciekali przed tobą.

Dziennikarze rzeczywiście zniknęli tak nagle, jak się pojawili. Marino stał nieruchomo i patrzył przed siebie, na pusty trawnik upstrzony gdzieniegdzie sztucznymi kwiatami. Za nami rozległ się czysty dźwięk stali uderzającej o stal, raz, drugi, trzeci. Grabarze odbijali młotkami i dłutami zapieczętowane smołą wieko, które następnie ostrożnie położono na trawie. Marino odwrócił się i pobiegł w stronę pobliskiej kępy drzew. Udawaliśmy, że nie słyszymy odgłosów, jakie stamtąd dochodziły, gdy wymiotował.

– Czy ma pan jeszcze resztki płynów, które były używane przy balsamowaniu jej zwłok? – zapytałam Luciasa Raya. Ten wydawał się bardziej rozbawiony niż zdenerwowany atakiem doborowego szwadronu dziennikarzy i wybuchem Pete’a Marino.

– Zostało mi mniej więcej po pół butelki wszystkiego, czego używałem – oświadczył.

– Będzie mi to potrzebne do testów toksykologicznych – wyjaśniłam.

– To tylko formalina i metanol z odrobiną oleju lanolinowego; środki tak pospolite jak rosół z kury. Poza tym, z uwagi na wielkość ciała, użyłem ich w większym rozcieńczeniu. Wydaje mi się, że pani kolega nie czuje się zbyt dobrze – dodał, widząc idącego w naszą stronę Marino. – Trzeba uważać, bo podobno panuje tu grypa.

– Nie sądzę, aby to była grypa – powiedziałam. – Skąd dziennikarze wiedzieli, że tutaj jesteśmy?

– Nie mam pojęcia. Ale zna pani ludzi. Zawsze znajdzie się ktoś, kto za dużo mówi.

Stalowa trumna Emily, niewiele większa od jej ciała, była biała niczym rosnące dookoła kwatery stokrotki. Lucias Ray wyciągnął z kieszeni płaszcz nadajnik radiowy.

– Możecie już przyjeżdżać – powiedział.

– Dziesięć-cztery – odpowiedział mu męski głos.

– Żadnych więcej reporterów. Mam nadzieję, że to piekło już się skończyło?

– Wszyscy odjechali.

Przez bramę cmentarza wjechał czarny, lśniący karawan i zbliżał się w naszą stronę, ostrożnie klucząc pomiędzy kwaterami i drzewami. Zatrzymał się prawie bezszelestnie tuż przy grobie Emily. Gruby mężczyzna w czarnym trenczu i kapeluszu z okrągłym rondem otworzył tylne drzwi samochodu, przez które grabarze wsunęli trumnę. Stojący z boku Marino wyjął z kieszeni spodni chusteczkę i zaczął ocierać twarz.

– Musimy porozmawiać – powiedziałam cicho, podchodząc do niego.

Karawan ruszył w stronę bramy cmentarnej.

– Nie teraz. Nic mi nie jest. – Był bardzo blady.

– Muszę jechać do kostnicy i spotkać się z doktorem Jenrette'em. Jedziesz ze mną?

– Nie. Wracam do Travel-Eze. Muszę się napić piwa, zanim znowu puszcze pawia, a potem przrzucę się na bourbona. Gdy już poczuje się lepiej, zadzwonię do Wesleya i zapytam dupka, kiedy wreszcie się wyniesiemy z tego zasranego miasta. Nie wziąłem koszuli na zmianę, a ta nie nadaje się już do noszenia. Poza tym nie mam krawata.

– Marino, odpocznij w hotelu.

– Mieszkam poza domem, mając ze sobą torbę tej wielkości – mówił dalej, rysując dłońmi w powietrzu niewielki kształt.

– Weź advil, popij solidnie wodą i zjedz jakąś kanapkę. Gdy tylko skończymy w szpitalu, wpadnę do ciebie. Jeżeli zadzwoni Benton, powiedz mu, że mam przy sobie telefon komórkowy i pager, niech się ze mną skontaktuje.

– Zna numery?

– Tak.

Marino spojrział na mnie znad chustki, którą wycierał twarz, i chociaż natychmiast znowu się za nią ukrył, zdążyłam zauważyć w jego oczach cierpienie.



Gdy około godziny dziesiątej przyjechałam do kostnicy, karawan dotarł już na miejsce. Doktora Jenrette'a zastałam w gabinecie przy papierkowej robocie. Na mój widok uśmiechnął się nerwowo, po czym pomógł mi zdjąć marynarkę i włożyć plastikowy fartuch ochronny.

– Czy domyśla się pan, skąd prasa wiedziała o ekshumacji? – zapytałam, odpakowując rękawiczki chirurgiczne.

– Co się stało? – spojrzał na mnie zdziwiony.

– Na cmentarz przyjechało około pół tuzina dziennikarzy.

– To doprawdy skandal.

– Musimy mieć pewność, że tym razem żadne informacje nie przedostaną się do publicznej wiadomości – powiedziałam, zawiązując fartuch i starając się nadać głosowi spokojne brzmienie. – Wszystko, co się tu zdarzy, musi pozostać między nami, doktorze.

Jenrette milczał.

– Jestem tutaj gościem i rozumiem, że może mieć pan już dość kłopotów związanych z moją obecnością. Proszę mi wierzyć, doskonale orientuję się w sytuacji i znam pana pozycję w tym mieście. Trzeba jednak założyć, że ten, kto zamordował dziewczynkę, na pewno dokładnie śledzi prasę i ogląda telewizję. Jeżeli nastąpi jakiś przeciek, on także się o tym dowie.

Doktor Jenrette wcale nie wyglądał na urażonego.

– Zastanawiam się, kto mógł się wygadać. Niestety, o ekshumacji wiedziało za dużo ludzi, trudno stwierdzić, kogo należy za to obwiniać.

– Postarajmy się zatem, aby to, czego za chwilę się dowiemy, pozostało między nami – powiedziałam, słysząc nadjeżdżający wózek.

Drzwi otworzyły się i wszedł Lucias Ray, a za nim mężczyzna w trenczu i kapeluszu, popychający kościelny wózek z białą trumną. Przetoczyli swój ładunek w naszą stronę i ustawili przy stole sekcyjnym. Ray wyjął z kieszeni metalową korbkę i umieścił ją w niewielkim otworze z boku trumny. Następnie w skupieniu zaczął odśrubowywać wieko.

– Powinno wystarczyć – oznajmił po chwili, chowając korbkę do kieszeni. – Mam nadzieję, że nie będę państwu przeszkadzał. Chciałbym zostać tutaj, aby sprawdzić, jak wygląda moje dzieło. To dla mnie wyjątkowa okazja, bo zwykle nie wykopujemy zmarłych po złożeniu ich do grobu.

I nie czekając na odpowiedź, zabrał się do zdejmowania metalowej pokrywy. Gdyby Jenrette nie położył mu w porę ręki na ramieniu, zrobiłabym to osobiście.

– Lucias, w innej sytuacji nie byłoby większego problemu – powiedział doktor. – Ale w tym wypadku nie chcielibyśmy angażować nikogo, kto nie musi brać udziału w ekshumacji.

– Wiem, że widok może być szokujący. – Ray uśmiechnął się drętwie. – Ale przecież ja sam przygotowywałem to dziecko. Znam je lepiej niż własna matka, nie tylko z zewnątrz, ale i od środka.

– Lucias, nalegam, abyś wszedł. Musimy jak najszybciej zabrać się do roboty. – Głos doktora Jenrette’a był cichy i smutny. – Poproszę cię, gdy skończymy.

– Pani doktor! – Ray utkwiał we mnie wzrok. – Zauważyłem, że od czasu przyjazdu do naszego miasteczka federalnych ludzie są dla siebie mniej

życzliwi.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Nie powinien pan brać naszych uwag zbyt osobiście, nikt nie zamierzał pana urazić.

– Billy Joe, wychodzimy. – Szef domu pogrzebowego zwrócił się ostentacyjnie do mężczyzny w kapeluszu. – Chodźmy coś zjeść.

Gdy wyszli, Jenrette zamknął drzwi na klucz.

– Przepraszam za niego – powiedział, wkładając rękawiczki. – Lucias potrafi być czasami męczący, ale to naprawdę porządny człowiek.

Oczekiwałam, że znajdziemy jakieś nieprawidłowości w sposobie zabalsamowania zwłok albo odkryjemy, że nie zastosowano się do życzeń matki, która zapłaciła za przygotowanie pochówku. Kiedy jednak zdjęliśmy wieko, na pierwszy rzut oka wszystko było w jak najlepszym porządku. Biała satyna, którą wyłożono trumnę, szczelnie spowijała również ciało, na samym wierzchu zaś leżał pakunek owinięty białą bibułą i przewiązany różową wstążeczką. Zaczęłam robić zdjęcia.

– Czy Ray wspominał coś o tym? – zapytałam Jenrette'a, podając mu zawiniątko.

– Nie. – Zaskoczony, obracał je niepewnie w dłoniach.

Gdy odsunęłam satynę, uderzył nas w nozdrza silny zapach płynu do balsamowania zwłok. Ciało Emily Steiner było dobrze zachowane. Dziewczynka miała na sobie błękitną aksamitną sukienkę z długimi rękawami i wysokim kołnierzem. Włosy spleciono jej w warkocze z kokardami w kolorze sukienki. Twarz pokryta była jak maską białawą, mechata pleśnią, charakterystyczną dla ekshumowanych ciał. Nalot zaczął się też pojawiać na dłoniach, splecionych na Nowym Testamencie w białej oprawie. Na nogach dziewczynka miała białe podkolanówki i czarne lakierki. Nic z tego, w co była ubrana, nie wyglądało na nowe.

Zrobiłam kolejną serię zdjęć. Potem wyjęliśmy zwłoki z trumny i położyliśmy na stole z nierdzewnej stali. Ostrożnie zdjęliśmy z nich słodkie, dziewczęce ubranie, które ukrywało straszliwy sekret śmierci Emily.

Każdy specjalista od medycyny sądowej zgodzi się ze mną, że czynności związane z sekcją są naprawdę makabryczne. Podczas żadnej z operacji na żywym ciele nie wykonuje się takiego cięcia chirurgicznego, jak cięcie Y. Robi się je dokładnie w kształcie tej litery. Skalpel posuwa się od obojczyków w kierunku mostka, przecina wzdłuż cały korpus i okrążając pępek, dochodzi do kości łonowej. Podobnie nietypowe jest nacięcie z tyłu czaszki, biegnące od ucha do ucha, które wykonuje się przed użyciem piły.

Jak wiadomo, rany powstałe na martwym ciele nie goją się. Można je jedynie ukryć pod wysokim kołnierzem i odpowiednio ułożonymi włosami. Gruba warstwa makijażu na twarzy i szeroki szew, biegnący wzdłuż drobnego ciała sprawiły, że Emily wyglądała jak smutna, szmaciana kukielka, pozbawiona swoich kolorowych strojów i porzucona przez bezdusznego właściciela.

Doktor Jenrette odkręcił kran nad stalowym zlewozmywakiem i zaczęliśmy delikatnie zmywać pleśń, makijaż i wypełniacz o konsystencji kitu w cielistym kolorze, którym zamaskowana była rana w tyle głowy oraz ubytki ciała na udach, piersi i ramionach, wyciętego przez mordercę. Wyjęliśmy także nakładki na oczy, które umieszczono pod powiekami, i usunęliśmy szwy. Z otwartej klatki piersiowej wydobywały się tak mocne opary chemikaliów, że zaczęły nam łzawić oczy. Przenieśliśmy do zlewu wnętrzności Emily, obficie posypane proszkiem balsamującym, i spłukaliśmy je wodą. Potem wróciłam do stołu, aby obejrzeć dokładnie szyję dziewczynki. Nie znalazłam jednak niczego, co nie zostałoby

zdokumentowane przez mojego młodszego kolegę. Używając specjalnej łyżeczki, podważyłam zęby trzonowe i spróbowałam otworzyć jamę ustną.

– Chyba nic z tego nie będzie – powiedziałam zrezygnowana. – Będziemy musieli przeciąć żwacze. Chcę obejrzeć jej język w jego anatomicznym położeniu, zanim dostanę się do niego przez tylną część gardła. Nie wiem tylko, czy to się uda.

– Czego pani szuka? – zapytał Jenrette, wkładając nowe ostrze do skalpela.

– Muszę się upewnić, że nie gryzła się w język.

Minutę później już wiedziałam, że tak.

– Tutaj na krawędzi są ślady – pokazałam. – Może pan to zmierzyć?

– Trzy milimetry na sześć.

– A wylew jest głęboki na jakieś sześć milimetrów. Tak jak by gryzła się w język więcej niż raz. Co pan o tym myśli?

– Też mi się tak wydaje.

– A więc podczas uprowadzenia miała atak apopleksji.

– A może wywołał go postrzał w głowę? – zapytał Jenrette, podając mi aparat fotograficzny.

– Może, ale w takim razie dlaczego w mózgu nie ma śladu reakcji wskazujących, że po strzale żyła jeszcze na tyle długo, aby przejść taki atak?

– Myślę, że wciąż wracamy do tego samego pytania, na które nie znamy odpowiedzi.

– Tak – powiedziałam. – To wygląda bardzo dziwnie.

Odwróciliśmy ciało Emily plecami do góry, a ja zajęłam się szczegółowym badaniem tajemniczego śladu, który był głównym powodem przeprowadzenia tej ponurej operacji. Wkrótce pojawił się fotograf sądowy i zaczął rozstawiać swój sprzęt. Sesja zdjęciowa trwała kilka godzin, w

których czasie zużyliśmy wiele różnych filmów – kolorowych, czarnobiałych, na podczerwień, ultrafiolet, o wysokim kontraście – korzystając z najrozmaitszych filtrów i soczewek.

Gdy skończyliśmy dokumentację, wyjęłam z torby lekarskiej kilka czarnych pierścieni, wykonanych z plastiku, z którego produkuje się rury kanalizacyjne. Raz na rok lub nawet raz na dwa lata prosiłam zaprzyjaźnionego dentystę, aby przygotował mi i wypolerował partię takich pierścieni o grubości trzech milimetrów.

Zdecydowałam się na pierścień o średnicy siedmiu centymetrów, na którym z obu stron wybiłam sztancą numer sprawy Emily i nazwę miejsca. Ludzka skóra, podobnie jak płótno malarskie, jest napięta, aby więc bez zniekształceń wyciąć z lewego pośladka Emily interesujący mnie fragment, musiałam go najpierw czymś usztywnić.

– Czy ma pan Super Glue? – zapytałam doktora Jenrette.

– Oczywiście. – Podał mi tubkę.

– Proszę fotografować każdą moją czynność – poleciłam szczupłemu Japończykowi, który nawet przez chwilę nie potrafił stać bez ruchu.

Ustawiłam pierścień na śladzie i przykleiłam go do powierzchni skóry, zabezpieczając dodatkowo szwami. Następnie wycięłam tkankę dookoła pierścienia i wszystko razem włożyłam do formaliny. Dopiero potem dokładnie obejrzałam, co otrzymany fragment przedstawia. Miał kształt nieregularnego koła z brązowym odbarwieniem w centrum. Skojarzyło mi się to z odciskiem jakiegoś wzoru. Niestety, mimo niezliczonej ilości polaroidów, które oglądaliśmy pod najróżniejszymi kątami, nie zdołałam go zidentyfikować.

Po wyjściu fotografa poprosiliśmy do środka pracowników domu pogrzebowego i dopiero wtedy zajęliśmy się znalezionym w trumnie pakunkiem.

– Czy wiecie, co się tam znajduje? – zapytał ich doktor Jenrette.

– Nie, musimy to otworzyć.

Jenrette rozłożył na wózku ręcznik i położył na nim paczkę. Ostrożnie przeciął skalpelem papier i wyjął z niego stare pudełko po damskich pantoflach, rozmiar szósty. Usunął taśmę, którą było oklejone, i zdjął pokrywkę.

– Niech to! – powiedział cicho, wpatrując się ze zdumieniem w to, co zostało umieszczone w trumnie dziewczynki.

W pudełku, zawinięty w dwie torebki foliowe, jakich używa się do przechowywania żywności w lodówce, znajdował się trup kilkumiesięcznego kotka. Gdy wzięłam go do ręki, poczułam, że jest sztywny jak deska, a pod futerkiem sterczały cienkie żebra. Była to czarna kotka, z białymi skarpetkami. Na jej ciele nie widać było śladów żadnych obrażeń, ale przyczynę śmierci poznaliśmy już kilka minut później, gdy zrobiłam zdjęcie rentgenowskie.

– Ma złamany kręgosłup – powiedziałam, oglądając podświetloną kliszę. Po plecach przebiegł mi dreszcz.

Doktor Jenrette podszedł bliżej i zmarszczył brwi.

– To wygląda tak, jakby w tym miejscu kręgosłup został przesunięty w stosunku do naturalnej pozycji – powiedział, dotykając kciukiem zdjęcia. – Bardzo dziwne. Nie wydaje mi się, aby takie uszkodzenie mogło powstać od uderzenia samochodem.

– Ona nie wpadła pod samochód – stwierdziłam. – Ktoś wykręcił jej głowę o dziewięćdziesiąt stopni.

Gdy około siódmej wieczorem dotarłam do motelu Travel-Eze, zastałam Pete'a Marino w pokoju. Jadł cheeseburgera. Rewolwer, portfel i kluczyki od samochodu leżały na jednym łóżku, a on sam na drugim. Na podłodze poniewierały się rozrzucone w nieładzie buty i skarpetki. Odniosłam

wrażenie, że wrócił do hotelu tuż przede mną. Spojrzał na mnie zdziwiony, gdy podeszłam do telewizora i wyłączyłam go.

– Wstawaj – powiedziałam. – Musimy coś sprawdzić.

Lucias Ray zaklinał się, że to Denesa Steiner umieściła pakunek z kotem w trumnie Emily. Widział to i myślał, że paczka owinięta bibułą i różową wstążką zawiera ulubioną zabawkę lub lalkę dziewczynki.

– Kiedy to zrobiła? – zapytał Marino, gdy szliśmy na parking.

– Tuż przed pogrzebem – odpowiedziałam. – Masz kluczyki do samochodu?

– Aha.

– To dlaczego nie otwierasz?

Po wyziewach formaliny potwornie rozbolała mnie głowa. Poza tym byłam niewyspana i głodna.

– Czy były jakieś wiadomości od Bentona? – zapytałam jak najbardziej obojętnym tonem.

– W recepcji czeka na ciebie cały stos faksów od niego.

Przyszłam prosto do twojego pokoju. A poza tym skąd o tym wiesz?

– Recepcjonista chciał mi je wręczyć. Widocznie uznał, że z nas dwojga to ja wyglądam na lekarza.

– Nie, to dlatego, że wyglądasz na mężczyznę – sprostowałam, pocierając skronie.

– Jestem mile zaskoczony, że biała kobieta to zauważyła.

– Marino, przestań gadać jak rasista, bo dobrze wiem, że nim nie jesteś.

– Jak ci się podoba mój samochód?

Staliśmy przed brązowym chevroletem caprice, wyposażonym w koguta, radionadajnik, telefon i skaner. W środku zauważyłam też kamerę wideo i

winchester, kaliber 12. Był to model siedmiostrzałowy, jakiego używa się w FBI.

– Mój Boże – powiedziałam. – Od kiedy to w Black Mountain potrzebna jest broń stosowana podczas rozruchów?

– Od teraz. – Marino uruchomił silnik.

– Czy to ty prosiłeś o to?

– Nie.

– A wiesz może, skąd dziesięcioosobowy komisariat policji posiada taki sprzęt, lepszy niż mają w Wydziale do Spraw Zapobiegania Narkomanii?

– Być może tu ludzie rozumieją, na czym polega funkcjonowanie wspólnoty lokalnej. Ta społeczność zмага się w tej chwili z paskudnymi problemami i tutejsi ludzie interesu oraz inni szacowni obywatele postanowili ruszyć dupami i sponsorować policję. Przekazali na jej potrzeby samochody, telefony i nawet broń. Jeden z tych gliniarzy powiedział mi dzisiaj, że rano zadzwoniła do nich jakaś staruszka z pytaniem, czy agenci federalni, którzy przyjechali do miasta, nie zechcieliby zjeść z nią w niedzielę obiadu.

– To miło z jej strony – powiedziałam rozbawiona.

– Poza tym rada miejska zastanawia się, czy nie zatrudnić nowych policjantów. Mam nawet pewne podejrzenia, które wiele wyjaśniają.

– Na przykład jakie?

– Policja w Black Mountain potrzebuje nowego szefa.

– A co się stało z dotychczasowym?

– Podobno Mote miał duże szanse, aby wskoczyć na ten stołek.

– Wciąż nie wiem, do czego zmierzasz.

– Może to, do czego zmierzam, znajduje się bardzo blisko pani doktor. Szukają doświadczonego człowieka i traktują mnie, jakbym był co najmniej Jamesem Bondem. Nie trzeba być noblistą, aby na to wpaść.

– Marino, co się, na Boga, z tobą dzieje? – zapytałam cicho.

– Co? – zapalił papierosa. – Najpierw nie wyglądałem na doktora, a teraz nie nadaję się także na szefa policji? Dla ciebie jestem po prostu nikim, nieokrzesanym prostakiem, który wyraża się tak, jakby wciąż jadał spaghetti z kumplami z mafii w New Jersey i umawiał się na randki z ciziami w obcisłych sweterkach i z tapirem na głowie.

Z furią wydmuchiwał dym.

– Tak, moja droga. Z tego, że lubię grać w kręgle, nie wynika, że jestem wytatuowanym palantem. A to, że nie chodziłem, jak ty, do żadnej z tych ekskluzywnych szkół, nie upoważnia cię, aby uważać mnie za niewydarzonego ciemniaka.

– Skończyłeś już?

– Jeszcze jedno – ciągnął. – Tutaj w okolicy jest wiele świetnych miejsc do łowienia ryb. Na przykład Bee Tree czy Lake James, a poza tym Montreat i Biltmore. Można tu całkiem tanio kupić kawałek ziemi. Mam już dość tych zasranych darmozjadów, którzy strzelają do siebie, i seryjnych morderców, których utrzymanie w pierdłu kosztuje więcej, niż ja dostaję za to, aby ich przyskrzynić. O ile te bandziory w ogóle trafią kiedyś do pierdła. Bardzo jestem tego ciekaw.

Od pięciu minut staliśmy już na podjeździe przed domem Steinerów. Budynek był oświetlony i zastanawiałam się, czy pani Steiner wie, że przyjechaliśmy i co nas sprowadza.

– Czy teraz skończyłeś? – zapytałam jeszcze raz.

– Nie, nie skończyłem. Tylko chce mi się już rzygać od tego gadania.

– Po pierwsze, nie chodziłam do żadnej ekskluzywnej szkoły...

– Tak, a John Hopkins czy Georgetown?

– Marino, do diabła, zamknij się.

Wyjrzał przez okno, a potem zapalił kolejnego papierosa.

– Byłam biednym włoskim dzieckiem, wychowującym się w biednej włoskiej dzielnicy, zupełnie jak ty – powiedziałam. – Różnica między nami polegała tylko na tym, że ja mieszkałam w Miami, a ty w New Jersey. Nigdy nie udawałam, że jestem kimś lepszym, podobnie jak nigdy nie nazwałam cię głupcem. Bo, cokolwiek by o tobie powiedzieć, głupi nie jesteś, nawet jeśli kaleczysz angielski i nigdy w życiu nie byłeś w operze.

– Wkurza mnie u ciebie zawsze to samo. Jesteś uparta jak osioł, a kiedy znajdziesz się w kiepskiej formie, stajesz się nietolerancyjna i zachowujesz się jak bigotka. Innymi słowy, traktujesz ludzi tak, jak wydaje ci się, że oni traktują ciebie.

Nacisnął klamkę.

– A poza tym nie mam czasu, aby robić ci wykład, i kompletnie mi na tym nie zależy. – Wyrzucił niedopałek i przydeptał go butem.

W milczeniu podeszliśmy do drzwi frontowych. Gdy Denesa Steiner powitała nas na progu, miałam wrażenie, że się domyśla, co wydarzyło się między nami. Gdy szliśmy za nią do salonu, Marino traktował mnie jak powietrze. Wnętrze wydało mi się znajome, gdyż pamiętałam je z fotografii. Pokój urządzony był bez gustu, z mnóstwem koronek i poduszek, a na ścianach wisiały doniczki z ozdobnymi roślinami i makramy. Zza szklanych drzwi dobiegało tykanie zegarów i trzask ognia na kominku. Najwidoczniej przerwaliśmy pani Steiner oglądanie filmu z Bobem Hope'em.

Wyłączyła telewizor i usiadła na bujanym fotelu. Wyglądała na zmęczoną.

– Miałam bardzo ciężki dzień – powiedziała.

– Deneso, rozumiem to doskonale – powiedział Marino, siadając na krześle i koncentrując na niej całą swoją uwagę.

– Przyjechaliście, aby mi powiedzieć, co znaleźliście? – zapytała, a ja zrozumiałam, że ma na myśli ekshumację.

– Przed nami jeszcze sporo badań – odpowiedziałam wymijająco.

– A więc nie znaleźliście jeszcze nic, co pomogłoby ująć tego człowieka.

– W jej głosie brzmiała rozpacz. – Gdy lekarze nie mają wiele do powiedzenia, często powołują się na konieczność dalszych badań. Po tym wszystkim, co przeszłam, wiem coś na ten temat.

– Te sprawy zajmują trochę czasu.

– Deneso – zaczął Marino. – Naprawdę bardzo mi przykro, że musimy cię niepokoić, ale chcielibyśmy ci zadać kilka pytań. Doktor Scarpetta chce cię o coś zapytać.

Spojrzała na mnie, nie przestając się bujać w fotelu.

– Pani Steiner, w trumnie Emily znaleźliśmy pudełko, zapakowane jak prezent. Szef domu pogrzebowego powiedział nam, że to pani je tam umieściła – powiedziałam.

– Och, ma pani na myśli Sock* [Sock (ang.) – skarpetka.] – przytaknęła.

– Sock? – zdziwiłam się.

– To była przybłąkana kotka, która kręciła się koło naszego domu. O ile pamiętam, pojawiła się jakiś miesiąc temu. Oczywiście Emily, która była bardzo wrażliwa, zaczęła ją dokarmiać. Ona naprawdę kochała to zwierzątko. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Nazwała ją Sock, bo była cała czarna, z wyjątkiem tych białych plamek na łapkach. – Uniosła dłonie i splótła palce. – Wyglądało, jakby nosiła skarpetki.

– Jak zginęła kotka? – zapytałam ostrożnie.

– Właściwie nie wiem. – Wyjęła z kieszeni chusteczkę i otarła oczy. – Pewnego ranka znalazłam ją nieżywą przed drzwiami domu. To było wkrótce po tym, jak Emily... Podejrzewałam, że temu biednemu stworzeniu pękło z żalu serce. – Zakryła usta chusteczką, aby stłumić szloch.

– Przyniosę coś do picia – powiedział Marino i wyszedł z pokoju.

Zdumiało mnie i zaniepokoiło zarazem, że był tak dobrze zaznajomiony z domem i jego właścicielką.

– Pani Steiner – powiedziałam, pochylając się w jej stronę. – Kotce Emily nie pękło serce. Miała skręcony kark.

Kobieta opuściła dłonie na kolana i gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Gdy spojrzała na mnie, zauważyłam, że ma bardzo zaczerwienione oczy.

– Co to znaczy?

– Że kot zginął śmiercią gwałtowną.

– Rozumiem, pewnie wpadł pod samochód. Uprzedzałam Emily, że to się może tak skończyć.

– Nie zginął pod samochodem.

– Sądzi pani, że zagryzł go któryś z okolicznych psów?

– Nie – powiedziałam, gdy Marino wchodził do pokoju, niosąc kieliszek z czymś, co wyglądało jak białe wino. – Tego kota ktoś zabił. Z zimną krwią.

– Skąd pani to wie? – Wyglądała na przerażoną, a gdy stawiała na stole kieliszek, zauważyłam, że drżą jej ręce.

– Na zdjęciu rentgenowskim wyraźnie widać, że ma złamany kręgosłup – wyjaśniałam spokojnie. – Zdaję sobie sprawę, co pani czuje, słuchając tych szczegółów, ale nie chcemy niczego przed panią ukrywać. Być może będzie pani w stanie pomóc nam w znalezieniu osoby, która to zrobiła.

– Czy masz jakiegokolwiek podejrzenia, kto mógłby zabić tego kota? – zapytał Marino, siadając na krześle i pochylając się w stronę Denesy. Dłonie oparł na kolanach, jakby dając do zrozumienia, że w jego obecności powinna czuć się bezpieczna.

Pani Steiner próbowała się opanować. Sięgnęła po wino i upiła trochę z kieliszka.

– Pamiętam, że odebrałam kilka telefonów. – Wzięła głęboki oddech. – Widzicie, jakie mam niebieskie paznokcie. Jestem wrakiem. – Wyciągnęła w naszą stronę wypielęgnowaną dłoń. – Nie mogę się uspokoić. Nie mogę spać. Nie wiem, co robić. – Znowu zaczęła płakać.

– Deneso, już dobrze – uspokajał ją Marino. – Mamy dużo czasu. Nigdzie nam się nie śpieszy. Opowiedz mi o tych telefonach.

Wytarła oczy i mówiła dalej.

– Dzwonili głównie mężczyźni. Ale był też jeden telefon od kobiety, która powiedziała, że gdybym się lepiej opiekowała Emily, nie doszłoby do... Któregoś dnia zadzwonił jakiś chłopak, chyba jeden z tych, którzy lubią robić sobie kawały przez telefon. Coś mi wtedy naopowiadał. Zdaje się, że widział Emily jadącą na rowerze. Ale to było już po... Nie mógł jej więc widzieć. Ale inny mężczyzna, starszy, zadzwonił i powiedział, że to jeszcze nie koniec. – Wypiła trochę wina.

– Jeszcze nie koniec? – zapytałam. – Czy powiedział coś więcej?

– Nie pamiętam. – Zamknęła oczy.

– Kiedy to było? – spytał Marino.

– Zaraz po tym, jak ją znaleziono. Tam nad jeziorem. – Znowu sięgnęła po kieliszek, ale potrąciła go niechcący i wino rozlało się na blacie stolika.

– Ja to zrobię. – Marino zerwał się z krzesła. – I tak muszę wyjść zapalić.

– Czy domyśla się pani, co mógł mieć na myśli?

– Wiedziałam, że chodzi mu o to, co się zdarzyło. Czułam, że on mi grozi, że to jeszcze nie koniec nieszczęść. I chyba dzień później znalazłam Sock. Kapitanie – zwróciła się do Pete'a – może przygotowałby pan kilka tostów z masłem orzechowym lub serem. Czuję, jak spada mi poziom cukru we krwi.

Marino wyszedł z salonu.

– Czy ten mężczyzna, który włamał się do pani domu i uprowadził córkę, mówił coś do pani?

– Powiedział, że jeżeli nie będę robiła tego, co mi każe, zabije mnie.

– A zatem słyszała pani jego głos.

Pokiwała głową, nie spuszczając ze mnie wzroku i nie przestając się bujać w fotelu.

– Czy był podobny do głosu tego mężczyzny, który groził pani przez telefon?

– Sama nie wiem. Może. Ale naprawdę trudno mi powiedzieć.

– Pani Steiner...

– Proszę mi mówić Denesa. – Jej wzrok stał się bardziej przenikliwy.

– Czy zapamiętała pani jakieś szczegóły dotyczące napastnika?

– Zastanawia się pani, czy to mógłby być ten człowiek z Wirginii, który zamordował chłopca?

Nie odpowiedziałam.

– Pamiętam zdjęcia tego chłopca i jego rodziny w magazynie „People”. Pamiętam też, co wtedy pomyślałam: Boże, jakie to potworne, nie wyobrażam sobie, jak ja mogłabym to przeżyć. Bardzo ciężko zniosłam śmierć Mary Jo. Wydawało mi się, że tego nie przeżyję.

– Czy Mary Jo zmarła w wyniku zespołu nagłej śmierci noworodka?

Denesa Steiner rzuciła mi zdziwione spojrzenie, nie spodziewając się widocznie, że znam szczegóły śmierci jej młodszej córki.

– Umarła w moim łóżku. Obudziłam się rano, a ona leżała martwa pomiędzy mną a Chuckiem.

– Chuck to był pani mąż?

– Najpierw przeraziłam się, pomyślałam bowiem, że może to on stoczył się w nocy na Mary Jo i przydusił ją sobą. Ale lekarze powiedzieli, że to był ten zespół nagłej śmierci.

– W jakim wieku była córeczka? – zapytałam.

– Dopiero co obchodziliśmy jej pierwsze urodziny. – W oczach Denesy Steiner znowu pojawiły się łzy.

– Czy Emily była już na świecie?

– Urodziła się rok później, a ja bałam się, że z nią też stanie się coś podobnego. Ciągle płakała, męczyła ją kolka. Była taka krucha i delikatna. Lekarze obawiali się, że też może umrzeć na to samo, co Mary Jo, więc gdy spała, sprawdzałam bez przerwy, czy oddycha. Sama miałam kłopoty ze snem i ciągle krążyłam wokół niej jak zombie. W górę i na dół schodami, i tak przez cały czas, noc za nocą. Żyłam w strasznym lęku.

Na chwilę zamknęła oczy i mocniej rozbijała fotel. Brwi miała ściągnięte grymasem bólu, dłonie kurczowo zaciskała na poręczach.

Zastanawiałam się, czy Marino nie jest na mnie zły za pytania, które zadaję pani Steiner, i czy to nie z tego powodu tak często wychodzi z pokoju. Jeżeli tak, to jego zaangażowanie emocjonalne stanowiłoby poważne obciążenie. Obawiałam się, że już wkrótce może przestać być użyteczny w tej sprawie.

Pani Steiner otworzyła oczy i spojrzała wprost na mnie.

– On zabił wielu ludzi, a teraz jest tutaj – powiedziała.

– Kto? – zdziwiłam się, zajęta swoimi myślami.

– Tempie Gault.

– Nie mamy pewności, że tu jest – zaproponowałam.

– Ale ja mam.

– Czemu pani tak sądzi?

– Po tym, co zrobił mojej Emily. To w jego stylu. – Po policzku spłynęła jej łza. – Mam przeczucie, że będę następną ofiarą. Ale nie boję się. Co mi zostało z życia po tej tragedii?

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedziałam najcieplej, jak umiałam.
– Czy może nam pani opowiedzieć coś więcej o tej niedzieli? O niedzieli pierwszego października?

– Rano, jak zwykle, poszliśmy do kościoła, a potem do szkółki niedzielnej. Wróciliśmy do domu, zjadliśmy lunch i Emily poszła do swojego pokoju. Jakiś czas ćwiczyła grę na gitarze. Prawdę powiedziawszy, tamtego dnia nie spędziłyśmy ze sobą wiele czasu. – Zamilkła, jakby zatopiła się we wspomnieniach.

– Czy Emily wyszła w niedzielę wcześniej niż zwykle na umówione spotkanie z kolegami?

– Pamiętam, że przyszła do kuchni. Właśnie robiłam chlebek bananowy. Powiedziała, że musi wcześniej wyjść, bo chce jeszcze poćwiczyć na gitarze. Jak zawsze, dałam jej trochę drobnych na tacę.

– A co robiła po powrocie do domu?

– Przyszła akurat na kolację. – Patrzała na mnie nieruchomymi oczami.
– Wyglądała na nieszczęśliwą. Chciała wziąć do pokoju Sock, ale jej nie pozwoliłam.

– Dlaczego pani uważa, że była nieszczęśliwa?

– Była jakaś nieswoja. Wie pani, jak zachowują się dzieci, gdy są nie w humorze. Poszła od razu do swojego pokoju i położyła się do łóżka.

– Proszę mi opowiedzieć, co zwykle jadała – poprosiłam, pamiętając, że Ferguson miał ją o to spytać po powrocie z Quantico. Przypuszczałam, że nie zdążył.

– Była niejadkiem. Miała wybredne podniebienie.

– Czy w niedzielę zjadła kolację?

– To właśnie było przyczyną drobnej scysji przy posiłku. Emily rozgrzebywała jedzenie na talerzu. Dąsała się na mnie. – Pani Steiner

mówiła przerywanym głosem. – Zawsze były z nią tego typu kłopoty... Musiałam ją zmuszać do jedzenia.

– Czy Emily miała skłonności do biegunek lub nudności?

– Była bardzo chorowita – odpowiedziała, patrząc mi prosto w oczy.

– To, że często chorowała, nie znaczy jeszcze, że miewała biegunki i nudności – wyjaśniłam cierpliwie.

– Tak, miewała. Mówiłam to już Maxowi Fergusonowi. – Z jej oczu znowu popłynęły łzy. – Doprawdy nie rozumiem, dlaczego mam wciąż odpowiadać na te same pytania. To boli. Moje rany są jeszcze świeże.

– Przykro mi – powiedziałam ze współczuciem, o które sama siebie nie podejrzewałam. Kiedy zdążyła o tym opowiedzieć Fergusonowi? Czy dzwonił do niej po powrocie z Quantico? Jeżeli tak, musiała być jedną z ostatnich osób, z którymi rozmawiał przed śmiercią.

– Przecież to się jej nie przydarzyło dlatego, że była chorowita – skarżyła się Denesa Steiner, zanosząc się płaczem. – Sądziłam, że będziecie mi zadawać takie pytania, które pomogą go schwytać.

– Pani Steiner. Wiem, że trudno pani o tym mówić, ale gdzie zamieszkaliście po śmierci Mary Jo?

– Boże, błagam, pomóż mi.

Schowała twarz w dłoniach. Widziałam, że usiłuje wziąć się w garść, ramiona jednak wciąż drgały jej od szlochu. Powoli jednak opanowała się i wreszcie spojrzała na mnie. Jej oczy były tak zimne, że przypominały jezioro nocą, z lustrem wody nieruchomym jak z kamienia. Poczułam nagły lęk, znany mi czasami ze snów.

– Czy pani zna tego człowieka? – zapytała cicho.

– Jakiego człowieka? – zdziwiłam się.

W tym momencie do pokoju wszedł Marino, niosąc kanapki, butelkę chablis i papierowy ręcznik.

– Mężczyznę, który zabił tamtego chłopca. Czy pani rozmawiała kiedyś z Gaultem? – zapytała.

Marino podniósł jej kieliszek i napełnił winem, a tacę z kanapkami postawił na stoliku.

– Pozwól, że ci pomogę. – Wzięłam od niego serwetkę i wytarłam rozlane wino.

– Proszę mi powiedzieć, jak on wygląda. – Znowu zamknęła oczy.

Przed oczyma stanęła mi jak żywa twarz Gaulta, wyraźnie czułam jego przeszywający wzrok, widziałam jasne włosy. Był szczupły, niewysoki i szybki. Ale najważniejsze były oczy. Nigdy ich nie zapomnę. Wiedziałam, że mógłby rozpruć człowiekowi gardło bez drgnienia powieki. Wszystkie swoje ofiary zabijał, patrząc na nie tymi błękitnymi oczami.

– Przepraszam – powiedziałam, zdając sobie sprawę, że pani Steiner czeka na odpowiedź.

– Dlaczego pozwoliliście mu uciec? – zapytała oskarżycielskim tonem i znowu zaczęła płakać.

Pora była kończyć wizytę. Przy pożegnaniu Marino jeszcze raz powtórzył Denesie, że koniecznie powinna odpocząć. Był w bardzo złym humorze, gdy wsiadaliśmy do samochodu.

– To Gault zabił jej kota – powiedział.

– Nie ma żadnej pewności.

– Nie chcę tego słuchać, mówisz jak prawnik.

– Bo jestem prawnikiem – odparłam.

– No tak. Wybacz, zapomniałem, że posiadasz również tego rodzaju wykształcenie. Po prostu umknęło mojej pamięci, że jesteś doktorem, prawnikiem i wodzem indiańskim w jednej osobie.

– Wiesz, że Ferguson kontaktował się z panią Steiner po powrocie z Quantico?

- Do diabła, nic mi o tym nie wiadomo.
 - Żegnając się z nami, wspominał, że chce zadać jej kilka pytań o stan zdrowia Emily. Z tego, co mi powiedziała, wynika, że się kontaktowali, a zatem musiał z nią rozmawiać tuż przed śmiercią.
 - Może zatelefonował do niej od razu po przyjeździe z lotniska.
 - A potem udał się na górę i założył sobie na szyję pętlę.
 - Nie, pani doktor. Poszedł na górę walić konia. Może to rozmowa z nią wprowadziła go w taki nastrój.
 - To było możliwe.
 - Marino, jak nazywa się ten chłopak, który podobał się Emily? Pamiętam tylko, że ma na imię Wren.
 - Czemu pytasz?
 - Chcę się z nim zobaczyć.
- Pragnę ci przypomnieć, że jest dziewiąta. O ile znam uczniowskie zwyczaje, to powinien już kłaść się spać.
- Marino – powiedziałałam wkurzona – możesz odpowiedzieć na moje pytanie?
 - Wiem, że mieszka gdzieś niedaleko Steinerów. – Zatrzymał się na poboczu i zapalił światło w samochodzie. – Nazywa się Maxwell.
 - Muszę się z nim spotkać jeszcze dziś.
- Marino zamknął notes i spojrzał na mnie. W jego zmęczonych oczach czaiło się coś więcej niż uraza. Wyrażały ból.
- Maxwellowie mieszkali w nowoczesnym drewnianym domu, zbudowanym na zalesionej działce, z której widać było jezioro.
- Zaparkowaliśmy wóz na żwirowym podjeździe, rzęsiście oświetlonym żółtawym światłem reflektorów. Było tak zimno, że liście rododendronów zaczęły się już zwijać, a oddech zmieniał się w kłęby pary. Drzwi otworzył

nam młody, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy, w okularach. Ubrany był w ciemny, wełniany szlafrok, na nogach miał kapcie. Przemknęło mi przez myśl, że w tym mieście chyba nie tylko uczniowie szykują się na spoczynek przed dziesiątą wieczorem.

– Jestem kapitan Marino, a to doktor Scarpetta – powiedział Marino ostrym, policyjnym tonem, który napełniłby lękiem każdego obywatela. – Współpracujemy z lokalną policją w sprawie Emily Steiner.

– Jesteście tą ekipą spoza miasta – rzekł nasz rozmówca.

– Czy pan Maxwell? – zapytał Marino.

– Lee Maxwell. Proszę wejść. Domyślam się, że chcecie państwo porozmawiać o Wrenie.

Gdy znaleźliśmy się w holu, po schodach zeszła otyła kobieta w różowym peniuarze. Spojrzała na nas tak, jakby doskonale wiedziała, po co przyszliśmy.

– Jest w swoim pokoju na górze. Właśnie skończyłam czytać mu książkę – powiedziała.

– Czy mogę teraz porozmawiać z państwa synem? – zapytałam możliwie miłym głosem, widząc, że Maxwellowie są zdenerwowani.

– Zaraz po niego pójde – zaproponował ojciec.

– Jeśli można, wolałabym wejść na górę.

Pani Maxwell bezmyślnie skubała nitkę sterczącą ze szwa na mankiecie szlafroka. W uszach miała małe srebrne kolczyki w kształcie krzyżyków, pasujące do naszyjnika.

– Gdy doktor Scarpetta pójdzie na górę, ja poproszę państwa o chwilę rozmowy – oznajmił Marino.

– Ten policjant, który zmarł, już rozmawiał z Wrenem – poinformował nas Lee Maxwell.

– Wiem o tym – oznajmił Marino tonem dającym do zrozumienia, że kompletnie go nie interesuje, kto rozmawiał z ich synem. – Postaramy się nie zabrać państwu wiele czasu.

– W takim razie proszę na górę – zwróciła się do mnie pani Maxwell.

Zaczęła się ociężale wspinać po drewnianych schodach, a ja posuwałam się wolno za nią. Na piętrze, które było tak jaskrawo oświetlone, że natychmiast rozbolały mnie oczy, było kilka pokoi. Odniosłam wrażenie, że w domu Maxwellów światło pali się w każdym, najmniejszym nawet kącie. Gdy weszliśmy do sypialni, Wren stał w piżamie na środku pokoju. Spojrzał na nas tak, jakbyśmy przyłapały go na czymś, co wolałby ukryć.

– Dlaczego nie leżysz w łóżku, synku? – zapytała matka, głosem bardziej zmęczonym niż zaskoczonym.

– Chciało mi się pić.

– Chcesz, żebym ci przyniosła jeszcze jedną szklankę wody?

– Nie, ta mi wystarczy.

Patrząc na niego, zrozumiałam, dlaczego Emily się w nim zadurzyła. Był wysoki i bardzo szczupły, jakby mięśnie nie nadążały za tempem wzrostu. Miał puszyste jasnoblonde włosy, ciemnoniebieskie oczy, gładką cerę i pełne usta. Paznokcie nosiły ślady obgryzania, a nadgarstki opinały ciasno przylegające bransoletki z niewyprawionej cielej skóry. Gość mi mówiło, że musi mieć w szkole duże powodzenie u dziewcząt, które zapewne traktuje nie najlepiej.

– Wren, to jest pani doktor... – kobieta spojrzała na mnie – ...przepraszam, ale nie zapamiętałam pani nazwiska.

– Nazywam się Scarpetta – uśmiechnęłam się do Wrena, który patrzył na mnie zdziwiony.

– Nie jestem chory – powiedział szybko.

– Pani nie jest doktorem tego rodzaju – wyjaśniła pani Maxwell.

- A jakiego? – Ciekawość zwyciężyła nieśmiałość chłopca.
- Takiego, jak na przykład Lucias Ray.
- On nie jest doktorem. – Wren spojrział na matkę spod oka.
- Ray jest grabarzem.
- Dobrze już, połóż się do łóżka, bo jeszcze złapiesz grypę.

Doktor Scarletti, proszę sobie przysunąć krzesło. W razie czego będę na dole.

– Nazywa się Scarpetta! – wrzasnął chłopak za matką, która była już za drzwiami.

Wszedł do podwójnego łóżka i przykrył się wełnianym kocem w kolorze gumy do żucia. Rozejrzałam się po pokoju. W oknach wisiały firanki z sylwetkami graczy baseballowych, a na parapecie zauważyłam proporczyki różnych drużyn sportowych. Sosnowe ściany zaklejone były plakatami z wizerunkami gwiazd. Rozpoznałam jedynie Michaela Jordana, unoszącego się w powietrzu niczym bóg sportu. Przysunęłam sobie krzesło bliżej łóżka.

- Co trenujesz? – zapytałam.
- Gram w Yellow Jackets – odpowiedział szczęśliwy, że znalazł kogoś, z kim może o tym porozmawiać i opóźnić porę pójścia spać.
- Yellow Jackets?
- Tak nazywa się zespół, w którym gram w małej lidze. Wie pani, dajemy w kość wszystkim z okolicy. To naprawdę dziwne, że nie słyszała pani o nas.
- Jestem pewna, że znałabym twoją drużynę, gdybym mieszkała nieco bliżej. Niestety, pracuję daleko stąd.

Spojrział na mnie, jakbym była jakimś egzotycznym okazem za grubą szybą w ogrodzie zoologicznym.

– Gram też w koszykówkę. Potrafię dryblować jak szatan. Założę się, że pani tak nie potrafi.

– Masz całkowitą rację. Nie potrafię. Ale czy możemy teraz porozmawiać o twojej przyjaźni z Emily Steiner?

Wren natychmiast spuścił oczy i zaczął się przyglądać dłoniom, którymi nerwowo skubał brzeg koca.

– Czy długo ją znałeś? – zaczęłam.

– Widywaliśmy się często. Byliśmy w tym samym wieku i spotykaliśmy się w kościele. – Spojrzał na mnie niepewnie. – Poza tym oboje chodziliśmy do szóstej klasy, chociaż mieliśmy innych wychowawców. Mnie uczy pani Winters.

– Czy znałeś Emily od czasu, gdy jej rodzice tu się sprowadzili?

– Chyba tak. Przyjechali z Kalifornii. Mama mówi, że tam są trzęsienia ziemi, bo ludzie nie wierzą w Jezusa.

– Mam wrażenie, że Emily bardzo cię lubiła – powiedziałam. – A nawet myślę, że podkochiwała się w tobie. Domyślałeś się tego?

Pokiwał głową, spuszczać ponownie oczy.

– Wren, czy pamiętasz, kiedy ostatni raz ją widziałeś?

– To było w kościele. Przyszła wtedy z gitarą, bo to była jej kolej.

– Kolej na co?

– Na granie. Zwykle to Owen lub Phil grają na pianinie, ale Emily też czasami grała na gitarze. Nie była w tym najlepsza.

– Czy tego popołudnia mieliście się spotkać w kościele?

Zaczerwienił się i przygryzł mocno dolną wargę, chcąc ukryć jej drżenie.

– Nie denerwuj się, Wren. Nie zrobiłeś nic złego.

– Poprosiłem ją o spotkanie przed pójściem do kościoła – powiedział cicho.

– I jak to przyjęła?

– Powiedziała, że przyjdzie, ale miałem o tym nikomu nie mówić.

– Czemu chciałeś się z nią spotkać? – zapytałam.

- Bo byłem ciekaw, czy się zgodzi.
- Dlaczego?
- Policzki Wrena niemal płonęły i z trudem powstrzymywał łzy.
- Nie wiem – przyznał się.
- Wren, powiedz mi, co się stało.
- Pojechałem na rowerze do kościoła, aby sprawdzić, czy przyszła.
- O której to mogło być?
- Nie pamiętam. Ale co najmniej na godzinę przed spotkaniem naszej grupy w kościele – powiedział. – Zobaczyłem ją przez okno. Siedziała w środku i ćwiczyła na gitarze.
- I co potem?
- Odjechałem i przyszedłem o piątej z Paulem i Willym. Mieszkają tu obok. – Wskazał ręką kierunek.
- Czy rozmawiałeś z nią? – zapytałem.
- Po policzkach płynęły mu łzy, które niecierpliwie ocierał.
- Nic jej nie powiedziałem. Cały czas przyglądała mi się, ale ja udawałem, że jej nie widzę. Była rozdrażniona. Jack zapytał ją, co się stało.
- Kto to jest Jack?
- Prowadzi te spotkania. Uczy się jeszcze w Montreat Anderson College. Jest gruby i nosi brodę.
- I co Emily mu odpowiedziała?
- Powiedziała, że czuje się tak, jakby miała grypę. I wyszła z kościoła.
- Na długo przed końcem?
- Kiedy brałem koszyczek z pianina, bo tego dnia była moja kolej na zbieranie datków.
- A więc było to raczej pod koniec spotkania?
- Tak, pod koniec. Poszła do domu na skróty. – Znowu przy gryzł wargę. Koc ścisnął tak mocno, że aż zbieleły mu kostki.

– Skąd wiesz, że poszła na skróty? – zapytałam.

Spojrzał na mnie i głośno pociągnął nosem. Wręczyłam mu kilka chusteczek, żeby go dobrze wydmuchał.

– Wren – zapytałam znowu, gdy wytarł nos – czy widziałeś, jak Emily idzie na skróty?

– Nie, proszę pani – odparł załamującym się głosem.

– A czy w ogóle ktokolwiek to widział?

Wzruszył ramionami.

– Zatem skąd ta pewność?

– Wszyscy tak mówili – wyjaśnił.

– Podobnie jak wszyscy mówili, w którym miejscu znaleziono jej ciało?

– próbowałam go wy badać. – Ty znasz dobrze to miejsce, prawda, Wren? – pytałam dalej.

– Tak, proszę pani – przytaknął niemal szeptem.

– Możesz mi je opisać?

Zaczął mówić, nie odrywając oczu od swoich dłoni.

– W tym miejscu często łowią ryby kolorowi. Rośnie tam wiele chwastów, woda przy brzegu jest zamulona, a z drzew zwisają węże i skaczą olbrzymie ropuchy. Znalazł ją jakiś kolorowy, nie miała na sobie nic poza skarpetkami, i on się tak przeraził, że zrobił się biały jak pani. Po tym wypadku tata zainstalował te wszystkie światła.

– Światła?

– Na drzewach i koło domu. Nie mogę przez to spać, a mama dostaje szału.

– Czy to tata powiedział ci o tym miejscu?

Wren pokręcił głową.

– Więc kto ci powiedział?

– Creed.

– Creed?

– To jeden z woźnych w naszej szkole. Robi patyczki, które od niego kupujemy, dziesięć za dolara. Nasącza je miętą lub cynamonem. Ja najbardziej lubię te cynamonowe, bo smakują jak ogniste kulki. Czasami, gdy nie mam forsy, wymieniam u niego słodycze na te patyczki. Tylko niech pani o tym nikomu nie mówi – poprosił, zmartwiony, że zdradził swoją tajemnicę.

– Jak wygląda ten Creed? – zapytałam, czując, jak w głowie brzęczy mi dzwonek alarmowy.

– Bo ja wiem? Nie jest już taki młody i zawsze nosi białe skarpetki i wysokie buty.

– Wiesz, jak się nazywa?

Wren pokręcił głową.

– Czy od dawna pracuje w waszej szkole?

– Nie, przyszedł na miejsce Alberta, który rozchorował się od papierosów i wycięli mu płuco.

– Wren, czy Emily i Creed znali się?

– Czasami doprowadzaliśmy ją do furii, żartując, że to jej narzeczony. Kiedyś dał jej jakieś kwiaty, które sam zbierał. Dawał jej też chyba słodycze, bo Emily nie lubiła patyczków. Wie pani, wiele dziewczyn woli cukierki od patyczków.

– To prawda – potwierdziłam z niewesołym uśmiechem. – Myślę, że wolą cukierki.

Na koniec zapytałam go jeszcze, czy był w miejscu, gdzie znaleziono ciało Emily. Powiedział, że nie.

– Wierzę mu – powiedziałam do Marino, gdy opuściliśmy już jasno oświetlony dom Maxwellów.

– A ja nie. Myślę, że boi się starego i chroni swój tyłek. – Zmniejszył ogrzewanie. – Ten samochód ma najlepsze ogrzewanie, jakie znam. Brakuje mu tylko grzania w fotelach, tak jak w twoim mercedesie.

– Sposób, w jaki opisał mi to miejsce nad jeziorem, wskazuje raczej na to, że nigdy tam nie był – kontynuowałam. – Nie sądzę, żeby to on zostawił tam kulki.

– A zatem kto?

– Czy znasz woźnego z ich szkoły imieniem Creed?

– Nie, do diabła.

– Radzę ci go znaleźć. I powiem ci coś jeszcze. Moim zdaniem, Emily wcale nie wracała z kościoła do domu drogą na skróty.

– Cholera – zaczął narzekać. – Nienawidzę, kiedy mówisz takie rzeczy. Wszystko się wtedy rozsypuje, jakbyś potrząsała pieprzonym pudełkiem puzzli.

– Marino, ja szłam tą drogą nad brzegiem jeziora. To niemożliwe, aby jedenastoletnia dziewczynka albo ktokolwiek inny mógł tamtędy spacerować po ciemku. A o szóstej wieczorem, kiedy ona wracała do domu, panował już mrok.

– Zatem skłamała matce – powiedział.

– Na to wygląda. Tylko dlaczego?

– Może Emily coś ukrywała?

– Co na przykład?

– Nie wiem. Masz jakąś whisky w pokoju? Nie pytam, czy masz bourbona, bo nie podejrzewam cię o to.

– To prawda. Nie mam bourbona.

Gdy wróciliśmy do motelu, czekało na mnie pięć faksów. Trzy były od Wesleya. Biuro miało przysłać po mnie o świcie helikopter.

Gdy udało mi się dodzwonić, usłyszałam niepokojące wieści.

- Oprócz innych spraw, mamy kłopoty z twoją siostrzenicą.
- Przywieziemy cię prosto do Quantico – powiedział Wesley.
- Co się stało? – Poczułam skurcz w żołądku. – Nic jej nie jest?
 - Kay, to nie jest sprawa na telefon.
 - Ale czy wszystko z nią w porządku?
 - Fizycznie tak – odpowiedział.



Gdy obudziłam się rano, góry przesłaniała gęsta mgła. Ponieważ mój wylot do Quantico przełożono na popołudnie, postanowiłam rozpocząć dzień od krótkiej przebieżki.

Wybrałam trasę między przytulnymi, jednorodzinnymi posesjami, przed którymi parkowały eleganckie samochody. Z rozbawieniem przyglądałam się, jak na jednym z podwórek miniaturowy collie, ujadając, ganiał opadające liście. Z domu wyszła właścicielka, aby uciszyć psa.

– Już starczy, Shooter, uspokój się!

Kobieta miała na sobie pikowany szlafrok i puchate bambosze, a we włosach wałki. Sprawiała wrażenie, jakby domowy strój absolutnie jej nie krępował. Podeszła do bramy, wzięła leżące tam gazety i, uderzając nimi mocno o dłoń, zawołała jeszcze raz psa. Pomyślałam, że mieszkający tu ludzie do niedawna jeszcze nie spodziewali się poważniejszych przestępstw niż kradzież porannej prasy lub rozwieszenie festonów papieru toaletowego między drzewami. Tak pewnie było aż do śmierci Emily Steiner.

Cykady wciąż rzępoliły tę samą zgrzytliwą melodyjkę, którą słyszałam w nocy, a liście chlebów świętojańskich, pachnącego groszku i powojów pokryte były rosą. Tuż przed jedenastą zaczął padać ulewny deszcz i siedząc w motelu, czułam się jak na wysepce otoczonej rwącymi wodami.

Dopiero o wpół do trzeciej po południu pogoda poprawiła się na tyle, że helikopter mógł wystartować. Z uwagi na próbę orkiestry wojskowej nie

możliśmy tym razem skorzystać ze szkolnego boiska i Whit miał wylądować na łące w pobliżu miasteczka Montreat, oddalonego kilka mil od motelu Travel-Eze.

Przyjechałam radiowozem z Black Mountain trochę przed czasem i, czekając na Whita w zaparkowanym aucie, przyglądałam się dzieciom grającym w jedną z odmian piłki nożnej. Chłopcy gonili za dziewczętami, a dziewczęta za chłopcami, usiłując zerwać przeciwnikom czerwone szmatki, związane wokół nadgarstków. Wsłuchiwałam się w dziecięce głosy niesione wiatrem, który czasami porywał piłkę, unosząc ją w górę, pomiędzy gałęzie drzew rosnących wokół boiska. Wtedy wszyscy przerywali grę, czekając, aż piłka spadnie w krzaki dzikich róż lub na ulicę. Dziewczęta odpoczywały na ławce, a gdy chłopcy odzyskiwali piłkę, gra toczyła się dalej.

Żałowałam, że warkot zbliżającego się helikoptera przerwał tę bez troską zabawę. Dzieci znieruchomiały z wrażenia i obserwowały, jak Bell JetRanger powoli opuszcza się na ziemię, aby w końcu z ogłuszającym łoskotem śmigieł wylądować na łące. Wsiadłam do kabiny i gdy unieśliśmy się nad wierzchołki drzew, pomachałam dzieciom na pożegnanie.

Słońce chowało się już za linię horyzontu i wkrótce niebo przybrało barwę ciemnognatowego atramentu. Przez całą drogę nie pojawiła się na nim ani jedna gwiazda. Wylądowaliśmy na terenach Akademii, gdzie czekał już na nas Wesley, który przez całą drogę utrzymywał kontakt radiowy z helikopterem. Pomógł mi przy wysiadaniu i razem wyszliśmy z lotniska.

– Pójdziemy tędy – powiedział. – Cieszę się, że cię znowu widzę – dodał ciszej, a ja zaczerwieniłam się, czując na ramieniu jego dłoń.

Odciski palców znalezione na majtkach Fergusona należą do Denesy Steiner.

– Co takiego?

Wesley pewnie prowadził mnie przez nieoświetlone tereny.

– Poza tym analiza krwi wykazała, że krew w tkance, którą znaleźliśmy w lodówce, należy do grupy 0, czyli takiej samej, jaką miała Emily Steiner. Ciągłe jeszcze nie mamy wyników badań DNA, ale wszystko wskazuje na to, że Ferguson ukradł damską bieliznę z domu Steinerów, gdy włamał się tam, aby uprowadzić Emily.

– Chcesz powiedzieć, kiedy ktoś się tam włamał i uprowadził Emily.

– Masz rację. Gault może świadomie wprowadzać nas w błąd.

– Benton, na litość boską, co z Lucy? Gdzie ona jest?

– Mam nadzieję, że w swoim pokoju w internacie – odpowiedział, gdy wchodziliśmy do holu budynku Jeffersona.

W środku oślepiło mnie mocne światło i dopiero po chwili spostrzegłam nad stanowiskiem informacyjnym elektroniczny napis: WITAJCIE W AKADEMII FBI. Niestety, tym razem nie czułam się tu dobrze.

– Co ona zrobiła? – ponowiłam pytanie, gdy Wesley za pomocą karty magnetycznej otwierał szklane drzwi, zabezpieczone blokadami Departamentu Sprawiedliwości i Akademii Narodowej.

– Poczekaj z tym, dopóki nie zjedziemy na dół – poprosił.

– A jak twoja ręka? I kolano? – zapytałam.

– Dużo lepiej, zwłaszcza po tym, jak obejrzał mnie lekarz.

– Miły jesteś – powiedziałam cierpko.

– Miałem na myśli ciebie. Nie byłem u innego lekarza.

– Jeżeli tak, to mogę ci jeszcze wyczyścić szwy.

– Nie sądzę, aby to było konieczne.

– Potrzebuję do tego tylko wody utlenionej i waty. Nie martw się. Nie będzie bolało.

Zjechaliśmy windą na niższy poziom, gdzie mieściła się Sekcja Dochodzeniowa, punkt newralgiczny FBI.

Wesley kierował pracą jedenastu psychologów kryminalnych, ale o tak późnej porze nie spotkaliśmy już w biurze nikogo. Zawsze lubiłam jego gabinet, którego wystrój ujawniał prawdziwą naturę Wesleya, a zwłaszcza wrażliwość i skromność tego człowieka.

Podczas gdy większość jego kolegów dekorowała ściany dyplomami i innymi dowodami uznania zasług w obronie prawa, Wesley zawiesił w swoim pokoju obrazy współczesnych artystów, z których kilka było wysokiej klasy dziełami sztuki. Najbardziej lubiłam pejzaż autorstwa Valoy Eaton, bardzo cenny i, moim zdaniem, dorównujący pracom Remingtona. Sama miałam w domu kilka olejnych płócien Eaton, ale najciekawsze było to, że ja i Benton odkryliśmy tę malarkę ze stanu Utah niezależnie od siebie.

Zamiłowanie do malarstwa nie przeszkadzało mu w gromadzeniu cennych trofeów zawodowych, tu i ówdzie ze smakiem wyeksponowanych. Jednakże biała czapka wiedeńskiego policjanta czy srebrna ostroga gausza z Argentyny nie miały nic wspólnego z seryjnymi mordercami lub innymi przestępstwami, nad którymi pracował. W większości były to prezenty od podróżujących przyjaciół, także ode mnie. Podarowałam mu kilka drobiazgów, uważając, że gdy słowa zawodzą, należy posługiwać się symbolami. Otrzymał ode mnie włoską pochwę na miecz, pistolet wykładany kością słoniową i pióro wieczne Mont Blanc, które zawsze nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki, blisko serca.

– Powiedz mi wreszcie, co się stało – poprosiłam, siadając na krześle. – Wyglądasz bardzo źle.

– Bo czuję się źle. – Rozluźnił krawat i przeczesał nerwowo palcami włosy. – Kay – spojrzał mi wreszcie w oczy – Chryste, nie wiem, jak ci to powiedzieć.

– Najlepiej wprost – zaproponowałam spokojnie, chociaż czułam, jak krew burzy mi się w żyłach.

– Wygląda na to, że Lucy włamała się do Ośrodka Badań Technicznych, że pogwałciła zasady bezpieczeństwa.

– Po co miałyby się tam włamywać? – zapytałam zdumiona. – Benton, przecież ona miała pozwolenie, aby tam wchodzić.

– Ale nie o trzeciej nad ranem, a o tej właśnie porze biometryczny zamek zarejestrował na skanerze jej linie papilarne.

Patrzyłam na niego, całkowicie zaskoczona.

– A poza tym twoja siostrzenica z pewnością nie miała prawa zaglądać do materiałów na temat tajnych projektów, nad którymi tam pracowano.

– Jakie to projekty? – odważyłam się zapytać.

– Wszystko wskazuje na to, że dostała się do informacji dotyczących optyki elektronicznej, termicznego obrazowania oraz wspomagających technologii wideo i audio. Prawdopodobnie wyniosła stamtąd także programy elektronicznej wersji projektu, nad którym pracowała dla nas.

– Masz na myśli program CAIN?

– Tak.

– Czy było coś, do czego się nie dostała? – zapytałam zdziwiona.

– To właśnie jest interesujące. Lucy weszła w zasadzie wszędzie i nie sposób teraz ustalić, czego tak naprawdę szukała i dla kogo.

– Czy te urządzenia, nad którymi pracują wasi specjaliści, są rzeczywiście ściśle tajne?

– Niektóre tak, podobnie jak z punktu widzenia bezpieczeństwa tajne są wszystkie techniki operacyjne. Nie możemy pozwolić, aby przypuszczano, że takimi a takimi metodami posługujemy się w określonych sytuacjach.

– Ona tego nie zrobiła – powiedziałam z przekonaniem.

– Wiemy, że zrobiła. Pozostaje tylko pytanie dlaczego.

– No dobrze, a zatem dlaczego? – Poczułam, że łzy napływają mi do oczu.

– Pieniądze. Takie jest moje zdanie.

– To absurd. Lucy wiedziała, że w sprawach finansowych zawsze może na mnie liczyć.

– Kay – Wesley pochylił się ku mnie i położył dłonie na blacie biurka – czy zdajesz sobie sprawę, jak cenne są niektóre z tych informacji?

Nie odpowiedziałam.

– Wyobraź sobie na przykład, że w Ośrodku Badań Technicznych skonstruowano urządzenie do inwigilacji, które potrafi filtrować szумы i hałasy z tła tak doskonale, że praktycznie jesteśmy w stanie podsłuchać każdą interesującą nas rozmowę w dowolnym punkcie kuli ziemskiej. Możesz sobie wyobrazić, ilu byłoby chętnych, aby poznać szczegóły naszego taktycznego systemu satelitarnego albo oprogramowania do sztucznej inteligencji, nad którą pracowała Lucy...

– Już dość – przerwałam mu zniecierpliwiona i wzięłam głęboki oddech.

– Powiedz mi więc dlaczego? – zapytał Wesley. – Znasz Lucy lepiej ode mnie.

– Nie jestem już pewna, czy w ogóle ją znam. I nie umiem ci odpowiedzieć, dlaczego miałyby zrobić coś takiego, Benton.

Milczał przez chwilę, błędząc wzrokiem w przestrzeni, a potem spojrzał na mnie.

– Wspominałaś, że martwisz się o nią, bo zbyt dużo pije. Mogłabyś mi to wyjaśnić?

– Wydaje mi się, że Lucy pije w ten sam sposób, w jaki robi wszystko inne, doprowadzając sprawy do skrajności. Ona zawsze jest w czymś albo bardzo dobra, albo kiepska, a alkohol jest tu tylko przykładem.

– Rozumiem – powiedział. – Czy w jej rodzinie były przypadki alkoholizmu?

– Zaczynam powoli przychylić się do opinii, że w każdej rodzinie można spotkać się z alkoholizmem – powiedziałam gorzko. – Ale masz rację. Jej ojciec był alkoholikiem.

– Czyli twój szwagier?

– Był nim bardzo krótko. Jak wiesz, Dorothy czterokrotnie wychodziła za mąż.

– Wiedziałaś o tym, że Lucy zdarzało się nie wracać na noc do swojego pokoju?

– Pierwszy raz słyszę. Czy tej nocy, kiedy było włamanie, spała u siebie? Czy mieszka z nią ktoś jeszcze?

– To nie ma znaczenia. Mogła się przecież wymknąć, gdy inni już spali. Nie mamy żadnej pewności. Czy stosunki między wami układają się dobrze?

– Niezupełnie.

– Kay, czy ona mogła zrobić coś takiego, aby się na tobie zemścić?

– Nie – odpowiedziałam stanowczo, czując wzbierającą złość. – I nie życzę sobie, abyś wykorzystywał mnie do zdobywania informacji o cechach charakteru Lucy.

– Kay – jego głos wyraźnie zmiękł – ja też wolałbym, aby to nie była prawda. Pamiętaj, że to ja ją rekomendowałem, to ja przekonywałem zwierzchników, że należy ją tu zatrudnić, gdy tylko skończy studia. Czy myślisz, że jest mi teraz przyjemnie?

– Musi być jakieś inne wytłumaczenie tego, co się stało.

– Nawet jeśli ktoś wykradł jej osobisty numer identyfikacyjny, nie mógłby się tam dostać, gdyż biometryczne zamki reagują na układ linii papilarnych.

– A zatem chciała być na tym złapana – odparłam. – Lucy, bardziej niż ktokolwiek inny, była świadoma, że wchodząc do zastrzeżonych archiwów, pozostawia informację o czasie wejścia i wyjścia oraz zapis dokonywanych tam operacji.

– Zgadza się. Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. I dlatego tak bardzo mnie interesują jej motywy. Co chciała tym udowodnić? Komu zamierzała zaszkodzić?

– Benton! Co będzie dalej?

– Zostanie wszczęte oficjalne dochodzenie – odpowiedział.

– A jeżeli jest winna?

– To zależy, co znajdą. Ale niezależnie od wyników śledztwa jedno jest pewne: Lucy pogwałciła zasady bezpieczeństwa i może się pożegnać z karierą w FBI.

– To ją załamie – powiedziałam. W ustach czułam taką suchość, że z trudem mówiłam.

Widziałam, że Wesley także jest przejęty. Bardzo lubił moją siostrzenicę.

– W tej sytuacji – jego głos brzmiał głucho, jak zwykle, gdy Benton analizował sytuację – Lucy nie może zostać w Quantico. Powiedziano jej już, że ma się spakować. Może powinna pojechać do Richmond i zostać tam z tobą, dopóki śledztwo się nie zakończy.

– Oczywiście, ale wiesz przecież, że jeszcze przez jakiś czas będę poza domem.

– Kay, to nie jest areszt domowy – powiedział, a jego spojrzenie obudziło we mnie wspomnienia tamtej nocy. Trwało to ułamek sekundy, ale widziałam, jak w jego oczach, zimnych i ciemnych niby powierzchnia jeziora, odbija się tłumiona czułość.

Wesley wstał.

– Jeszcze dziś odwiozę ją do Richmond – oznajmiłam, także wstając.

– Mam nadzieję, że poza tym wszystko w porządku – powiedział, a ja natychmiast zrozumiałam, o co pyta, chociaż nie byłam w nastroju, aby o tym myśleć.

– Tak – odpowiedziałam, czując miliony impulsów, przepływających w szalonym tempie między neuronami, jakby w moim mózgu toczyła się jakaś zażarta walka.

Gdy kilka minut później weszłam do pokoju Lucy, moja siostrzenica składała właśnie pościel. Odwróciła się, słysząc, że ktoś otwiera drzwi.

– Mogę ci w czymś pomóc? – zapytałam.

– Nie – oznajmiła, wkładając prześcieradło do poszewki. – Panuję nad wszystkim.

W skromnie umeblowanym pokoju stały proste łóżka, biurka i krzesła pokryte były dębowym fornirem. Z punktu widzenia yuppie* [Yuppie (ang.) – młody, dobrze sytuowany przedstawiciel wielkomięjskiej klasy średniej, chętnie popisujący się swą zamożnością.] wewnątrz wyglądało ponuro, ale jak na standardy akademików, nie prezentowało się najgorzej. Zastanawiałam się, gdzie są pozostałe lokatorki z pokoju Lucy i czy w ogóle wiedzą, co się stało.

– Bądź tak miła i sprawdź w szafie, czy niczego nie zostawiłam – powiedziała. – To ta na prawo. I zobacz też w komodzie.

– Wszędzie pusto, chyba że wieszaki na płaszcze są twoje. Takie wyprofilowane.

– To matki.

– A więc zabierz je.

– Nie. Niech zostaną dla kolejnej idiotki, która skończy tak jak ja.

– Lucy – zaczęłam. – To nie jest wina FBI.

– To niesprawiedliwe. – Uklękła, aby dopiąć walizkę. – Nie powinni mnie tak traktować, dopóki nie udowodnią mi winy.

– Z prawnego punktu widzenia rzeczywiście jesteś niewinna, dopóki nie udowodnią ci winy. Ale biorąc pod uwagę panujące tu przepisy bezpieczeństwa, nie możesz winić Akademii, że nie chce, abyś kontynuowała badania w zastrzeżonych sekcjach. Poza tym nie jesteś przecież aresztowana. Po prostu poproszono cię, abyś na pewien czas wyjechała.

Lucy spojrzała na mnie zmęczonymi i zaczerwienionymi oczami.

– Na pewien czas znaczy – na zawsze.

Gdy jechałyśmy już samochodem do Richmond, próbowałam ją wypytać o szczegóły sprawy. Lucy reagowała bardzo histerycznie, płacząc żałośnie albo mieszając z błotem wszystkich i wszystko. W końcu zasnęła, a ja nie dowiedziałam się nic nowego. Ponieważ zaczął padać deszcz, włączyłam światła przeciwmgielne i jechałam ze wzrokiem wbitym w czerwone punkty tylnych świateł samochodu przed nami. Deszcz i mgła gęstniały i widoczność była coraz gorsza. Zamiast jednak zjechać na pobocze i poczekać na zmianę pogody, zwolniłam tylko nieco i kontynuowałam jazdę.

W zasadzie nie umiałam sobie wytłumaczyć, dlaczego kupiłam tego brązowego mercedesa 500E. Na zmianę samochodu zdecydowałam się tuż po śmierci Marka. Może chodziło o wspomnienia, wiążące się z poprzednim, wozem, w którym kochaliśmy się i kłócili zaciekle. A może po prostu się zestarzałam, życie stało się trudniejsze i potrzebowałam lepszego auta.

Lucy zaczęła się wiercić na fotelu, gdy skręcałam w stronę Windsor Farm, historycznego przedmieścia Richmond, dochodzącego do rzeki James. Mieszkałam tam w sąsiedztwie okazałych domostw, wybudowanych w stylu georgiańskim lub z epoki Tudorów. Minęłyśmy chłopca na rowerze i trzymającą się za ręce parę z psem na spacerze. Moje podwórko zasypane było kolczastymi kasztanami, a na ganku leżały stare gazety. Nie musiałam

na długo wyjeżdżać, aby poczuć się obco w swojej okolicy. Mój dom też bardzo szybko nabierał wyglądu, jakby nikt w nim nie mieszkał.

Gdy Lucy wносиła bagaże, ja zajęłam się uruchamianiem kominka gazowego i przygotowaniem herbaty. Już po chwili siedziałam przy ogniu, słuchając, jak moja siostrzenica krząta się po domu, rozpakowując walizki i biorąc prysznic. Najwyraźniej zwlekała z przyjściem do salonu, spodziewając się kolejnej serii nieprzyjemnych pytań.

– Jesteś głodna? – zapytałam, gdy pojawiła się wreszcie.

– Nie. Masz może jakieś piwo?

– W lodówce – powiedziałam po chwili wahania. Popijając wolno herbatę, zbierałam siły na spotkanie z tą piękną i inteligentną dziewczyną, z którą dzieliłam fragmenty kodu genetycznego. Być może była to dla nas szansa, aby się do siebie zbliżyć.

Lucy podeszła do kominka i usiadła na podłodze, popijając piwo wprost z butelki. Miała na sobie mój kolorowy dres, w którym od czasu do czasu grywałam w tenisa, mokre włosy zaczesła do tyłu, a gołe stopy przysunęła bliżej ognia. Gdybym jej nie znała, z całą pewnością zwróciłaby moją uwagę na ulicy, i to nie tylko z powodu zgrabnej figury i interesującej twarzy. Fascynujący był sposób, w jaki Lucy mówiła, poruszała się, ujmujący wdzięk, który promieniował z jej postaci. Sprawiała wrażenie, że wszystko jest dla niej proste, i prawdopodobnie właśnie to było powodem, że nie miała zbyt wielu przyjaciół.

– Lucy – zaczęłam. – Pomóż mi to wszystko zrozumieć.

– Zostałam wrobiona – powiedziała, przełykając piwo.

– Jeśli to prawda, jak to się stało?

– Co masz na myśli, mówiąc: jeśli? – Spojrzała na mnie ze łzami w oczach. – Jak mogłaś nawet przez chwilę sądzić... Cholera. O co tu chodzi?
– Odwróciła twarz w drugą stronę.

– Nie będę mogła ci pomóc, dopóki nie powiesz mi prawdy –
oznajmiłam, wstając. Poszłam do barku i nalałam sobie whisky z lodem.

– Zaczniemy od faktów – zaproponowałam po powrocie do pokoju. –
Wiadomo, że we wtorek około trzeciej w nocy ktoś wszedł do Ośrodka.
Wiadomo, że posłużono się twoim numerem identyfikacyjnym i
wprowadzono odciski twoich linii papilarnych. System ochrony
zarejestrował, że ta osoba dostała się do wielu tajnych materiałów.
Zarejestrowano, że opuściła Ośrodek dokładnie trzydzieści osiem po
czwartej.

– Zostałam zawieszona i jestem sabotowana – powiedziała Lucy.

– Gdzie byłaś, kiedy to się wydarzyło?

– Spałam.

Ze złością wlała w siebie resztkę piwa i poszła po drugą butelkę.

Czekając na nią, wolno sączyłam whisky, bo Dewar's Mist nie daje się
pić inaczej.

– Wiem, że nie zawsze nocowałaś w swoim pokoju – powiedziałam, gdy
wróciła.

– No i co z tego? To nie powinno nikogo obchodzić.

– W porządku, ale tak było, i sama wiesz o tym najlepiej. Czy tamtej
nocy, kiedy dokonano włamania, spałaś w swoim pokoju?

– To wyłącznie moja sprawa, w którym łóżku sypiam, kiedy i gdzie –
powiedziała.

Przypomniałam sobie, jak siedziała późnym wieczorem na stole
piknikowym, z twarzą oświetloną zapałką przez tę drugą kobietę.
Pamiętałam jej rozmowę z przyjaciółką i zrozumiałam, jakie emocje
wyrażają jej słowa. Doskonale znałam ten język, język namiętności, w
którym brzmi miłość.

– No więc słucham, gdzie byłaś tamtej nocy, kiedy włamano się do Ośrodka? – zapytałam jeszcze raz. – A może raczej powinnam cię zapytać, z kim wtedy byłaś?

– Ja ciebie nie pytam, z kim jesteś.

– Miałabyś do tego prawo, gdyby mogło mi to zaoszczędzić poważnych kłopotów.

– Moje życie prywatne nie ma tu nic do rzeczy – upierała się.

– Moim zdaniem, wstydzisz się czegoś albo boisz się odrzucenia – powiedziałam.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Widziałam cię pewnej nocy na terenie piknikowym. Byłaś tam z przyjaciółką.

– A więc ty także mnie śledzisz? – Jej głos zadrżał. – W takim razie nie trać czasu na kazania, ja i tak nie wierzę w tę twoją katolicką moralność.

– Lucy, nie osądzam cię – zapewniłam tonem, który sugerował co innego. – Pomóż mi tylko to zrozumieć.

– Sugerujesz, że jestem nienormalna. Tylko w takim wypadku potrafiłabyś mnie zrozumieć. A ja uważam, że powinnam być akceptowana bezwarunkowo.

– Czy twoja przyjaciółka może poręczyć, że byłaś z nią we wtorek w nocy?

– Nie.

– Rozumiem. – Nic innego nie umiałam powiedzieć. Wydawało mi się, że Lucy, którą znałam, przestała istnieć. Ta inna była dla mnie kompletną niewiadomą. Zastanawiałam się, gdzie i kiedy popełniłam błąd.

– Jakie masz plany? – zapytała po chwili.

– Pracuję nad pewną sprawą w Północnej Karolinie. Zajmie mi to jeszcze trochę czasu.

- A co z twoim biurem w Richmond?
 - Fielding zajmuje się wszystkim. Ale jutro rano mam sprawę w sądzie. Muszę poprosić Rose, żeby sprawdziła godzinę.
 - Co to za sprawa?
 - O zabójstwo.
 - No tak. Mogę pójść z tobą?
 - Jeśli masz ochotę.
 - Sama nie wiem. Zastanawiam się, czy nie wrócić do Charlottesville.
 - I co tam będziesz robić?
 - Nie wiem. Nie wiem też, jak się tam dostanę. – Lucy sprawiała wrażenie kompletnie zagubionej.
 - Możesz korzystać z mojego samochodu. Ja i tak teraz nie będę go potrzebowała. Poza tym możesz pojechać do Miami i zostać tam do końca semestru.
- Lucy wypila ostatni łyk piwa i wstała. W oczach miała łzy.
- Powiedz prawdę, ciociu. Uważasz, że to zrobiłam, mam rację?
 - Nie wiem, co o tym myśleć, Lucy – oświadczyłam szczerze. – Przedstawiłaś swoją wersję, ale dowody wskazują na co innego.
 - Ja nigdy w ciebie nie zwątpiłam – powiedziała i spojrzała na mnie tak, jakbym złamała jej serce.
 - Lucy, byłoby mi miło, gdybyś została tutaj przez święta Bożego Narodzenia – zakończyłam rozmowę.



Członek Północnego Gangu z Richmond pojawił się na procesie w dwurzędowym, granatowym garniturze i krawacie z włoskiego jedwabiu, zawiązanym w perfekcyjny węzeł windsorski. Śnieżnobiała koszula sprawiała wrażenie doskonale wykrochmalonej, gangster zaś był dokładnie ogolony i bez kolczyków w uszach.

Adwokat Tod Coldwell nie bez przyczyny namówił swojego klienta na taką ostentacyjną elegancję. Wiedział, że nawet ława przysięgłych może być podatna na pozory, wynikające z przekonania, że jak cię widzą, tak cię piszą. Ja także brałam to pod uwagę i postarałam się, aby trafiło do niej jak najwięcej barwnych fotografii z sekcji zwłok ofiary. Jeżdżący czerwonym ferrari Coldwell nie przepadał za mną.

– Czy może pani potwierdzić – Coldwell napawał się brzmieniem własnego głosu – że ludzie pod wpływem kokainy stają się bardzo agresywni, a czasami przejawiają wręcz nadludzką siłę?

– To prawda. Kokaina może powodować iluzje i nadmierne podniecenie – odpowiedziałam, kierując swoje słowa do ławników. – Nadludzka siła, jak pan to określił, pojawia się po zażyciu kokainy i PCP, silnego halucynogennego narkotyku, zwanego także pyłem anielskim, który jest środkiem uspokajającym dla koni.

– I potwierdza pani, że ofiara miała we krwi kokainę i benzoylecgoninę?
– kontynuował Coldwell.

– Tak.

– Czy mogłaby pani wyjaśnić ławie przysięgłych, co to znaczy?

– Najpierw chciałabym wyjaśnić ławie przysięgłych, że jestem doktorem medycyny i posiadam także stopień naukowy w dziedzinie prawa. Moją główną specjalizacją jest anatomopatologia, a dodatkową patologia sądowa, o czym doskonale pan wie, panie Coldwell. Byłabym zatem wdzięczna, gdyby zechciał mnie pan tytułować doktorem, zamiast zwracać się do mnie per pani.

– Oczywiście.

– Czy mogę prosić o powtórzenie pytania?

Proszę wyjaśnić ławie przysięgłych, co znaczy, że ofiara miała we krwi kokainę i – zerknął w notatki – benzoylecgoninę?

– Benzoylecgonina jest metabolitem kokainy. Ślady obu tych substancji we krwi oznaczają, że część kokainy uległa już procesowi metabolizmu – odpowiedziałam.

Lucy przysłuchiwała się procesowi, siedząc za kolumną. Wyglądała bardzo mizernie.

– Co może wskazywać na fakt, że ofiara była uzależniona od narkotyków, o czym świadczą także widoczne ślady po igłach. Może to także dowodzić, że gdy mój klient spotkał ofiarę w nocy trzeciego lipca, miał do czynienia z osobą bardzo pobudzoną, podnieconą i agresywną, przed którą musiał się bronić. – Coldwell wolno przemierzał salę, a jego wytwornie ubrany klient patrzył na mnie wzrokiem osaczonego drapieżnika.

– Panie Coldwell – powiedziałam. – W ciele ofiary, Jonaha Jonesa, znaleziono szesnaście kul z rewolweru tec-nine, kaliber dziewięć milimetrów, trzydziestosześciostrzałowej broni. Siedem kul tkwiło w jego plecach, trzy zaś oddano z małej odległości w tył głowy. Według mnie nie

mamy tu do czynienia z sytuacją, w której strzelający występował w samoobronie. Pan Jones miał we krwi 2,9 promila alkoholu, co trzykrotnie przekracza dawkę dozwoloną w stanie Wirginia. Mówiąc inaczej, w chwili kiedy ofiara została zastrzelona, jej zdolności motoryczne i jasność oceny sytuacji były w zasadniczy sposób osłabione. Prawdę powiedziawszy, jestem zaskoczona, że pan Jones w ogóle mógł ustać na nogach.

Coldwell odwrócił się, aby spojrzeć na sędziego Poe, który, odkąd pamiętam, nosił przydomek Kruk* [„Kruk” jest znanym poematem Edgara Allana Poe (1809 – 1849)]. Był już w takim wieku, że mógł się czuć zmęczony walkami zabijających się nawzajem handlarzy narkotyków oraz przestępstwami popełnianymi przez nieletnich, którzy noszą broń i strzelają do siebie w autobusach.

– Wysoki Sądzie – zaczął dramatycznym tonem Coldwell – wnoszę o wyłączenie ostatniej wypowiedzi z protokołu, z uwagi na jej spekulatywny i podżegający charakter, nie mający nic wspólnego z dziedziną, w której pani Scarpetta została poproszona o ekspertyzę.

– Nie sądzę, aby opinia doktor Scarpetty wykraczała poza obszar jej ekspertyzy, panie Coldwell. Poza tym już raz zwrócono panu uwagę, aby tytułował ją pan doktorem. Tracę powoli cierpliwość, słuchając pańskich błazenad...

– Ależ, Wysoki Sądzie...

– Współpracowałem z doktor Scarpettą niejednokrotnie i doskonale znam wysoki poziom jej ekspertyz – ciągnął sędzia Poe. Jego południowy akcent sprawiał, iż wydawało mi się, że Poe żuje toffi.

– Wysoki Sądzie...

– Wiem także, że z podobnymi sprawami ma do czynienia niemal na co dzień...

– Wysoki Sądzie...

– Panie Coldwell! – zagrzemiał Kruk, robiąc się purpurowy. – Jeżeli jeszcze raz mi pan przerwie, oskarżę pana o obrazę sądu i spędzi pan kilka nocy w naszym cholernym areszcie. Zrozumiano?

– Tak, Wysoki Sądzie.

Lucy wyciągała szyję, aby coś zobaczyć, a ława przysięgłych w napięciu przysłuchiwała się sędziemu.

– W protokole zostanie wszystko, co powiedziała doktor Scarpetta – zakończył sędzia.

– Nie mam więcej pytań – oznajmił krótko Coldwell.

Sędzia Poe zarządził przerwę, uderzając z całej siły młotkiem, co obudziło siedzącą z tyłu sali starą kobietę w słomkowym kapeluszu. Przerazona, zerwała się na równe nogi, pytając, co się stało. Po chwili dotarło do niej, gdzie się znajduje, i zaczęła płakać.

– Już w porządku, mam – usłyszałam, jak uspokaja ją inna kobieta.

Przed wyjazdem z miasta wpadłam jeszcze do Stanowego Archiwum Departamentu Zdrowia, gdzie pracowała moja przyjaciółka z lat szkolnych. Nikt w całej Wirginii nie mógł urodzić się i umrzeć legalnie bez przypieczętowania tego aktu podpisem Glorii Loving. Chociaż działała wyłącznie na terenie jednego stanu, doskonale znała swoich kolegów na podobnych stanowiskach w całym kraju. W mojej pracy niejednokrotnie polegałam na informacjach Glorii, chcąc sprawdzić, czy ten i ów jeszcze żyje, kto z kim wziął ślub, rozwiódł się lub czy był adoptowany.

Powiedziano mi, że Gloria jest na lunchu w restauracji w Madison Building. Kwadrans po pierwszej znalazłam ją tam, spożywającą samotnie jogurt waniliowy i sałatkę owocową. Czytała gruby kryminał w miękkiej okładce, który według zamieszczonej tam informacji był bestsellerem „New York Times’a”.

– Gdybym jadała takie lunchy, nie musiałabym się martwić o linię – powiedziałam, przysuwając sobie krzesło.

Podniosła na mnie wzrok i malujące się na jej twarzy zdziwienie natychmiast przemieniło się w radość.

– Wielkie nieba! Coś takiego! Kay, co ty tu, na Boga, porabiasz?

– Przypominam ci, że pracuję po drugiej stronie ulicy.

– Mogę postawić ci kawę? – Uśmiechnęła się radośnie. – Kochanie, wyglądasz na przemęczoną.

Gloria była postawną kobietą koło pięćdziesiątki, wielkoduszną i bardzo zaangażowaną w swoją pracę. Dokumenty stanowiły dla niej coś więcej niż zwykle papiery czy rejestr rozmaitych aktów. Gotowa by walczyć z samym diabłem o każdy z nich, niezależnie kogo dotyczył.

– Nie, dziękuję za kawę – odpowiedziałam.

– Wiesz, słyszałam, że już tu nie pracujesz.

– Swoją drogą, podoba mi się, jak prędko ludzie zapominają o moim istnieniu. Wystarczy, że nie ma mnie tutaj przez kilka tygodni. Pracuję teraz także jako konsultant FBI i dlatego dużo podróżuję.

– Wyjeżdżasz do Północnej Karoliny, o ile dobrze pamiętam z prasy. Nawet Dan Rather mówił o sprawie córki Steinerów. W CNN także był materiał na ten temat. Do diabła, zimno tutaj.

Rozejrzałam się po dość ponurym wnętrzu restauracji urzędu państwowego. Siedziało tu kilku gości, najwyraźniej niezadowolonych ze swojego losu, którzy kulili się nad tacami, zapięci pod szyję.

– Aby oszczędzać energię, przestawili wszystkie termostaty na dwanaście stopni. Ale ponieważ mamy tu ogrzewanie parowe, które dociera do nas z Medical College, regulowanie temperatury i tak nic nie da.

– Wydaje mi się, że jest mniej niż dwanaście stopni – oświadczyłam.

– Tak, najwyżej dziesięć, tyle co na dworze.

– Zawsze możesz przejść na drugą stronę i skorzystać z mojego biura – Zaproponowałam z chytrym uśmiechem.

– Masz rację, to najcieplejsze miejsce w całym mieście. Kay, powiedz, co mogę dla ciebie zrobić?

– Poszukuję zarejestrowanego przypadku zgonu, prawdopodobnie na zespół nagłej śmierci noworodka, sprzed jakichś dwunastu lat, w Kalifornii. Dziecko nazywało się Mary Jo Steiner, a imiona rodziców to Denesa i Charles.

– Znasz nazwisko panięskie Denesy Steiner?

– Nie.

– Gdzie mieszkali w Kalifornii?

– Tego, niestety, też nie wiem – powiedziałam.

– Czy możesz zdobyć te informacje? Im więcej danych, tym lepiej.

– Wolalabym, żebyś spróbowała coś znaleźć na podstawie tego, co wiem. Jeśli się nie uda, postaram się dowiedzieć czegoś jeszcze.

– Powiedziałaś, „prawdopodobnie”. Masz jakieś podejrzenia, że przyczyna zgonu mogła być inna? Powinnam to wiedzieć, na wypadek gdyby zapisano go pod innym rozpoznaniem.

– Dziecko miało wtedy około roku. I to właśnie najbardziej mnie niepokoi. Z tego, co wiem, największa umieralność na zespół nagłej śmierci przypada na trzeci i czwarty miesiąc życia niemowlęcia. Powyżej pół roku zgon zdarza się bardzo rzadko, a jeżeli dziecko skończyło rok, należy raczej podejrzewać inne przyczyny jego zejścia. Zatem masz rację, w tym przypadku śmierć dziecka może być zapisana pod innym paragrafem.

– Jeżeli zdarzyłoby się to w Idaho, mogłabym zadzwonić do Jane i miałybyśmy informację w trzy minuty. Ale w Kalifornii mieszka trzydzieści dwa miliony ludzi. To jeden z trudniejszych stanów, jeśli chodzi

o rejestry. Może będzie potrzebna specjalna procedura. Chodźmy już, wyjdę razem z tobą. To będzie moje zadanie na dziś.

– Czy w Sacramento jest archiwum? – Szłam za nią przez depresyjnie nastrojający korytarz, pełen smutnych ludzi, oczekujących w kolejkach na pomoc socjalną.

– Tak. Zaraz tam zatelefonuję.

– Mam nadzieję, że znasz dobrze tę osobę.

– Oczywiście – zaśmiała się. – Jest nas tylko pięćdziesięcioro. O naszych sprawach możemy rozmawiać jedynie we własnym gronie.

Tego wieczora zawiozłam Lucy do La Petite France, gdzie Paul, szef kuchni, skazał nas na kilka godzin słodkiej ociążałości. Raczyłyśmy się marynowaną w owocach jagnięcina i Chateau Gruaud Larose, rocznik 1986. Jakby nie było nam jeszcze dość, obiecałam mojej siostrzenicy, że po powrocie do domu poczęstuję ją *crema di cioccolato eletta*, wyśmienitym musem czekoladowym z orzeszkami pistacjowymi i marsalą, który trzymałam w lodówce na wypadek wizyty niespodziewanych gości.

Ale po drodze zatrzymałyśmy się w Shocko Bottom, aby pospacerować po kocich łbach oświetlonych żółtym światłem latarni. Jest to dzielnica Richmond, w której jeszcze do niedawna wcale nie było bezpiecznie. Wdychałyśmy zapach płynącej niedaleko rzeki, wpatrując się w granatowe niebo, na którym świeciło mrowie gwiazd. Pomyślałam o Bentonie, a zaraz potem o Marino, o każdym z innego powodu.

– Ciociu Kay, czy mogę wynająć prawnika? – zapytała Lucy, gdy wstąpiłyśmy do Chettiego na cappuccino.

– Po co? – zapytałam, chociaż domyślałam się tego.

– Nawet jeśli FBI nic mi nie udowodni, mogą mnie załatwić na resztę życia. – W jej głosie brzmiało rozgoryczenie.

- Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić?
- Potrzebuję pomocy jakiejś grubej ryby.
- Dobrze, znajdę ci taką – obiecałam.

Nie wróciłam do Północnej Karoliny w poniedziałek, tak jak planowałam. Zamiast tego poleciałam do Waszyngtonu. Miałam do załatwienia kilka spraw w centrali FBI, ale głównym powodem wizyty było spotkanie ze starym przyjacielem.

Kończyliśmy z senatorem Frankiem Lordem tę samą wyższą szkołę katolicką w Miami, chociaż w różnych latach. Był ode mnie sporo starszy i nasza przyjaźń zaczęła się właściwie dopiero, gdy podjęłam pracę w biurze lekarza okręgowego w Dade, gdzie on był zatrudniony jako prawnik. Gdy rozpoczął karierę polityczną, sprawując najpierw urząd gubernatora, a później senatora, nie mieszkaliśmy już w swoim rodzinnym mieście. Ponownie spotkaliśmy się, kiedy został wybrany przewodniczącym Senackiej Komisji Sprawiedliwości.

Lord prosił mnie o konsultacje, gdy forsował w Kongresie najbardziej surową w historii naszego kraju ustawę o zapobieganiu przestępczości. Miałam więc odwagę zwrócić się do niego o pomoc w swojej sprawie. Lucy nie wiedziała, że senator Lord był jej patronem, bez jego interwencji bowiem prawdopodobnie nie uzyskałaby tej jesieni stypendium ani zgody na pobyt w internacie Akademii. Czułam się zatem trochę niezręcznie, czekając na niego, aby przekazać nowiny na temat swojej siostrzenicy.

Było prawie południe, siedziałam na kanapie z błyszczącej skóry w eleganckim lokalu o purpurowych ścianach; z sufitu zwisały wspaniałe kryształowe żyrandol. Z wyłożonego marmurem korytarza dochodził gwar, a od czasu do czasu jakiś ciekawski turysta zaglądał do środka przez uchylone drzwi, w nadziei że w senackiej sali restauracyjnej dostrzeże

jakiegoś znanego polityka albo inną ważną osobistość. Lord pojawił się punktualnie, jak zwykle pełen energii, i uścisnął mnie szybko, trochę niezgrabnie. Był miłym, skromnym człowiekiem, nieśmiałym w okazywaniu uczuć.

– Masz ślad mojej szminki na twarzy – powiedziałam, ścierając mu ją z policzka.

– Naprawdę? Powinnaś zatem go tam zostawić, aby moi koledzy mieli o czym rozprawiać.

– Podejrzewam, że i tak nie brakuje im tematów.

– Kay, miło cię znowu widzieć – oznajmił, prowadząc mnie do stolika.

– Nie śpiesz się tak. Zaraz może się okazać, że jednak nie tak miło – uprzedziłam go.

– Na pewno nie zmienię zdania.

Usiedliśmy przy oknie ozdobionym witrażem, przedstawiającym Jerzego Waszyngtona na koniu. Nie musiałam zapoznawać się z przyniesioną przez kelnerkę kartą dań, ponieważ odkąd pamiętam, nic się w niej nigdy nie zmieniało. Senator Lord był dystyngowanym mężczyzną o siwych włosach i wyrazistych błękitnych oczach. Dość wysoki i szczupły, miał słabość do eleganckich, jedwabnych krawatów i staroświeckich dodatków, takich jak kamizelki, spinki do mankietów, zegarki kieszonkowe i szpilki do krawatów.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał, kładąc serwetkę na kolanach.

– Mam pewne materiały dowodowe, które chcę poddać analizie w laboratoriach FBI – wyjaśniłam.

– Wciąż pracujesz nad tą okropną sprawą w Północnej Karolinie?

– Tak.

– Trzeba za wszelką cenę powstrzymać tego szaleńca. Sądzisz, że on tam jest?

– Nie wiem.

– Zastanawiam się, czy to możliwe. Raczej powinien już stamtąd zniknąć i gdzieś się zaszyć, przeczekać jakiś czas w ukryciu. Ale, oczywiście, działania takich zboczeńców niewiele mają wspólnego z logiką.

– Frank – zmieniłam temat – Lucy ma poważne kłopoty.

– Spodziewałem się, że stało się coś niedobrego – powiedział rzeczowo.

– Czytam to z twojej twarzy.

W ciągu następnej pół godziny opowiedziałam mu wszystko, co wiedziałam o sprawie Lucy, on zaś słuchał mnie z uwagą i cierpliwością, za co byłam mu niezmiernie wdzięczna. Wiedziałam, że tego dnia brał udział w kilku głosowaniach i że wielu ludzi czeka choćby na chwilę jego uwagi.

– Jesteś takim wspaniałym człowiekiem, a ja cię zawiodłam. Najpierw prosiłam o pomoc, co było dla mnie bardzo trudne, a teraz wszystko skończyło się tak nieprzyjemnie – mówiłam niemal ze łzami w oczach.

– Czy ona to zrobiła? – zapytał, skubiąc danie z warzyw pieczonych na grillu.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Dowody są niesłychanie obciążające. – Przełknęłam ślinę. – Ale Lucy twierdzi, że to wszystko nieprawda.

– Czy okłamała cię kiedyś?

– Nie sądzę. Ale odkryłam ostatnio, że nie mówiła mi o wielu ważnych sprawach.

– Czy pytałaś o nie?

– Próbowałam, ale dawała mi do zrozumienia, że wtrącam się w nie swoje sprawy, próbując ją oceniać.

– Jeśli ktoś odbiera twoje zainteresowanie jako próbę oceny jego czy jej postępowania, to prawdopodobnie tak właśnie jest. I Lucy mogła wyczuć, co myślisz, niezależnie od tego, czy wypowiedziałaś swoją opinię, czy nie.

– Krytykowanie jej lub robienie jakichkolwiek uwag nigdy nie sprawiało mi przyjemności – powiedziałam zdenerwowana. – Niestety, jej matka, Dorothy, moja jedyna siostra, jest zbyt uzależniona od mężczyzn i nadmiernie skoncentrowana na sobie, aby zajmować się problemami córki.

– A teraz, gdy Lucy ma kłopoty, zastanawiasz się, ile jest w tym twojej winy.

– Robię to podświadomie.

– Rzadko zdajemy sobie sprawę z tych prymitywnych niepokojów, które wymykają się racjonalizacji. Można się ich pozbyć tylko w jeden sposób: trzeba skierować na nie wszystkie światła. Czy uważasz, że jesteś wystarczająco silna, aby to zrobić?

– Tak.

– Pozwól, że przypomnę ci o czymś jeszcze. Jeśli człowiek pyta, musi umieć żyć, kiedy już otrzyma odpowiedź.

– Wiem o tym.

– Załóżmy na chwilę, że Lucy jest niewinna – powiedział senator Lord.

– Co wtedy?

– Jeśli twoja siostrzenica nie pogwałciła przepisów bezpieczeństwa, bez wątplenia musiał to zrobić ktoś inny. Tylko pytanie dlaczego?

– Moje pytanie brzmi: w jaki sposób?

Lord przywołał kelnerkę i zamówił kawę.

– We wszelkich naszych poczynaniach zawsze najważniejszy jest motyw. Jaki motyw mogłaby mieć Lucy? I jaki motyw mógłby mieć ewentualnie ktoś inny?

Najprostszą odpowiedzią, jaka się nasuwała, byłoby oczywiście: „pieniądze”, ale powiedziałam Lordowi, że moim zdaniem, w przypadku Lucy to nie wchodzi w grę.

– Pieniądze dają władzę, Kay, a wszystko w końcu się do tego sprowadza. My, upadłe istoty, nigdy nie mamy jej dość.

– Rozumiem, zakazany owoc.

– Oczywiście. Stąd biorą się wszystkie zbrodnie.

– Codziennie tę tragiczną prawdę przynoszą nam na noszach – zgodziłam się z nim.

– Czy wyjaśnia ci to coś w sprawie Lucy? – zapytał, mieszając cukier w filiżance kawy.

– Wyjaśnia mi motyw.

– Oczywiście. Władza i potęga pieniądza. Powiedz, jak mógłbym ci pomóc? – zapytał jak stary przyjaciel.

– Lucy nie będzie sądzona, dopóki nie udowodnią jej, że ukradła jakieś informacje z Ośrodka Badań Technicznych. Ale tak czy inaczej, jej przyszłość jest już zrujnowana, przynajmniej jeśli chodzi o pracę związaną z prawem lub inną, gdzie ważna jest przeszłość kandydata.

– Czy zostało udowodnione, że to ona była tam o trzeciej w nocy?

– Frank, mają tyle dowodów, ile potrzebują. I na tym właśnie polega problem. Nie mam pewności, czy będzie im zależało, aby całkowicie oczyścić ją z zarzutów, jeżeli jest niewinna.

– Jeżeli?

– Staram się być racjonalna. – Sięgnęłam po kawę, ale poczułam, że nie zniosę więcej fizycznej stymulacji. I bez tego serce waliło mi jak młotem, a ręce drżały.

– Mogę porozmawiać z dyrektorem – powiedział Lord.

– Jedyne, o co proszę, to aby ktoś spoza Akademii czuwał nad przebiegiem tego śledztwa. Teraz, gdy Lucy odeszła, mogą uznać całą sprawę za dostatecznie wyjaśnioną i przestać się nią zajmować. Poza tym

dziewczyna wciąż jeszcze studiuje, więc czemu, do cholery, mieliby się z nią tak cackać?

– Zapatrywałbym się na to mniej pesymistycznie. Sądzę, że FBI zrobi wszystko, co konieczne – rzekł Lord z lekkim uśmiechem.

– To są czynności czysto biurokratyczne. Znam je na wylot, bo od lat w tym siedzę.

– Podobnie jak ja.

– Rozumiesz więc, o czym mówię.

– Jak najbardziej.

– Powiedzieli mi, że do końca tego semestru powinna zostać w Richmond.

– A zatem to jest wyrok. – Znowu sięgnął po filiżankę kawy.

– Właśnie. Dla nich to była łatwa decyzja, ale co dalej z moją siostrzenicą? Ma dopiero dwadzieścia jeden lat. Jej marzenia przysły właśnie jak bańka mydlana. Co powinna w tej sytuacji zrobić? Wrócić po Bożym Narodzeniu na uniwersytet, udając, że nic się nie stało?

– Posłuchaj mnie, Kay. – Dotknął mojego ramienia z taką czułością, że poczułam się, jakby był moim ojcem. – Zrobię, co będę mógł, bez niepotrzebnego wikłania się w tryby administracyjne. Czy mi ufasz?

– Tak.

– A tymczasem, jeśli pozwolisz, dam ci osobistą radę. – Wezwał kelnerkę i spojrzał na zegarek. – Jestem już spóźniony. – Odwrócił się do mnie. – Twoim największym problemem są sprawy rodzinne.

– Nie zgadzam się – powiedziałam stanowczo.

– Możesz się nie zgadzać. – Uśmiechnął się do kelnerki, która podała mu rachunek. – Jesteś jednak najbliższą – poza matką – osobą dla Lucy. Jak zamierzasz jej pomóc?

– Wydawało mi się, że właśnie dzisiaj to robiłam.

– A ja myślałem, że chciałaś się ze mną zobaczyć. Przepraszam panią – zwrócił się do kelnerki – ale wydaje mi się, że to nie nasz rachunek. Nie zamawialiśmy czterech przekąsek.

– Chwileczkę. Oczywiście. Przepraszam, senatorze Lord. To zamówienie z sąsiedniego stolika.

– W takim razie niech senator Kennedy zapłaci oba rachunki. – Wręczył kelnerce nasz. – Na pewno nie będzie protestował. Wierzy przecież w podatki i wydatki.

Obsługiwała nas duża kobieta w czarnym stroju i białym fartuszką, uczesana na pazia. Uśmiechnęła się z ulgą, widząc, że jej pomyłkę obrócono w żart.

– Oczywiście! Z pewnością powtórzę to senatorowi.

– I powiedz mu także, aby nie skąpił na napiwek, Missouri – dodał Lord, wychodząc. – Powiedz mu, że to moja prośba.

Missouri Rivers miała co najmniej siedemdziesiąt lat i odkąd kilka dziesiątków lat temu opuściła rodzinne Raleigh, bywała świadkiem uczt i postów senatorów, ich odejść i powtórnych elekcji, miłosnych uniesień i upadków. Doskonale wiedziała, kiedy wolno im przerwać i podać posiłek, a kiedy tylko napełnić filiżanki herbatą lub w ogóle zniknąć. Znała ich prawdziwe oblicza, gdyż wiarygodną miarą ludzkiej natury jest sposób, w jaki człowiek traktuje kogoś takiego jak ona, gdy nie jest przez nikogo obserwowany. Senator Lord był jednym z jej ulubieńców. Domyśliłam się tego, widząc w oczach Missouri wiele ciepła, kiedy zwracała się do niego lub usłyszała jego imię.

– Chcę cię zachęcić, abyś spędziła z Lucy trochę czasu – mówił dalej do mnie. – I nie próbuj walczyć ze smokami innych, a zwłaszcza jej.

– Ja po prostu nie jestem pewna, czy ona sama sobie z nimi poradzi.

– Uważam, że Lucy nie powinna wiedzieć o naszej rozmowie. Nie powinna też wiedzieć, że gdy tylko wrócę do biura, zacznę działać w jej sprawie. Jeżeli ktoś miałby jej o tym kiedyś powiedzieć, pozwól, że ja to zrobię.

– Zgoda.

Wkrótce potem opuściłam Russell Building i złapałam taksówkę, którą pojechałam tam, gdzie dokładnie piętnaście po drugiej miał na mnie czekać Wesley. Siedział na ławce w amfiteatrze niedaleko centrali FBI i chociaż wyglądał na osobę zatopioną w lekturze, wyczuł moją obecność, zanim jeszcze go zawołałam. Grupa turystów zwiedzających amfiteatr nie zwracała na nas najmniejszej uwagi. Wesley zamknął książkę i, wstając, wsunął ją do kieszeni płaszcza.

– Jak podróż? – zapytał.

– Cały ten lot, łącznie z dojazdem na lotnisko i przyjazdem z Narodowego do centrum miasta zajął mi tyle, co podróż samochodem.

– Leciałaś? – zdziwił się, przepuszczając mnie przez drzwi.

– Pozwoliłam Lucy korzystać z mojego samochodu.

Benton zdjął okulary słoneczne i wziął dla nas przepustki.

– Znasz Jacka Cartwrighta, dyrektora laboratorium kryminalistyki?

– Spotkaliśmy się kiedyś.

– Pójdziemy na chwilę do jego gabinetu, a potem coś ci pokażę.

– Go takiego?

– Miejsce, do którego niełatwo się dostać.

– Benton, jeśli zamierzasz być taki tajemniczy, nie pozostanie mi nic innego, jak zacząć mówić po łacinie.

– Doskonale wiesz, że tego nie znoszę.

Po włożeniu naszych zakodowanych przepustek do obrotowej bramki, weszliśmy na długi korytarz, prowadzący do windy. Za każdym razem, gdy

odwiedzałam centralę FBI, uświadamiałam sobie, jak bardzo nie lubię tego miejsca. Ludzie rzadko się tu uśmiechają do siebie i niechętnie nawiązują kontakt wzrokowy. Niekończące się korytarze łączące pracownie laboratoryjne tworzą labirynt, w którym nigdy nie potrafiłabym się zorientować. Nic dziwnego, że pracujący tu ludzie także wyglądają na zdezorientowanych.

Gabinet Jacka Cartwrighta mieścił się w słonecznym pokoju, z oknem wychodzącym na ruchliwą ulicę.

– Benton, Kay, witajcie! – Cartwright serdecznie uściskał nam dłonie. – Usiądźcie, proszę. To George Kilby i Seth Richards z naszego laboratorium. Czy państwo się znają?

– Nie. Miło mi. – Wyciągnęłam rękę do Kilby’ego i Richardsa, którzy byli młodzi, poważni i statecznie odziani.

– Może ktoś ma ochotę na kawę?

Nikt się nie zgłosił, a Cartwright najwyraźniej śpieszył się, aby przystąpić do sprawy. Był interesującym mężczyzną, jego biurko zaś świadczyło o tym, w jaki sposób lubi pracować. Każdy dokument, koperta czy notatka telefoniczna miały swoje miejsce. Na wierzchu notesu z żółtymi kartkami leżało stare, srebrne wieczne pióro firmy Parker, używane wyłącznie przez perfekcjonistów. Zauważyłam, że na parapetach okiennych stoją doniczki z kwiatami i fotografie jego żony i córek. Promienie słoneczne odbijały się w lusterkach przejeżdżających w dole samochodów, a uliczni handlarze głośno nawoływali do kupna podkoszulków, lodów i napojów.

– Od pewnego czasu pracujemy nad sprawą Emily Steiner – zaczął Cartwright – i doszliśmy do wielu interesujących wniosków. Zacznę od tego, co prawdopodobnie jest teraz najważniejsze, a mianowicie wyników badań fragmentów skóry znalezionej w lodówce. Chociaż nie mamy jeszcze

ostatecznej analizy DNA, już teraz z całkowitą pewnością możemy powiedzieć, że jest to tkanka ludzka, grupa krwi 0 Rh plus. Ofiara, Emily Steiner, posiadała tę samą grupę. Poza tym wielkość i kształt kawałków skóry odpowiada ranom na jej ciele.

– Czy można określić, jakiego typu ostrzem wycięto skórę? – zapytałam, robiąc notatki.

– Oстрыm narzędziem tnącym o jednym ostrzu.

– Mógł to być niemal każdy typ noża – dopowiedział Wesley.

– Można oznaczyć miejsce, w którym czubek ostrza zaczynał penetrować ciało – kontynuował Cartwright. – Dlatego mówimy o narzędziu ostro zakończonym i z pojedynczym ostrzem. Tylko tak możemy je scharakteryzować. A przy okazji – spojrzał na Wesleya – powiem ci, że na żadnym z noży, które nam przysłałeś, nie znaleźliśmy śladów ludzkiej krwi. Chodzi o rzeczy z domu Fergusona.

Wesley pokiwał głową; jego twarz była nieprzenikniona.

– A teraz reszta materiału dowodowego, po kolei. Tu zaczyna się już robić ciekawie. Badania mikroskopowe ujawniły obecność pewnej niezwyklej substancji, znajdującej się na ciele i włosach Emily, a także na podszwach jej butów. Mamy też kilka niebieskich akrylowych nitek, pochodzących z koca w jej sypialni, oraz zielone bawełniane z płaszcza, w którym była na spotkaniu w kościele. Znalaziono również kilka innych włókien, których pochodzenia nie zdołaliśmy ustalić. Poza tym drobiny kurzu, mogące pochodzić zewsząd. Ale to, o czym wspomniałem na początku, to coś bardzo konkretnego.

Cartwright przysunął się na obrotowym krześle do regału i włączył odtwarzacz wideo. Na ekranie telewizora pojawiły się cztery różne przekroje materiału komórkowego, który przypominał podziały na plastrze miodu, z wyraźnymi ciemno-bursztynowymi plamami.

– To, na co patrzycie – poinformował nas – to przekroje przez roślinę, zwaną *Sambucus simpsonii*. Jest to zdrewniały krzak, porastający wybrzeża i laguny południowej Florydy. Niezwykle ciekawe są te ciemniejsze plamy, widoczne w tym miejscu – wskazał palcem bursztynowe zabarwienia. – George – zwrócił się do jednego z naukowców – to twoja działka.

– To są pęcherzyki taninowe. – George Kilby przysunął się bliżej, aby włączyć się do rozmowy. – Można je zobaczyć wyraźniej na tym promienistym przekroju.

– Co to właściwie jest pęcherzyk taninowy? – zapytał Wesley.

– To naczynie służące do transportu materiału w górę i w dół łodygi rośliny.

– Jakiego materiału?

– Głównie są to produkty odpadowe, pozostałości pracy komórek. A to, na co teraz patrzymy, to rdzeń. Ta część rośliny, w której znajdują się owe pęcherzyki taninowe.

– Chce pan powiedzieć, że pod mikroskopem znaleziono ślady tego rdzenia? – zapytałam.

Agent specjalny George Kilby kiwnął głową.

– Zgadza się. Wykorzystuje się go w postaci wysuszonej.

– Do czego? – zapytał Wesley

– Najczęściej używa się tego materiału w złotnictwie do przytrzymywania drobnych fragmentów biżuterii. Ma także zastosowanie przy naprawie zegarków. Zegarmistrz może zrobić z niego podkładkę, w którą wciska drobne elementy mechanizmu zegarka, chcąc mieć pewność, że nie stoczą się ze stołu ani nie zmiecie ich rękawem na podłogę. Obecnie częściej używa się do tego celu styropianu.

– Czy na ciele dziewczynki dużo było śladów tego rdzenia? – zapytałam.

– Sporo, zwłaszcza w miejscach zranień.

- Jak najłatwiej go zdobyć? – zainteresował się Wesley.
- Jeśli ktoś chciałby się zaopatrzyć sam, to najlepiej w Everglades – odpowiedział Kilby. – Oczywiście, może go też zamówić.
- W jaki sposób?
- Wiem, że zajmuje się tym pewna firma w Silver Spring, w stanie Maryland.
- Myślę, że trzeba sprawdzić, kto w Black Mountain zajmuje się naprawą biżuterii. – Mówiąc to, Wesley spojrzał na mnie.
- Nie sądzę, aby był tam choć jeden jubiler – powiedziałam.
- Poza wymienionymi już śladami znaleźliśmy jeszcze mikroskopijne ślady owadów – kontynuował Cartwright. – Żuki, koniki polne, karaluchy – w zasadzie nic szczególnego. Poza tym drobiny białej i czarnej farby oraz trociny we włosach.
- Z jakiego drewna? – zapytałam.
- Głównie orzech, ale zidentyfikowaliśmy także mahoń. – Cartwright spojrzał na Wesleya, który wyglądał przez okno. – Jednakże na kawałkach skóry, które znaleźliście w lodówce, nie było tych śladów.
- To sugeruje, że fragmenty skóry usunięto z ciała, zanim znalazło się ono w miejscu, skąd pochodzi reszta śladów – zasugerował Wesley.
- Prawdopodobnie tak – przytaknęłam. – Ale należy też pamiętać, że ten, kto wyciął kawałki skóry, mógł je potem opłukać. Chociażby po to, aby pozbyć się krwi.
- A co myślicie o przechowywaniu ciała Emily w samochodzie? – zastanawiał się Wesley. – Na przykład w bagażniku?
- To możliwe – zgodził się Kilby.
- Domyślałam się, do czego Benton zmierza. Gault zamordował trzynastoletniego Eddiego Heatha w używanej furgonetce, z której wnętrza pochodziło wiele śladów, znalezionych później na ciele chłopca. Wszystko

wskazywało na to, że Gault, psychopatyczny synalek bogatego plantatora orzechów laskowych z Georgii, znajdował wyjątkową przyjemność w zostawianiu na ciałach swoich ofiar dodatkowych śladów, które zaciemniałyby obraz śledztwa.

– A teraz sprawa jaskrawo-pomarańczowej taśmy samoprzylepnej – przeszedł Cartwright do ostatniego tematu. – Czy mam rację sądząc, że nie znaleźliście jeszcze tej rolki?

– Jak dotąd, nie – potwierdził Wesley.

Cartwright zwrócił się do agenta specjalnego Richardsa, który przeglądał swoje notatki:

– A zatem zacznijmy. Osobiście uważam, że to może być najważniejszy ślad w tej sprawie.

Richards zaczął mówić z wielkim przejęciem, jak każdy bowiem oddany swojej pracy kryminolog, był jej prawdziwym entuzjastą. W archiwum taśm FBI znajdowało się ponad sto różnych typów taśm izolacyjnych, które służyły jako wzory do identyfikacji, jeśli zdarzały się przestępstwa z ich użyciem. A zdarzały się tak często, że robiąc zakupy w sklepach gospodarstwa domowego, nie mogłam nigdy przejść spokojnie obok półek z taśmami. Natychmiast nasuwały mi się skojarzenia z horrorami znanymi mi z praktyki zawodowej.

Często miałam do czynienia z fragmentami ludzkich ciał rozerwanymi przez bomby oklejone taką właśnie taśmą. Zdejmowałam ją także z ciał ofiar spętanych przez sadystycznych morderców oraz ze zwłok obciążonych blokami betonu i zatopionych w rzekach lub jeziorach. Niezliczoną ilość razy zrywałam ją z twarzy osób, którym nie pozwolono krzyczeć, dopóki nie przywieziono ich do mnie, do kostnicy. Bo dopiero tam ich ciała mogły swobodnie opowiadać o tym, co z nimi zrobiono.

Dopiero tam ofiary spotykały się z prawdziwą troską ludzi, którzy zajmowali się ich umęczonymi ciałami.

– Nigdy przedtem nie widziałem takiej taśmy – mówił Richards. – A z uwagi na wysoką gęstość przędzy, z której została wykonana, z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę powiedzieć, że ten, komu była potrzebna, nie kupił jej w sklepie.

– Skąd ta pewność? – zapytał Wesley.

– To gatunek przemysłowy, o gęstości przędzy sześćdziesiąt dwa, jeśli chodzi o wątek, i pięćdziesiąt sześć w przypadku osnowy. Typowa gęstość dla popularnej taśmy tego typu, którą można kupić za kilka dolarów w sieci Walmart lub Safeway, wynosi analogicznie dwadzieścia i dziesięć. Taśma przemysłowa zaś potrafi kosztować nawet dziesięć dolarów za rolkę.

– Czy wie pan, gdzie wyprodukowano tę taśmę? – zapytałam.

– W Shuford Mills of Hickory w Północnej Karolinie. Mają tam jedną z największych w naszym kraju fabrykę taśm izolacyjnych. Najbardziej znany gatunek, jaki produkują, to Shurtape.

– Hickory jest oddalone o zaledwie sześćdziesiąt mil na wschód od Black Mountain – powiedziałam.

– Czy rozmawiał pan z kimś z Shuford Mills? – dopytywał się Wesley.

– Oczywiście. Starają się znaleźć dla mnie jakieś informacje. Ale i tak coś już wiemy. Jaskrawo-pomarańczowa taśma została wyprodukowana w Shuford Mills w latach osiemdziesiątych na specjalne zamówienie dla prywatnego odbiorcy.

– Jakie warunki musi spełniać ktoś, kto składa takie zamówienie? – zapytałam.

– Może zamówić dowolny rodzaj taśmy, pod warunkiem że kupi minimum pięćset skrzynek. Z tego wniosek, że produkuje się wiele różnych

wzorów taśm, o których nie mamy pojęcia, dopóki nie wypłyną w okolicznościach takich jak ta.

– Czy może mi pan wyjaśnić, w jakim celu ludzie zamawiają specjalne taśmy tego typu? – poprosiłam Richardsa.

– Robią to na przykład kierowcy startujący w wyścigach samochodowych – odpowiedział natychmiast. – Na przykład Richard Petty kazał zrobić dla swojego zespołu obsługi technicznej taśmę w barwach czerwono-niebieskich, a Daryl Waltrip żółtą. Kilka lat temu do Shuford Mills zgłosił się klient, który miał dość wynoszenia drogiej taśmy przez pracowników swojej firmy. Postanowił zatem zamówić taśmę w oryginalnym, jaskrawo-purpurowym kolorze, co pozwalało mu rozpoznać, kiedy ktoś z personelu naprawiał izolację czy sklejał ciekący basenik dziecka kradzioną taśmą.

– Czy jaskrawo-pomarańczowa taśma mogła mieć podobne przeznaczenie? Aby ograniczyć jej kradzież? – zapytałam.

– To możliwe – potwierdził Richards. – Ta akurat ma jeszcze jedną właściwość. Nie jest łatwopalna.

– Czy to coś wyjątkowego? – zainteresował się Wesley.

– W pewnym sensie – stwierdził agent specjalny. – Tego typu taśmy spotyka się w łodziach podwodnych i lotnictwie, ale nie widzę żadnego powodu, który tłumaczyłby użycie takiego właśnie koloru.

– Dlaczego zatem ktoś zamawiałby jaskrawo-pomarańczową taśmę samoprzylepną? – zapytałam wprost.

– Pytanie za milion dolarów – zaśmiał się Cartwright. – Mnie ten kolor kojarzy się z polowaniem lub robotami drogowymi.

– Wróćmy jednak do taśmy, którą morderca związał panią Steiner i jej córkę – zaproponował Wesley. – Co pan może nam o tym powiedzieć?

– Na końcach taśmy znaleźliśmy ślady substancji przypominającej swoim składem politurę używaną do mebli – relacjonował Richards. – Poza tym kolejność, w jakiej taśma była odrywana z rolki, nie odpowiada kolejności, w jakiej napastnik krępował nadgarstki i kostki u nóg pani Steiner. Sugeruje to, że morderca najpierw przygotował tyle kawałków taśmy, ile potrzebował, przykleił je do krawędzi mebli, a dopiero potem rozpoczął krępowanie ofiary. Kiedy zaczął wiązać panią Steiner, wszystkie kawałki czekały w pogotowiu, a on odlepił je jeden po drugim.

– Tylko że używał ich w odwrotnej kolejności – dopowiedział Wesley.

– Tak – potwierdził Richards. – Poukładałem je w takiej sekwencji, w jakiej zostały użyte do skrępowania obu ofiar. Chcielibyście państwo rzucić na to okiem?

– Oczywiście skorzystaliśmy z takiej możliwości.

Resztę popołudnia oboje z Wesleyem spędziliśmy w Dziale Analiz Materiałowych, gdzie znajdowały się chromatografy gazowe, spektrometry do badania masy, dyferencjalne kalorymetry skanujące oraz inne wymyślne instrumenty, służące do określania cech materiałów i temperatur topnienia. Znalazłam miejsce przy przenośnym wykrywaczu materiałów wybuchowych i słuchałam dalszej części opowieści Richardsa o dziwnej taśmie, użytej do skrępowania Emily i jej matki.

Wyjaśniał on, że po otrzymaniu od policji z Black Mountain taśmy wyprostował ją za pomocą dmuchawy z gorącym powietrzem i dokładnie przeanalizował. Dostarczono mu siedemnaście kawałków, o długości od ośmiu do dziewiętnastu cali. Umieścił je na przezroczystych winylowych płytach, a następnie ponumerował według dwóch kluczy – w kolejności, w jakiej taśma odrywana była z rolki, oraz w kolejności, w jakiej napastnik używał jej do krępowania.

Kolejność, w jakiej krępowano nimi matkę, jest zupełnie odwrotna, niż wskazywałyby na to logika. Fragment, który powinien być pierwszy, użyty został jako ostatni. Z kolei drugi oderwany z rolki kawałek użyty został jako piąty. Dziewczynka krępowana była zupełnie inaczej. Do unieruchomienia jej nadgarstków morderca potrzebował siedmiu odcinków taśmy i wykorzystał je w takiej kolejności, w jakiej były odrywane z rolki.

– Może łatwiej mu było nad dziewczynką zapanować – zauważył Wesley.

– To prawdopodobne – rzekłam i zwróciłam się do Richardsa. – Czy na taśmie zdjętej z ciała dziewczynki znalazł pan ślady werniksu meblowego?

– Nie.

– To ciekawe – powiedziałam.

W końcu obejrzelśmy zachowane na taśmie ślady brudu. Zostały one zidentyfikowane jako węglowodory, co jest naukowym określeniem tłuszczu. Niestety, to znalezisko nie posuwało naszego śledztwa w żadną stronę, ponieważ tłuszcz występuje prawie wszędzie. Ten na taśmie mógł pochodzić na przykład z jakiegoś samochodu.

12

O wpół do piątej wstąpiliśmy z Wesleyem na drinka do Red Sage. Pora była wczesna, ale oboje mieliśmy nie najlepsze nastroje.

Czułam się w jego towarzystwie dziwnie skrępowana, bo kiedy znowu zostaliśmy sami, nie mogłam przestać myśleć o tym, co zaszło między nami tamtej nocy. Pragnęłam, aby sam nawiązał w rozmowie do tego tematu, co pozwoliłoby mi wierzyć, że on także przywiązuje do tego wagę.

– Mają tu świetne piwo z beczki – powiedział, gdy przeglądałam kartę. – Oczywiście, pod warunkiem że je lubisz.

– Nie przepadam za piwem, no, może wyjątkowo w środku upalnego lata, gdy bywam zmęczona, spragniona i mam ochotę na pizzę – odpowiedziałam nieco rozczarowana, że nie zna moich upodobań. – Ale w zasadzie nie lubię i prawie nigdy nie pijam. Chyba że nie ma absolutnie nic innego, ale wtedy nie jestem w stanie ocenić ani jego jakości, ani smaku.

– W porządku, nie ma powodu, żeby się tak denerwować.

– Jestem całkowicie spokojna.

– Ale zachowujesz się tak, jakbyś była na mnie o coś zła. A poza tym unikasz mojego wzroku.

– Przesadzasz.

– Analizowanie ludzkich zachowań to mój zawód i jestem pewien, że coś cię gryzie.

– Zawodowo zajmujesz się analizowaniem zachowań psychopatów – poprawiłam go. – Na co dzień nie zajmujesz się kobietą, która jest doktorem medycyny oraz prawnikiem w jednej osobie, a teraz marzy jedynie o tym, aby odpocząć po ciężkim, długim dniu pracy nad sprawą dotyczącą zabójstwa dziecka.

– Nie było mi łatwo zamówić stolik w tej restauracji.

– Domyślam się. Jestem ci wdzięczna, że zdecydowałeś się pokonać te trudności.

– Musiałem użyć swoich wpływów.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Zamówimy wino do obiadu. Widzę, że mają Opus One. Może to poprawi ci humor.

– Cena jest mocno wygórowana, a poza tym robione jest pod bordeaux, które wydaje mi się za ciężkie na drinka. Nie spodziewałam się, że będziemy jeść tu obiad. Za dwie godziny mam samolot. Chciałabym po prostu wypić kieliszek caberneta.

– Będzie, jak sobie życzysz.

– Prawdę powiedziawszy, sama nie wiedziałam, czego tak naprawdę bym sobie życzyła.

– Jutro wracam do Asheville – powiedział Wesley. – Jeżelibyś została do rana, moglibyśmy pojechać razem.

– Co będziesz tam robił?

– Prosili nas o pomoc jeszcze przed śmiercią Fergusona i chorobą Mote'a. Jestem głęboko przekonany, że nie panikują bez powodu i naprawdę oczekują od nas wsparcia. Obiecałem, że zrobimy wszystko, aby wyjaśnić tę sprawę. Jeżeli się okaże, że będę musiał tam posłać jeszcze jednego agenta, zrobię to.

Mój przyjaciel miał zwyczaj dopytywania się o imię obsługującego go kelnera i podczas posiłku zawsze zwracał się do niego per ty. Kelner, który nam podawał, nazywał się Stan i Wesley chyba ze sto razy wymienił jego imię, wybierając gatunek wina i przystawki. Chociaż była to jedyna śmiesznośćka, jedyne afektowane zachowanie, jakie u niego zauważyłam, tego wieczora wyjątkowo mnie to drażniło.

– Wiesz co, ten kelner wcale nie czuje się przez to swobodniej w rozmowie z tobą. Prawdę powiedziawszy, zachowujesz się wobec niego protekcjonalnie, jak jakiś gwiazdor telewizyjny.

– O czym ty mówisz? – zapytał, nie rozumiejąc mojej uwagi.

– O zwracaniu się do niego po imieniu. O stwarzaniu pozorów familiarności.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Wcale nie chcę cię krytykować, Benton – brnęłam dalej, czując już, że niepotrzebnie zaczęłam. – Mówię o tym jako bliska ci osoba, bo pewnie nikt inny nie zwróci ci na to uwagi. Ale powinieneś wiedzieć, jak to wygląda dla kogoś z zewnątrz. Tylko przyjaciel może sobie pozwolić na taką szczerość. Prawdziwy przyjaciel.

– Skończyłaś już? — zapytał.

– Prawie. – Zmusiłam się do niewyraźnego uśmiechu.

– Powiesz mi wreszcie, o co ci naprawdę chodzi? A może chcesz, żebym bawił się w zgadywanie?

– Już ci powiedziałam, że o nic mi nie chodzi – oznajmiłam, ocierając łzy, które nagle napłynęły mi do oczu.

– Na Boga, Kay! – Benton podał mi chusteczkę.

– Dziękuję, mam własną – powiedziałam, wyjmując ją z torebki.

– Czy to z powodu tamtej nocy? – zapytał?

– Może powinieneś powiedzieć, o jaką noc chodzi. Nie wiem, czy takie noce nie zdarzają ci się częściej.

Widziałam, że Wesley usiłuje zachować powagę, ale bez powodzenia. Przez kilka minut nie mogliśmy rozmawiać, bo dosłownie dławił się ze śmiechu, a ja nie wiedziałam, czy płakać, czy się śmiać.

Kelner Stan przyniósł wino i dopiero po wypiciu kilku łyków byłam w stanie znów się odezwać.

– Benton, bardzo cię przepraszam. Ale musisz zrozumieć, jestem potwornie zmęczona, sprawa z Black Mountain po prostu mnie przytłacza. Mam problemy z Marino, a poza tym jeszcze ta historia z Lucy.

– To rzeczywiście wystarczy, aby wpaść w przygnębienie – powiedział Wesley, a ja wyczułam w jego głosie troskę i niepokój. Sprawilo mi to nawet pewną satysfakcję.

– A poza tym masz rację, myślę o tym, co było między nami w Północnej Karolinie – dodałam.

– Czy żałujesz tego?

– Jakie to ma znaczenie, żałuję czy nie?

– Byłoby mi przyjemnie usłyszeć, że nie żałujesz.

– Tego nie mogę powiedzieć.

– A zatem żałujesz.

– Nie, nie żałuję.

– A więc nie żałujesz.

– Do cholery, Benton, zostawmy to.

– Nie mam zamiaru – powiedział. – W końcu ja też tam byłem.

– Słucham? – zapytałam zdziwiona.

– Tej nocy, kiedy to się stało, pamiętasz? W zasadzie to było wczesnym rankiem. To, co tam robiliśmy, robiliśmy oboje. Ja też tam byłem. Nie jesteś

jedyną osobą, która zastanawia się nad tym od kilku dni. Czemu nie zapytasz mnie, czy tego żałuję?

– Nie zapytam – odpowiedziałam. – Ty masz żonę.

– Jeśli popełniłem cudzołóstwo, to ty także. Do tego potrzeba dwojga – oświadczył.

– Mój samolot odlatuje za godzinę. Muszę już iść.

– Powinnaś o tym pomyśleć, zanim zaczęłaś tę rozmowę. Nie możesz teraz tak po prostu wyjść.

– Oczywiście że mogę.

– Kay? – Spojrzał mi w oczy, ścisząc głos do szeptu, i wziął mnie za rękę.

Tym razem zatrzymałam się w hotelu Willard. W nocy bardzo długo rozmawialiśmy i w końcu tak wyjaśniliśmy wszystkie wątpliwości, aby ułatwić sobie powtórzenie tego samego grzechu. Gdy następnego ranka wysiadaliśmy z windy na parterze, odnosiliśmy się do siebie z dużą atencją, jak dwoje bliskich przyjaciół, którzy właśnie przed chwilą się spotkali. Pojechaliśmy taksówką na lotnisko, gdzie kupiliśmy bilety do Charlotte. Tam przeprowadziłam niemal godzinną rozmowę telefoniczną z Lucy.

– Znalazłam kogoś, kto już zaczął pracować nad twoją sprawą – powiedziałam jej, siedząc w klubie US Air.

– Muszę natychmiast coś zrobić – oznajmiła Lucy.

– Proszę cię, bądź cierpliwa.

– Nie mogę. Wiem, kto mnie w to wrobił, i muszę to załatwić.

– Kto? – spytałam zaniepokojona.

– Dowiesz się, gdy przyjdzie czas.

– Lucy, kto to taki? Proszę, powiedz mi wszystko, co wiesz.

– Teraz nie mogę. Jest coś, co muszę zrobić najpierw. Kiedy wracasz do domu?

Nie wiem. Gdy tylko się zorientuję, jak długo będę musiała zostać w Asheville, natychmiast do ciebie zadzwonię.

– Czy mogę skorzystać z twojego samochodu?

– Oczywiście.

– Nie będziesz go potrzebowała przez kilka najbliższych dni?

– Raczej nie. Ale powiedz mi, co zamierzasz? – dopytywałam się coraz bardziej zaniepokojona.

– Być może pojedę do Quantico, a wtedy zostanę tam na noc. Mam nadzieję, że nie jesteś temu przeciwna?

– Nie – odpowiedziałam. – Oczywiście, pod warunkiem że będziesz na siebie uważała. Lucy, pamiętaj o tym.

Do Asheville lecieliśmy niewielkim śmigłowcem, który tak hałasował, że nie sposób było rozmawiać. Wesley zapadł w drzemkę, a ja siedziałam z zamkniętymi oczami, oślepiona wpadającymi przez okno promieniami słońca. Moje myśli błądziły bez celu po zakamarkach pamięci, z których wydobywały się zatarte już częściowo wspomnienia. Niektóre wiązały się z moim ojcem. Przypomniałam sobie obrączkę z białego złota, którą nosił na palcu lewej ręki. Zastępowała mu ślubną, z prawdziwego kruszcu, zgubioną kiedyś na plaży. Byliśmy wówczas tak biedni, że ojca nie było stać, aby kupić drugą.

Ojciec nigdy nie studiował w college’u, ale pamiętam, że miał również sygnet uczniowski szkoły wyższej. Ten jego był z czerwonym kamieniem; zawsze bardzo chciałam, aby okazał się on rubinem. W domu nie było pieniędzy i myślałam, że gdy go sprzedamy, starczy nam na lepsze życie. Nigdy nie zapomnę rozczarowania, gdy ojciec powiedział, że za ten sygnet nie kupilibyśmy nawet benzyny na drogę do South Miami. Powiedział to

zresztą w sposób, który wzbudził we mnie podejrzenie, że chyba nie zgubił ślubnej obrączki.

Zrozumiałam, że ją sprzedał, gdy brakowało pieniędzy, i wymyślił to kłamstwo, aby nie martwić mamy. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale wydawało mi się, że mama zachowała tę drugą obrączkę z fałszywego złota, chyba że włożyła ją ojcu do trumny. Gdy zmarł, miałam dwanaście lat, więc nie pamiętałam już wielu szczegółów z tamtych czasów.

Poddając się napływającym wspomnieniom, zauważyłam ze zdziwieniem, że niektóre postacie z przeszłości pojawiają się w nich zupełnie bez zaproszenia. Nie rozumiałam na przykład, dlaczego stanęła mi nagle przed oczami siostra Marta, moja nauczycielka z trzeciej klasy szkoły podstawowej, albo dziewczynka o imieniu Jennifer, wybiegająca z klasy na kościelny dziedziniec, którego płyty dźwięczały pod obcasami jej bucików, jakby ktoś rozrzucał po nich setki małych marmurowych kulek.

Ludzie z przeszłości wyłaniali się z moich wspomnień i natychmiast znikali, a ja trwałam w półśnie, poddając się narastającemu smutkowi. Obok czułam ramię Wesleya. Dotykaliśmy się leciutko. Gdy skoncentrowałam na nim swoją uwagę, poczułam zapach rozgrzanej słońcem wełnianej marynarki. Wyobraziłam sobie jego długie palce pianisty, w których trzyma wieczne pióro lub szklanekę whisky.

Chyba właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że jestem w nim zakochana. Bałam się tego uczucia, bo dotychczas zawsze tak się składało, że traciłam mężczyzn, których kochałam. Nie miałam odwagi otworzyć oczu aż do chwili, gdy usłyszałam głos stewardesy, proszącej pasażerów o ustawienie foteli w pozycji pionowej i przygotowanie się do lądowania.

– Czy ktoś po nas wyjdzie? – zapytałam, jakby to właśnie niepokoiło mnie najbardziej podczas całego lotu.

Benton spojrział na mnie przeciągle. Jego oczy przez chwilę miały kolor piwa, przez które prześwieca promień słońca. Potem nagle ściemniały i jego spojrzenie stało się melancholijne. Szybko odwrócił wzrok.

– Chyba wrócimy do Travel-Eze – powiedziałam, patrząc, jak odpina pasy i wyjmuję ze schowka walizkę. Zrobił to, zanim zapalił się znak pozwalający pasażerom wstać z foteli. Stewardesa udawała, że nic nie widzi, Wesley bowiem posiadał zdolność wysyłania szczególnych sygnałów, które powstrzymywały ludzi od zwracania mu uwagi.

– Dość długo rozmawiałś z Lucy w Charlotte – odezwał się po chwili.

– Tak – potwierdziłam krótko.

– I co? – Jego oczy znowu jakby rozświeciła słońce.

– Twierdzi, że wie, kto za tym stoi.

– Co to znaczy, że ktoś za tym stoi? – zmarszczył brwi.

– Myślę, że to proste – powiedziałam. – Jeśli ktoś tego nie rozumie, to znaczy, że jego zdaniem, Lucy jest winna.

– Ależ Kay, na skanerze zostały linie papilarne jej kciuka.

– To prawda.

– A zatem zgadzasz się, że jej kciuk nie mógłby zostać zeskanowany, gdyby nie był tam fizycznie obecny, razem z ręką, ramieniem i resztą ciała, co zresztą potwierdził komputer.

– Jestem tego jak najbardziej świadoma – zgodziłam się.

Wesley włożył okulary przeciwsłoneczne i skierowaliśmy się do wyjścia.

– Przypominam ci tylko, jak to wygląda w świetle dowodów – szepnął mi do ucha, gdy szliśmy przejściem między fotelami.

Mogliśmy przeprowadzić się z Travel-Eze do bardziej luksusowej dzielnicy Asheville. Ale to, gdzie się zatrzymaliśmy, nie miało dla nas na

razie żadnego znaczenia. Umówiliśmy się z Marino w restauracji Coach House, której popularność była dla nas zupełnie niezrozumiała.

Mój siódmy zmysł już od chwili przyjazdu podpowiadał mi, że dzieje się coś dziwnego. Policjant z Black Mountain, który odebrał nas z lotniska, przywiózł mnie i Wesleya do restauracji i odjechał bez słowa komentarza. Chevrolet Pete'a stał zaparkowany niedaleko wejścia, a on sam siedział przy stoliku w kącie, wpatrując się w faceta obsługującego kasę.

Na nasz widok nie wstał, spoglądał tylko beznamiętnym wzrokiem w naszym kierunku, kołysząc szklanką mrożonej herbaty. Miałam wrażenie, że Marino, ten sam, z którym pracowałam od wielu lat, człowiek o jak najlepszych intencjach, luzak nienawidzący oficjalnego protokołu, zaczął nas nagle traktować jak swoją publiczność. Chłodna ostrożność Wesleya mówiła mi, że on także zauważył coś niepokojącego. Poza tym Marino miał na sobie nowy, ciemny garnitur.

– Jak się masz, Pete – powitał go Wesley, odstawiając krzesło.

– Cześć – powiedziałam, siadając obok.

– Mają tu świetne smażone kurczaki – odezwał się Marino, nie patrząc na nas. – Sałatki też są niezłe, jeśli macie ochotę na coś lżejszego – dodał, najwyraźniej pamiętając o moich gustach.

Kelnerka napełniła nasze szklanki wodą, podała karty i wyklepała jak pacierz wszystkie specjalności kuchni, zanim ktoś z nas w ogóle zdążył się do niej odezwać. Kiedy odeszła z naszymi niemal wymuszonymi zamówieniami, przy stoliku zapadła pełna napięcia cisza.

– Mamy wiele interesujących informacji, które otrzymaliśmy razem z wynikami analiz z laboratorium medycyny sądowej – zaczął wreszcie Wesley. – Ale opowiedz najpierw, co działo się tutaj.

Marino, który wyglądał na tak nieszczęśliwego, jak nigdy dotąd, sięgnął po szklankę z mrożoną herbatą, ale nawet nie umoczył w niej ust. Następnie

poklepał się po kieszeni i wyjął z niej paczkę papierosów. Nic nie mówił, tylko zaciągnął się dymem. Byłam zaniepokojona, bo w dalszym ciągu unikał naszego wzroku. Myślami przebywał chyba daleko stąd, a ja czułam się tak, jakby siedział z nami ktoś, kogo wcale nie znamy. Zwykle znaczyło to tylko jedno. Marino miał kłopoty. Zamknął się przed nami, ponieważ nie chciał, abyśmy domyślili się, co go gnębi.

– Obecnie najważniejszym problemem wydaje się sprawa woźnego ze szkoły, do której chodziła Emily Steiner – zaczął, zaciągając się nerwowo papierosem i strząsając popiół. – Nazywa się Creed Lindsey, jest białym mężczyzną w wieku trzydziestu czterech lat i przez ostatnie dwa lata pracował jako woźny w szkole podstawowej. Przedtem był woźnym w bibliotece publicznej w Black Mountain, a jeszcze wcześniej wykonywał tę samą cholerną robotę w podstawówce w Weaverville. Mogę jeszcze dodać, że w czasie gdy pracował w Weaverville, wydarzył się tam tragiczny wypadek z dziesięcioletnim chłopcem. Istnieje podejrzenie, że Lindsey był w to zamieszany...

– Chwileczkę – przerwał mu Wesley.

– Tragiczny wypadek? – zapytałam. – Co znaczy, że był w to zamieszany?

– Zaraz – wtrącił się Wesley. – Zaraz, zaraz. Czy rozmawiałaś z tym człowiekiem? – Spojrzał na Pete'a, który wreszcie przestał uciekać wzrokiem.

– Właśnie zamierzałem do tego dojść. Ten nygus zniknął. Gdy tylko dowiedział się, że mam zamiar z nim pogadać – nie mam zielonego pojęcia, kto mu przekablował tę wiadomość, ale tak się stało – zapadł się jak pod ziemię. Nie pojawia się ani w pracy, ani w swojej norze.

Zapalił kolejnego papierosa. Obok przechodziła kelnerka, niosąc dzbanek z herbatą, i Marino dał jej znak, aby podeszła. Zrobił to w taki

sposób, jakby był tu stałym bywalcem i zostawiał niezłe napiwki.

– Powiedz coś więcej o tym wypadku – poprosiłam.

– Zdarzył się cztery lata temu, w listopadzie. Dziesięcioletni chłopiec na rowerze został potrącony przez jakiegoś łajdaka, który przejechał ciągnącą linię na zakręcie. Dzieciak zmarł, zanim przyjechała karetka. Policja zdołała jedynie ustalić, że mniej więcej w tym samym czasie widziano w pobliżu miejsca wypadku białą półciężarówkę, jadącą z nadmierną prędkością. Na spodniach chłopca znaleziono też ślady białego lakieru. Dosłownie kilka dni przedtem Creed Lindsey kupił forda, właśnie białą półciężarówkę. Wiadomo, że zwykle jeździł tą właśnie trasą, na której wydarzył się wypadek. Co więcej, w dniu wypłaty, a był to akurat dzień, kiedy zginął chłopiec, Lindsey uderzył w jakiś magazyn.

Marino mówił; jego oczy ani na chwilę nie zatrzymały się w jednym punkcie. Oboje z Wesleyem zaczynaliśmy już odczuwać zmęczenie tą gadaniną.

– Podobnie jak teraz, gdy policja chciała go przesłuchać, ten cwaniaczek zniknął nagle z powierzchni ziemi – kontynuował Pete. – Przez pięć cholernych tygodni nie pojawił się w okolicy. Później tłumaczył się, że odwiedzał chorego kuzyna czy coś podobnego. W tym czasie przemałował swój samochód na niebiesko. Wszyscy wiedzieli, że ten sukinsyn był winny, ale nie mieli na to żadnego dowodu.

– No dobrze. – Wesley znowu mu przerwał. – Wszystko to brzmi bardzo interesująco i może nawet ten woźny rzeczywiście spowodował wypadek. Ale jak to się ma do naszej sprawy?

– Dla mnie to absolutnie jasne.

– Dla mnie nie. Możesz nam trochę pomóc?

– Lindsey lubi dzieci, to proste i jasne. Zatrudnia się tam, gdzie ma zapewniony kontakt z nimi.

– Mnie się wydaje, że bierze taką pracę, ponieważ nie potrafi robić nic innego poza zamiataniem podłogi.

– Gówno prawda. Mógłby to robić w sklepie z warzywami, wynając się u jakichś starszych ludzi czy coś takiego. A tymczasem każde miejsce, gdzie pracował, było pełne dzieciaków.

– No dobrze. Zgadza się. A więc zmiatał podłogi tam, gdzie było pełno dzieci. I co z tego wynika? – Wesley obserwował Pete'a, który miał gotową teorię i nie pozwalał jej sobie wyperswadować.

– Ze cztery lata temu zabił tamtego chłopaka, który był jego pierwszą ofiarą, i jestem przekonany, że to był naprawdę przypadek. Zrobił to, później musiał skłamać, a co za tym idzie, wciąż czuje się winny. Jest całkowicie zniewolony przez potworną tajemnicę, którą w sobie nosi. Tak właśnie zaczynają się obsesje.

– Obsesje? – zapytał zdziwiony Wesley. –Jakie obsesje, Pete?

– Facet czuje się winny wobec dzieci. Codziennie patrzy na nie, chce się do nich zbliżyć, uzyskać ich przebaczenie, do diabła, nie wiem, co jeszcze. Ale później ponoszą go emocje. Zaczyna się interesować małą dziewczynką. Daje jej słodycze, pragnie być tam, gdzie ona. Może spotkał ją tamtego wieczora, gdy wracała z kościoła. Może nawet z nią rozmawiał. Bez problemu dowiedział się, gdzie ona mieszka. To przecież mała miejscina. I oto cała zagadka.

Marino wypił łyk herbaty i zapalił następnego papierosa.

– Porwał ją, ponieważ wymyślił sobie, że jeśli uda mu się ją zatrzymać jakiś czas u siebie, sam się wreszcie przekona, że nie jest taki zły, że nikogo nie zamierzał skrzywdzić. Chciał, aby została jego przyjaciółką. Pragnął być kochany, ponieważ gdy by ona go pokochała, zmałałby swoją winę za to, co zrobił w przeszłości. Ale wszystko potoczyło się inaczej. Widzicie, Emily nie chciała mu pomóc. Przeraziła się. Chodzi o to, że nagle

rzeczywistość przestała pasować do tego, co uroił sobie w chorej wyobraźni, a więc wściekł się i zabił dziewczynkę. Zrobił to po raz drugi. Czyli zabił już dwoje dzieci.

Wesley chciał coś wtrącić, ale w tej samej chwili kelnerka podała nam zamówione dania.

Była to kobieta w podeszłym wieku, o grubych, opuchniętych nogach. Obsługiwała gości dość ospale, ale wyraźnie faworyzowała tego ważnego mężczyznę spoza miasta, ubranego w granatowy garnitur.

Starła się być uprzejma także w stosunku do nas i wyglądała na zadowoloną, gdy podziękowałam jej za sałatkę, której bynajmniej nie zamierzałam jeść. Zdążyłam już stracić cały apetyt. Nie byłam w stanie nawet patrzeć na kawałki szynki, indyka, cheddara, a szczególnie na ćwiartki jajek na twardo. Miałam wrażenie, że zaraz się rozchoruję.

– Czy podać państwu coś jeszcze?

– Nie, dziękujemy.

– To wygląda doprawdy wspaniale, Dot. Mógłbym prosić o więcej masła?

– Oczywiście, proszę pana, już podaję. Może sos dla pani?

– Nie, dziękuję. Zupełnie wystarczy to, co mam.

– Proszę się nie krępować. Jesteście państwo doprawdy bardzo mili i cieszymy się, że zechcieliście być naszymi gośćmi.

– W niedzielę po mszy zapraszamy do nas do bufetu.

– Będziemy pamiętać – powiedział z uśmiechem Wesley.

Miałam zamiar zostawić jej co najmniej pięć dolarów napiwku, żeby nie czuła się dotknięta tym, że prawie nie tknęłam sałatki.

Kiedy Wesley zastanawiał się, co odpowiedzieć Pete'wi, uświadomiłam sobie, że ci dwaj mężczyźni jeszcze nigdy nie znaleźli się podobnej sytuacji.

– Zastanawiam się, co skłoniło cię do porzucenia swojej po przedniej hipotezy – odezwał się w końcu Benton.

– Jakiej hipotezy? – zapytał Marino, odkrawając kawałek mięsa i polewając go sosem.

– Dotyczącej Temple’a Gaulta – przypomniał mu Wesley. – Mam wrażenie, że przestałeś się nim interesować.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Marino – włączyłam się – o co chodzi z tym wypadkiem?

Pete wytarł ręce i przywołał kelnerkę.

– Dot, potrzebuję ostrego noża. Wypadek jest w tej sprawie ważny, bo facet zamieszany jest w bardzo poważne przestępstwo. Ludzie z miasteczka gadają o nim, pamiętając historię z chłopcem i łącząc to z faktem, że Lindsey był szczególnie zainteresowany Emily Steiner. Chciałem wam to tylko uświadomić.

– A jak w świetle tego, co powiedziałaś, wyjaśnisz obecność kawałków ludzkiej skóry w lodówce Fergusona? – zapytałam. – A przy okazji, grupa krwi tej tkanki zgadza się z grupą krwi Emily. Wciąż jeszcze czekamy na wyniki badań DNA.

– Do cholery, tu nie ma czego wyjaśniać.

Dot przyniosła mu nóż i Marino zajął się na chwilę swoim kurczakiem. Wesley jadł bez apetytu smażoną flądę, czekając na dalsze informacje kolegi.

– Słuchajcie, z tego wynika, że Ferguson załatwił tę małą. Oczywiście, nie możemy wykluczyć, że Gault był tu także, i biorę to w dalszym ciągu pod uwagę.

– Czy mamy jakieś nowe wiadomości o Fergusonie? – zapytał Wesley. – Czy wiesz, że odciski palców zdjęte z majtek, które miał na sobie Ferguson, należą do Denesy Steiner?

– To logiczne, przecież zostały przez niego ukradzione tamtej nocy, gdy włamał się do jej domu i porwał córkę. Pamiętacie? Mówiła przecież, że siedząc w garderobie, słyszała, jak przeszukiwał szuflady, a później stwierdziła, że zginęły jej jakieś ubrania.

– To oraz fakt, że znaleziono w jego lodówce kawałki ludzkiej skóry, czyni z niego oczywiście podejrzanego numer jeden – potwierdził Wesley.

– Czy istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że kontaktował się wcześniej z Emily?

– Należy przyjąć, że z uwagi na to, kim był, wiedział o sprawie Eddiego Heatha. Mógł zaplanować upozorowanie morderstwa Steiner w tym samym stylu. Może nawet zainspirowało go to do popełnienia zbrodni.

– Ferguson był cwany – przyznał Marino, wciąż pracując rzetelnie nad swoim daniem. – Tyle mogę wam powiedzieć, ale coś mi się widzi, że nikt tutaj nie zna całej prawdy o tym facecie.

– Jak długo pracował dla stanowego Biura FBI?

– Jakies dziesięć lat. Przedtem był w drogówce, a jeszcze wcześniej w wojsku.

– Czy był rozwiedziony? – zapytał Wesley.

– A znasz kogoś, kto nie jest?

Wesley nie odpowiedział.

– Rozwodził się dwa razy. Jego pierwsza była żona mieszka w Tennessee, a druga w Enka. Ma czwórkę podchowanych dzieci, każde w innym miejscu.

– Co mówi o nim rodzina? – pytał dalej Wesley.

– Wiesz co, nie siedzę tu przecież pół roku! – obruszył się Marino i sięgnął po sos. – Miałem jeden dzień na rozmowy z ludźmi i byłem szczęśliwy, jeśli udało mi się kogoś złapać za pierwszym czy drugim telefonem. A was stąd oczywiście wywiało, wszystko złożyliście na moje

barki. Mam nadzieję, że nie poczujecie się dotknięci, jeśli wam przypomnę, że doba ma tylko dwadzieścia cztery zasrane godziny.

– Pete, to przecież jasne. – Wesley starał się go uspokoić. – I dlatego właśnie wróciliśmy. Wiemy wszyscy, że czeka nas jeszcze mnóstwo pracy. Może znacznie więcej, niż mi się na początku wydawało. Odnoszę wrażenie, że wiele faktów nie pasuje do siebie. Moim zdaniem, ta sprawa rozchodzi się w trzech różnych kierunkach, które nie chcą się ze sobą połączyć. Jedno jest pewne, należy dokładnie prześwietlić przeszłość Fergusona. Mamy dowody, które ewidentnie wskazują na niego: ludzka skóra w lodówce, odciski palców Denesy Steiner.

– Mają tu świetny napój wiśniowy – powiedział Marino, szukając wzrokiem kelnerki. Stała w otwartych drzwiach prowadzących na zaplecze, nie spuszczając z niego wzroku, gotowa na każde skinienie.

– Często tu jadasz? – zapytałam.

– Muszę się przecież gdzieś stołować, nieprawdaż, Dot? – rzekł, gdy kelnerka pojawiła się przy naszym stoliku.

Wesley i ja zamówiliśmy kawę.

– Kochanie, nie smakowała sałatka? – Na twarzy kobiety malowało się głębokie rozczarowanie.

– Była naprawdę świetna. Po prostu nie jestem głodna.

– Może zapakuję resztę na wynos?

– Nie, bardzo dziękuję.

Gdy odeszła, Wesley streścił Pete’owi pokrótce wyniki badań laboratoryjnych z Quantico. Przez chwilę rozmawialiśmy o zdrewniałym rdzeniu, taśmie samoprzylepnej, o których Marino nie wiedział nic prócz tego, co powiedziano nam dziś rano.

Tymczasem podano napój wiśniowy. Marino pił go, paląc kolejnego papierosa, a nasza rozmowa powoli zbliżała się do końca.

– Cholera – podsumował Marino. – To naprawdę dziwne gównno. Nie znalazłem nic, co mogłoby pasować do tych śladów.

– Nie szkodzi – powiedział Wesley, wstając z krzesła. – Taśma jest tak oryginalna, że na pewno znajdziemy tu kogoś, kto ją kiedyś widział. Oczywiście, pod warunkiem że pochodzi stąd. Ale nawet jeżeli nie, i tak prędzej czy później trafimy na jej trop.

– Ja się tym zajmę – oznajmiłam, biorąc rachunek.

– Nie przyjmują tutaj American Express – uprzedził mnie Marino.

– Jest za dziesięć druga – spojrział na zegarek Wesley. – Spotkajmy się o szóstej w hotelu i wtedy ustalimy plan zajęć.

– Muszę ci przypomnieć, że to nie jest hotel, tylko motel, i że nie mamy dziś samochodu.

– Podrzucę was do Travel-Eze. Twój samochód z pewnością wciąż jeszcze stoi na tamtejszym parkingu. A dla ciebie, Benton, znajdziemy jutro jakiś wóz, jeśli będzie ci potrzebny – powiedział Marino takim tonem, jakby już był komendantem policji w Black Mountain albo nawet burmistrzem.

– Na razie nie wiem jeszcze, czego tak naprawdę mi teraz potrzeba.

Detektyw Mote, którego postanowiłam odwiedzić jeszcze tego samego popołudnia, został już przeniesiony do osobnego pokoju. Jego stan się polepszył, ale chory wciąż pozostawał pod ścisłą kontrolą lekarzy. Po drodze nie udało mi się znaleźć żadnej kwiaciarni i musiałam zdać się na to, co oferował szpitalny sklepik. Mieli tam mały wybór gotowych bukietów, przechowywanych w chłodzonej gablocie.

– Detektywie Mote?... – powiedziałam cicho, stając w drzwiach.

Siedział na łóżku z podniesionym oparciem i wyglądało na to, że przysnął, oglądając telewizję.

– Dzień dobry – rzekłam nieco głośniej.

Otworzył oczy i przez moment nie mógł sobie przypomnieć, kim jestem. Ale już po chwili uśmiechnął się tak serdecznie, jakby od dawna marzył o spotkaniu ze mną.

– Na Boga, toż to doktor Scarpetta. Nie sądziłem, że pani wciąż tu jest.

– Przepraszam za nieefektywne kwiaty, ale na dole nie mają dużego wyboru. – Umieściłam skromny bukiet z chryzantem w zielonym wazonie.

– Mogę je tu postawić?

Ustawiłam kwiaty na szafce i ze smutkiem zauważyłam, że stojący obok bukiet prezentuje się o niebo lepiej.

– Tutaj jest krzesło, jeśli ma pani czas, aby chwilę zostać.

– Jak się pan czuje?

Był blady i mizerny, a gdy odwrócił głowę, aby spojrzeć przez okno, za którym widać było piękny, jesienny krajobraz, zauważyłam, że ma zmęczone i podkrążone oczy.

– No cóż, jak to się mówi, staram się płynąć z prądem – powiedział. – Nigdy nie wiadomo, co czyha na człowieka za rogiem. Teraz myślę raczej o wędkowaniu i drobnych pracach stolarskich. Wie pani, od lat marzę o małej chatce gdzieś w spokojnym miejscu. Chciałbym także robić laski z lipowego drewna.

– Detektywie Mote – postanowiłam delikatnie zmienić temat – czy odwiedzał pana ktoś z policji?

– Oczywiście – potwierdził, znowu patrząc w błękitne niebo. – Wpadło kilku kumpli, paru dzwoniło.

– A jak posuwa się śledztwo w sprawie Emily Steiner?

– Niezbyt dobrze.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, mnie tam nie ma. Po drugie, zdaje mi się, że każdy ciągnie tę sprawę w swoim kierunku. Trochę się tym martwię.

– Był pan w nią zaangażowany od samego początku – powiedziałam. – Pewnie znał pan też dobrze Maxa Fergusona.

– Myślę, że jednak nie tak dobrze, jak mi się przedtem zdawało.

– Domyśla się pan, że jest podejrzanym?

– Wiem o tym. Wiem wszystko.

Wpadające przez okno promienie słońca sprawiły, że jego oczy wydały mi się wypłowiałe, niemal koloru wody. Zamrugał kilka razy nerwowo i otarł łzy, które wywołało zbyt mocne słońce lub emocja.

– Słyszałem także, że istnieją pewne podejrzenia w stosunku do Creeda Lindseya. Wydaje mi się, że w obu tych przypadkach zarzuty postawione są trochę niesprawiedliwie.

- Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytałam.
- Po prostu Maxa nie ma już z nami i nie może się bronić.
- To prawda.
- A Creed nie umiałby się sam bronić, nawet gdyby tu był.
- A gdzie jest teraz?
- Słyszałem, że gdzieś się zaszyl, co zdarzyło się nie po raz pierwszy. To samo zrobił, gdy zginął tamten chłopiec, potrącony przez samochód. Wszyscy wtedy uważali, że Creed jest winien jego śmierci. Postanowił więc wyjechać i wrócił dopiero wtedy, gdy sprawa nieco ucichła. Sądzę, że teraz też pojechał do Colored Town, żeby zalewać robaka.
- Gdzie on mieszka?
- Kawalek za Montreat Road, w stronę Rainbow Mountain.
- Niestety, nic mi to nie mówi, nie znam jeszcze tej okolicy.
- Gdy dojedzie pani do końca ulicy Montreat, po prawej stronie będzie droga prowadząca w górę zbocza. Okolicę zamieszkiwali kiedyś chłopci, którzy jakieś dwadzieścia lat temu opuścili to miejsce lub po prostu powymierali. Osiedlili się tam natomiast osobnicy tacy jak Creed. Jego dom łatwo można poznać. Na ganku stoi stara pralka, a dookoła piętrzą się sterty śmieci. Muszę powiedzieć, że Creed nie jest specjalnie rozgarnięty.
- To znaczy?
- To znaczy, że boi się wszystkiego, czego nie potrafi zrozumieć, a z pewnością nie rozumie tego, co się tu teraz dzieje.
- Uważa pan zatem, że nie należy łączyć go ze sprawą Emily Steiner?
- Detektyw zamknął oczy. Monitor przy jego łóżku wskazywał pomiar pulsu. Mote wyglądał na bardzo zmęczonego.
- Niezupełnie, pani doktor. Na początku rzeczywiście tak myślałem. Ale kto wie, może jest także jakaś inna przyczyna, dla której uciekł. Zadała mi pani pytanie, które cały czas nie daje mi spokoju.

– Powiedział pan, że Lindsey jest przerażony. Może to wystarczający powód.

– Ale niewykluczone, że istnieje jeszcze coś. Chociaż nie wiem, czy to ma sens, abym teraz się nad tym zastanawiał. I tak na razie nie nadaję się jeszcze do niczego. Chyba że wszyscy zamieszani w tę sprawę ustawią się w kolejce do mojego pokoju i będę mógł zadawać im pytania. A tak z całą pewnością nie będzie.

Nie chciałam go pytać o Pete’a, ale czułam, że muszę to zrobić.

– Co słyhać u porucznika Marino? Czy ma pan o nim jakieś wiadomości?

– Wpadł tu któregoś dnia i przyniósł mi butelkę whisky. Jest tam, w szafce – wskazał ręką mebel.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Wiem, że nie powinienem pić – dodał.

– Powinien pan słuchać lekarzy, poruczniku Mote. Będzie pan musiał zmienić swój tryb życia, a to oznacza, że nie wolno panu robić nic z tych rzeczy, które wpakowały pana w takie kłopoty

– Wiem, że muszę rzucić palenie.

– To jest możliwe. Ja też myślałam, że nigdy mi się nie uda.

– Nie tęskni pani za papierosami?

– Nie tęsknię za uzależnieniem, jakie niósł ze sobą ten nałóg.

– Ja także nie lubię uzależnień, które niosą ze sobą nałogi, ale to nic nie pomaga.

– To prawda, tęsknię za papierosami, ale jest mi już dużo łatwiej – uśmiechnęłam się.

– Powiedziałem Pete’owi, że nie chciałbym go widzieć w stanie podobnym do mojego. Ale on wygląda na twardziela.

Stała mi przed oczami scena, gdy Mote, siny na twarzy, leżał na podłodze, a ja ratowałam mu życie. Byłam pewna, że i Marino będzie miał podobne kłopoty, to tylko kwestia czasu. Pomyślałam o papierosach, smażonym kurczaku na lunch, a także o nowym garniturze i dziwnym zachowaniu. Zastanawiałam się nawet, czy nie chce zerwać ze mną znajomości, udając kogoś innego, niż znam od lat.

– To prawda, Marino bardzo się przejmuje tą sprawą – powiedziałam wymijająco.

– Pani Steiner nie może myśleć o wszystkim, oczywiście nie winię jej za to. Ale ja na jej miejscu poświęciłbym wszystko, co mam, aby pomóc policji.

– Jak mogłaby wam pomóc? – zapytałam.

– Jest bardzo zamożna – powiedział.

– Tak myślałam – oznajmiłam, myśląc o jej samochodzie.

– Już i tak wiele dla nas zrobiła.

– Zrobiła? – zdziwiłam się. – Co konkretnie?

– Samochody. Na przykład ten, którym jeździ Pete. Ktoś musiał za niego zapłacić.

– Myślałam, że to z pieniędzy lokalnych biznesmenów.

– Muszę powiedzieć, że przykład pani Steiner zainspirował też innych. Wszyscy tu w okolicy bardzo jej współczują i nikt nie chce, aby jego dziecko spotkało coś podobnego. To rzeczywiście wyjątkowa sprawa, z niczym podobnym się nie zetknąłem w mojej dwudziestodwuletniej pracy policjanta.

– Czy pani Steiner zapłaciła również za samochód, którym ja jeżdżę? – zapytałam.

– Kupiła oba te auta, a inni biznesmeni zapłacili za wyposażenie, lampy, radia, skanery.

– Detektywie Mote, ile pieniędzy pani Steiner przekazała tutejszej policji? – zapytałam.

– Moim zdaniem, około pięćdziesięciu.

– Pięćdziesięciu? – Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. – Pięćdziesięciu tysięcy dolarów?

– Tak.

– I nie było z tym żadnych problemów?

– Jeżeli chodzi o mnie, nie widzę większej różnicy między tym a dotacją na samochód, jaką otrzymaliśmy kilka lat temu od pewnej dużej firmy, której zależało, abyśmy pilnowali jej transformatora. A w Quick Stops i 7-Elevens dają nam za darmo kawę. Za każdym razem, gdy ludzie nam pomagają, oczekują tego samego od nas. Ten system się sprawdza, pod warunkiem oczywiście, że nikt nie chce upiec przy tym ogniu własnej pieczeni. – Spojrzał na mnie badawczo, gładząc dłońmi wierzch kołdry. – W takim dużym mieście jak Richmond przepisy są z pewnością bardziej precyzyjne, prawda?

– Wszelkie dotacje lub prezenty dla policji w Richmond, których wartość przekracza dwa i pół tysiąca dolarów, muszą zostać zatwierdzone przez specjalne komisje – wyjaśniłam.

– Jakie to komisje?

– Komisje wyłonione przez radę miasta.

– To dość skomplikowane.

– I tak powinno być, z oczywistych względów.

– Właściwie zgadzam się – przyznał Mote, bardzo już zmęczony. Świadomość, że ciało odmówiło mu posłuszeństwa, była dla niego niezwykle bolesna.

– Czy może mi pan wyjaśnić, na co, poza zakupem nowych wozów policyjnych, mają być przeznaczone te pieniądze? – zapytałam.

– Musimy znaleźć kogoś na stanowisko komendanta policji. Prawdę powiedziawszy, miałem spore szansę na tę posadę, ale teraz nie mam co o niej marzyć. Nawet jeśli wrócę, będzie to raczej lekka służba. Uważam, że miastu przydałby się ktoś z odpowiednim doświadczeniem. Czasy się zmieniły.

– Rozumiem – przytaknęłam, domyślając się, co chce przez to powiedzieć. – Powinien pan już odpocząć.

– Bardzo się cieszę, że pani wpadła.

Uścisnął moją dłoń tak mocno, że aż sprawił mi ból. Rozumiałam jego rozpacz z powodu niespodziewanego końca kariery zawodowej. Ciężyła mu też świadomość śmiertelnego zagrożenia życia. Gdy ktoś tak bardzo zbliży się do śmierci, wie, że nic już nie jest takie, jak przedtem.

Przed powrotem do Travel-Eze pojechałam do końca ulicy Montreat, skąd mogłam zobaczyć drogę prowadzącą na zbocze góry. Zaparkowałam i zaczęłam się zastanawiać, co zrobić. Po chwili wysiadłam z samochodu, przeszłam na drugą stronę ulicy i rozejrzałam się dookoła. Ruch był tu niewielki, a przechodnie traktowali mnie jak turystkę, która zabłądziła lub szuka domu pastora Billy’ego Grahama. Miałam stąd znakomity widok na całą okolicę. Widziałam z daleka dom Creeda. Na ganku stała wielka, stara pralka automatyczna.

Nazwa Rainbow Mountain została pewnie nadana temu miejscu właśnie takiego pięknego jesiennego popołudnia, jak to. Liście jarzyły się intensywną czerwienią, różnymi odcieniami pomarańczy i żółci, rozświetlonymi przez promienie słońca, w rozpadlinach zaś i wąwozach kładły się głębokie cienie. Do zmroku została najwyżej godzina. Pewnie nie zdecydowałabym się ruszyć zapuszczoną drogą w górę zbocza, gdybym nie poczuła zapachu dymu, dobywającego się z komina domu Creeda.

Wsiadłam do samochodu i skręcałam w wąską, wyboistą ścieżkę. Samochód wzbijał kłęby czerwonego pyłu, a okolica już nie wyglądała tak malowniczo. Tu i ówdzie stały obdrapane przyczepy samochodowe i walące się baraki z surowych desek i bali. Niektóre miały dachy kryte papą, inne blachą. Parkujące obok stare półciężarówki i furgonetki w większości pomalowano na dziwaczny seledynowy kolor.

Przed domem Creeda Lindseya było pusto, jeśli nie liczyć piętrzących się śmieci. Podjechałam bliżej i zatrzymałam się w miejscu, gdzie, moim zdaniem, mógłby stać jego samochód. Zgasiałam silnik i przez chwilę siedziałam bez ruchu, przyglądając się stojącej przede mną ruderze. Zdawało mi się, że w środku się pali światło, ale być może był to tylko odbłask zachodzącego słońca. Im dłużej myślałam o tym mężczyźnie sprzątającym w szkole, a także sprzedającym dzieciom lizaki własnej roboty, który obdarowywał Emily polnymi kwiatami, tym więcej miałam wątpliwości, czy mądrze zrobiłam, przyjeżdżając tutaj.

Pierwotnie zamierzałam tylko zobaczyć, gdzie znajduje się jego dom, i sprawdzić, jaka odległość dzieli go od kościoła i jeziora Tomahawk. Ale skoro się tu znalazłam, postanowiłam się upewnić, czy w domu Creeda ktoś jest. Zastanawiałam się nad tym, co powiedział Mote, a poza tym interesowała mnie sprawa ognistych kulek. Tak naprawdę to właśnie te cukierki były głównym powodem, dla którego chciałam się spotkać z Lindseyem.

Weszłam na ganek i długą chwilę pukałam do drzwi. Wydawało mi się, że w środku ktoś się porusza, a nawet mnie obserwuje. Nikt jednak nie otworzył. Okno po lewej stronie było brudne i zasłonięte czymś od wewnątrz. Przez drugie udało mi się dojrzeć fragment podłogi z desek i drewniane krzesło, oświetlone niewielką lampką, stojącą na stole.

Chociaż zapalona lampa nie dawała pewności, że ktoś jest w domu, nie dawał mi spokoju zapach dymu. Poza tym wydawało mi się, że leżąc na ganku sterta drew na podpałkę jest świeżo rozgrzebana. Ponownie zapukałam do drzwi i tym razem zauważyłam, że są ledwo zamknięte i właściwie wystarczyłoby je kopnąć, aby się otworzyły.

– Halo? Jest tam kto?

Nie dobiegł mnie żaden dźwięk poza szumem wiatru w gałęziach rosnącego nie opodal drzewa. W cieniu było naprawdę chłodno. Czułam smród zgnilizny, pleśni i rozkładu. Obeszłam tę chałupę z zardzewiałym dachem, z którego sterczała pogięta antena telewizyjna, i z tyłu znalazłam kupy śmieci, składowane chyba od lat i na szczęście przysypane warstwą liści. Były tam jakieś stare kartony, plastikowe butelki od mleka i puszki po jakichś napojach, których nazw nie sposób już było odczytać, tak wyblakły na słońcu.

Ponieważ nie zauważyłam żadnych nowych śmieci, wydedukowałam, że właściciel tej posiadłości jakiś czas temu zaprzestał wyrzucania odpadków tuż pod domem. Zatopiona w myślach, dopiero po chwili wyczułam za sobą czyjąś obecność. Ktoś przyglądał mi się tak intensywnie, że nagle poczułam, jak jeżą mi się włoski na rękach. Błyskawicznie się odwróciłam.

Na drodze, tuż obok mojego samochodu, stała dziewczynka, bez ruchu, niczym zaskoczony przez myśliwego jelonek. Jej bladą, mizerną twarz okalały ciemne włosy bez połysku, oczy lekko zezowały. Patrząc na długie, chude nogi, czułam, że jeśli wykonam najmniejszy ruch lub czymkolwiek ją przestraszę, natychmiast czmychnie i stracę ją z oczu. Minęła długa chwila, podczas której ani na ułamek sekundy nie spuszczałyśmy z siebie wzroku. Dopiero gdy zauważyłam, że dziewczynka lekko się poruszyła, a później zamrugnęła oczami, odważyłam się odezwać.

– Chciałabym prosić cię o pomoc – powiedziałam.

Mała włożyła gołe ręce do kieszeni płaszcza z ciemnej wełny, wyraźnie na nią za małego. Ubrana była też w luźne zielonkawe spodnie, które rolowały się jej na kostkach, na nogach zaś nosiła zdarte brązowe buty. Moim zdaniem, miała niewiele ponad dziesięć lat, chociaż mogłam się mylić.

Przyjechałam tu z daleka, aby skontaktować się z Creedem Lindseyem. Ten człowiek tu mieszka, a przynajmniej tak mi się wydaje. Czy mogłabyś mi jakoś pomóc?

– Po co to pani potrzebne? – Miała wysoki głos, który przypominał tony bandzo. Z trudem zrozumiałam, co do mnie powiedziała.

– Potrzebuję jego pomocy – wyjaśniłam jej, wolno wymawiając słowa.

Dziewczynka zrobiła kilka kroków do przodu, nie spuszczając ze mnie wzroku. Miała lekkiego zezę, a jej oczy były koloru wody.

– Wiem, on myśli, że jest poszukiwany – mówiłam dalej bardzo spokojnie. – Ale to nie ja go szukam. Nie przyjechałam tutaj, aby go skrzywdzić.

– Jak się pani nazywa?

– Kay Scarpetta. Jestem lekarzem.

Patrzyła na mnie tak, jakbym właśnie zdradziła jej jakiś sekret. Pomyślałam, że jeśli nawet rozumie znaczenie słowa „lekarz”, może dotychczas nie zetknęła się jeszcze z kobietą wykonującą ten zawód.

– Wiesz, kto to jest lekarz? – zapytałam.

Dziewczynka przeniosła wzrok na mój samochód, jakby dostrzegła w nim jakąś sprzeczność z tym, co przed chwilą powiedziałam.

– Są tacy lekarze, którzy pomagają policji, gdy komuś stanie się krzywda. Tym właśnie się zajmuję – wyjaśniłam. – Teraz pomagam tutejszej policji. Dlatego jeżdżę takim samochodem. Policjanci pozwolili mi go używać, bo nie jestem stąd. Pochodzę z Richmond w Wirginii.

Zamilkłam, ale ona dalej bez słowa patrzyła na auto. Przestraszyłam się, że może za dużo powiedziałam i wszystko zepsułam. Zapewne nie zdołam odnaleźć Creeda Lindseya. Jak mogłam choć przez chwilę pomyśleć, że uda mi się porozumieć z ludźmi, których nie znam i w dodatku nie rozumiem ich zachowań?

Już zamierzałam zrezygnować i wrócić do samochodu, gdy nagle dziewczynka podeszła do mnie. Osłupiałam, gdy wzięła mnie za rękę i podprowadziła do auta. Pokazała palcem na leżącą na tylnym siedzeniu czarną torbę.

– To moja torba lekarska – wyjaśniłam. – Chcesz, abym ją wyjęła?

– Tak – powiedziała.

Otworzyłam drzwi i zrobiłam, o co prosiła. Myślałam, że chce po prostu zobaczyć, co jest w środku, ale dziewczynka znowu wzięła mnie za rękę i przeszłyśmy na drugą stronę piaszczystej drogi. W milczeniu prowadziła mnie w górę stoku. Dłoń miała chropawą i suchą jak łuski kukurydzy.

– Jak się nazywasz? – zapytałam, gdy poczułam już pierwsze zmęczenie narzuconym tempem wspinaczki.

– Deborah.

Jej zęby były w fatalnym stanie, ciało wymizerowane i nienaturalnie postarzałe, co stanowiło typowy objaw chronicznego niedożywienia, bardzo często spotykanego w społeczeństwie, gdzie wciąż jeszcze dla wielu brakowało jedzenia. Domyślałam się, że rodzina Deborah, jak wiele innych, które są w podobnej sytuacji, ratuje się najtańszą żywnością, która dostarcza tak zwanych pustych kalorii.

– Deborah jak? – dopytywałam się, chcąc usłyszeć jej nazwisko. Zbliżałyśmy się do niewielkiego drewnianego domku, zbudowanego z odpadów tartacznych i pokrytego papą.

– Deborah Washburn.

Po chybionych drewnianych schodkach weszliśmy na mocno spróchniały ganek, na którym leżała polana na rozpałkę. Dziewczynka otworzyła drzwi, z których farba tak skutecznie się już złuszczyła, że nie można było poznać, na jaki kolor były niegdyś pomalowane, i wprowadziła mnie do środka. Wtedy zrozumiałam, dlaczego chciała, abym tu przyszła.

Na gołym materacu rozłożonym na podłodze siedziała dwójka wychudzonych dzieci o twarzach zbyt dojrzałych jak na swój wiek, a obok nich mężczyzna z zakrwawioną dłonią. Krew spływała na kawałek koca, który leżał na jego kolanach, on zaś nieporadnie próbował zszyć sobie rozległą ranę na prawym kciuku. Obok na podłodze stał słoik do połowy napełniony jakąś bezbarwną cieczą. Podejrzewałam, że nie jest to woda. Mężczyzna najwyraźniej próbował dokonać zamierzonej operacji zwykłą igłą i nitką. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w słabym świetle wiszącej na suficie żarówki.

– Ona jest lekarzem – wyjaśniła Deborah.

Patrzył na mnie bez słowa, a krew kapała z kciuka na koc. Wyglądał na trzydzieści lat, miał długie czarne włosy, a cerę tak bladą, jakby nigdy nie wychodził na słońce. W pomieszczeniu cuchnęło starym tłuszczem i alkoholem.

– Skąd się tu wzięła? – zapytał dziewczynkę.

Pozostała dwójka dzieci bezmyślnie wpatrywała się w ekran telewizora, który, jak się zorientowałam, był jedynym oprócz żarówki elektrycznym sprzętem w tym domu.

– Szukała ciebie – odpowiedziała Deborah. Zrozumiałam, że mam przed sobą Creeda Lindseya.

– Czemuś ją tu przyprowadziła? – pytał dalej, chociaż nie wyglądał na zdenerwowanego czy przerażonego.

– Skaleczenie – odpowiedziała.

– Jak się zraniłeś? – zapytałam, otwierając torbę.

– Nożem.

Obejrzałam jego dłoń. Miał odcięty spory kawałek skóry.

– W takich warunkach nie damy rady założyć szwów – powiedziałam i wyjęłam środki antyseptyczne, jałowy opatrunek i benzoin. – Kiedy to się stało?

– Dzisiaj po południu. Próbowałem otworzyć puszkę.

– Czy pamiętasz, kiedy ostatnio zrobiono ci zastrzyk przeciw tężcowi?

– Nie.

– Musisz jutro zgłosić się do przychodni. Niestety, nie mam przy sobie takiego zastrzyku.

Patrzył na mnie, gdy rozglądałam się po mieszkaniu, szukając papierowych ręczników. W kuchni było tylko palenisko na drewno i zlew. Umyłam dłonie i dokładnie strzepnęłam z nich wodę, a potem, gdy już wyschły, uklęknęłam na materacu obok Lindseya i wzięłam go za rękę. Skórę miał szorstką, zgrubiałą, a paznokcie brudne i połamane.

– Będzie trochę bolało – uprzedziłam go. – Nie mam ze sobą nic, aby znieczulić ból, ale jeśli ty coś masz, proszę, zażyj. – Spojrzałam na słoik z przezroczystym płynem.

Lindsey także spojrzał na podłogę, a następnie zdrową ręką podniósł słoik. Pociągnął spory łyk jakiegoś zajzajeru, aż łzy stanęły mu w oczach. Poczekaliśmy z czyszczeniem rany, żeby wypił jeszcze trochę, a potem przemyłam ją i założyłam opatrunek.

– Gdzie jest twoja mama? – zapytałam Deborah.

– W Burger Hut.

– Pracuje tam?

Pokiwała głową. Jedno z dzieci wstało, aby zmienić kanał.

– Czy nazywasz się Creed Lindsey? – Zadałam mężczyźnie to pytanie właściwie tylko dla porządku.

– Czemu pani pyta? – Mówił przez nos, podobnie jak Deborah. Pomyślałam, że porucznik Mote przesadził z oceną jego poziomu intelektualnego.

– Muszę z nim porozmawiać.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie sędzę, aby był zamieszany w sprawę Emily Steiner. Ale być może wie o czymś, co mogłoby nam pomóc w śledztwie.

– Co mógłby wiedzieć? – zapytał, znów sięgając po słoik.

– Chciałabym go o to zapytać – powiedziałam. – Podejrzewam, że bardzo lubił Emily i jest przerażony tym, co się stało. A jeżeli jest przerażony, pragnie pewnie ukryć się przed ludźmi, zwłaszcza jeśli z jakichś powodów sądzi, że mógłby mieć kłopoty.

Lindsey wpatrywał się w słoik, wolno kołysząc go w rękę.

– On jej nic nie zrobił tamtej nocy.

– Tamtej nocy? – zapytałam. – Masz na myśli tę noc, kiedy zniknęła?

– Widział ją, jak wracała do domu z gitarą, i zatrzymał się, jadąc ciężarówką, żeby się z nią przywitać. Ale nie podwiózł jej ani nic z tych rzeczy.

– Czy proponował, że ją podwiezie?

– Nie musiał, bo doskonale wiedział, że się nie zgodzi.

– Dlaczego miałyby się nie zgodzić?

– Nie lubiła go. Nie lubiła Creeda, mimo że dostawała od niego prezenty. – Usta zaczęły mu drżeć.

– Słyszałam, że był dla niej bardzo miły. Słyszałam, że dawał jej kwiaty w szkole. I cukierki.

– Nigdy nie dawał jej cukierków, bo by ich od niego nie wzięła.

- Nie wzięłyby?
- Nie. Nawet takich, które lubiła. Widziałem, jak brała je od innych.
- Ogniste kulki?
- Wren Maxwell wymieniał je u mnie na lizaki, widziałem też, że dawał je Emily.
- Czy tamtego wieczora, gdy wracała do domu, była sama?
- Tak.
- Gdzie ją spotkałeś?
- Na szosie. Około mili od kościoła.
- A zatem nie szła drogą wzdłuż jeziora?
- Szła szosą. Było już ciemno.
- A gdzie były inne dzieci, które też wracały z kościoła?
- Szły za nią, przynajmniej te, które widziałem. Troje, może czworo. Emily szła bardzo szybko i płakała. Zwolniłem, gdy zauważyłem, że płacze. Ale nie zatrzymała się, tylko szła dalej. Przez pewien czas obserwowałem ją, ponieważ bałem się, że coś się stało.
- Czemu tak pomyślałeś?
- Płakała.
- Widziałeś, jak weszła do domu?
- Tak.
- Wiesz, który to jej dom?
- Wiem.
- Co się stało później? – zapytałam. Rozumiałam już, czemu policja go szuka. Wiedziała, dlaczego go podejrzewa, i nie miałam wątpliwości, że byłaby jeszcze bardziej podejrzliwa, gdyby usłyszała to, co ja.
- Widziałem, jak wchodzi do domu.
- Czy ona cię widziała?
- Nie. Stałem tam z wyłączonymi światłami.

Mój Boże, pomyślałam.

– Creed, czy wiesz, dlaczego policja cię szuka?

Mocniej zamieszał płyn w słoiku i spojrzał na mnie. Jego oczy miały przedziwny, brązowo-zielony kolor.

– Nic jej nie zrobiłem – powtórzył, a ja mu wierzyłam.

– Po prostu obserwowałeś, co się z nią dzieje, bo była zdenerwowana – powiedziałam. – Lubieś ją.

– Widziałem, że była czymś zdenerwowana. – Pociągnął jeszcze łyk.

– Wiesz, gdzie ją znaleziono? Gdzie znalazł ją ten wędkarz?

– Wiem.

– Byłeś tam.

Nie odpowiedział.

– Byłeś tam i zostawiłeś ogniste kulki. Po jej śmierci.

– Dużo ludzi tam było. Przychodzili popatrzeć. Ale jej rodzina nie przyszła.

– Jej rodzina? Masz na myśli matkę?

– Ona nie przyszła.

– Czy ktoś cię tam widział?

– Nie.

– To ty zostawiłeś tam kulki. Jako prezent dla niej.

– Zostawiłem jej ogniste kulki – potwierdził i wargi znowu zaczęły mu drżeć.

– Dlaczego właśnie tam? Dlaczego nie na jej grobie?

– Nie chciałem, żeby ktoś mnie zobaczył.

– Czemu?

Milczał i wpatrywał się w słoik. Ale ja wiedziałam czemu. Łatwo mogłam sobie wyobrazić, jak przezywali go uczniowie, gdy zamiatał korytarze w szkole. Mogłam też sobie wyobrazić docinki i żarty, jakie

robiliby sobie z niego, gdyby zauważyli, że ktoś mu się podoba. A jemu podobała się Emily, która podkochiwała się we Wrenie.

Było już zupełnie ciemno, gdy wychodziłam z domu Lindseya. Deborah szła za mną, cicho jak kot, towarzysząc mi aż do samochodu. Było mi dziewczynki strasznie żal. Chciałam dać jej jakieś pieniądze, ale wiedziałam, że nie powinnam.

– Pilnuj, żeby uważał na rękę i nie ubrudził jej – powiedziałam, otwierając drzwi chevroleta. – Przypomnij mu też, że musi iść do lekarza. Jest tu w pobliżu jakiś doktor?

Pokręciła głową.

– Musisz poprosić mamę, aby wezwała lekarza. Ktoś w Burger Hut z pewnością jej w tym pomoże. Zrobisz to?

Spojrzała na mnie bez słowa i wzięła w dłonie moją rękę.

– Deborah, możesz zatelefonować do mnie do Travel-Eze. Nie znam numeru, ale znajdziesz go w książce telefonicznej. Weź moją wizytówkę, żeby pamiętać, jak się nazywam.

– Nie mamy telefonu – powiedziała, wpatrując się we mnie i nie wypuszczając z dłoni mojej ręki.

– Wiem, ale możesz przecież zadzwonić z budki telefonicznej, prawda?

Kiwnęła głową.

W chwilę później zobaczyłyśmy światła samochodu, który zbliżał się w naszą stronę.

– To moja mama.

– Ile masz lat, Deborah?

– Jedenaście.

– Chodzisz do szkoły w Black Mountain? – zapytałam.

Znowu kiwnęła głową.

– Znałaś Emily Steiner?

– Była w innej klasie.

Samochód, stary ford z dużymi reflektorami, przejechał obok, a siedząca za kierownicą kobieta obrzuciła nas zdziwionym spojrzeniem. Miała zaniedbaną, obwisłą twarz, a włosy zwinięte pod siatką. Deborah pobiegła za matką, a ja zatrzasnęłam drzwiczki i ruszyłam.

Gdy wróciłam do motelu, zafundowałam sobie długą, gorącą kąpiel, a później zaczęłam zastanawiać się nad kolacją. Przeglądając jednak kartę dań, stwierdziłam, że na nic nie mam ochoty, i postanowiłam trochę poczytać. O wpół do jedenastej w nocy zadzwonił telefon.

– Tak?

– Kay? – usłyszałam głos Wesleya. – Muszę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne.

– Zaraz do ciebie przyjdę.

Po chwili pukałam już do jego pokoju. – To ja, Kay.

– Chwileczkę.

Gdy otworzył, od razu zauważyłam, że jest bardzo zdenerwowany.

– Co się stało? – zapytałam.

– Chodzi o Lucy.

Zamknął drzwi, a ja wywnioskowałam z bałaganu na jego biurku, że całe popołudnie spędził przy telefonie. Wszędzie leżały porozrzucane notesy. Na łóżku poniewierał się krawat i zmięta koszula.

– Miała wypadek – oświadczył.

– Co takiego? – wykrzyknęłam, czując, jak krew stygnie mi w żyłach.

Milczał, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

– Czy coś jej się stało? – wydusiłam wreszcie.

– To zdarzyło się dzisiaj, wczesnym wieczorem, na drodze dziewięćdziesiąt pięć, na północ od Richmond. Wcześniej była w Quantico,

potem coś zjadła i wracała do domu. Sprawdziliśmy, że obiad zjadła w Outback. Wiesz, w tym australijskim barze w północnej Wirginii. Potem zatrzymała się w Hanoverze, w sklepie z bronią Green Top, a zaraz potem zdarzył się ten wypadek. – Relacjonował mi to wszystko, przemierzając pokój miarowym krokiem.

– Benton, czy coś jej się stało? – zapytałam, wciąż nie mogąc się ruszyć.

– Jest w szpitalu. To wygląda poważnie, Kay.

– Chryste Panie.

– Prawdopodobnie zjechała z autostrady w kierunku na Atlee i Elmont i tam zdarzył się wypadek. Gdy znaleziono papiery wozu, lokalna policja skontaktowała się z twoim biurem i Fielding zaczął cię szukać. Zadzwoił najpierw do mnie, gdyż nie chciał przekazywać ci takich informacji telefonicznie. Wiesz, on też jest lekarzem sądowym, więc domyślił się, jaka mogłaby być twoja pierwsza reakcja na wiadomość, że Lucy miała wypadek...

– Benton!

– Tak mi przykro. – Położył dłonie na moich ramionach. – Chryste. Nie wiem, jak się zachować w takich sytuacjach, gdy dotyczy to... Gdy chodzi o ciebie. Lucy jest ranna i przeżyła wstrząs. To doprawdy cud, że żyje. Samochód przeokołkował kilka razy. Twój samochód. Jest całkowicie zniszczony. Musieli ciąć karoserię, żeby ją wydostać. Prawdę mówiąc, lekarze, którzy przyjechali na miejsce wypadku, myśleli, że w środku nikt nie może być żywy. To niewiarygodne, że wyszła z tego cała.

Zamknęłam oczy i usiadłam na brzegu łóżka.

– Czy piła? – zapytałam cicho.

– Tak.

– Powiedz mi wszystko.

– Zostanie oskarżona o prowadzenie po pijanemu. Pobrali jej krew i badanie wykazało sporo alkoholu. Nie wiem, ile promili.

– Nikt inny nie został ranny?

– Nie, nie było kolizji z innym samochodem.

– Dzięki Bogu.

Wesley usiadł obok i zaczął masować mi kark i barki.

– I tak udało jej się zajechać daleko. Domyślam się, że sporo wypła przy obiedzie. – Objął mnie i przytulił. – Zarezerwowałem już dla ciebie bilet.

– Co ona robiła w Green Top?

– Kupiła tam pistolet. Sig Sauer P230. Znaleźli go w samo chodzie.

– Muszę natychmiast wracać do Richmond.

– Nie masz teraz żadnego połączenia, dopiero jutro rano. Kay, to może poczekać do jutra.

– Zimno mi.

Zdjął marynarkę i zarzucił mi na ramiona. Czułam, że zaczynam dygotać. Napięcie, jakie widziałam na twarzy Bentona, i jego głos, gdy informował mnie o wypadku Lucy, przypomniały mi tamtą noc, kiedy zadzwonił, aby mi przekazać wiadomość, że Mark nie żyje.

Słyszając wtedy jego głos, od razu się domyśliłam, że ma mi do zakomunikowania jakąś bardzo złą wieść. Zaczął mówić o zamachu bombowym w Londynie, o tym, że Mark był na dworcu dokładnie w tym samym czasie, że to nie był atak na niego, ale jest jedną ze śmiertelnych ofiar. Ból był tak wielki, że poczułam się, jakbym też umarła. Nigdy przedtem czegoś takiego nie doświadczyłam, nawet po śmierci ojca.

– Wszystko będzie dobrze – usłyszałam głos Wesleya, który wstał, aby zrobić mi drinka.

– Co jeszcze wiesz o tym wypadku?

– To wszystko, Kay. Napij się, to powinno ci pomóc. – Podał mi szklankę z whisky.

Jeżeli w pobliżu byłyby jakieś papierosy, na pewno bym zapaliła. Wbrew swoim zasadom i postanowieniom.

– Wiesz, kto się nią zajmuje w szpitalu? Jakiego typu obrażenia odniosła? Czy poduszki powietrzne zdążyły się otworzyć?

Wesley dalej w milczeniu masował mi plecy, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie wie nic więcej. Wypiłam duszkiem całą porcję whisky, chcąc jak najszybciej poczuć jej działanie.

– Dobrze, pojedę rano – zgodziłam się.

Jego palce przeczesywały moje włosy, co działało na mnie bardzo uspokajająco. Zamknęłam oczy i zaczęłam mu opowiadać o tym, jak spędziłam popołudnie. O wizycie w szpitalu u Mote'a, o spotkaniu z dziewczynką z Rainbow Mountain i Creedem. O tym, że – według niego – Emily nie wracała do domu drogą wzdłuż jeziora.

Słuchając jego słów, wyobrażałam sobie, jak przykry musiał być tamten dzień dla Emily. To zresztą zgadzałoby się z jej zapiskami w dzienniku. Sądziła, że spotka się wcześniej z Wrenem, ale chłopiec się nie pojawił. Potem nie zwracał na nią kompletnie uwagi, nie czekała więc do końca spotkania w kościele i postanowiła uciec od wszystkich. Bardzo jej było spieszno, gdyż czuła się dotknięta i poniżona. Nie chciała nikogo widzieć. Creed przejeżdżał przypadkiem tą samą drogą i zobaczył ją. Zauważył, że jest zdenerwowana, i chciał się upewnić, czy wróci bezpiecznie do domu. Bardzo ją lubił, tak jak ona lubiła Wrena. A teraz Emily nie żyje. To historia o nieodwzajemnionych uczuciach. O smutku, jaki pozostawia po sobie czyjaś śmierć.

– W zasadzie każde morderstwo jest pod tym względem podobne.

– Gdzie jest Marino?

- Nie mam pojęcia.
- Znowu robi coś, co nie jest dla niego dobre. Jak zwykle, wie lepiej niż inni.
- Mam wrażenie, że zaangażował się uczuciowo. Mam na myśli Denesę Steiner.
- Mnie też się tak wydaje.
- Domyślam się, jak do tego doszło. Jest samotny, nie ma szczęścia do kobiet i odkąd opuściła go Doris, nie poznał właściwie nikogo sensownego. Denesa Steiner jest nieszczęśliwa, potrzebuje wsparcia i Marino może się wreszcie wykazać jako prawdziwy mężczyzna.
- A poza tym ona jest piekielnie bogata.
- No właśnie.
- Swoją drogą ciekawe, skąd ma tyle pieniędzy? Jej zmarły mąż uczył w szkole.
- Zdaje się, że jej rodzina jest zamożna, zrobili majątek na ropie czy coś takiego. Kay, będziesz musiała przeanalizować wszystkie szczegóły rozmowy z Lindseyem. Ta sytuacja nie jest dla niego korzystna.
- Wiedziałam o tym.
- Zastanawiam się nad tym, co mi opowiedziałaś. To niepokojące, że śledził Emily ze zgaszonymi reflektorami. Że znał jej adres i był zaangażowany uczuciowo. A najbardziej mnie niepokoi fakt, że odwiedzał miejsce, gdzie ją znaleziono, i zostawił tam słodycze.
- Ale co z kawałkami skóry w lodówce Fergusonona? Co to może mieć wspólnego z Greedem Lindseyem?
- Nie wiemy, czy to Ferguson umieścił te szczątki w lodówce, czy może ktoś inny. Musimy rozwiązać ten problem. Moim zdaniem, Ferguson tego nie zrobił.
- Czemu nie?

– To nie pasuje do jego charakterystyki. Ty też o tym wiesz.

– No dobrze, a co z Gaultem?

Wesley nie odpowiedział. Spojrzałam na niego zaniepokojona, nauczyłam się już bowiem odczytywać jego milczenie.

– Ty mi o czymś nie powiedziałaś, Benton.

– Otrzymaliśmy dzisiaj telefon z Londynu. Prawdopodobnie znowu zabił, tym razem tam.

– Mój Boże, nie – powiedziałam, zamykając oczy.

– Ofiarą jest czternastoletni chłopiec. Zamordowano go kilka dni temu.

– W podobny sposób jak Eddiego Heatha?

– Usunięte ślady ugryzień. Strzał w głowę, ciało podrzucone w miejscu publicznym.

– To jeszcze nie świadczy o tym, że Gault nie mógł być w Black Mountain – powiedziałam, chociaż moje wątpliwości narastały.

– Na razie jeszcze nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić tego z całą pewnością. Gault może być wszędzie. Istnieje wiele zbieżności pomiędzy śmiercią Eddiego Heatha i Emily Steiner. Ale jednocześnie mamy tu wiele różnic.

– Różnice być może wynikają stąd, że to jest inna sprawa – powiedziałam. – A poza tym nie wierzę, aby to Creed Lindsey podrzucił te kawałki skóry do lodówki Fergusona.

– Posłuchaj, Kay, nie wiemy, dlaczego one się tam znalazły. Może ktoś zostawił je przed drzwiami Fergusona, w chwilę potem, gdy przyjechał z lotniska. A on włożył je do lodówki, jak zrobiłby każdy dobry policjant śledczy, i zmarł na tyle szybko, że nie zdążył nikomu o tym powiedzieć.

– Sugerujesz, że Creed czekał, aż Ferguson wróci, i wtedy mu to podrzucił?

– Sugeruję, że policja ma powody, aby traktować Creeda jako podejrzanego.

– Czemu miałyby to zrobić?

– Może gryzły go wyrzuty sumienia.

– A jeśli to robota Gaulta, to chciał nas skierować na ślepy tor.

– Oczywiście.

– Jeśli Creed to zrobił – powiedziałam po chwili – to jak wytłumaczysz odciski linii papilarnych Denesy Steiner na majtkach, które miał na sobie Ferguson?

– Jeżeli był fetyszystą i potrzebował damskiej bielizny, mógł ją ukraść. Prowadząc śledztwo w sprawie śmierci Emily, bywał częstym gościem w domu pani Steiner. Bez trudu mógł zwędzić majtki. A później, kiedy się onanizował, pomagały mu fantazjować na jej temat.

– Naprawdę tak uważasz?

– Prawdę powiedziawszy, nie wiem jeszcze, co naprawdę o tym myśleć. Mówię ci to wszystko, ponieważ przewiduję, co się stanie dalej. Znamy koncepcję Pete'a Marino. Według niego podejrzanym jest Creed Lindsey. A po tym, co ci powiedział Lindsey o śledzeniu Emily, powinniśmy zrobić rewizję w jego domu i samochodzie. Jeżeli znajdziemy coś podejrzanego i jeżeli Denesa Steiner zezna, że on przypomina człowieka, który wdarł się do jej domu, Lindsey będzie sądzony o morderstwo.

– A co z wynikami badań laboratoryjnych? – zapytałam. – Czy mamy coś nowego?

Wesley wstał i wziął do ręki swój krawat.

– Wytropiliśmy pomarańczową taśmę w więzieniu w Attica, Nowy Jork. Wszystko wskazuje na to, że jakiś szef administracji miał już dość wynoszenia taśmy i postanowił zamówić partię w oryginalnym kolorze, mniej wygodnym dla złodziei. Wybrał kolor jaskrawo-pomarańczowy, z

uwagi na identyczną barwę więziennych uniformów. Taśma musiała być niepalna, gdyż używano jej między innymi do reperacji materaców. Zamówienie wykonano w Shuford Mills. W 1986 roku wyprodukowano w zakładach osiemset skrzynek takiej taśmy.

– To interesujące.

– Jeżeli chodzi o analizę mikroskopową tego, co znajdowało się na taśmie użytej do skrępowania Denesy Steiner, znaleziono tam ślady lakieru z komody w jej sypialni. I tego należało się spodziewać, ponieważ napastnik tam właśnie ją związał. Ta informacja nie wnosi zbyt wiele.

– O ile pamiętam, Gault nigdy nie siedział w Attica?

Wesley podszedł do lustra i zaczął wiązać krawat.

– Nie. Ale to nie znaczy, że nie mógł zdobyć taśmy w inny sposób. Ktoś mógł mu ją dać. Pamiętam, że nawiązał bliskie kontakty z jednym ze strażników w więzieniu w Richmond, którego później zamordował. Należałoby dokładnie sprawdzić, czy ta taśma jakimś sposobem tam nie trafiła.

– Wychodzisz gdzieś? – zapytałam, widząc, że wkłada świeżą chusteczkę do kieszeni marynarki, a pistolet do kabury na piersi.

– Zabieram cię na kolację.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Zgodzisz się.

– Jesteś bardzo pewny swego.

Pochylił się i pocałował mnie we włosy, a następnie zdjął mi z ramion swoją marynarkę.

– Nie chcę, abyś była dzisiaj sama – powiedział, ubierając się. Jego lakoniczny, powściągliwy sposób mówienia czynił go jeszcze bardziej pociągającym.

Znaleźliśmy miejsce w jakimś rzęsiście oświetlonym barze przy autostradzie, gdzie serwowano wszystko, od steków do chińskiego bufetu. Ponieważ nie czułam się najlepiej, zamówiłam tylko bulion i gotowany ryż. Mężczyźni w drelichowych kombinezonach pochłaniali góry żeberek, wieprzowinę i krewetki w gęstym pomarańczowym sosie, gapiąc się przy tym na nas, jakbyśmy byli przybyszami z krainy Oz. Wróżba w moim ciasteczku ostrzegała przed niestałymi przyjaciółmi, Wesleyowi zaś obiecywała małżeństwo.

Gdy wróciliśmy po północy do motelu, czekał tam na nas Marino. Opowiedziałam mu pokrótce, czego dowiedziałam się z rozmowy z Lindseyem, i ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie jest z tego zadowolony.

– Wolałbym, abyś tam nie chodziła – powiedział. Siedzieliśmy wszyscy w pokoju Wesleya. – Przesłuchiwanie ludzi nieleży w twoich kompetencjach.

– Jestem uprawniona do przeprowadzania wszystkich czynności związanych ze śledztwem w każdej sprawie, w której chodzi o morderstwo. Mogę zadawać ludziom takie pytania, jakie tylko zechcę. Doprawdy, Marino, dziwię się, że mówisz takie rzeczy. Przecież od lat pracujemy razem.

– Pete, stanowimy jeden zespół – włączył się Wesley. – I tak właśnie pracuje się w każdym zespole. Dlatego tu jesteśmy. Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny, ale nie zgadzam się, abyś palił w moim pokoju.

Marino schował papierosy i zapalniczkę do kieszeni.

– Denesa mówiła mi, że Emily często skarżyła się na Creeda.

– Czy ona wie, że policja go poszukuje?

– Nie ma jej teraz w mieście – odpowiedział wymijająco.

– A gdzie jest?

– Jej siostra, która mieszka w Maryland, zachorowała i Denesa pojechała do niej na kilka dni. Moim zdaniem, Emily bała się go.

Przypomniałam sobie siedzącego na materacu Creeda, usiłującego zszyć sobie rozcięty kciuk. Musiałam przyznać, że wygląd, nieprzyjemne spojrzenie i chorobliwie blada twarz mężczyzny mogły przestraszyć małą dziewczynkę.

– Ciągle nie znamy odpowiedzi na wiele pytań – powiedziałam.

– To prawda, wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi – zawtórował mi Marino.

– Moim zdaniem jednak, hipoteza, że sprawcą jest Greed Lindsey, kompletnie się nie trzyma kupy – dodałam.

– Każdego dnia pojawia się coś, co czyni ją bardziej wiarygodną.

– Ciekawe, czy on ma w domu telewizor? – zastanawiał się Wesley.

– Chociaż ludzie tam na górze są biedni, telewizor znajduje się raczej w zasięgu ich możliwości – rzekłam po chwili milczenia.

– Creed mógł się dowiedzieć wszystkiego o Eddiem z telewizji. Jeżeli obejrzał kilka programów, z łatwością zrekonstruował przebieg wypadków.

– Cholera, informacje o tamtej sprawie transmitowane były w każdym kącie tego zasranego świata – rzekł Marino.

– Idę do łóżka – oświadczyłam w pewnej chwili.

– Tylko nie prosz mnie, żebym cię odprowadził – powiedział Pete, wstając z krzesła. – Nie mam na to najmniejszej ochoty.

– A ja mam już dość twoich insynuacji – zwróciłam mu uwagę, czując, jak zaczyna we mnie wzbierać złość.

– Do diabła, to nie są żadne insynuacje. Nazywam rzeczy po imieniu.

– Proszę, nie zaczynajcie tego teraz. – Wesley starał się zażegnać kłótnię.

– A właśnie że zacznę. – Byłam zmęczona, spięta i czułam już działanie wypitej whisky. – Wyjaśnijmy to wreszcie, póki jeszcze jesteśmy we troje. To dotyczy przecież nas trojga.

– Do cholery, ja nie mam z tym nic wspólnego – oznajmił Marino. – Widzę tu tylko jeden układ, mnie w to nie mieszajcie. Posiadam na ten temat własne zdanie, i wam nic do tego.

– Twoje zdanie jest z gruntu subiektywne i fałszywe – rzuciłam wściekła. – Zachowujesz się jak trzynastoletni chłopiec, który doznał zawodu miłosnego.

– To największa bzdura, jaką słyszałem w życiu – zaperzył się Marino i zrobił się czerwony.

– Jesteś tak zaborczy i zazdrosny, że robi mi się niedobrze.

– Chyba bredzisz.

– Mam tego dość, Marino. Niszczysz nasze stosunki.

– Nie miałem pojęcia, że coś nas łączy.

– Oczywiście że tak.

– Jest już późno – powiedział Wesley. – Mieliśmy ciężki dzień. Wszyscy jesteśmy potwornie zmęczeni. Kay, nie pora teraz na takie rozmowy.

– Musimy sobie wreszcie wszystko wyjaśnić. Marino, do diabła, zależy mi na tobie, ale ty starasz się, jak możesz, żeby mnie do siebie zniechęcić. Pakujesz się tu w takie rzeczy, że naprawdę zaczynam się o ciebie bać. Nie mam nawet pewności, czy sam zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz.

– No dobra, pozwól mi coś powiedzieć. – Marino spojrział na mnie z nienawiścią. – Nie uważam, abyś miała prawo mówić mi, co powinienem robić, a czego nie. Po pierwsze, gównem się na tym znasz. A po drugie, przynajmniej nie czepiam się nikogo, kto ma żonę i dzieci.

– Pete, już wystarczy – ostro zareagował Wesley.

– Masz rację, do cholery! – Marino wypadł z pokoju, trzaskając drzwiami tak mocno, że słyhać było w całym motelu.

– Mój Boże, to okropne – powiedziałam.

– Kay, wzgardziłaś jego uczuciem, dlatego tak się zachowuje.

– Nie wzgardziłam niczymi uczuciami.

– Wiem, że bardzo mu na tobie zależało – mówił Wesley, przemierzając pokój. – Przez wszystkie te lata podkochał się w tobie. Ale nie sądziłem, że to takie poważne. Po prostu nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Milczałam.

– Ten facet nie jest głupi. Było tylko kwestią czasu, aby domyślił się pewnych rzeczy. Ale naprawdę nie spodziewałem się, że tak zareaguje.

– Idę spać – oznajmiłam i wyszłam.

Udało mi się nawet na chwilę zdrzemnąć, ale po przebudzeniu nie mogłam już zasnąć. Wpatrywałam się w ciemność, myśląc o Marino i o tym, co się ze mną dzieje. Miałam romans i, czego nie potrafiłam zrozumieć, wcale mnie to nie niepokoiło. Marino wiedział o tym i był zazdrosny, chociaż nie miał do tego prawa. Nigdy nie łączyło nas żadne romantyczne uczucie. Może powinnam była mu powiedzieć, że nic do niego nie czuję, ale nie miałam pojęcia, przy jakiej okazji mogłoby to nastąpić.

O czwartej nad ranem wstałam i wyszłam na werandę. Chociaż było zimno, usiadłam w fotelu i obserwowałam gwiazdy. Wprost nad moją głową świeciła Wielka Niedźwiedzica. Przypomniało mi się, że kiedy Lucy była malutka, bała się zbyt długo stać pod tym gwiazdozbiorem. Wielka Niedźwiedzica mogła zeskoczyć na ziemię i ją porwać. Przypomniałam sobie dziewczęcą postać, świetlistą cerę i niewiarygodnie zielone oczy mojej siostrzenicy. Przypomniało mi się także, jak Lucy patrzyła na Carrie

Grethen, i pomyślałam, że być może tu należy szukać wyjaśnienia niektórych zagadek.



Lucy przebywała jeszcze na oddziale intensywnej opieki medycznej. Była tak zmieniona, że w pierwszej chwili jej nie poznałam. Leżała na łóżku z wysoko uniesionym podgłówkiem, półprzytomna po środkach przeciwbólowych i uspokajających. Pozlepiane krwią, sztywne włosy częściowo zasłaniały jej opuchniętą twarz i podkrążone oczy. Podeszłam bliżej i wzięłam ją za rękę.

– Lucy?

– Cześć – odpowiedziała ledwo słyszalnym głosem, z trudem podnosząc powieki.

– Jak się czujesz?

– Nieźle. Tak mi przykro, ciociu Kay. Skąd się tu wzięłaś?

– Wypożyczyłam samochód.

– Jaki?

– Lincolna.

– Założę się, że wzięłaś taki z poduszkami powietrznymi – uśmiechnęła się słabo.

– Lucy, co się stało?

– Pamiętam tylko, że byłam w restauracji. A potem ocknęłam się na pogotowiu, gdy ktoś zszywał mi głowę.

– Masz wstrząs pourazowy.

– Lekarze mówią, że uderzyłam głową w sufit, gdy samochód dachował. Tak mi przykro z powodu twojego auta. – Do oczu napłynęły jej łzy.

– Nie martw się o to. To nie jest ważne. Naprawdę nie pamiętasz, jak doszło do wypadku?

Pokręciła głową i sięgnęła po chusteczkę.

– A pamiętasz, że jadłaś obiad w Outback i że byłaś w Green Top?

– Skąd o tym wiesz? No, tak. – Na chwilę zamknęła oczy, jakby powieki za bardzo jej ciążyły. – Wstąpiłam do restauracji około czwartej.

– Spotkałaś tam kogoś?

– Znajomą. Wyszłam o siódmej.

– Musiałaś sporo wypić – zauważyłam.

– Nie czułam tego. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że zjechałam z drogi. Podejrzewam, że musiało się coś wydarzyć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wiem. Nie pamiętam, ale czuję, że coś się wtedy stało.

– A co powiesz o sklepie z bronią? Pamiętasz, że tam byłaś?

– Tak, chociaż nie pamiętam, jak wychodziłam.

– Lucy, kupiłaś tam półautomatyczny pistolet. Pamiętasz to?

– Pamiętam, że po to właśnie tam poszłam.

– A więc najpierw się upiłaś, a potem udałaś się do sklepu z bronią. Możesz mi wyjaśnić, co chciałaś zrobić?

– Bałam się być sama w domu. Pete powiedział, że powinnam kupić sobie broń.

– Marino? – zapytałam zaskoczona.

– Zadzwoiłam do niego dzień wcześniej. Powiedział, że najlepszy będzie model Sig i że on zwykle korzysta ze sklepu Green Top w Hanoverze.

– Marino jest w Północnej Karolinie – powiedziałam.

– Nie wiem, gdzie jest. Zostawiłam mu wiadomość na pagerze i oddzwonił.

– Przecież ja mam broń. Czemu nic mi nie powiedziałaś?

– Chciałam mieć własny pistolet, przecież już mogę. – Znowu zamknęła oczy i po chwili zauważyłam, że usnęła.

Odszukałam lekarza, który się nią opiekował, i poprosiłam go o chwilę rozmowy. Był bardzo młody i potraktował mnie jak typowy przypadek zestresowanej matki lub ciotki, która nie widzi różnicy między nerką a śledzioną. Dość oschłym tonem wyjaśnił mi, że wstrząs wywołany jest stłuczeniem mózgu, co nastąpiło w wyniku silnego uderzenia. Dopiero gdy przechodzący obok, praktykujący w szpitalu student medycyny przywitał się ze mną, wymieniając moje nazwisko, lekarz spiekł raka, speszony.

Po wyjściu ze szpitala poszłam wprost do swojego biura. Nie byłam tam od tygodnia i z góry wiedziałam, co zastanę na biurku. Przez kilka następnych godzin porządkowałam piętrzącą się, zaległą korespondencję, w przerwach próbując się skontaktować z policjantem z wydziału stanowego, który prowadził sprawę wypadku Lucy. W końcu zostawiłam dla niego wiadomość z prośbą o kontakt i zatelefonowałam do Glorii Loving.

– Udało ci się coś znaleźć? – zapytałam.

– Nie mogę uwierzyć, że rozmawiamy ze sobą drugi raz w ciągu tego samego tygodnia. Czy jesteś u siebie, po drugiej stronie ulicy?

– Zgadłaś. – Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu.

– Jak na razie, nie mamy szczęścia, Kay – powiedziała. W kalifornijskich archiwach nie natrafiliśmy na żaden ślad Mary Jo Steiner. Próbuje teraz odszukać jej akt zgonu w inny sposób. Czy jest możliwe, abyś podała mi informację, kiedy i gdzie zmarła?

– Zobaczę, co się da zrobić – odpowiedziałam.

Pomyślałam, że mogłabym po prostu zadzwonić do Denesy Steiner, ale tak długo z tym zwlekałam, wpatrując się w aparat telefoniczny, że gdy wreszcie zdecydowałam się podnieść słuchawkę, zadzwonił funkcjonariusz Reed z policji stanowej, któremu przekazano moją wiadomość.

– Czy mógłby mi pan przefaksować raporty w sprawie tego wypadku?
– Prawdę powiedziawszy, wszystko mają na komendzie w Hanoverze.
– Wydawało mi się, że wypadek zdarzył się na drodze dziewięćdziesiąt pięć – zdziwiłam się. – Autostrady łączące kilka stanów podlegają policji stanowej, a nie lokalnej.

– Posterunkowy Sinclair nadjechał zaraz po mnie i wziął na siebie część formalności. Gdy okazało się, że samochód należy do pani, postanowiłem dokładnie sprawdzić, kto nim jechał.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Przecież fakt, że samochód należał do mnie, mógł wywołać na policji wiele zamieszania.

– Jak ma na imię posterunkowy Sinclair? – zapytałam.

– O ile pamiętam, jego inicjały to A.D.

Miałam szczęście, że Andrew D. Sinclair był w biurze, gdy zadzwoniłam. Powiedział mi, że Lucy miała wypadek na autostradzie dziewięćdziesiąt pięć i że znacznie przekroczyła dozwoloną szybkość. Jechała na południe, a kraksa wydarzyła się tuż za granicą okręgu Henrico.

– Z jaką prędkością jechała? – zapytałam.

– Siedemdziesiąt mil na godzinę.

– A jak wyglądają ślady poślizgu?

– Znaleźliśmy jeden odcinek o długości trzydziestu dwóch stóp. Prawdopodobnie w tym miejscu nacisnęła hamulec i zjechała z drogi.

– Dlaczego hamowała?

– Jechała bardzo szybko i była po alkoholu, proszę pani. Może zaczęła zasypiać i samochód znalazł się nagle za blisko innego auta.

– Ale przecież nie muszę panu przypominać, że aby skalkulować prędkość samochodu na siedemdziesiąt mil, droga hamowania musi mieć co najmniej trzysta dwadzieścia dziewięć stóp. A pan mówi o odcinku długości zaledwie trzydziestu dwóch stóp. Zupełnie nie rozumiem, skąd przekonanie, że jechała z taką właśnie prędkością.

– Limit prędkości na tej drodze wynosi sześćdziesiąt pięć mil – poinformował mnie, nie odpowiadając na moje pytanie.

– A ile alkoholu miała we krwi?

– 1,2 promila.

– Czy może mi pan przefaksować wszelkie diagramy i raporty, dotyczące tej sprawy? Chciałabym też wiedzieć, gdzie znajduje się mój samochód.

– Auto jest w Covey's Texaco w Hanoverze. Kompletnie zniszczone. Jeśli poda mi pani numer swojego faksu, natychmiast prześlę dokumenty.

W ciągu godziny miałam je na biurku. Z raportów Sinclaira wynikało jasno, w jaki sposób zrekonstruował przebieg wypadków. Jego zdaniem, Lucy była pijana i zasnęła przy kierownicy. Kiedy się ocknęła, gwałtownie nacisnęła na hamulec i auto wpadło w poślizg. Lucy straciła kontrolę nad samochodem i znalazła się na poboczu. Próbując wyjść z poślizgu, wjechała z powrotem na jezdnię, mercedes przejechał w poprzek przez dwa pasma ruchu i w końcu przekoziółkował, zatrzymując się na drzewie.

Miałam poważne wątpliwości, czy odtworzenie sytuacji na drodze dziewięćdziesiąt pięć jest trafne. Przeczył temu jeden istotny szczegół. Mój samochód wyposażony był w system uniemożliwiający blokadę hamulców. Lucy nie mogła zatem wpaść w tego rodzaju poślizg, jaki opisał posterunkowy Sinclair.

Zamknęłam biuro i zeszłam do kostnicy. Zastałam tam mojego zastępcę Fieldinga i dwie młode lekarki specjalizujące się w anatomopatologii, które

zatrudniłam rok wcześniej. Każde z nich wykonywało sekcję zwłok przy osobnym stanowisku. Niewielkie pomieszczenie wypełniały odgłosy lejącej się silnym strumieniem wody, szum wentylatora, pomrukiwania generatorów oraz brzęk stali. W pewnej chwili pracownik kostnicy z łoskotem otworzył drzwi olbrzymiej chłodni i wytoczył kolejne ciało.

– Czy może pani rzucić na to okiem? – poprosiła doktor Wheat, gdy przechodziłam obok jej stołu. Pochodziła z Topeka, miała inteligentne szare oczy, które patrzyły na mnie zza zakrwawionej plastikowej osłony na twarz.

Podeszłam bliżej.

– Czy nie wygląda to jak sadza w ranie? – Palcem w gumowej rękawiczce wskazała na ranę od kuli w karku denata.

– Brzegi są rzeczywiście osmolone – przyznałam, pochylając się nad ciałem. – W co był ubrany?

– Nie miał na sobie koszuli. Zastrzelono go w domu.

– Ponieważ nie możemy mieć stuprocentowej pewności, na leży wykonać badania mikroskopowe.

– Wlot czy wylot? – zapytał Fielding, pokazując mi swój przypadek. – Mogę usłyszeć twoje zdanie?

– Wlot – powiedziałam.

– Też tak myślałem. Będziesz jeszcze chwilę w pobliżu?

– Trochę tu, trochę tam.

– Masz na myśli biuro czy miasto?

– I to, i to.

– A w ogóle jak ci idzie? – zapytał, przystępując do cięcia klatki piersiowej.

– Powiem ci tylko, że to prawdziwy koszmar – odpowiedziałam.

Prawie pół godziny zajął mi dojazd do czynnej całą dobę stacji benzynowej Texaco, gdzie znajdował się mój mercedes. Zauważyłam go od

razu. Stał na skraju parkingu otoczonego łańcuchowym ogrodzeniem i wyglądał naprawdę strasznie. Na widok tego wraka ciarki przeszły mi po plecach.

Przód auta był dosłownie spiętrzony przed przednią szybą, a wyrwa po fotelu kierowcy ziała niczym dziura po wyrwanym zębie. Do otwarcia drzwi użyto sprzętu hydraulicznego i usunięto je razem z siedzeniem. Gdy podchodziłam bliżej, serce waliło mi jak młotem i aż podskoczyłam, gdy za moimi plecami rozległ się męski głos.

– Czym mogę pani służyć?

Pytanie to zadał starszy, siwy mężczyzna w wypłowiałej czerwonej czapce z napisem PURINA na daszku.

– To mój samochód – wyjaśniłam.

– Do diabła, jestem pewien, że nie pani go prowadziła.

Zauważyłam, że w oponach jest powietrze, a obie poduszki amortyzujące są nadmuchane.

– Co za strata. – Potrząsnął głową, wpatrując się w kupę złomu, jaką był mój mercedes. – Po raz pierwszy widzę taki wóz. To model 500E. Jeden z tutejszych chłopaków dobrze się zna na mercedesach i powiedział mi, że ten ma silnik robiony we współpracy z firmą Porsche. Który to rocznik? 1993? Domyślam się, że pani mąż nie kupił go tutaj.

Lewe tylne światło było stłuczone, a tuż obok dostrzegłam rysę z odpryskami zielonego lakieru. Pochyliłam się, aby przyjrzeć się temu lepiej.

Na liczniku nie ma wielkiego przebiegu, może to być nawet rocznik 1994 – mówił dalej mężczyzna. – Jeśli mogę zapytać, ile takie cacko kosztuje? Około pięćdziesięciu kafli?

– Czy to pan go holował? – Wyprostowałam się, dostrzegając już następne ślady, które wzbudziły moją czujność.

– Tuby przywiózł go wczoraj wieczorem. Czy wie pani, ile to ma koni mechanicznych?

– Czy wszystko jest tu tak, jak było bezpośrednio po wypadku?

Mężczyzna spojrzał na mnie zdziwiony.

– Chodzi mi na przykład o telefon – wyjaśniłam. – Nie leży na swoim miejscu.

– Myślę, że odpadł, gdy samochód koziółkował i uderzył w drzewo.

– Poza tym osłony przeciwsłoneczne są podniesione.

Zajrzał do środka przez tylną szybę i podrapał się w kark.

– Myślałem, że to szyba jest przyciemniona. Nie zauważyłem uniesionej osłony. Chyba nie sądzi pani, że ktoś ją tu podniósł w nocy.

Teraz ja ostrożnie wsunęłam głowę do wnętrza i przyjrzałam się lusterku wstecznemu. Było tak ustawione, aby nie odbijać świateł jadącego z tyłu samochodu. Wyjęłam z kieszeni kluczyki i usiadłam bokiem na podłodze, w miejscu gdzie znajdował się przedtem fotel kierowcy.

– Nie robiłbym tego, proszę pani. Ten poszarpany metal jest groźniejszy niż ostrza noży. A poza tym wszędzie pełno krwi.

Powiesiłam telefon na miejsce i włączyłam go. Zabrzęczał, dając sygnał, że działa, a czerwone światełko wskazywało, iż należy wymienić baterie. Zauważyłam, że radio i odtwarzacz płyt kompaktowych nie były używane podczas jazdy, w przeciwieństwie do reflektorów i świateł przeciwmgielnych. Wzięłam do ręki słuchawkę i nacisnęłam przycisk pamięci. Rozległ się krótki, elektroniczny dźwięk, a potem usłyszałam nagrany na taśmę kobiecy głos.

– Dziewięć-jeden-jeden.

Odłożyłam słuchawkę, a na karku poczułam zimny pot. Rozejrzałam się dookoła. Na ciemnoszarych, skórzanych obiciach, na desce rozdzielczej i suficie widać było czerwone plamy. Kolor był dużo bardziej intensywny niż

barwa krwi. Tu i ówdzie widniały resztki cienkiego makaronu, zwanego włosami anielskimi.

Wstałam i pilniczkiem do paznokci zaczęłam zdrapywać resztki zielonego lakieru z rysy w tylnej części samochodu. Zawinęłam odpryski w chusteczkę i zabrałam się do wymontowywania stłuczonej lampy. Nie mogłam sobie z tym poradzić, więc poprosiłam stojącego cały czas obok pracownika stacji o śrubokręt.

– To rocznik 1992 – wyjaśniłam, gdy skończyłam odkręcać lampę. Włożyłam szkło do kieszeni i skierowałam się w stronę samochodu, którym przyjechałam, zostawiając w tyle całkowicie zdezorientowanego mężczyznę. – Silnik mercedesa ma moc trzystu piętnastu koni. Kosztował osiemdziesiąt tysięcy dolarów. W kraju jest tylko sześćset takich wozów, to znaczy było. Kupiłam go u McGeorge’a w Richmond. A poza tym nie mam męża. – Gdy dotarłam do lincolna, z trudem łapałam oddech. – Cholera, to nie krew jest w środku. Cholera, jasna cholera! – mówiłam do siebie, zatrząskując drzwi i zapalając silnik.

Ruszyłam z piskiem opon i wjechałam na autostradę, kierując się w stronę południowego odcinka numer dziewięćdziesiąt pięć. Gdy minęłam zjazd na Atlee i Elmont, zwolniłam i zjechałam na pobocze. Wysiadłam z wozu i chociaż stanęłam tak daleko od jezdni, jak to tylko było możliwe, za każdym razem, gdy przejeżdżał obok samochód, czułam na sobie gwałtowny podmuch powietrza.

Według raportu Sinclaira mercedes zjechał z szosy około osiemdziesięciu stóp na północ od słupka z oznaczeniem osiemdziesiątej szóstej mili. Ja zaś dopiero w odległości dwustu stóp od tego znaku zauważyłam na prawym pasie odcisk po gwałtownym skręcie opon, a zaraz obok kawałki stłuczonego tylnego światła. Ślad ten, starty odcinek asfaltu o długości około dwóch stóp, znajdował się jakieś dziesięć stóp od miejsca,

gdzie samochód wpadł w poślizg. Pomimo dużego ruchu na autostradzie przez kilka minut przeszukiwałam jezdnię, zbierając odłamki rozbitego szkła.

Potem przeszłam poboczem dalej, gdzie znajdował się następny punkt naniesiony przez Sinclaira na wykres. Nagle serce zabiło mi mocniej. Na jezdni zobaczyłam czarne smugi zostawione tam poprzedniego wieczora przez opony mojego mercedesa. Ale nie była to droga hamowania, wręcz przeciwnie, były to ślady po gwałtownym ruszeniu z miejsca, takie same, jakie zostawiłam niedawno, odjeżdżając, ile mocy w silniku, ze stacji Texaco.

Wszystko wskazywało na to, że zaraz potem Lucy straciła kontrolę nad samochodem i zjechała z drogi. Znalazłam też odciski opon mercedesa w piasku na poboczu i ślady gum w miejscu, gdzie auto najechało na krawężnik chodnika. Dalej natrafiłam na szerokie wgłębienia, wskazujące odcinek, na którym mercedes dachował, oraz wyłobienia w pniu drzewa, pozostawione po zderzeniu. Dookoła poniewierały się kawałki metalu i plastiku.

Przez całą drogę powrotną do Richmond zastanawiałam się, kogo poprosić o pomoc. W końcu postanowiłam skontaktować się z inspektorem McKee z policji stanowej, z którym często współpracowałam przy kolizjach drogowych. Spędziliśmy wiele godzin przy biurku w moim gabinecie, gdzie posługując się samochodzikami firmy Matchbox, tak długo rekonstruowaliśmy okoliczności każdego wypadku, aż zyskiwaliśmy całkowitą pewność, jak do nich dochodziło. Zostawiłam dla inspektora McKee wiadomość w biurze z prośbą o kontakt. Zadzwoił wkrótce po moim powrocie do domu.

Nie pytałam Sinclaira, czy wykonał odlewy odcisków opon w miejscu, gdzie samochód zjechał z drogi, ale nie wydaje mi się, aby to zrobił –

podzieliłam się z nim swoimi wątpliwościami na zakończenie krótkiej relacji z oględzin miejsca wypadku.

– Ja też myślę, że ich nie zrobił – zgodził się ze mną McKee. – Muszę powiedzieć, że dużo już słyszałem o tej sprawie. Mówiło się o tym, bo Reed od razu po przybyciu na miejsce wypadku zauważył pani numer rejestracyjny.

– Rozmawiałam z Reedem. Nie robił wrażenia zaangażowanego w sprawę.

– To prawda. W każdej innej sytuacji, gdyby pojawiła się policja z Hanoveru, to znaczy... Sinclair, Reed prawdopodobnie powiedziałyby, że wszystko jest pod kontrolą, i sam wykonałby niezbędne pomiary i wykresy. Ale on wcześniej zauważył pani trzycyfrowy numer rejestracyjny i zwęszył problemy. Od razu domyślił się, że wóz należy do kogoś ważnego, związanego z rządem. Pozwolił Sinclairowi sporządzić raport, a sam rzucił się do radia, telefonu, zadzwonił, gdzie trzeba, i sprawdził, kto jest właścicielem auta. Bingo. Pierwszą myślą, jaka mu przyszła do głowy, było, że to pani znajdowała się w środku. Proszę sobie wyobrazić, co się tu działo.

– Istny cyrk.

– Dokładnie. Okazało się, że Sinclair dopiero co opuścił Akademię. Pani samochód był jego drugą sprawą.

– Nawet jeśli byłby to jego dwudziesty wypadek, mogę się domyślić, jak doszło do pomyłki. Uznał, że nie ma powodu, aby szukać śladów poślizgu dwieście metrów od miejsca, gdzie Lucy zjechała z drogi.

– Jest pani pewna, że to były ślady skrętu?

– Absolutnie tak. Jeśli zrobi pan te odlewy, zobaczy pan, że odciski na poboczu pasują dokładnie do tych na jezdni. Jedyne wyjaśnieniem, skąd

się tam wzięły, jest to, że jakaś siła zewnętrzna zmusiła samochód do gwałtownej zmiany kierunku jazdy.

– I stąd te ślady przyśpieszenia dwieście stóp dalej – wszedł mi w słowo McKee. – Samochód został uderzony z tyłu, Lucy nacisnęła hamulce i usiłowała utrzymać się na jezdni. Kilka sekund później gwałtownie przyśpieszyła i straciła panowanie nad kierownicą.

– Prawdopodobnie właśnie wtedy próbowała zadzwonić pod numer dziewięć-jeden-jeden – powiedziałam.

– Sprawdzę w firmie telekomunikacyjnej, o której godzinie nastąpiło połączenie. Będziemy mogli odnaleźć taśmę.

– Ktoś jechał za nią z włączonymi długimi światłami i dlatego zmieniła ustawienie wstecznego lusterka oraz podniosła osłonę przeciwsłoneczną na tylnej szybie. Nie włączała radia ani odtwarzacza płyt kompaktowych, była bardzo skoncentrowana na prowadzeniu. Zauważyła, że ktoś za nią jedzie. Ta osoba najechała na jej wóz od tyłu i wtedy Lucy nacisnęła hamulce. – Rekonstruowałam przebieg zdarzenia, coraz bardziej przekonana, że wiem, co rozegrało się na drodze dziewięćdziesiąt pięć. – Jechała dalej, zdając sobie sprawę, że ten ktoś znowu ją zaatakuje. Działała w panice, przyśpieszyła i straciła kontrolę nad samochodem. Wszystko to zdarzyło się w ciągu paru sekund.

– Z pani relacji wnioskuję, że ślady potwierdzają taki scenariusz.

– Przyjrzy się pan temu?

– Oczywiście. A co z odpryskami lakieru?

– Oddam je do laboratorium razem z resztkami tylnego światła mercedesa i prawdopodobnie odłamkami szkła z reflektora tego wozu, który go stuknął, i poproszę, aby wykonali analizy najszybciej, jak to możliwe.

– Proszę podać na raporcie także moje nazwisko z prośbą, aby dali mi znać, gdy będą wyniki.

Gdy skończyłam rozmawiać z inspektorem McKee, była piąta po południu i na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno. Rozejrzałam się nieprzytomnym wzrokiem po swoim gabinecie i poczułam się we własnym domu jak intruz. W żołądku burczało mi z głodu, ale jednocześnie czułam narastające mdłości. Wypiłam spory łyk mylanty wprost z buteleczki i usiłowałam znaleźć jakieś opakowanie zantacu. Chociaż w zasadzie mój wrzód żołądka dawał mi spokój w czasie lata, w przeciwieństwie do byłych kochanków, dolegliwości te zawsze wracały.

Tymczasem rozzwoniły się telefony na obu liniach. Nie podnosiłam słuchawki i wiadomości nagrywały się na automatyczną sekretarkę. Leżąc w wannie i popijając lekarstwa winem, słyszałam też, że włączył się faks. Miałam jeszcze wiele do zrobienia. Wiedziałam, że moja siostra Dorothy będzie chciała natychmiast tu przyjechać. Zawsze podniecały ją ekstremalne sytuacje, które sprzyjały jej potrzebie uczestniczenia w dramacie. Mogła to potem wykorzystać dla swoich potrzeb. Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że w jej kolejnej książce dla dzieci jeden z bohaterów ulegnie wypadkowi samochodowemu. A później krytycy będą się zachwycać wrażliwością i mądrością Dorothy, która znacznie lepiej matkowała fikcyjnym dzieciom niż swojej własnej córce.

Faks był od mojej siostry i zawierał wiadomość o jej przylocie. Pisała, że będzie w Richmond jutro późnym popołudniem i chciałaby zostać przez jakiś czas z Lucy u mnie.

– Nie zatrzymają jej przecież w szpitalu na długo, prawda? – dopytywała się, gdy zadzwoniłam do niej w chwilę potem.

– Mam nadzieję, że pozwolą mi ją jutro zabrać do domu – odpowiedziałam.

– Musi okropnie wyglądać.

– Zwykle ludzie nie wyglądają najlepiej po wypadkach samochodowych.

– Ale czy zostaną jej jakieś ślady na zawsze? – zapytała niemal szeptem.

– Powiedz, że nie zostanie oszpecona.

– Nie, Dorothy. Nie będzie oszpecona. Czy wiedziałaś, że nadużywa alkoholu?

– Skąd mam wiedzieć takie rzeczy? Jest przecież teraz w szkole niedaleko ciebie i wcale nie ma ochoty odwiedzać domu. Ale nawet jak już tu zawita, nie zwierza się ani mnie, ani swojej babci. Wydaje mi się, że jedyną osobą, która powinna coś o tym wiedzieć, jesteś właśnie ty.

– Jeżeli udowodnią jej w sądzie, że jest uzależniona od alkoholu, będzie się musiała zgłosić na terapię odwykową – poinformowałam siostrę, starając się zachować spokój.

Dorothy dłuższą chwilę milczała.

– Mój Boże – usłyszałam w końcu.

– Ale nawet gdyby do tego nie doszło, uważam, że pomysł z kuracją nie jest głupi, co najmniej z dwóch powodów. Przede wszystkim nie mam wątpliwości, że Lucy naprawdę boryka się z tym problemem. Po drugie zaś, sędzia może spojrzeć przychylniej na jej sprawę, widząc, że dziewczyna zamierza z własnej woli zgłosić się do poradni.

– W porządku, zostawiam to tobie. Jesteś w końcu rodzinnym lekarzem i prawnikiem. Ale dobrze znam swoją małą córeczkę. Nie zgodzi się na coś takiego. Nie wyobrażam sobie, aby dała się zamknąć w jakimś zakładzie odwykowym, gdzie nie mają komputerów. A poza tym będzie się potem wstydziła spojrzeć ludziom w twarz.

– Wcale nie musi iść do zakładu odwykowego, a poza tym nie widzę nic wstydliwego w tym, że ktoś stara się odzwyczaić od picia czy narkotyków. Wstydem byłoby pozwolić, aby nałóg zrujnował jej życie.

– Ja nigdy nie wypijam więcej niż trzy lampki wina.

– Jest wiele rodzajów uzależnień – powiedziałam. – Ty akurat uzależniłaś się od mężczyzn.

– Naprawdę, Kay? – zaśmiała się. – Chyba biorę przykład z ciebie. A przy okazji, spotykasz się z kimś?

15

Nad ranem zadzwonił do mnie zaniepokojony senator Frank Lord, do którego już dotarły plotki, że miałam wypadek samochodowy.

– To nie ja byłam wtedy w wozie – wyjaśniałam mu, siedząc w piżamie na brzegu łóżka. – Lucy pożyczyła go ode mnie.

– Mój Boże!

– Wyszła z tego cało, Frank. Zabieram ją dziś do domu.

– W jednej z tutejszych gazet podano informację, że rozbiłaś samochód, prowadząc go po alkoholu.

– Lucy była uwięziona we wraku. Prawdopodobnie jakiś policjant sprawdził numer rejestracyjny wozu i pomyślał, że to ja w nim jestem. A potem taka wiadomość trafiła do prasy. – Pomyślałam oczywiście o Sinclairze. Powinien dostać ode mnie burę za taką gafę.

– Kay, mogę coś dla ciebie zrobić?

– Masz jakieś wiadomości o sprawie Ośrodka Badań Technicznych?

– Znalazłem kilka interesujących punktów zaczepienia. Czy Lucy wspominała przy tobie o niejkiej Carrie Grethen?

– Współpracowała z tą kobietą. A ja poznałam ją niedawno osobiście.

– Okazało się, że ma ona powiązania ze sklepem, gdzie sprzedaje się urządzenia szpiegowskie. Głównie te oparte na najnowszych technologiach.

– Żartujesz!

– Niestety, nie.

– Jeśli tak, domyślam się, dlaczego była zainteresowana pracą w Ośrodku, i dziwi mnie, że FBI zatrudniło ją mimo takich powiązań.

– Nie mam pojęcia, dlaczego tak się stało. W dodatku właścicielem sklepu jest jej chłopak. W każdym razie tylko dlatego wiemy, że często odwiedza ten sklep, gdyż była pod obserwacją.

– Spotyka się z mężczyznami?

– Nie rozumiem.

– Właścicielem sklepu jest mężczyzna, tak powiedziałaś?

– Tak.

– Skąd wiadomo, że to jej chłopak?

– Od niej samej. Powiedziała to w rozmowie z kimś z FBI, gdy poproszono ją o wyjaśnienie, dlaczego tak często tam bywa.

– Wiesz coś więcej o nich obojgu?

– W tej chwili nie, ale znam adres tego sklepu. Mogę ci go podać, jeśli chwilę poczekaasz. Zaraz go znajdę.

– A może masz jej adres domowy albo adres tego chłopaka?

– Niestety, nie.

– Daj mi zatem to, co masz.

Znalazłam jakiś ołówek i gdy zapisywałam dane, cały czas myślałam intensywnie o tym, czego się przed chwilą dowiedziałam. Sklep pod nazwą Oko Szpiega mieścił się na Springfield Mail. Obliczyłam, że jeżeli wyjechałabym natychmiast, dotarłabym tam przed południem i mogłabym jeszcze wrócić na czas, aby odebrać Lucy ze szpitala.

– Zatem wiadomo już – mówił senator Lord dalej – że Carrie Grethen została odsunięta od badań nad programem, właśnie z uwagi na powiązania z tym sklepem, o których nie wspomniała podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Ale wciąż nie mamy żadnych dowodów, że była w jakikolwiek sposób zamieszana w tamto włamanie.

– Ale z całą pewnością miała motyw – powiedziałam, czując, że powinnam pójść tym tropem dalej. – Ośrodek to wymarzone miejsce dla kogoś, kto handluje szpiegowskim ekwipunkiem. – Przerwałam na chwilę, zastanawiając się nad czymś. – Wiesz może, kiedy zaczęła pracę w FBI i czy sama się zgłosiła, czy też została zwerbowana?

– Poczekaj. Mam notatki na ten temat. Wynika z nich, że złożyła podanie o pracę w kwietniu tego roku, a przyjęli ją w połowie sierpnia.

– Lucy też zaczęła tam pracować mniej więcej w połowie sierpnia. Czy wiemy, co Carrie robiła wcześniej?

– Wygląda na to, że jej praca zawodowa zawsze związana była z urządzeniami komputerowymi i oprogramowaniem. Jest z wykształcenia inżynierem, co po części było powodem, dla którego FBI się nią zainteresowało. Jest bardzo twórcza, ambitna i, niestety, także nieuczciwa. Z wywiadów przeprowadzonych ostatnio z kilkoma ludźmi wynika, że Carrie Grethen kłamie i oszukuje w taki sposób, w jaki nie robił tam tego nikt od lat.

– Frank, ona chciała się dostać do Ośrodka, aby móc zdobyć informacje dla tego szpiegowskiego sklepu – powiedziałam. – Może też być jedną z osób, które nienawidzą FBI z powodów ideowych.

– Obie wersje są prawdopodobne – zgodził się ze mną. – Chodzi tylko o znalezienie dowodów. Mimo naszych podejrzeń, dopóki nie znajdziemy ewidentnych materiałów, że coś stamtąd zabrała, nie możemy jej zaskarżyć.

– Tuż przed włamaniem Lucy wspomniała, że jest zaangażowana w badania nad nowym, biometrycznym systemem zabezpieczającym. Wiesz coś o tym?

– Nie przypominam sobie, aby dotarły do mnie jakiegokolwiek wiadomości na ten temat.

– Ale gdyby nad tym pracowano, wiedziałbyś?

– Z pewnością tak. Ostatnio przekazano mi wiele szczegółowych informacji na temat różnych projektów realizowanych w Quantico – ma to związek z moją pracą nad ustawą o zapobieganiu przestępczości i pieniędzmi, jakie staram się wyasygnować na działalność FBI.

– To dziwne, że Lucy mówiła o pracy nad projektem, który prawdopodobnie w ogóle nie istnieje.

– Niestety, to może nawet pogorszyć jej sytuację.

– Wiedziałam, że ma rację. Niezależnie od podejrzeń, jakie łączyły się z osobą Carrie Grethen, sprawa Lucy wciąż wyglądała bardzo poważnie.

– Frank, wiesz może, jakimi samochodami jeżdżą Grethen i jej chłopak?

– Możemy uzyskać tę informację. Czemu cię to interesuje?

– Mam powody, aby przypuszczać, że kraksa Lucy nie była przypadkowa, i obawiam się, że wciąż jeszcze grozi jej niebezpieczeństwo.

– Może więc powinna przez jakiś czas zostać na strzeżonym piętrze w Akademii? – powiedział po chwili zastanowienia.

– W innej sytuacji byłoby to naprawdę idealne rozwiązanie – odparłam.

– Ale teraz nie sądzę, aby mogła przebywać choćby w sąsiedztwie tego budynku.

– Rozumiem. Masz rację. Ale są jeszcze inne podobne miejsca. Jeśli chcesz, mogę coś dla niej znaleźć.

– Myślę, że też znam takie miejsce.

– Jutro rano wylatuję na Florydę, ale w razie czego wiesz, jak mnie tam znaleźć.

– Kolejne zabiegi w sprawie organizowania funduszy? – Wiedziałam, że Frank jest przepracowany, wybory skończyły się dopiero tydzień temu.

– To także. Muszę też ugasić kolejne zarzewie. Narodowa Organizacja Kobiet urządziła tam pikietę, podczas której zostałem przedstawiony jako wróg kobiet, z rogami i długim ogonem.

– Zrobiłeś więcej dla kobiet niż którykolwiek ze znanych mi polityków – powiedziałam. – A zwłaszcza dla jednej, tej na drugim końcu linii.

O wpół do ósmej jechałam już na północ wynajętym samochodem, pijąc po drodze pierwszą kawę. Na dworze było ponuro i zimno, ale zatopiona w myślach, nie zwracałam uwagi na mijane krajobrazy.

Nie wymyślono jeszcze takiego systemu zamków, do których nie można by się włamać. Do sforsowania niektórych nie trzeba nic więcej poza kartą kredytową, podczas gdy wyłamanie innych wymaga już użycia pewnych specjalistycznych narzędzi. Jednakże zamek biometryczny, który reaguje na linie papilarne, nie może zostać otwarty za pomocą mechanicznych środków. Próbując rozwiązać zagadkę, kto i w jaki sposób dostał się do Ośrodka, zaczęłam analizować kilka kwestii.

Linie papilarne Lucy znalazły się w skanerze około trzeciej nad ranem. Świadczyło to o tym, że albo ona sama była tam wtedy obecna, albo ktoś wcześniej zdobył odcisk jej kciuka. Przed laty uczęszczałam na spotkania Międzynarodowego Stowarzyszenia do Spraw Identyfikacji, na których omawialiśmy przypadki notorycznych przestępców, mających własne metody zmiany linii papilarnych.

John Dillinger, jeden z najniebezpieczniejszych gangsterów, wypalił je sobie kwasem, zaś Roscoe Pitts kazał usunąć swoje chirurgicznie. Oczywiście, metody te nie zdały egzaminu i byłoby lepiej, gdyby gangsterzy, oszczędzając sobie bólu, pozostali przy takich odciskach palców, jakimi obdarzył ich Stwórca. Jak łatwo można było przewidzieć, te zniekształcone trafiły wkrótce do Archiwum Odcisków Okaleczonych w FBI i nie było problemu z ich identyfikacją. Poza tym spalona lub w inny sposób zniszczona skóra na palcach osoby podejrzanej zawsze jest sygnałem do bliższej obserwacji.

Szczególnie jedna sprawa, która miała miejsce kilka lat temu, wydawała mi się interesująca w kontekście fatalnego włamania. Dotyczyła ona pewnego pomysłowego włamywacza, którego brat pracował w domu pogrzebowym. Przestępca ten, wielokrotnie zamykany w więzieniach, używał niezwykłych rękawiczek, które umożliwiły mu pozostawianie odcisków palców innego człowieka. Spreparował je, zanurzając dłonie zmarłej osoby w roztopionej, płynnej gumie. Formował w ten sposób tyle warstw, ile mu potrzebna, aby bezpiecznie zdjąć z nieboszczyka powstałe w ten sposób „rękawiczki”.

Jego pomysł nie przyniósł jednak spodziewanych efektów. Złodziej zapomniał o zlikwidowaniu pęcherzyków powietrza między kolejnymi warstwami gumy i przy następnym skoku pozostawił na miejscu przestępstwa bardzo charakterystyczne ślady.

Przypomniało mi się tamto słoneczne popołudnie, kiedy odwiedziliśmy Lucy w Ośrodku Badań Technicznych. Tak wiele się od tego czasu wydarzyło, że miałam wrażenie, jakby minęły już całe wieki. Pamiętałam jednak dobrze, że kiedy spotkaliśmy Carrie Grethen, mieszkającą w miseczce jakąś dziwną substancję, którą teraz mogłam zidentyfikować jako silikon lub gumę, była wyraźnie niezadowolona, widząc nas w swoim biurze. To właśnie wtedy Lucy wspomniała o badaniach nad zamkiem biometrycznym, w które rzekomo była zaangażowana. Może powiedziała nam wtedy prawdę. Może Carrie była z nią umówiona na wykonanie gumowego odcisku kciuka.

Jeżeli zatem moje podejrzania są słuszne, z całą pewnością można je udowodnić. Zastanawiałam się, dlaczego nikomu jeszcze nie przyszło do głowy proste pytanie: czy odcisk palca Lucy, zeskanowany w zamku biometrycznym, odpowiadał jej fizycznym liniom papilarnym, czy też przyjęliśmy za pewnik identyfikację komputerową?

– Oczywiście, mogę to wziąć pod uwagę – powiedział Benton Wesley, gdy zadzwoniłam do niego z samochodu.

– Pewnie że tak, możesz to wziąć pod uwagę. Każdy mógł to wziąć pod uwagę. Przecież jeżeli wykonano odcisk kciuka Lucy i wskanowano go do zamka, będzie on odwrócony w stosunku do tych, które znajdują się w jej osobistej teczce w FBI. Mówiąc inaczej, znajdziemy tam lustrzane odbicie układu jej linii papilarnych.

Wesley milczał przez chwilę, a kiedy odezwał się ponownie, był wyraźnie zaskoczony.

– Cholera. Ale czy skaner nie powinien zareagować na odwrócony obraz i odrzucić go?

– Tylko bardzo nieliczne urządzenia tego typu potrafią odróżnić odcisk linii papilarnych od ich odwróconego układu. Ale fachowiec od daktyloskopii potrafi to zauważyć – powiedziałam. – Odcisk kciuka Lucy powinien być jeszcze przechowywany w postaci cyfrowej w pamięci skanera.

– Jeżeli zrobiła to Carrie Grethen, nie uważasz, że miała dość czasu, aby zlikwidować te dane?

– Wątpię – oświadczyłam. – Ona nie jest specjalistką od daktyloskopii. Nie sądzę, aby wiedziała, że za każdym razem, gdy pozostawia się odciski palców, ich obraz jest odwrócony. I że tylko dlatego pasują do tych przechowywanych w osobistych teczkach, że tamte również są odwrócone. A więc jeżeli wykona się odbicie z zapisu komputerowego, a następnie pozostawi tak spreparowany odcisk, będzie on odwróceniem odcisku odwróconego.

– Zatem odcisk palca wykonany za pomocą takiego gumowego kciuka powinien być odwrócony w stosunku do odcisku pozostawionego fizycznie przez daną osobę.

- Tak jest.
- Chryste, nie znam się zbyt dobrze na tych sprawach.
- Nie martw się tym, Benton. Wiem, że możesz się czuć speszony, ale uwierz mi na słowo.
- Zawsze to robię. A więc powinniśmy natychmiast postarać się o wydruk odcisku tego kciuka.
- Koniecznie. Ale chciałabym cię jeszcze o coś zapytać. Czy słyszałeś o jakimś projekcie, dotyczącym biometrycznych systemów dla Ośrodka?
- O projekcie zleconym przez FBI?
- Tak.
- Nie. Nie wiem nic o takich badaniach.
- Tak właśnie myślałam. Dzięki, Benton.

Przez chwilę milczeliśmy, każde z nas czekało na jakieś osobiste, ciepłe słowo od tego drugiego. Ja jednak nie wiedziałam, co powiedzieć, zbyt wiele było we mnie niesprecyzowanych uczuć.

- Uważaj na siebie – powiedział w końcu Benton i pożegnaliśmy się.

Pół godziny później znalazłam sklep z materiałami dla szpiegów. Znajdował się w bardzo zatłoczonym pasażu handlowym, tuż obok Ralpa Laurna i firmy Crabtree & Evelyn. Był to mały pawilon, w którego witrynie wyeksponowano najnowsze urządzenia do legalnego szpiegowania. Zatrzymałam się w pewnej odległości od wejścia, czekając, aż klient stojący przy ladzie odsunie się nieco, abym mogła przyjrzeć się sprzedawcy. Był nim starszy, otyły mężczyzna, zdecydowanie niewyglądający na kochanka Carrie Grethen. Nie miałam wątpliwości, że zmyśliła całą tę historię z narzeczonym.

Gdy klient opuścił sklep, weszłam do środka. Wewnątrz był jeszcze chłopak w skórzanej kurtce, oglądający magnetofon uruchamiany głosem i przenośne urządzenie do analizy akcentu. Grubas za ladą nosił okulary z

silnymi soczewkami oraz złoty łańcuch na szyi i wyglądał na kogoś, kto zawsze ma do zaoferowania świetny interes.

– Przepraszam – zagadnęłam go. – Szukam pani Carrie Grethen.

– Wyszła po kawę, ale niedługo powinna wrócić – powiedział, bacznie mi się przyglądając. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Poczekam tu na nią, jeśli można.

– Oczywiście.

Oglądałam właśnie skórzaną dyplomatkę, kryjącą w środku magnetofon, urządzenia do zakładania podsłuchu i rozszyfrowywania kodów telefonicznych oraz noktowizor, gdy weszła Carrie Grethen. Zatrzymała się na mój widok i przez chwilę miałam wrażenie, że zastanawia się, czy nie chlusnąć mi w twarz gorącą kawą. Jej oczy przeszyły mnie niczym stalowe gwoździe.

– Muszę z panią porozmawiać – powiedziałam.

– To nie jest najlepszy moment. – Zdobyła się na sztuczny uśmiech, ponieważ w sklepie było już czterech klientów.

– Uważam, że całkiem dobry – upierałam się, wytrzymując jej spojrzenie.

– Jerry – zwróciła się do grubasa. – Możesz przez chwilę zająć się sklepem?

Mężczyzna posłał mi spojrzenie psa, który ma ochotę ugryźć.

– To nie będzie długo trwało, możesz być pewien – zapewniła go.

– No dobra – zgodził się bez przekonania.

Wyszłam za nią na ulicę i skierowałyśmy się w stronę skwerku z fontanną. Usiadłyśmy na pustej ławce.

– Słyszałam, że Lucy miała wypadek. Bardzo mi przykro z tego powodu. Mam nadzieję, że czuje się już lepiej – powiedziała Carrie zimnym tonem, popijając kawę.

– Wiem, że nie interesuje pani zdrowie Lucy – odparłam. – Poza tym proszę się nie silić na uprzejmości, już dawno przejrzałam pani grę. Wiem, co pani zrobiła.

– Nic pani nie wie. – Posłała mi lodowaty uśmiech i zamilkła, wsłuchując się w szum wody.

– Wiem, że zrobiła pani gumowy odcisk kciuka Lucy, a zdobycie jej numeru osobistego było już dziecinnie łatwe w sytuacji, gdy spędzałyście razem tak wiele czasu. Wystarczyło jedynie zapamiętać cyfry kodu, jakie wciskała. W ten sposób otworzyła pani biometryczny zamek i dostała się o trzeciej nad ranem do Ośrodka.

– Czy nie ma pani przypadkiem nadaktywnej wyobraźni? – Zaśmiała się, a jej spojrzenie stało się jeszcze twardsze. – Uprzedzam, że takie oskarżenia mogą panią drogo kosztować.

– Proszę mnie nie straszyć. To ja chcę panią ostrzec. Już wkrótce udowodnimy, że to nie Lucy dokonała włamania. Jest pani sprytna, ale nie na tyle, aby ustrzec się błędów.

Milczała, ale czułam, że mimo pokerowej twarzy gorączkowo zastanawia się, co też mogę mieć na myśli.

– Nie wiem, o czym pani mówi – powiedziała w końcu tonem, w którym wyczułam cień niepewności.

– Być może jest pani doskonałą specjalistką od komputerów, ale nie zna się pani na daktyloskopii. Dzięki temu bez trudu będzie można dowieść pani winę. – Powiedziałam to z pewnością cechującą dobrego prawnika, który wie, jak rozegrać partię. – Poprosiła pani Lucy o pomoc przy nowym projekcie badawczym, dotyczącym biometrycznego systemu zabezpieczeń w Ośrodku.

– Projekt badawczy? Nie pracowałyśmy nad żadnym tego typu projektem – zaprzeczyła, patrząc na mnie z nienawiścią.

– Właśnie o to chodzi. Taki projekt nie istnieje. Skłamała pani, aby nakłonić Lucy do zrobienia gumowego odlewu kciuka.

– Mój Boże! – Carrie zaśmiała się gardłowo. – Oglądała pani za dużo filmów z Jamesem Bondem. Chyba nie myśli pani, że ktoś uwierzy...

– Tego gumowego odcisku kciuka – przerwałam jej – użyła pani następnie, aby otworzyć zamek i zdobyć dla siebie, a może jeszcze dla kogoś, bezcenne informacje szpiegowskie. Ale popełniła pani przy tym jeden błąd.

Jej twarz była sina ze złości.

– Chce pani usłyszeć jaki?

Wciąż milczała, ale byłam pewna, że chce usłyszeć. To pragnienie emanowało z niej niczym żar.

– A więc, panno Grethen – zaczęłam – gdy robi się odlew palca, odciski linii papilarnych w stosunku do oryginalnego układu są odwrócone, jak w lustrzanym odbiciu. Odcisk gumowego kciuka Lucy, który pani wykonała, także dał w rzeczywistości obraz odwrócony. I badania odcisku, który został zeskanowany do zamka tamtego dnia o trzeciej nad ranem udowodnią to w sposób niebudzący wątpliwości.

Carrie Grethen głośno przełknęła ślinę, a następnie powiedziała coś, co w pełni potwierdziło moje podejrzenia.

– Ale nie udowodni pani, że ja to zrobiłam.

– Z całą pewnością nam się to uda. Chcę jednak powiedzieć coś jeszcze. – Przysunęłam się bliżej, tak blisko, że poczułam jej przesycony zapachem kawy oddech. – Wykorzystała pani uczucie, jakim darzyła panią moja siostrzenica. Wykorzystała pani jej wiek, naiwność oraz poczucie przyzwoitości. – Przysunęłam się jeszcze bliżej. – Niech pani trzyma się z daleka od Lucy. Niech pani nie waży się z nią rozmawiać ani do niej telefonować. Niech pani już więcej o niej nie myśli.

Ścisnęłam kurczowo schowany w kieszeni rewolwer kalibru 38. Nieomal pragnęłam, aby zmusiła mnie do zrobienia z niego użytku.

– A jeśli okaże się, że to pani zepchnęła ją z autostrady – mówiłam cicho, ale mój głos miał ostrość chirurgicznego skalpela – osobiście oddam panią w ręce policji. Będę panią ścigała do końca pani parszywego życia. Jeżeli wypuszczą panią warunkowo, będę deptać pani po piętach. Poinformuję każdą ławę przysięgłych, każdego gubernatora, że jest pani niebezpiecznym wrogiem i zakałą społeczeństwa. Czy to jasne?

– Niech cię piekło pochłonie – powiedziała.

– Ja nigdy się w nim nie znajdę – odparłam. – Ale ty już tam jesteś.

Zerwała się z ławki i pobiegła w stronę Oka Szpiega. Wstałam również, aby lepiej ją widzieć, i nagle zobaczyłam, że w drzwiach sklepu podszedł do niej jakiś mężczyzna. Zaczęli rozmawiać. Usiadłam z powrotem na ławce, a serce waliło mi jak młotem. Jeszcze nie wiedziałam, dlaczego widok tego człowieka tak na mnie podziałał. Być może sprawił to ostry zarys jego profilu, znany mi skądś kształt jego szczupłych pleców i nienaturalna czerń przylizanych włosów. Ubrany był w wykwintny granatowy garnitur z jedwabiu, a w ręku trzymał neseser, który z daleka wyglądał jak ze skóry aligatora. Już miałam wstać i odejść, gdy nagle odwrócił się i przez jeden elektryzujący moment nasze spojrzenia spotkały się. Jego oczy były przeraźliwie błękitne.

Nie rzuciłam się do ucieczki. Czułam się jak wiewiórka, skamieniała ze strachu na widok jadowitego węża. Upłynęła długa chwila, zanim ruszyłam alejką, najpierw szybkim krokiem, potem biegiem, a szmer tryskający z fontanny wody wydawał mi się podobny do odgłosu jego kroków, które mogły już być tuż, tuż, za mną. Nie zatrzymałam się przy mijanej budce telefonicznej z obawy, że gdy stanę, może mnie dogonić. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

Przebiegłam przez parking, a gdy otwierałam drzwi samochodu, ręce dygotały mi niemiłosiernie. Zanim sięgnęłam po telefon, upewniłam się, że w pobliżu nie ma nikogo.

– Benton, na Boga! Widziałam go!

– Kay? Co się stało? – Jego zdenerwowany głos zagłuszały trzaski w słuchawce, gdyż w północnej części stanu Wirginia za dużo jest telefonów komórkowych.

– Gault! – wykrzyknęłam zdławionym głosem, w ostatniej sekundzie hamując przed nadjeżdżającą toyotą. – Widziałam przed chwilą Gaulta!

– Widziałaś Gaulta? Gdzie?

– W sklepie Oko Szpiega.

– Gdzie? Co powiedziałaś?

– W sklepie, gdzie pracuje Carrie Grethen. On tam był, Benton! Widziałam, jak podszedł do niej i rozmawiali. Potem zobaczył mnie i uciekł.

– Uspokój się, Kay! – Głos Wesleya był napięty. Nigdy przedtem nie słyszałam, aby Benton był tak zdenerwowany. – Gdzie jesteś?

– Jadę drogą numer I-95 w kierunku południowym. Ze mną wszystko w porządku.

– Nie zatrzymuj się, na miłość boską. Czy myślisz, że widział, jak wsiadałaś do samochodu?

– Chyba nie. Do cholery, nie jestem pewna.

– Kay! – Wesley był już zupełnie opanowany. – Uspokój się. Proszę, uspokój się. Nie chcę, żebyś miała wypadek. Zaraz zawiadomię posiłki. Złapiemy go.

Wiedziałam, że nic z tego nie wyjdzie. Wiedziałam, że zanim jakiś agent lub policjant otrzyma informację, Gault zniknie. Rozpoznał mnie.

Widziałam to w jego zimnych, błękitnych oczach. Doskonale wiedział, co zrobię, gdy tylko dotrę do telefonu, i natychmiast zapadł się pod ziemię.

– Pamiętam, jak mówiłeś, że jest w Anglii – przypomniałam sobie.

– Powiedziałem, że wszystko na to wskazuje.

– Rozumiesz to, Benton? – mówiłam, gorączkowo analizując sytuację. – On jest w to zamieszany. W to, co wydarzyło się w Ośrodku. Może to on posłał tam Garrie Grethen, kazał jej zrobić to, co zrobiła. Ona szpiegowała dla niego.

Wesley nie odzywał się. Ta myśl była tak przerażająca, że nie mógł jej od razu zaakceptować.

Wiedziałam, że nie powinniśmy o tym rozmawiać przez telefon.

– Zrobić co? – zapytał po chwili. Jego głos zanikał. – Co mogłoby go tam interesować?

Ja wiedziałam. Dokładnie wiedziałam, na czym mu zależało.

– CAIN – powiedziałam, ale połączenie było już przerwane.



Dojechałam do Richmond bezpiecznie, nie napotykając po drodze najmniejszego nawet śladu Gaulta. Prawdopodobnie zaplanował coś ważniejszego niż pościg za mną. Kiedy jednak weszłam do domu, znowu ogarnął mnie lęk i nie ruszałam się nigdzie, nawet do toalety, bez broni.

Tuż po czternastej byłam już w szpitalu. Posadziłam Lucy na wózku inwalidzkim i skierowałyśmy się na parking. Pomimo moich nalegań i oferowanej pomocy uparła się, aby prowadzić wózek sama. Była ambitna i chciała pokazać, że jest już zupełnie samodzielna. Ale gdy znalazłyśmy się w domu, poczuła się tak wyczerpana, że bez oporów poddała się mojej opiece. Ułożyłam ją w łóżku z uniesionym podglówkiem, aby mogła odpoczywać w pozycji półsiedzącej.

Upewniwszy się, że jest jej wygodnie, zajęłam się przygotowywaniem *zuppa di agliofresco*, czyli zupy ze świeżego czosnku, popularnej w podgórskich okolicach Brisighella, gdzie tradycyjnie podawano ją dzieciom i osobom starszym. Byłam pewna, że zupa oraz pierożki ze słodkim nadzieniem z dyni i orzechów poprawią nam humor. Już wkrótce w salonie ogień trzaskał na kominku, a cały dom wypełnił cudowny aromat przygotowywanych potraw. Zauważyłam, że w czasie długich okresów, gdy stołowałam się na mieście, mój dom nabierał wyglądu opustoszałego i niezamieszkanego przez nikogo, komu należałaby się odrobina troski. Byłam niemal pewna, że jest mu z tego powodu smutno.

Gdy po obiedzie jechałam na lotnisko po siostrę, niebo zasnuwały ciemne deszczowe chmury. Dawno nie widziałam Dorothy i byłam pewna, że jej widok znowu mnie zaskoczy. Za każdym razem, gdy ją spotykałam, wyglądała inaczej, co jest typowe dla osób niepewnych siebie. Dorothy przykładła ogromną wagę do swojego wyglądu i bardzo często zmieniała kolor włosów i styl ubierania.

Stojąc tego pochmurnego popołudnia przy wyjściu dla pasażerów lotów krajowych, badawczo przyglądałam się mijającym mnie kobietom, starając się wypatrzeć znajome rysy twarzy. Poznałam Dorothy po nosie i dołku w brodzie, co niełatwo jest zmienić. Tym razem włosy miała ufarbowane na czarno i przylegające do głowy niby skórzany hełm, oczy skryte za dużymi okularami, a na szyi zawiązany fantazyjnie jaskrawoczerwony szal. Na nogach zauważyłam modne skórzane oficerki. Podeszła energicznym krokiem i ucałowała mnie w policzek.

- Kay, tak się cieszę, że cię widzę. Wyglądasz na zmęczoną.
- Jak się czuje mama?
- Ma kłopoty z biodrem, no wiesz. Czym jeździsz?
- Wynajętym samochodem.
- Od razu pomyślałam, że musisz czuć się okropnie bez swojego mercedesa. Ja nie wyobrażam sobie, abym mogła się obejść bez mojego.

Dorothy miała mercedesa 190E, którego kupiła, gdy spotykała się z pewnym policjantem z Miami. Samochód został skonfiskowany handlarzowi narkotyków i sprzedany na aukcji za okazyjną cenę.

- Masz jakiś bagaż? – zapytałam.
- Tylko podręczny. Jak szybko Lucy jechała?
- Niczego nie pamięta.
- Nie masz pojęcia, jak się czułam, gdy do mnie zadzwonili. Mój Boże! Serce dosłownie zamarło mi z przerażenia.

Deszcz już padał, a ja nie miałam ze sobą parasolki.

– Nikt tego nie zrozumie, dopóki sam nie przeżyje podobnego koszmaru. Takiej okropnej chwili. To naprawdę straszne, gdy nie wiesz dokładnie, co się stało, otrzymujesz tylko złą wiadomość o kimś, kogo kochasz. Mam nadzieję, że nie zaparkowałaś zbyt daleko. Może lepiej będzie, jeśli poczekam na ciebie tutaj.

– Pójdę na parking, zapłacę i przyjadę po ciebie – powiedziałam. – Będę z powrotem za jakieś dziesięć, piętnaście minut.

– To doskonały pomysł. Nie martw się o mnie. Będę obserwowała, czy nadjeżdżasz. Muszę skorzystać z toalety. Wyobrażam sobie, jak to cudownie nie martwić się już o pewne sprawy.

Nie rozwijała dalej tego tematu, dopóki nie znalazłyśmy się w samochodzie.

– Bierzesz hormony?

– Po co? – zapytałam. Deszcz przemienił się tymczasem w ulewę, ciężkie krople stukały o dach samochodu, jakby biegła po nim gromada jakichś zwierzątek.

– Z uwagi na zmiany. – Dorothy wyjęła z torebki paczkę pierniczków i zaczęła je pogryzać.

– Jakie zmiany?

– No wiesz. Uderzenia gorąca, humory Znam kobietę, która zaczęła brać hormony od razu po ukończeniu czterdziestki.

Włączyłam radio.

– Dali nam w samolocie jakieś obrzydliwe przekąski, a wiesz przecież, jak się czuję, gdy jestem głodna. – Kolejny pierniczek został zjedzony. – Każdy ma tylko dwadzieścia pięć kalorii, a ja pozwalałam sobie na osiem dziennie. Będziemy musiały się zatrzymać, żebyśmy mogła kupić nową porcję. I oczywiście jabłka. Ale ty jesteś szczęśliwa. Chyba wcale nie

musisz się martwić o wagę? No, ale gdybym ja zajmowała się tym, co ty, chyba też nie miałabym na nic apetytu.

– Dorothy, na Rhode Island jest klinika, o której chciałabym z tobą porozmawiać.

– Tak się martwię o Lucy – westchnęła.

– Mają tam czterotygodniowe turnusy lecznicze.

– Nie wiem, czy to zniosę. Czy wytrzymam, gdy będzie siedziała tam zamknięta przez cały miesiąc. – Zjadła następne ciastko.

– Będziesz to musiała jakoś znieść. Sprawa jest bardzo poważna.

– Wątpię, czy Lucy zgodzi się tam pojechać. Wiesz przecież, jaka potrafi być uparta. – Dorothy zamilkła na chwilę. – Ale, kto wie, pewnie to dobry pomysł – westchnęła. – Może jak już tam będzie, pomogą jej też w kilku innych sprawach.

– W jakich sprawach, Dorothy?

– Powiem ci wprost, że nie wiem, co z nią robić. Nie rozumiem, co się stało, Kay. – Zaczęła płakać. – Nie chciałabym cię urazić, ale nie masz pojęcia, co czuje matka, gdy jej córka zaczyna żyć w taki sposób. To okropne. Nie mam pojęcia, jak mogło do tego dojść. Z całą pewnością nie miała złego przykładu w domu. Mogę się winić za różne rzeczy, ale nie za to.

Wyłączyłam radio i spojrzałam za nią zdziwiona.

– O czym ty mówisz? – Po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak bardzo nie lubię swojej siostry. Nigdy nie potrafiłam zaakceptować naszego pokrewieństwa. Nie łączyło nas nic poza wspólną matką i garścią wspomnień z czasów, kiedy jeszcze mieszkaliśmy razem.

– Nie wierzę, żeby ciebie też to nie niepokoiło, no, chyba że uważasz to za coś naturalnego. – Widziałam, że ogarniają ją coraz silniejsze emocje. – I mogę przysiąc, że już ci mówiłam o swoich obawach związanych z

wpływem, jaki masz na Lucy. Bynajmniej nie chcę osądzać twojego życia osobistego, nawet jeżeli nie ze wszystkim dajesz sobie radę. – Wytarła nos w chusteczkę, a jej łzy przypominały mi o padającym deszczu. – Cholera! Trudno mi o tym mówić.

– Na litość boską, Dorothy. O czym?

– Do diabła, ona tak bacznie obserwuje, jak się zachowujesz. Jeżeli myjesz zęby w jakiś szczególny sposób, możesz być pewna, że natychmiast zaczniesz to robić identycznie. Odkąd pamiętam, zawsze tak było. Ciocia Kay to, ciocia Kay tamto. Przez wszystkie te lata...

– Dorothy...

– Przyznasz chyba, że nigdy z tego powodu nie miałam pretensji ani nie próbowałam jej do ciebie zrazić. Zawsze chciałam dla niej wszystkiego, co najlepsze. Nie protestowałam więc, gdy stworzyła sobie prywatną religię, z tobą w roli bóstwa.

– Dorothy...

– Ale ty nie masz najmniejszego pojęcia, co to znaczy poświęcenie. – Znowu głośno wytarła nos. – Nie rozumiesz, ile mnie kosztowało, gdy musiałam przez całą szkołę znosić to ciągle porównywanie z tobą, wysłuchiwać pouczeń matki, która nieustannie stawiała mi ciebie na wzór, bo ty zawsze i we wszystkim byłaś tak kurewsko doskonała. Do diabła. Gotowanie, reperowanie sprzętów, zajmowanie się samochodem, płacenie rachunków. Byłaś po prostu jedynym facetem w naszym domu. A potem stałaś się ojcem dla mojej córki, jakkolwiek brzmi to absurdalnie.

– Dorothy!

– Ja natomiast nie mogę z tobą rywalizować – nie pozwalała sobie przerwać moja siostra. – Z całą pewnością nie mogę być jej ojcem. Muszę przyznać, że jesteś bardziej męska ode mnie. Tak, tak. Na tym polu możesz

mnie pokonać z palcem w nosie. Doktor Scarpetta. Mam to w dupie. To niesprawiedliwe, facet z cyckami do kolan.

– Dorothy, zamknij się wreszcie.

– Nie. Nie chcę się zamknąć, nie zmusisz mnie do tego – załkała histerycznie.

Poczułam się nagle tak, jakbyśmy znowu znalazły się w naszym niewielkim pokoiku, gdzie stało wspólne łóżko i gdzie po cichu, aby nie przeszkadzać naszemu umierającemu ojcu, uczyłyśmy się nienawiści do siebie. Albo przy stole w kuchni, gdzie zwykle jadałyśmy w milczeniu makaron, poddając się całkowicie władzy obłożnie chorego ojca. Dojeżdżałyśmy już na miejsce i za chwilę miałyśmy wejść do mojego domu, gdzie leżała ranna Lucy. Byłam zdumiona, że Dorothy nie rozpoznała jeszcze scenariusza, który był tak stary jak my.

– A więc, o co konkretnie mnie obwiniasz? – zapytałam, otwierając drzwi do garażu.

– Ujmijmy rzecz następująco. To, że Lucy nie umawia się na randki z chłopakami, nie jest moją winą. Nie mam co do tego cienia cholernej wątpliwości.

Zgasiałam silnik i spojrzałam na siostrę.

– Nikt nie ceni mężczyzn i nie potrzebuje ich bardziej ode mnie. Następnym razem, zanim zaczniesz mnie krytykować jako matkę, powinnaś zastanowić się nad swoim wpływem na rozwój Lucy. Pytam się, do kogo ona, u diabła, jest podobna?

– Lucy nie jest podobna do nikogo, kogo znam – powiedziałam.

– Bzdura. Jest podobna do ciebie. Jak kropla wody. A teraz okazało się, że pije i, jak sądzę, jest lesbijką. – Powiedziawszy to, znowu wybuchnęła płaczem.

– Czy sugerujesz, że ja jestem lesbijką? – zapytałam, z trudem hamując wściekłość.

– Po prostu uważam, że po kimś to musi mieć.

– Lepiej będzie, jak wejdiesz już do domu.

Otworzyła drzwi od swojej strony i spojrzała na mnie zdziwiona, że nie ruszam się z miejsca.

– Ty nie wysiadasz?

– Muszę jeszcze pojechać do sklepu – powiedziałam, wręczając jej klucze i podając kod do drzwi wejściowych.

Kupiłam pierniki i jabłka, a potem wałęsałam się jeszcze trochę między półkami, nie mając ochoty wracać do domu. Prawdę mówiąc, nigdy nie czułam się dobrze w towarzystwie Lucy, gdy była z nami jej matka, a ta wizyta z pewnością nie zapowiadała się miło. W pewien sposób rozumiałam żale Dorothy, a wybuch zazdrości i obelgi nie były dla mnie żadną niespodzianką, słyszałam je już wcześniej.

Moje złe samopoczucie nie wynikało z zachowania Dorothy, dotknęło mnie raczej to, że przypomniła mi o mojej samotności. Mijając półki z ciastkami, cukierkami, sosami i serami, żałowałam, że nie mogę ukoić smutku, jedząc te wszystkie smakowite rzeczy. Wydawało mi się, że gdyby whisky mogła wypełnić owo puste miejsce we mnie, zdecydowałabym się na takie ryzyko. Zamiast tego jednak wróciłam do domu z zakupami i zaczęłam przygotowywać kolację dla swojej niewielkiej rodziny.

Po posiłku Dorothy usiadła na fotelu przed kominkiem. Czytała i popijała białe wino, a ja poszłam pomóc Lucy się położyć.

– Czy coś cię boli? – zapytałam.

– Już prawie nic. Ale czuję się bardzo zmęczona. Oczy same mi się zamykają.

– Właśnie snu najbardziej teraz potrzebujesz.

- Tylko że męczą mnie wciąż te okropne sny.
- Chcesz mi o nich opowiedzieć?
- Ktoś mnie w nich śledzi, ściga, najczęściej samochodem. I wciąż słyszę te okropne hałasy, które mnie budzą.
- Jakie hałasy?
- Szczęk metalu. Otwierające się z hukiem poduszki powietrzne. Syreny. Czasami wydaje mi się, że śpię, ale wcale nie śpię i te wszystkie obrazy przesuwają się przed moimi oczami. Widzę czerwone, pulsujące światła i ludzi w żółtych płaszczach przeciwdeszczowych. Przewracam się z boku na bok, spocona ze strachu.
- To normalne, nadal jesteś w szoku pourazowym, to może jeszcze jakiś czas potrwać.
- Ciociu Kay, czy oni mnie aresztują?
- Patrząc na jej przerażone oczy, ledwo widoczne wśród siniaków i opuchlizny, czułam, że serce mi się kraje.
- Myślę, że wszystko będzie dobrze, ale chciałabym ci zaproponować coś, co być może nie bardzo ci się spodoba.
- Powiedziałam jej o prywatnej klinice w Newport na Rhode Island, gdzie leczy się ludzi uzależnionych od alkoholu. Gdy skończyłam, rozplakała się.
- Lucy, jeżeli zostaniesz oskarżona o jazdę po pijanemu, skierowanie na odwyk i tak będzie częścią wyroku. Nie uważasz, że lepiej byłoby dobrowolnie się na to zdecydować i mieć tę sprawę za sobą?
- Nie mogę po prostu uwierzyć, że przydarzyło mi się coś tak okropnego
- powiedziała, wycierając wierzchem dłoni oczy. – Wszystkie moje marzenia rozsypały się jak domek z kart.
- Nie rozpaczaj. Najważniejsze, że żyjesz. I że nikt poza tobą nie został ranny. Inne sprawy na pewno wkrótce się wyjaśnią, pomogę ci. Ale musisz mi zaufać i być posłuszna.

Lucy patrzyła na swoje dłonie, leżące płasko na kołdrze, i płakała.

– A poza tym powinnaś być ze mną szczerą.

Wyraźnie unikała mojego wzroku.

– Lucy, nie jadłaś w Outback, a przynajmniej nic mi nie wiadomo, aby podawali tam spaghetti. Wewnątrz samochodu było pełno makaronu, który, jak się domyślam, kupiłaś na wynos. Gdzie byłaś tamtej nocy?

– U Antonia – powiedziała. – W Stafford?

Pokiwała głową.

– Dlaczego przedtem kłamałaś?

– Bo nie miałam ochoty o tym rozmawiać. Nikogo nie powinno obchodzić, gdzie wtedy byłam.

– Kto był z tobą?

– To nie ma nic do rzeczy – powiedziała, kręcąc głową.

– Carrie Grethen, prawda? A kilka tygodni temu namówiła cię do wzięcia udziału w niewielkim projekcie badawczym, z którego powodu masz teraz poważne kłopoty. Jeśli intuicja mnie nie zawodzi, kiedy przysłałam cię odwiedzić w Ośrodku, Carrie właśnie roztopiała gumę.

Moja siostrzenica patrzyła w okno.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć prawdy?

Łzy ciekły jej po policzkach. Rozmowa o Carrie była nie możliwa, więc na razie zrezygnowałam.

– Lucy, uważam, że ktoś usiłował cię zepchnąć z drogi.

Spojrzała na mnie okrągłymi ze zdziwienia oczami.

– Obejrzałam samochód i miejsce, gdzie się rozbiłaś. Znalazłam tam mnóstwo śladów, które mnie zaniepokoiły. Czy pamiętasz, jak wykręcałaś numer dziewięć-jeden-jeden?

– Nie. A wykręcałam? – zapytała zdumiona.

– Zrobił to ten, kto ostatni korzystał z telefonu w samochodzie, myślałam więc, że to byłaś ty. Detektyw z policji stanowej ma przejrzeć taśmę i wtedy dowiemy się, kiedy telefonowałaś i co powiedziałaś.

– Mój Boże.

– Poza tym podejrzewam, że ktoś jechał za tobą z włączonymi długimi światłami. Wskazuje na to ustawienie lusterka wstecznego i zaciągnięta szyba przeciwsłoneczna w mercedesie. Jedyne powód, dla którego mogłaś to zrobić, poruszając się nocą po autostradzie, był jadący z tyłu samochód, który oślepił cię światłami. – Przerwałam, obserwując jej twarz, na której malowało się zdziwienie. – Nic takiego nie pamiętasz?

– Nie.

– A czy pamiętasz jakiś samochód w zielonym kolorze? Może jasnozielony?

– Nie.

– Znasz kogoś, kto ma taki samochód?

– Muszę pomyśleć.

– Może Carrie?

– Nie, ona jeździ BMW, czerwonym kabrioletem.

– A ten człowiek, z którym pracuje? Czy kiedykolwiek mówiła ci o facecie, który nazywa się Jerry?

– Nie.

– W tylnej części mercedesa znalazłam odpryski zielonego lakieru, poza tym jedno tylne światło jest stłuczone. Moim zdaniem, gdy wyjechałaś z Green Top, ktoś cię śledził i uderzył w tył twojego auta. Kilkaset stóp dalej gwałtownie przyśpieszyłaś, straciłaś kontrolę nad wozem i zjechałaś z drogi. Pewnie wtedy wykręciłaś numer dziewięć-jeden-jeden. Byłaś przerażona, prawdopodobnie zdawałaś sobie sprawę, że ten, kto cię stuknął, wciąż za tobą jedzie.

Lucy podciągnęła kołdrę pod szyję. Zbladła jeszcze bardziej.

– Ktoś próbował mnie zabić.

– I prawie mu się to udało, Lucy. Dlatego właśnie zadawałam ci te osobiste pytania. Ktoś musi cię o to zapytać. Dlaczego nie chcesz mi odpowiedzieć?

– Wiesz wystarczająco dużo.

– Czy widzisz jakiś związek pomiędzy tym, co się stało w Ośrodku, a twoim wypadkiem?

– Oczywiście – oświadczyła z przekonaniem. – Zostałam wrobiona, ciociu Kay. Nigdy nie byłam tam o trzeciej w nocy. Nigdy nie ukradłam stamtąd żadnych informacji.

– Musimy to udowodnić.

– Nie mam pewności, czy mi wierzysz. – Spojrzała na mnie twardo.

Wierzyłam, ale jeszcze nie mogłam jej tego powiedzieć. Nie wspomniałam też o spotkaniu z Carrie Grethen. Musiałam traktować swoją siostrzenicę z dyscypliną właściwą prawnikowi, gdyż zdawałam sobie sprawę, że nie wolno mi jej było niczego sugerować.

– Nie będę ci mogła pomóc, jeżeli nie będziesz ze mną szczerą – ostrzegłam ją. – Robię, co mogę, aby zrozumieć całą sytuację i być twoim sprzymierzeńcem. Ale szczerze mówiąc, naprawdę nie wiem, co o tym myśleć.

– Nie wierzę, żebyś mogła... A zresztą chraniać to. Myśl sobie, co chcesz. – Jej oczy znowu napełniły się łzami.

– Proszę, nie gniewaj się na mnie. Musimy sobie poradzić z bardzo poważnym problemem. Od tego, jak się wszystko zakończy, zależy być może twoja przyszłość. Najważniejsze są teraz dwie sprawy. Po pierwsze, twoje bezpieczeństwo. Może po tym, co przed chwilą powiedziałam, sama uznasz, że wyjazd do kliniki nie jest takim złym pomysłem. Nikt nie dowie

się, gdzie jesteś. Będiesz tam absolutnie bezpieczna. Po drugie, musimy cię wyplątać z tej paskudnej historii w Ośrodku, żebyś mogła spokojnie myśleć o swoim wymarzonym zawodzie.

– Wiem, że nigdy już nie zostanę agentką FBI. Za późno na to.

– Nie będzie za późno, jeżeli zdołasz oczyścić się z zarzutów, jakie ciążą na tobie w Quantico, i stworzysz sędziemu możliwość, aby nie oskarżył cię o jazdę po pijanemu.

– W jaki sposób przekonam ich, że jestem niewinna?

– Prosiłaś mnie kiedyś o znalezienie kogoś, kto mógłby ci pomóc. Może już to robi.

– Kto to taki?

– Na razie mogę ci tylko powiedzieć, że twoja sytuacja nie jest taka zła, pod warunkiem jednak, że posłuchasz mnie i zrobisz to, o co cię proszę.

– Będę się tam czuła jak w areszcie.

– Ta kuracja będzie dla ciebie korzystna pod wieloma względami.

– Wołałabym zostać tu, razem z tobą, ciociu. Nie chcę być do końca życia napiętnowana jako alkoholiczka. Poza tym wcale nie uważam, że nią jestem.

– Może nie jesteś. Ale z pewnością dobrze będzie popracować nad twoim uzależnieniem od alkoholu.

– Kto wie, może rzeczywiście powinnam stąd wyjechać. Najwyraźniej nikt mnie tu nie chce. To chyba nie jest zły pomysł – powiedziała z goryczą.

Rozmawiałyśmy jeszcze przez, chwilę, a potem wyszłam, żeby zatelefonować w kilka miejsc. Zadzwoiłam do informacji lotniczej, do szpitala i miejscowego psychiatry, który był moim starym przyjacielem. Okazało się, że Lucy może zostać przyjęta do renomowanej kliniki w Edgehill już nazajutrz po południu. Miałam ochotę ją tam zawieźć, ale Dorothy nie chciała nawet o tym słyszeć. Twierdziła, że to moment, w

którym matka powinna być blisko swojej córki. Zrozumiałam, że, moje towarzystwo nie byłoby ani niezbędne, ani mile widziane. Czułam się naprawdę paskudnie, gdy około północy zadzwonił telefon.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem – usłyszałam głos Wesleya.

– Cieszę się, że to ty.

– Miałaś rację z tym odciskiem kciuka. Jest odwrócony. Lucy nie mogłaby go zostawić, chyba że sama zrobiła odcisk.

– Oczywiście że go nie zrobiła. Mój Boże, Benton – mówiłam szybko, podniecona – miałam nadzieję, że to się wkrótce wyjaśni.

– To jeszcze nie koniec.

– A co z Gaultem?

– Ani śladu. A ten dupek w sklepie zaprzecza, że Gault tam był. – Przerwał na chwilę. – Jesteś pewna, że go widziałaś?

– Mogę to przysiąc w sądzie.

Temple'a Gaulta rozpoznałabym wszędzie. Czasami we śnie czułam na sobie jego oczy, widziałam je, tak niebieskie i przejrzyste jak szkło, wpatrujące się we mnie przez na wpół otwarte drzwi, które wiodły do jakiegoś ciemnego pokoju, z którego dochodził silny odór zgnilizny. Widziałam Helen, strażniczkę więzienną, w uniformie i z odciętą głową. Gault zostawił Helen siedzącą na krześle. Czasami widywałam też tego biednego farmera. Popęłnił błąd, otwierając paczkę znaną na swoim polu.

– Tak mi przykro – rzekł Wesley. – Nie masz pojęcia, jak mi przykro.

Oznajmiłam, że zamierzam wysłać Lucy na kurację do Newport. Powiedziałam mu o wszystkim, o czym ostatnio myślałam, a czego jeszcze nie wiedział. Gdy skończyłam i przyszła kolej na niego, zgasiał lampkę stojącą przy łóżku i słuchałam jego głosu w ciemnościach.

– Nie mam, niestety, dobrych wiadomości. Tak jak powiedziałem, Gault znowu zniknął. Mam wrażenie, że manipuluje naszymi umysłami. Nie wiemy, co on knuje. Pracujemy nad tą sprawą w Północnej Karolinie i nad kolejnym przypadkiem w Anglii, a tymczasem on pojawia się w Springfield i istnieją podejrzenia, że jest zamieszany w aferę szpiegowską.

– To nie są podejrzenia, Benton. Gault dostał się do mózgu FBI. Czy zamierzasz coś zrobić w tej sprawie?

– Ośrodek zmienia już wszystkie kody, hasła i tego typu rzeczy. Mamy nadzieję, że nie przeniknął zbyt głęboko.

– Ja też.

– Kay, policja w Black Mountain otrzymała zgodę na przeszukanie domu i ciężarówki Creeda Lindseya.

– Znaleźli go?

– Jeszcze nie.

– Co Marino o tym myśli?

– Skąd, do diabła, mam to wiedzieć?

– Nie widziałeś się z nim?

– Nie. Wydaje mi się, że spędza wiele czasu z Denesą Steiner.

– Myślałam, że wyjechała z miasta.

– Już wróciła.

– Benton, czy to między nimi to coś poważnego?

– Pete ma na jej punkcie obsesję. Nigdy przedtem go takim nie widziałem. Nie sądzę, aby udało nam się wyciągnąć go stamtąd.

– A co ty będziesz robił?

– Przez jakiś czas będę się kręcił tam i z powrotem. – W jego głosie zabrzmiała nagle troska. – Kay, mogę ci tylko służyć radą. Ale policjanci w Black Mountain i tak będą słuchali Pete’a on nie słucha nikogo.

– Co pani Steiner miała do powiedzenia na temat Lindseya?

– Potwierdziła, że mógł być w jej domu tamtej nocy. Ale oczywiście, nie była tego pewna, nie widziała wtedy zbyt wiele.

– Jego akcent jest bardzo charakterystyczny.

– My też zwróciliśmy jej na to uwagę. Powiedziała, że nie pamięta nic więcej poza tym, że głos napastnika brzmiał jak głos białego mężczyzny.

– Ale przecież od niego strasznie cuchnie.

– Nie wiemy, czy tamtej nocy też tak śmierdział.

– Nie sądzę, aby w ogóle się mył.

– Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że brak pewności działa na jego niekorzyść. Poza tym policja otrzymuje mnóstwo telefonów w związku z tą sprawą. Widziano go podobno tu i tam, zachowywał się podejrzanie. Na przykład obserwował dzieci, mijane po drodze samochodem. Widziano także ciężarówkę podobną do jego wozu w okolicach jeziora Tomahawk, wkrótce po tym, jak zaginęła Emily. Wiesz dobrze, co się dzieje, gdy ludzie już się na coś zdecydują.

– A ty na jaką wersję się zdecydowałeś? – Otaczająca mnie ciemność była niczym miękka, wygodna kołdra, pod którą doskonale wyczuwałam każdy niuans głosu Bentona.

– Ten facet, Creed, nie pasuje mi na sprawcę, poza tym wciąż niepokoi mnie osoba Ferguson. A przy okazji, otrzymaliśmy wyniki badań DNA fragmentów skóry. Należała do Emily.

– Nie jestem zaskoczona.

– Coś mi tu nie pasuje, jeśli chodzi o Ferguson.

– Czy dowiedziałaś się o nim czegoś więcej?

– Jestem w trakcie zbierania informacji.

– A co z Gaultem?

– Uważam, że w dalszym ciągu musimy go brać pod uwagę. Jako mordercę Emily. – Milczał przez chwilę. – Chciałbym cię zobaczyć, Kay.

Powieki ciążyły mi coraz bardziej, a głos robił się senny. Położyłam głowę na poduszce.

- Muszę wpaść do Knoxville, a to całkiem niedaleko od ciebie.
- Chcesz zobaczyć się z Katzem?
- On i doktor Shade przeprowadzają dla mnie pewien eksperyment.

Myślę, że już kończą pracę.

- Farma to jedyne miejsce, którego nie życzylbym sobie odwiedzać.
- Rozumiem. Chcesz mi powiedzieć, że się tam nie spotkamy.
- Ale nie z tego powodu.
- Wybierasz się na weekend do domu – zgadłam.
- Wyjeżdżam rano.
- Wszystko w porządku? – Dziwnie się czułam, pytając o jego rodzinę.
- Na szczęście dzieci są już za duże na Halloween, więc przynajmniej nie będę musiał się martwić o kostiumy i przyjęcie.
- Nikt nie jest nigdy za duży na Halloween.
- Tak, ale te zabawy w przebierance stawiały na głowie cały dom. A potem jeszcze musiałem jeździć z dziećmiakami po okolicy.
- Jak cię znam, to miałeś ze sobą broń oraz prześwietlałeś każdy cukierek.
- Cudownie się z tobą rozmawia, Kay – powiedział.

W sobotę wczesnym rankiem przygotowałam się do wyjazdu do Knoxville, a potem pomogłam spakować trochę rzeczy Lucy, które mogły jej się przydać tam, dokąd się wybierała. Z trudem udało mi się przekonać siostrę, że nie będą jej córce potrzebne kosztowne ciuchy ani też takie, które wymagają prania na sucho lub prasowania. Kiedy po raz kolejny powtórzyłam, że Lucy nie powinna brać ze sobą nic wartościowego, Dorothy wpadła w szal.

– Na Boga! Wygląda na to, że idzie do więzienia!

Aby nie obudzić Lucy, pakowałyśmy jej rzeczy w sypialni, gdzie nocowała moja siostra.

Włożyłam do walizki pulower i spojrzałam na Dorothy.

– Słuchaj, moja droga. Nawet jeśli zatrzymujesz się w dobrym hotelu, nie powinnaś brać ze sobą cennej biżuterii.

– Mam mnóstwo cennej biżuterii i bardzo często mieszkam w dobrych hotelach. Ale wtedy nie muszę się obawiać narkomanów, płaczących się po korytarzach.

– Dorothy, ludzie uzależnieni są wszędzie. Nie trzeba jechać do Edgehill, aby ich spotkać.

– Ale ona oszaleje, gdy nagle się okaże, że ktoś jej rąbnął laptopa.

– Wyjaśnię jej, że nie powinna brać ze sobą komputera, i jestem pewna, że to zrozumie.

– Co za bezlitosne zasady.

– Lucy jedzie tam po to, aby pracować nad sobą, a nie nad programami komputerowymi.

Wzięłam do ręki jej adidasy i natychmiast przypomniała mi się szatnia w Quantico, gdzie spotkałam ją, od stóp do głów utyłaną w błocie i poranioną po treningu na Yellow Brick Road. Była wtedy taka szczęśliwa. Nie mogłam sobie wybaczyć, że nie zorientowałam się wcześniej w jej problemach. Gdybym mogła z nią spędzać więcej czasu, może nic złego by się nie stało.

– Moim zdaniem, to śmieszne. Gdybym ja musiała jechać do takiego miejsca, nic nie powstrzymałoby mnie od pisania. To najlepsza terapia, jaką znam. Naprawdę szkoda, że Lucy nie potrafi pisać. Gdyby ogarnęła ją jakaś twórcza pasja, z całą pewnością nie wpadłaby w podobne tarapaty. Dlaczego nie wybrałaś kliniki Betty Ford?

– Nie widzę powodu, aby wysyłać Lucy na Zachodnie Wybrzeże. Podróż tam zajęłaby zbyt dużo czasu.

– Domyślam się, że trzeba by dość długo czekać na miejsce. – Dorothy zadumała się, składając parę dzinsów. – Wyobraź sobie, można tam spędzić miesiąc w otoczeniu gwiazd filmowych. Można się nawet zakochać w jakimś gwiazdorze i zamieszkać w Malibu.

– Sądzę, że akurat teraz Lucy nie potrzebuje kontaktu z gwiazdami filmowymi – powiedziałam z przekąsem.

– Mam po prostu nadzieję, że zauważyłaś, iż Lucy nie jest jedyną osobą, która martwi się, jak to będzie przebiegało.

Przerwałam pakowanie i spojrzałam na siostrę.

– Czasami miałabym ochotę zatrzasać za tobą bramy piekieł.

Dorothy wyglądała na zaskoczoną i nawet nieco przerażoną. Nigdy jeszcze nie dałam jej odczuć, jak bardzo mierzi mnie jej zachowanie, jak

wstrętne jest życie, które prowadzi, egoistyczne i małostkowe. Powinnam była to zrobić wcześniej, może wtedy spojrzalaby na siebie innymi oczami.

– Nie wiesz, co znaczy przygotowywanie książki do druku. Za kilka dni będę w podróży promocyjnej. Co powiem, gdy któryś z dziennikarzy zapyta mnie o córkę? Jak ci się wydaje, co o tym pomyśli mój wydawca?

Rozglądałam się po pokoju, zastanawiając się, co jeszcze może być potrzebne Lucy.

– Doprawdy, mam w nosie, co pomyśli o tym twój wydawca. Szczerze mówiąc, Dorothy, mam głęboko w nosie wszystko, co on sobie myśli.

– To może zrujnować moją karierę – ciągnęła, jakby moje słowa w ogóle do niej nie dotarły. – Muszę mu o wszystkim powiedzieć, wspólnie zadecydujemy, jaką przyjąć strategię.

– Nie piśniesz swojemu wydawcy ani słowa o Lucy.

– Robisz się agresywna, Kay.

– Możliwe.

– Mam nadzieję, że to tylko zboczenie zawodowe. Nie można bezkarnie tak dzień w dzień wybebeszać ludzi – rzuciła wściekła.

Pomyślałam, że powinnam zapakować Lucy mydło, bo w klinice mogą nie mieć takiego, jakie ona lubi. Poszłam do łazienki po błotne mydła Lazlo i zapasową kostkę Diora, słysząc wciąż komentarze Dorothy. Zajrzałam do sypialni Lucy i zastałam ją siedzącą na łóżku.

– Nie wiedziałam, że już nie śpisz. – Pocałowałam ją na przywitanie. – Za kilka minut wyjeżdżam. Później przyjedzie samochód po ciebie i mamę.

– A co będzie ze szwami na głowie?

– Można je zdjąć za kilka dni. Ktoś się tym zajmie w klinice. Już z nimi o tym rozmawiałam. Są uprzedzeni o twoim stanie.

– Bolą mnie włosy – skrzywiła się, dotykając palcami czubka głowy.

– Masz nadwerężone nerwy. To wkrótce minie.

Znowu jechałam na lotnisko w strugach deszczu. Chodniki pokrywała gruba warstwa zdeptanych liści, przypominających rozmiękłe płatki. Było zimno, bo temperatura spadła do dziesięciu stopni.

Najpierw musiałam polecieć do Charlotte, gdyż Richmond było tak małe, że prawie wszędzie latało się z przesiadkami. Gdy po dobrych paru godzinach znalazłam się w Knoxville, powitała mnie podobna pogoda i wieczorny mrok.

Taksówkarz, z którym jechałam do miasta, przedstawił się jako Kowboj i opowiadał, że zanim znalazł sobie to zajęcie, zajmował się pisaniem piosenek i grą na fortepianie. Gdy dojechaliśmy do hotelu Hyatt, wiedziałam już, że raz w roku jeździ do Chicago, chcąc sprawić przyjemność żonie, i że często przywozi z Johnson City bogate panie, które wybierają się na zakupy do tutejszych sklepów. Na koniec ostrzegł mnie, abym na siebie uważała, za co otrzymał sowity napiwek. Poprosiłam Kowboja, aby poczekał przed hotelem, aż załatwię formalności, a później pojechaliśmy do restauracji Calhoun, skąd rozciągał się wspaniały widok na rzekę Tennessee i gdzie podobno podawali najlepsze w całym kraju żeberka.

W lokalu panował taki tłok, że musiałam poczekać na stolik przy barze. Szybko się zorientowałam, że trafiłam akurat na jeden z weekendów, w którym studenci z uniwersytetu stanowego w Tennessee przyjeżdżają do domów. Wokół pełno było młodych ludzi w jaskrawo-pomarańczowych swetrach i marynarkach, którzy pili, śmiali się głośno i dzielili wrażeniami z rozegranego przed kilkoma godzinami meczu. Gwar był taki, że czułam się jak w olbrzymim ulu, słuchając wykrzykiwanych ochrypłymi głosami komentarzy na temat rozgrywki.

Drużyna Volsów pobiła Gamecocksów, a na podstawie gorączkowych relacji kibiców wydawać by się mogło, że rozegrana tu bitwa należała do najbardziej zażartych w historii świata. Jacyś młodzieńcy w czapkach uniwersyteckich co chwila zwracali się do mnie, abym wspierała ich w sporze dotyczącym przebiegu meczu. Oczywiście, przytakiwałam im z pełnym przekonaniem, zdając sobie sprawę, jak niestosowne byłoby tłumaczenie, że nie mam pojęcia, o czym dyskutują. Stolik zwolnił się dopiero około dziesiątej wieczorem, byłam więc już nie tylko piekielnie głodna, ale również porządnie wkurzona.

Nie miałam ochoty ani na kuchnię włoską, ani na nic szczególnie wyrafinowanego. Po kilku dniach bez apetytu byłam naprawdę wygłodniała. Zamówiłam pieczone żeberka, frytki i sałatę oraz ostry sos pieprzowy, specjalność Tennessee. Ucztę zakończyłam plackiem Jacka Danielsa. Czułam się wspaniale. Siedziałam w zacisznym kąciku pod lampą Tiffany'ego, przyglądając się połyskującej w ciemnościach rzece. Odbijały się w niej światła mostu, drżące i zanikające, jakby woda była czułym elektronicznym urządzeniem do pomiaru natężenia muzyki, której niedane mi było słyszeć.

Starłam się nie myśleć o pracy, ale pomarańczowe stroje studentów otaczały mnie, niczym pełgające płomienie, i natrętnie przypominały o taśmie, zawiązanej wokół drobnych nadgarstków Emily i kneblującej jej usta. Po raz kolejny osaczyły mnie wspomnienia o horrorach z udziałem Gaulta i innych zwyrodnialców zamkniętych w więzieniu w Attica. Mój nastrój zmienił się diametralnie i Knoxville wydawało mi się teraz tak samo niebezpieczne, jak wszystkie inne miasta. Poprosiłam kelnera, aby zadzwonił po taksówkę Kowboja.

Po pół godzinie czekania przed restauracją na taksówkę zaczęłam się niepokoić. Wyglądało na to, że Kowboj wyruszył w jakiś dłuższy kurs.

Koło północy kelnerzy i kucharki zaczęli wychodzić do domu.

Wróciłam do sali.

– Czekam już ponad godzinę na taksówkę, którą pan dla mnie wezwał – poskarżyłam się młodemu barmanowi, ustawiającemu kieliszki.

– Dużo ludzi przyjechało dziś do miasta. Są problemy z taksówkami.

– Rozumiem, ale muszę się jakoś dostać do hotelu.

– Gdzie się pani zatrzymała?

– W hotelu Hyatt.

– Oni mają swój transport. Mam zatelefonować?

– Proszę.

Przyjechał hotelowy mikrobus, a gadatliwy młody kierowca całą drogę rozprawiał o meczu, którego nie widziałam. Słuchając go, myślałam, jak łatwo można się oszukać, pomagając komuś, kto wygląda na zagubionego w obcym mieście. W taki właśnie sposób zginął Eddie Heath. Matka wysłała go do pobliskiego sklepu po zakupy, a kilka godzin później znaleziono go nagiego, z kulą w tyle głowy. W jego przypadku także posłużono się taśmą. Nie wiem, jakiego koloru, bo nigdy jej nie widziałam.

Dziwna zabawa Gaulta z taśmą polegała na tym, że po zastrzeleniu Eddiego skrępował mu nią ręce, a następnie usunął ją przed porzuceniem ciała. Nigdy nie udało nam się zrozumieć, dlaczego to zrobił. Zresztą poczynania będące wynikiem działań chorej wyobraźni rzadko wydają się logiczne. Dlaczego pętla wisielca, a nie zwykły, bezpieczny węzeł? Dlaczego taśma w kolorze pomarańczowym? Zastanawiałam się, czy pomarańczowa taśma była narzędziem, którego mógł użyć Gault, i czułam, że tak. Niewątpliwie był szalony. Z pewnością podniecało go krępowanie więzami innych.

Zabójstwo Fergusona i podrzucenie do lodówki wycinków skóry Emily także było w jego stylu. Ale seksualne molestowanie dziewczynki nie – i to

właśnie mnie niepokoiło. Gault zabił już dwie kobiety i żadnej z nich nie zgwałcił. Zadowalało go znęcanie się nad nimi i niewolenie ich ciał. W przypadku Eddiego perwersyjną radość sprawiło mu okaleczenie chłopca. Podobnie było też w przypadku jego ostatniej ofiary w Anglii.

Gdy dotarłam wreszcie do hotelu, okazało się, że mimo późnej pory w barze i holu jest jeszcze pełno gości. Na piętrze, gdzie znajdował się mój pokój, także rozlegały się śmiechy i głośne rozmowy. Z ulgą zamknęłam za sobą drzwi i włączyłam telewizor, gdy nagle odezwał się pager. W pierwszej chwili pomyślałam, że to pewnie Dorothy albo Wesley. Wyświetlony jednak na ekranie numer wskazywał Północną Karolinę. Czyżby to Marino, zdziwiłam się, czując jednocześnie dreszcz niepokoju. Usiadłam na łóżku i zadzwoniłam pod podany numer.

– Halo? – usłyszałam miękki, kobiecy głos.

Przez chwilę byłam tak zaskoczona, że w ogóle się nie odezwałam.

– Halo?

– Dzwonię pod numer, który podano mi pagerem – wyjaśniłam.

– Czy to doktor Scarpetta?

– Kto mówi? – zapytałam, chociaż poznałam już ten głos.

– Denesa Steiner – usłyszałam. – Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze. Ale bardzo się cieszę, że panią zastałam.

– Skąd ma pani numer mojego pagera? – Nie figurował na mojej wizytówce, gdyż nie chciałam, aby zbyt często zwracano mi głowę w błahych sprawach. Znało go bardzo niewiele osób.

– Dostałam od Pete’a. Od kapitana Marino. Ostatnie dni były dla mnie bardzo trudne i pomyślałam, że dobrze mi zrobi rozmowa z panią. Przepraszam, jeśli przeszkodziłam.

Byłam zdumiona, że Marino pozwolił sobie na coś takiego – oto kolejny dowód na to, jak bardzo zmienił się w ostatnich tygodniach. Zastanawiałam

się, czy są teraz razem i jaka to sprawa skłoniła ją, aby skontaktować się ze mną o tak późnej porze.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytałam, nie chcąc być nieuprzejma dla kobiety, która tyle przeżyła.

– Dowiedziałam się, że miała pani wypadek.

– Słucham?

– Tak się cieszę, że nic się pani nie stało.

– To nie ja miałam wypadek – sprostowałam, zdziwiona i zaniepokojona. – Ktoś inny jechał wtedy moim samochodem.

– To wspaniała wiadomość. Pan Bóg ma panią w swojej opiece. Ale przysłała mi do głowy pewna myśl i chciałabym się nią z panią podzielić...

– Skąd pani wie o tym wypadku? – przerwałam jej.

– Z tutejszej gazety, a poza tym sporo mówiło się o tym w okolicy. Ludzie tu pamiętają, że pomagała pani Pete'owi. Pani i ten człowiek z FBI, pan Wesley.

– Co konkretnie pisała prasa?

– No więc... – Pani Steiner wahała się przez moment, jakby zakłopotana.

– Przedstawiono to tak, jakoby zniosło panią z drogi. Wspominano też, że postawiono pani zarzut jazdy pod wpływem alkoholu.

– Czy to gazeta wychodząca w Asheville?

– Pisano też o tym w „Black Mountain News”, a poza tym ktoś słyszał taką informację w radiu. Ale bardzo się cieszę, że nic się pani nie stało. Wypadki samochodowe powodują straszliwe stresy. Wiedzą o tym ci, co przeżyli to na własnej skórze. Ja sama miałam bardzo paskudny wypadek, gdy mieszkaliśmy w Kalifornii, i do tej pory śni mi się to jeszcze po nocach.

– Bardzo pani współczuję – powiedziałam, nie wiedząc, do czego zmierza. Ta rozmowa wydawała mi się bardzo dziwna.

– To zdarzyło się w nocy, tamten kierowca zmieniał pas i prawdopodobnie byłam w martwym polu jego widzenia. Uderzył mnie z tyłu i straciłam panowanie nad wozem. Przejechałam w poprzek sąsiedniego pasa i zderzyłam się z nadjeżdżającym volkswagenem. Jadąca nim starsza kobieta zginęła na miejscu. Do dzisiaj nie mogę się z tym pogodzić. Takie wspomnienia mogą człowieka dręczyć do końca życia.

– Tak – potwierdziłam. – To prawda.

– Ostatnio dużo myślałam o tym, co spotkało Sock. Właśnie dlatego chciałam się z panią skontaktować.

– Sock?

– Nie pamięta pani? To ta mała kotka, którą ktoś zabił.

Milczałam.

– Jestem pewna, że to jego robota. Jak już pani mówiłam, dręczył mnie telefonami.

– Czy wciąż jeszcze je pani otrzymuje?

– Od czasu do czasu. Pete radził mi, abym zmieniła numer telefonu.

– Może powinna to pani zrobić.

– Chciałam tylko powiedzieć, że po tym wszystkim, co spotkało mnie, detektywa Fergusona i Sock, teraz pani miała wypadek. Boję się, że to może mieć ze sobą coś wspólnego. Ciągle powtarzam Pete’owi, aby był ostrożny, zwłaszcza po jego wczorajszym upadku. Umyłam podłogę w kuchni i on nagle się poślizgnął. To wygląda niczym przekleństwo rodem ze Starego Testamentu.

– Co mu jest?

– Ma tylko kilka siniaków. Ale mogło się skończyć gorzej, przecież on nosi w kieszeni ten wielki rewolwer. Pete to wspaniały człowiek. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła, bardzo mi pomógł w tych koszmarnych dniach.

– Gdzie on jest?

– Mam nadzieję, że śpi – powiedziała, a ja pomyślałam, że Denesa Steiner świetnie potrafi dawać wymijające odpowiedzi. – Oczywiście, poproszę go, żeby zadzwonił, jeśli powie mi pani, gdzie się pani zatrzymała.

– Pete zna numer mojego pagera – przypomniałam jej. Natychmiast zrozumiała, że jej nie ufam.

– Oczywiście. Skontaktuje się z panią.

Rozmowa ta całkowicie mnie rozbudziła. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca i aby się uspokoić, przesałam wiadomość na pager Pete’a Marino. Po minucie w pokoju zadzwonił telefon, ale zanim zdążyłam podnieść słuchawkę, połączenie zostało przerwane. Zatelefonowałam do recepcji.

– Czy ktoś do mnie dzwonił?

– Tak, proszę pani. Ta osoba chyba się rozłączyła.

– Czy przedstawiła się?

– Nie.

– Czy to była kobieta, czy mężczyzna?

– Kobieta.

– Dziękuję.

Natychmiast zrozumiałam, co się stało, i poczułam lęk. Wyobraziłam sobie Pete’a, śpiącego w jej łóżku i leżący na stoliku pager. Widziałam jej rękę, jak po niego sięga. Odczytała wyświetlony na ekranie numer i poszła do drugiego pokoju, aby zadzwonić.

Dowiedziała się, że to numer hotelu Hyatt w Knoxville. Zapytała recepcjonistę, czy jestem w pokoju, i poprosiła o połączenie. Następnie odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam podejść do aparatu. Nie miała zamiaru ze mną rozmawiać. Chciała się tylko dowiedzieć, gdzie jestem, i już znała odpowiedź. Do cholery! Knoxville było dwie godziny drogi samochodem od Black Mountain. Oczywiście, nie przyjedzie tu teraz,

uspokajałam się. Czułam się jednak bardzo nieprzyjemnie. Wzbraniałam się przez puszczeniem swobodnie swoich myśli, w obawie, że dotrą do najczarniejszych podejrzeń, czających się gdzieś na dnie mojej świadomości.

Gdy tylko się rozwidniło, zadzwoniłam do detektywa McKee z policji stanowej w Wirginii. Po głosie poznałam, że wyrwałam go z głębokiego snu.

– Mówi doktor Scarpetta. Przepraszam, że niepokoję pana o tak wczesnej porze... – zaczęłam.

– Nie szkodzi. Proszę chwilę poczekać. – Słyszałam, że chrząka i głośno przełyka ślinę. – Dzień dobry. Dobrze, że pani dzwoni. Mam już kilka informacji.

– Wspaniale – ucieszyłam się. – Liczyłam na to, że dowiem się od pana czegoś nowego.

– A więc tak. Tylne światło, którego kawałki dała mi pani do analizy, wykonane zostało z akrylanu metylu, jak obecnie większość tego typu światel. Poza tym udało nam się dopasować fragmenty do reszty lampy, którą wymontowała pani z mercedesa. Na jednym z kawałków znaleźliśmy także znak fabryczny, wiadomo więc bez najmniejszej wątpliwości, że pochodzą z pani wozu.

– Świetnie – powiedziałam. – Tego się właśnie spodziewałam. A co ze szkłem reflektora?

– Tu sytuacja była bardziej skomplikowana, ale udało nam się. Nasi fachowcy wykonali analizę szkła i na podstawie współczynnika załamania światła, spistości, wzoru i znaku fabrycznego wiemy na pewno, że pochodził z infiniti J30. Pozwoliło nam to również dokładnie określić symbol bladezielonego lakieru, którego odpryski od pani otrzymaliśmy.

Nosi on nazwę Bamboo Mist. A więc, pani samochód został uderzony przez infiniti J30 z 1993 roku w kolorze zielonym.

Milczałam zaszokowana.

– Mój Boże – wyszeptałam wreszcie, czując zimny dreszcz na ciele.

– Czy coś to pani mówi? – zapytał zdziwiony.

– Tak, ale wydaje mi się wręcz niemożliwe. – Cały czas podejrzewałam Carrie Grethen, groziłam jej nawet. Byłam absolutnie pewna, że to ona.

– Zna pani kogoś, kto posiada taki samochód? – zapytał McKee.

– To matka jedenastoletniej dziewczynki, zamordowanej w Północnej Karolinie – odpowiedziałam. – Zajmuję się tą sprawą i rozmawiałam z tą kobietą kilka razy.

McKee nie odpowiadał. Zdawałam sobie sprawę, że moje słowa brzmią absurdalnie.

– Gdy zdarzył się ten wypadek, nie było jej w Black Mountain – kontynuowałam. – Podobno pojechała na północ odwiedzić chorą siostrę.

– Jej wóz powinien być uszkodzony – powiedział w końcu. – Ale jeśli to ona, z pewnością postara się naprawić karoserię. O ile już tego nie zrobiła.

– Ale nawet w takim wypadku lakier znaleziony przeze mnie będzie pasował do miejsca, z którego odprysnął – powiedziałam.

– Miejmy taką nadzieję.

– Nie jest pan tego pewien?

– Jeżeli lakier na jej samochodzie jest oryginalny i nie był odświeżany od chwili kupna wozu, możemy mieć problem. Technologia kładzenia koloru bardzo się zmieniła. W większości fabryk używa się dzisiaj emalii poliuretanowych. Jest to tańsze, a wygląda o wiele lepiej niż dawne lakiery. Nie trzeba pokrywać auta wieloma warstwami i przez to trudno jest wykorzystać przy identyfikacji wozu układ kolejnych warstw koloru.

– A więc jeżeli jednego dnia zeszło z taśmy dziesięć tysięcy egzemplarzy infiniti w kolorze Bamboo Mist, jesteśmy załatwieni.

– W dużym stopniu tak. Obrońca oświadczy pani, że nie można udowodnić, iż lakier pochodzi z jej auta. Poza tym wypadek zdarzył się na autostradzie międzystanowej, używanej przez kierowców z całego kraju. W takiej sytuacji nie ma nawet sensu ustalanie, ile samochodów tej marki, pomalowanych na ten właśnie kolor, zostało sprzedanych do tej części kraju. A ona nie mieszka przecież w okolicy, gdzie wydarzył się wypadek.

– Czy wiemy już, co było na taśmie pod numerem dziewięć-jeden-jeden? – zapytałam.

– Przesłuchałem ją. Telefonowano o godzinie dwudziestej czterdzieści siedem. Pani siostrzenica powiedziała: „Jestem w niebezpieczeństwie”. Potem na taśmie słychać było tylko huk i brzęk metalu, połączenie zostało przerwane. Po głosie można poznać, że była w panice.

Wszystko to wydało mi się tak przerażające, że zdecydowałam się zatelefonować do Wesleya do domu.

– Zaraz go poproszę – powiedziała jego żona, która podniosła słuchawkę. Jak zwykle, była bardzo miła.

Gdy czekałam, aż Wesley podejdzie do telefonu, zaczęły mnie nachodzić dręczące myśli. Zastanawiałam się, czy mają osobne sypialnie, czy też ona leżała jeszcze w łóżku, a Benton korzystał właśnie z łazienki. Nie mogłam się powstrzymać od snucia tego typu domysłów. Lubiłam żonę Bentona, ale jednocześnie pragnęłam, aby nie była jego żoną. Nie chciałam, aby jakakolwiek kobieta była jego żoną. Gdy wreszcie usłyszałam w słuchawce jego głos, z trudem udało mi się opanować i zaczęłam szybko relacjonować całą sytuację.

– Kay, poczekaj chwilę – przerwał mi, usiłując się dobudzić.

– Nie spałaś całą noc?

– Mniej więcej. Musisz tu przyjechać. Nie możemy polegać na Marino. Jeśli spróbujemy się z nim skontaktować, ona natychmiast się o tym dowie.

– Nie masz jednak pewności, że to właśnie ona łączyła się z tobą pagerem?

– A któż inny mógłby to być? Nikt nie wiedział, że tu jestem, a dosłownie minutę wcześniej zostawiłam swój numer na pagerze Marino. Minutę przed jej telefonem.

– Może to dzwonił Marino?

– Recepcjonista wyraźnie powiedział, że to była kobieta.

– Cholera – westchnął Wesley. – Dzisiaj są urodziny mego dziecka.

– Przykro mi. – Byłam bliska płaczu. – Trzeba jednak ustalić, czy samochód Denesy Steiner jest uszkodzony. Ktoś musi go obejrzeć. Muszę się dowiedzieć, dlaczego jechała za Lucy.

– Czemu miałyby ją śledzić? Skąd mogła wiedzieć, dokąd ona pojechała i jakim samochodem?

Przypomniało mi się, że Lucy radziła się Pete’u Marino w sprawie broni. Steiner mogła podsłuchać ich rozmowę. Podzieliłam się z tymi podejrzeniami z Wesleyem.

– Czy Lucy zaplanowała kupno broni w drodze powrotnej z Quantico, czy podjęła taką decyzję spontanicznie? – zapytał.

– Nie wiem, ale mogę to ustalić. – Czułam, że cała trzęsę się z wściekłości. – To kurwa. Lucy mogła przez nią zginąć.

– Mój Boże, ty mogłaś zginąć.

– To cholerna kurwa.

– Kay, opanuj się i słuchaj. – Jego głos brzmiał uspokajająco.

– Pojadę do Północnej Karoliny i sprawdzę, co się tam, do diabła, dzieje. Dowiem się wszystkiego, obiecuję ci. Ale musisz jak najszybciej wyprowadzić się z tego hotelu. Jak długo będziesz jeszcze w Knoxville?

– Wyjadę, gdy tylko spotkam się na Farmie z Katzem i doktorem Shade'em. Katz przyjedzie po mnie o ósmej rano. Mam nadzieję, że już nie pada. Wiesz, nie wyglądałam jeszcze przez okno.

– U mnie jest piękna pogoda – powiedział, jakby miało to oznaczać, że w Knoxville jest podobnie. – Jeżeli zdecydujesz się nie wyjeżdżać, musisz koniecznie zmienić hotel.

– Zrobię tak.

– A potem wracaj do Richmond.

– Nie – zaprotestowałam. – W Richmond nie mam nic do roboty. Lucy już wyjechała. Przynajmniej wiem, że jest bezpieczna. Jeżeli będziesz rozmawiał z Pete'em, nie mów mu nic o mnie. I nie wspominaj ani słowa o tym, gdzie jestem. To pewne, że wszystko powtarza Denesie. Benton, on zupełnie stracił głowę. Ma do niej absolutne zaufanie.

– Uważam, że twój przyjazd do Black Mountain nie byłby rozsądnym krokiem.

– Muszę tam pojechać.

– Po co?

– Muszę dotrzeć do karty zdrowia Emily Steiner. Chcę ją dokładnie przejrzeć. A ciebie chciałabym prosić, abyś zdobył informację, gdzie wcześniej mieszkała Denesa Steiner. Muszę wiedzieć wszystko o jej pozostałych dzieciach, ewentualnie mężach i rodzeństwie. Być może w tej rodzinie były jeszcze inne przypadki niewyjaśnionych śmierci. Może będziemy zmuszeni przeprowadzić kolejne ekshumacje.

– O czym myślisz?

– Przede wszystkim założę się, że nie ma żadnej chorej siostry w Maryland. Wyjechała z miasta, aby spowodować wypadek, w którym miała zginąć moja siostrzenica.

Wesley milczał. Czułam, że mi nie wierzy, i bardzo mnie to irytowało. Sama bałam się wypowiedzieć na głos podejrzenie, które zrodziło się w mojej głowie, ale nie mogłam się opanować.

– Jak dotychczas, nie znaleziono w Kalifornii potwierdzenia, że jej młodsza córka zmarła na zespól nagłej śmierci noworodka. Moim zdaniem, Steiner nigdy nie miała młodszego dziecka, i to by pasowało do mojej hipotezy.

– Jakiej hipotezy?

– Benton – powiedziałam z naciskiem – nie wiemy, czy Denesa Steiner sama nie zabiła swojej córki.

– Masz rację – usłyszałam po chwili jego stłumiony głos. – Tego nie wiemy. Wielu rzeczy jeszcze nie wiemy.

– Detektyw Mote wspominał, że Emily była chorowitym dzieckiem.

– Do czego zmierzasz?

– Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale myślę o zespole Münchhausena.

– Kay, nikt ci nie uwierzy. Nie wiem, czy ja sam chcę w to wierzyć.

Miałam na myśli niezwykle rzadki przypadek choroby psychicznej. Cierpiące na nią osoby, zwykle posiadające pierwotne odruchy opiekuńcze, najczęściej matki, w całkowitej tajemnicy i w sposób bardzo inteligentny znęcają się nad własnymi dziećmi, aby zwrócić na siebie uwagę. Okaleczają je lub łamią im kości, podtruwiają i duszą niemal na śmierć. Później natychmiast wzywają lekarza, pogotowie i opowiadają ze łzami w oczach, jak strasznie ich dziecko cierpi, zyskując w ten sposób współczucie otoczenia i skupiając na sobie uwagę. Osiągają prawdziwe mistrzostwo w manipulowaniu lekarzami, ale czasami zdarza się, że dziecko umiera.

– Przypomnij sobie, ile współczucia okazują ludzie pani Steiner w związku ze śmiercią Emily – powiedziałam.

– Nie zaprzeczam. Ale jak wytłumaczysz zespołem Münchhausena śmierć Fergusona i wypadek Lucy?

– Kobieta, która była zdolna zrobić to, co się stało z Emily, nie cofnie się przed żadną zbrodnią. A poza tym, może pani Steiner nie ma już nikogo więcej w rodzinie, kogo mogłaby zabić. Zdziwiłabym się, gdyby jej mąż naprawdę zmarł na atak serca. Prawdopodobnie jego też zamordowała w jakiś bardzo wymyślny sposób. Takie kobiety są patologicznymi oszustkami. Niezdolnymi do odczuwania wyrzutów sumienia.

– To, o czym mówisz, to coś więcej niż choroba. Kwalifikuje się raczej jako seryjne morderstwo.

– Przypadki są czasami bardziej skomplikowane niż opisy chorób w piśmiennictwie lekarskim, ponieważ ludzie są bardziej skomplikowani, Benton. Przecież wiesz o tym dobrze. A kobiety, które są seryjnymi morderczyniami, często zabijają swoich mężów, krewnych, ludzi, którzy są im bliscy. Ich metody zwykle różnią się od tych, jakie stosują seryjni zabójcy mężczyźni. Kobiety psychopatki nie gwałcą swoich ofiar ani ich nie duszą. Lubią używać trucizny. Lubią znęcać się nad ofiarami, które nie potrafią się bronić, bo są za młode, za stare lub z innych przyczyn niezdolne do stawiania oporu. Ich fantazje są inne, ponieważ kobiety różnią się od mężczyzn.

– Nikt z otoczenia Denesy Steiner nie uwierzy w twoją hipotezę – powiedział Wesley. – Jeżeli masz rację, będzie ci cholernie trudno to udowodnić.

– Takie przypadki zwykle są cholernie trudne do udowodnienia.

– Oczekujesz, że wspomnę o tych podejrzeniach Pete’owi Marino?

– Mam nadzieję, że tego nie zrobisz. Nie chcę, aby Steiner domyśliła się czegokolwiek. Muszę tej kobiecie zadać kilka pytań. Potrzebuję jej pomocy.

– Zgadzam się – powiedział Wesley, a potem dodał jeszcze coś, czego na pewno nie było mu łatwo z siebie wydusić: – Zgadzam się również z tym, że Marino nie może dłużej pracować nad tą sprawą. Choćby dlatego, że wiązą go intymne kontakty z podejrzaną. Być może sypia z morderczynią.

– Jak poprzedni detektyw – przypomniałam mu.

Wesley milczał. Oboje martwiliśmy się o bezpieczeństwo Pete'a. Max Ferguson został zamordowany, a na części garderoby, którą miał na sobie, znaleziono odcisk palca Denesy Steiner. Zapewne nie było jej trudno zaproponować mu wyrefinowaną grę erotyczną, a następnie jednym kopnięciem wybić spod niego taboret.

– Nie podoba mi się, że brniesz w tę sprawę tak głęboko – powiedział Wesley.

– To jeden z minusów tego, że tak dobrze się znamy – odparłam. – Mnie także się to nie podoba. Ale nie chciałabym również, abyś ty musiał się tak bardzo angażować.

– To zupełnie co innego. Jesteś kobietą i lekarzem. Jeżeli twoje podejrzenia są słuszne, rozdrażnisz ją. Gotowa jest wciągnąć cię jeszcze bardziej w swoją grę.

– Już mnie wciągnęła.

– Wciągnie cię głębiej.

– Mam nadzieję. – Znów ogarnęła mnie złość.

– Chciałbym cię zobaczyć – westchnął Benton.

– Zobaczysz – zapewniłam go. – Już niedługo.

Odkąd pamiętam, Ośrodek Badawczy Medycyny Sądowej przy uniwersytecie stanowym w Tennessee znany był pod nazwą Trupiej Farmy. Nazywając go tak, nie zamierzaliśmy bynajmniej okazywać zmarłym lekceważenia. Nikt bardziej od nas, ludzi, dla których przeprowadzane tam badania i doświadczenia były nieocenioną pomocą w pracy, nie czuł dla nich większego respektu, nikt nie rozumiał lepiej ich milczących opowieści. Naszym zadaniem jednak było pomagać żyjącym.

Taki właśnie był cel powstania Trupiej Farmy, założonej ponad dwadzieścia lat temu. Naukowcy pragnęli się dowiedzieć, jak możliwie najprecyzyjniej określić moment, w którym nastąpiła śmierć człowieka. Farma zajmowała obszar paru zalesionych akrów, na których codziennie można było znaleźć kilkadziesiąt ciał w różnych stadiach rozkładu. Kolejne projekty badawcze, nad którymi pracowałam tu w ciągu ostatnich lat, pomogły mi lepiej wyrokować o czasie śmierci ofiar przestępstw kryminalnych, chociaż zdawałam sobie sprawę, że w tej dziedzinie nigdy nie można mieć całkowitej pewności.

Farma była częścią Wydziału Antropologii, kierowanego przez doktora Lyalla Shade'a. Większość pomieszczeń Wydziału znajdowała się w podziemiach stadionu piłkarskiego, co oczywiście było dość dziwną lokalizacją. O ósmej piętnaście rano zeszliśmy z Katzem na dół, mijając po drodze laboratoria zajmujące się badaniem mięczaków i naczelnych z fauny

tropikalnej, kolekcję długouszek i małą szerokonosych oraz wiele sal oznaczonych rzymskimi cyframi. Niektóre z mijanych drzwi oblepione były komiksami z serii Far Side; pod nimi zauważyłam zabawne podpisy.

Doktor Shade był w swoim gabinecie, zajęty badaniem zwęglonej kości ludzkiej.

– Dzień dobry – powitałam go.

– Dzień dobry, Kay – odpowiedział z typowym dla siebie, roztargnionym uśmiechem.

Jego nazwisko* [Shade (ang.) – duch] doskonale go charakteryzowało, nie tylko z racji oczywistego zabarwienia ironicznego. Badając ciała i kości zmarłych, rzeczywiście obcował z duchami tych ludzi, ujawniając to, co skrywała ziemia.

Doktor miał sześćdziesiąt lat. Był człowiekiem skromnym, introwertycznym i bardzo łagodnym z natury. Miał krótkie, siwe włosy i miłą, wrażliwą twarz. Wysoki, żylasty, opalony jak wieśniak, nosił przezwisko Farmer Shade. Jego matka mieszkała w domu pogodnej starości i wykonywała z resztek materiałów specjalne opaski na czaszkę. Te, które przysłał mi ostatnio, wyglądały jak pączki calico, ale świetnie spełniały swoje zadanie. Były niezastąpione przy badaniu czaszki, która z uwagi na swój kształt jest nieporęczna i niezależnie od tego, czyj mózg jest w środku, ma tendencję do toczenia się po stole.

– Nad czym pan pracuje? – zapytałam, podchodząc bliżej do leżącego na blacie biurka kawałka kości, który wyglądał jak spalone drewno.

– Zamordowana kobieta. Mąż usiłował ją spalić po zabójstwie i udało mu się to zadziwiająco dobrze. Zaiste lepiej niż w profesjonalnym krematorium. Ale okazał się głupcem. Rozpalił ognisko na podwórku przed domem.

– Tak, to rzeczywiście nie najmądrzejsze. Ale są i tacy mądrze, którzy po popełnieniu przestępstwa zostawiają na miejscu swój portfel.

– Miałem kiedyś podobną sprawę – wtrącił się Katz. – Zdjąłem odciski palców z samochodu i byłem z siebie bardzo dumny, gdy nagle okazało się, że facet zostawił na tylnym siedzeniu swoje dokumenty. Nie potrzebowałem już jego linii papilarnych.

– Jak działa twój wynalazek? – zwrócił się doktor Shade do Katza.

– Chyba nie zbiję na nim majątku.

– Udało mu się zdjąć odciski z majtek – pochwaliłam kolegę.

– To on był najlepszym odciskiem. Facet, który przebiera się w takie rzeczy. – Katz uśmiechnął się. Był trochę staroświecki.

– Twój eksperyment jest już zakończony i z niecierpliwością czekam, aby rzucić nań okiem – poinformował mnie doktor Shade, wstając z krzesła.

– Jeszcze go pan nie oglądał? – zapytałam zdziwiona.

– Nie, nie dzisiaj. Chcieliśmy, żebyś tu była, aby wspólnie obejrzeć rezultat.

– Oczywiście, zawsze pan tak postępuje – przyznałam.

– I będę, chyba że odmówisz uczestnictwa. Niektórzy nie chcą oglądać takich rzeczy.

– Ja zawsze będę chciała. A jeżeli przestanę, to znaczy, że powinnam zmienić zawód – powiedziałam.

– Pogoda bardzo nam sprzyjała – rzekł Katz.

– Była doskonała – z zadowoleniem oświadczył doktor Shade. – Dokładnie taka, jak w czasie od zniknięcia dziewczynki do znalezienia jej ciała. Mieliśmy też duże szczęście z ciałami. Potrzebowaliśmy aż dwóch, a czasami do ostatniej chwili nie można zdobyć właściwego materiału. Sama wiesz, jak to jest.

Wiedziałam bardzo dobrze.

– Czasami mamy więcej ciał, niż potrzebujemy. A potem nie dostajemy nic – narzekał doktor Shade.

– Z tymi dwoma, które dostaliśmy, wiąże się bardzo smutna historia – powiedział Katz, gdy szliśmy w stronę schodów.

– To prawda. On miał nowotwór i zadzwonił, aby się dowiedzieć, czy może ofiarować swoje ciało na cele badawcze. Powiedzieliśmy, że tak, i wypełnił odpowiednie formularze. Zaraz potem poszedł do lasu i tam się zastrzelił. Następnego dnia jego żona, która też była schorowana, wypila całą butelkę nembutalu.

– I to właśnie ci? – zapytałam i poczułam skurcz w sercu, co zdarzało mi się czasami, gdy słyszałam takie opowieści.

– To się zdarzyło zaraz po tym, jak powiedziałaś nam, co chcesz zrobić – wyjaśnił doktor Shade. – Świetna synchronizacja, gdyż nie mieliśmy wtedy ani jednego świeżego ciała. I nagle zadzwonił ten biedak. Oboje świetnie się do tego nadawali.

– Cieszę się – powiedziałam, żałując, że nie mogę podziękować tym nieszczęśliwym, chorym ludziom, którzy woleli odebrać sobie życie, niż zakończyć je w cierpieniu.

Wyszliśmy na dwór i skierowaliśmy się w stronę dużej białej ciężarówki z uniwersyteckim oznakowaniem, której Katz i doktor Shade używali do transportu darowanych lub niezidentyfikowanych ciał. Przewozili je potem tam, dokąd właśnie się udawaliśmy. Była piękna pogoda, świeciło słońce, a powietrze wydawało się tak rześkie, jak to bywa tylko w górach.

Okolica, którą jechaliśmy, była pagórkowata, w oddali rysowały się Smoky Mountains. Drzewa płonęły jesienną purpurą i widok ten przypomniiał mi baraki i ubogie domy na peryferiach Black Mountain, gdzie mieszkali Creed i Deborah. Jakie to dziwne, że na świecie piękno i

okrucieństwo tak się ze sobą przeplatają. Jeżeli nie uda mi się możliwie szybko powstrzymać biegu wypadków, Creed Lindsey może trafić do więzienia. Niepokoiłam się także o Pete'a, który mógł skończyć jak Ferguson.

Podczas jazdy trochę rozmawialiśmy, mijając budynki szkoły weterynaryjnej, pola kukurydzy i żyta, gdzie przeprowadzano uprawy doświadczalne. Moje myśli krążyły także wokół Lucy, od której nie miałam żadnych wiadomości. Niepokoiłam się, jak sobie radzi w Edgehill. Bałam się o wszystkich, których kochałam, ale jednocześnie byłam w stosunku do nich powściągliwa i chłodna. Mój największy problem stanowiło chyba to, że nie potrafiłam okazywać uczuć, a jednocześnie bałam się, że bliscy ludzie nigdy nie dowiedzą się, jak bardzo mi na nich zależy. Na trawiastych poboczach obserwowałam wrony szukające pożywienia. Słońce świeciło tak silnie, że czułam się w szoferce niczym w szklarni.

– Co myślicie o zdjęciach, które wam przysłałam? – zapytałam.

– Mam je ze sobą – odpowiedział doktor Shade. – Podłożyliśmy pod ciała różne przedmioty, aby sprawdzić, co się stanie.

– Gwoździe i żelazne kółka – dodał Katz. – Nakrętkę od butelki, monety i inne drobne metalowe rzeczy.

– Dlaczego metalowe?

– Jestem właściwie całkowicie pewien, że ten odcisk pozostawił metalowy przedmiot.

– Wiedzieliście to już przed eksperymentem?

– Tak – potwierdził doktor Shade. – Leżała na czymś, co zaczęło oksydować. To znaczy jej ciało leżało. To było już po śmierci.

– Na przykład na czym? Co mogło pozostawić taki ślad?

– Tego naprawdę nie wiem. Może dowiemy się czegoś już za kilka minut. Na razie pewne jest to, że odbarwienie, które widać na jej pośladku,

pochodzi z czegoś, co oksyduje. Tylko tyle.

– Mam nadzieję, że nie spotkamy tam przedstawicieli prasy – zaniepokoił się Katz. – Naprawdę potrafią być uciążliwi. Szczególnie ostatnio.

– To w związku z Halloweenem – stwierdziłam.

– Żebyś wiedziała. Ostatnio któryś z nich pokaleczył się o drut kolczasty i wylądował w szpitalu. Mieliśmy też wycieczkę studentów prawa.

Wjechaliśmy na wyjątkowo pusty o tej porze roku parking. Tereny Farmy były otoczone wysokim płotem z surowych desek, oplecionych na górze drutem kolczastym. Gdy wysiedliśmy z samochodu, natychmiast poczułam silny odór, do którego mimo częstych wizyt nie mogłam się przyzwyczaić. Chociaż nauczyłam się go ignorować, cały czas towarzyszył nam tu w pracy. Nie pomagały papierosy, perfumy ani inne sztuczki. Odór ten był częścią języka, jakim przemawiały do nas martwe ciała, podobnie jak blizny i tatuaże.

– Ilu rezydentów macie dzisiaj? – zapytałam, gdy doktor Shade ustawiał kombinację cyfr na zamku przy bramie głównej, prowadzącej na teren Farmy.

– Czterdziestu czterech.

– Wszyscy poza twoimi są tu od niedawna – powiedział Katz. – Tylko tych dwoje leży od sześciu dni.

Ruszyłam za moimi kolegami do tego przerażającego, ale niezwykle przydatnego królestwa. Dzięki mroźnemu powietrzu smród nie był taki paraliżujący. Poza tym, jak zdążyłam się zorientować, większość ciał przeszła już najgorsze stadia rozkładu. Niemniej jednak sceny, jakie przesuwały się przed moimi oczami, były na tyle makabryczne, że jak zwykle, oglądałam je w całkowitym milczeniu. Niedaleko od bramy znajdowały się wyłożone plastikową folią doły z wodą, gdzie trzymano

zatonione ciała, przymocowane do żuźlowych bloków. Nieco dalej zardzewiałe wraki samochodów kryły w swoich wnętrzach upiorne niespodzianki. Na przykład, za kierownicą białego cadillaka siedział mężczyzna, którego ciało całkowicie pozbawiono skóry.

Było tu jeszcze wiele zwłok innych ludzi, które doskonale stapały się z otoczeniem i mogły ujść mojej uwagi. Ich kości przypominały czasami patyki i kamienie. Na szczęście żadne słowa porównania nie mogły już nikogo z nich urazić, może poza dawcami amputowanych kończyn, którzy, miałam nadzieję, wciąż jeszcze znajdowali się wśród żywych.

Spod okazałej morwy patrzyła na mnie czyjaś czaszka, a dziura pomiędzy oczodołami wyglądała jak trzecie oko. Jej różowe uzębienie stanowiło doskonały przykład niszczącego działania hemolizy. Był to jeden z klasycznych problemów, o które spieraliśmy się niemal na każdym spotkaniu patologów. W pobliżu rosło kilka orzechów, ale nigdy nie zjadłabym ani jednego z ich owoców. Ziemia tutaj nasączona była śmiercią, obecną w tym miejscu dosłownie wszędzie, w wodzie, wietrze i w powietrzu. Śmierć spadała wraz z deszczem, stając się składnikiem pożywienia owadów i innych zwierząt.

Katz i doktor Shade podjęli się przeprowadzić dla mnie dwa eksperymenty. Jeden miał pokazać, jakie zmiany pośmiertne zachodzą w ciele ludzkim, przetrzymywanym kilka dni w ciemnym i chłodnym pomieszczeniu, przypominającym piwnicę. W drugim przypadku ciało umieszczono w podobnych warunkach i na podobny okres na dworze.

Sytuacja we wnętrzu zaaranżowana została w jedynym budynku należącym do Farmy, jakim był prymitywny, ceglany barak. Ciało mężczyzny chorego na nowotwór leżało w środku na betonowej płycie, w obawie przed drapieżnikami obudowanej ściankami ze sklejk. Doktor Shade przedstawił mi dokumentację fotograficzną, którą wykonywano od

początku eksperymentu. Przeglądając ją, stwierdziłam, że przez kilka pierwszych dni nie zanotowano właściwie żadnych zmian na ciele zmarłego. Dopiero potem można było zauważyć, że jego oczy i palce wysychają.

– Jesteś gotowa? – zapytał doktor Shade.

– Tak, zobaczymy to – powiedziałam, wkładając fotografie do kopert.

Odchyłono jedną ze ścianek i weszłam do środka. Leżący tam mężczyzna był niski, szczupły, z kilkudniowym siwym zarostem. Na ramieniu miał tatuaż w kształcie makowego kwiatu. Po sześciu dniach spędzonych w krypcie ze sklejki miał zapadnięte oczy, ziemistą skórę i odbarwienia na lewej dolnej ćwiartce ciała.

Ciało jego żony, które spoczywało w niewielkim zagajniku, nie zachowało się już tak dobrze, chociaż warunki nie odbiegały wiele od tych w baraku. Z relacji kolegów wynikało, że w ciągu minionych sześciu dni co najmniej dwa razy spadł deszcz. Od czasu do czasu zwłoki wystawione były też na działanie promieni słonecznych, leżące zaś obok pióra myszołowa wyjaśniły mi pochodzenie niektórych uszkodzeń na powierzchni ciała. Odbarwienia były znacznie bardziej rozległe, skóra oślizgła, również o ziemistym odcieniu.

Przez chwilę w milczeniu przyglądałam się nagiemu ciału kobiety. Leżała na plecach, na warstwie liści z drzewa świętojańskiego, orzecha i klonu. Wyglądała na starszą od męża, a jej skóra była tak wysuszona i pomarszczona, że zwłoki miały raczej kształt androgyniczny niż kobiecy. O tym, że była to niegdyś kobieta, świadczyły pomalowane na różowo paznokcie i przekłute uszy.

– Jeżeli chcesz, możemy go odwrócić! – zawołał do mnie Katz z szopy.

Wróciłam tam i nachyliłam się ponownie nad ciałem mężczyzny. Doktor Shade świecił latarką, a ja oglądałam ślady, jakie metalowe przedmioty

zostawiły na pośladkach. Odcisk po kółku był łatwo rozpoznawalny, a te po gwoździach wyglądały jak czerwone ślady oparzenia. Najbardziej zainteresowały nas zmiany na skórze powstałe po kontakcie z monetami, zwłaszcza ta po ćwierćdolarówce. Po dokładniejszych oględzinach zauważyłam nawet kontur orła. Wyjęłam fotografię Emily, aby porównać oba przypadki.

– Wydaje mi się – zaczął doktor Shade – że to zanieczyszczenia w stopie metalu powodują niejednolite oksydowanie monety. Masz tu zarówno miejsca czyste, jak i nieregularne odbarwienia. Sytuacja jest porównywalna ze śladem, jaki pozostawia odcisk podeszwy buta, która zwykle nie jest jednolita, no, chyba że masa ciała rozłożyłaby się równomiernie, a ty stałabyś na doskonale równej powierzchni.

– Czy zrobili już powiększenia z tych fotografii Emily Steiner? – zapytał Katz.

– Pracuję nad tym w laboratorium FBI – odpowiedziałam.

– To może długo potrwać – orzekł Katz. – Są niemiłosiernie zawałeni robotą i na wszystko trzeba czekać.

– Wiem też, jak to się ma do budżetu.

– Nasz jest już ogryziony do ostatniej kosteczki.

– To prawda, za sklejkę do zabezpieczenia ciała w szopie zapłaciłam z własnych pieniędzy. Chciałam także dostarczyć wentylator, ale na szczęście okazało się, że pogoda jest wystarczająco dobra.

– Trudno jest przekonać polityków, że to, co robimy, jest na prawdę potrzebne. Zresztą sama to znasz z własnego podwórka, Kay.

– Szkoda, że umarli nie mają prawa głosu – powiedziałam.

– Słyszałem o takich przypadkach, kiedy mieli.

Wracaliśmy trasą Neyland Drive, wzdłuż rzeki. W jej zakolu zobaczyłam jeszcze fragment ogrodzenia Farmy i górujące ponad nim

korony drzew. Pomyślałam o rzece Styks, o przechodzeniu na drugą stronę i o tamtym małżeństwie, które znalazło się w miejscu takim jak Farma. Byłam im za to wdzięczna, gdyż umarli tworzyli milczącą armię, która służyła nam, żywym.

– Szkoda, że nie mogłaś wpaść tu wcześniej – powiedział, uprzejmy jak zawsze, Katz.

– Straciłaś wspaniały mecz – dodał doktor Shade.

– Czuję się tak, jakbym go oglądała – zapewniłam.

Nie posłuchałam rady Wesleya i wróciłam do hotelu Hyatt. Musiałam zatelefonować w wiele miejsc i zarezerwować sobie bilet na samolot, nie miałam więc czasu, aby marnować pół dnia na przeprowadzkę.

Jednakże przechodząc przez hol hotelowy do windy, rozglądałam się bacznie na wszystkie strony. Moja czujność nie ograniczała się jedynie do kobiet, badawczo przyglądałam się również mijanym mężczyznom, gdyż było dla mnie jasne, że Denesa Steiner jest bardzo sprytna. Większość życia spędziła w kłamstwie, obmyślając nieprawdopodobne intrygi, a ja doskonale wiedziałam, jak piekielnie inteligentne potrafi być zło.

W drodze do swojego pokoju nie zauważyłam nic podejrzanego. Zamknęłam za sobą drzwi i wyjęłam z walizki rewolwer, sprawdzając przy tym cały bagaż. Broń położyłam koło siebie na tapczanie, zastanawiając się przez chwilę, dokąd najpierw zadzwonić. Pierwszy telefon wykonałam do sklepu z bronią Green Top. Trafiłam na znajomego sprzedawcę, Jona, który często mnie obsługiwał i służył radą.

– Jest mi bardzo przykro – powiedział. – Po prostu nie mogłem w to uwierzyć, gdy przeczytałem w prasie o wypadku.

– Na szczęście Lucy czuje się już lepiej – poinformowałam go. – Tamtej nocy czuwał nad nią anioł stróż.

– To wyjątkowa młoda dama. Musi pani być z niej bardzo dumna.

– Jon, dzwonię, gdyż chciałabym zapytać cię o kilka szczegółów. Czy byłeś w sklepie, gdy Lucy kupowała Siga?

– Oczywiście. Sam go jej sprzedałem.

– Czy kupiła coś jeszcze?

– Dodatkowy magazynek, kilka pudełek ślepych naboju. Uff. To chyba były Federal Hydra-Shok. Taak, jestem tego pewien. Co jeszcze? Futerał na rewolwer, taki sam, jaki sprzedałem pani na wiosnę. Skórzany, firmy Bianchi.

– Jak płaciła?

– Gotówką i, prawdę powiedziawszy, trochę mnie to zdziwiło. Może sobie pani wyobrazić, jak wysoki był rachunek.

Lucy potrafiła oszczędzać pieniądze, a na dwudzieste pierwsze urodziny dostała ode mnie czek na poważną kwotę. Wiedziałam, że miała karty kredytowe, ale domyśliłam się, dlaczego ich nie użyła. Nie chciała, aby ten zakup został zapisany na jej rachunku bankowym. Wcale mnie to nie zdziwiło. Jak większość ludzi związanych ze służbami specjalnymi, była nadmiernie przewrażliwiona i ulegała lekkiej paranoi. Dla takich jak my każdy jest podejrzany. Mamy skłonności do przesady, oglądania się za siebie przez ramię i zacierania wszelkich śladów, gdy tylko poczujemy się choć trochę zaniepokojeni.

– Czy Lucy była z tobą umówiona, czy też wpadła zupełnie przypadkiem? – zapytałam.

– Zatelefonowała wcześniej i powiedziała, kiedy przyjedzie. A właściwie dzwoniła dwa razy. Drugi raz, aby potwierdzić, że będzie.

– Czy za każdym razem ty z nią rozmawiałeś?

– Nie, tylko za pierwszym razem. Drugi telefon odebrał Rick.

– Pamiętasz dokładnie, co mówiła, gdy zadzwoniła pierwszy raz?

– Niezupełnie. Na pewno powiedziała, że rozmawiała z kapitanem Pete’em Marino, który polecił jej model Sig P230 i mnie, jako sprzedawcę. Pewnie pani wie, że jeździmy z kapitanem na ryby. Chciała się upewnić, że w środę o ósmej wieczorem będę jeszcze w sklepie.

– Pamiętasz, kiedy dzwoniła?

– Dzień albo dwa przed wizytą. Myślę, że to był poniedziałek. Zapytałem ją też, oczywiście, czy ma skończone dwadzieścia jeden lat.

– Czy powiedziała, że jest moją siostrzenicą?

– Tak, wspomniała o tym. Doprawdy, strasznie jest do pani podobna. Gdy tu była, wydawało mi się, że rozmawiam z panią. Obie macie stosunkowo niskie, spokojne głosy. To wspaniała dziewczyna, niezwykle inteligentna i miła. Sprawiała wrażenie obeznannej z bronią, pewnie intensywnie ćwiczyła strzelanie. Powiedziała nawet, że kapitan daje jej lekcje.

Kamień spadł mi z serca, gdy usłyszałam, że Lucy przedstawiła się jako moja siostrzenica. Znaczyło to, że nie obawiała się mojej reakcji, gdyby wyszło na jaw, że kupiła broń. Prawdopodobnie powiedziałyby mi o tym także Marino. Było mi tylko przykro, że nie dowiedziałam się tego bezpośrednio od niej.

– Jon – wróciłam do rozmowy – mówiłeś, że dzwoniła jeszcze drugi raz. Czy pamiętasz coś? Kiedy to było?

– Też w poniedziałek. Jakies parę godzin później.

– I rozmawiała z Rickiem?

– Tak, bardzo krótko. Pamiętam, obsługiwałem właśnie klienta i Rick odebrał telefon. Mówił, że dzwoni pani Scarpetta, która zapomniała, kiedy się umówiliśmy. Podałem mu, że w środę o ósmej wieczorem. I tyle.

– Przepraszam, co powiedziała?

– Nie rozumiem, o co pani pyta.

- Za drugim razem Lucy przedstawiła się jako Scarpetta?
- Tak mi powiedział Rick. Powiedział, że dzwoni pani Scarpetta.
- Ale ona nie nosi nazwiska Scarpetta.
- Naprawdę? – zdziwił się Jon. – Nie żartuje pani? Nie wiedziałem. Ale jeśli tak, to doprawdy dziwna sprawa.

Lucy skontaktowała się z Pete'em Marino za pomocą pagera, a on zadzwonił do niej, prawdopodobnie z domu Steinerów. Denesa Steiner sądziła, że Marino rozmawia ze mną. Zaczekała, aż Pete wyjdzie z pokoju, znalazła w jego notesie telefon do Green Top i potem wystarczyło już tylko zadzwonić tam i zapytać o to, o co zapytała. Gdy to zrozumiałam, poczułam ulgę połączoną z wściekłością. Denesa Steiner nie zamierzała zabić Lucy, tak samo jak nie chciała tego Carrie Grethen ani ktokolwiek inny. To ja byłam jej niedoszłą ofiarą.

– Nie chciałam stawiać cię w niezręcznej sytuacji, ale czy Lucy nie była pod wpływem alkoholu, gdy spotkaliście się w środę? – zadałam mu jeszcze jedno pytanie.

- Gdyby tak było, na pewno nie sprzedałbym jej broni.
- Jak się zachowywała?
- Bardzo się śpieszyła, ale była w świetnym humorze.

Jeżeli Lucy piła tyle, ile podejrzewałam, i robiła to od miesiący albo nawet dłużej, mogło nie być tego po niej widać i postronny obserwator niczego by nie podejrzewał, sądząc, że zachowuje się normalnie. Ale jej zdolność oceny sytuacji i refleks z pewnością były osłabione. Dlatego nie zareagowała tak, jak powinna, gdy została napadnięta na autostradzie. Pożegnałam się z Jonem i wykręciłam numer gazety „Asheville-Citizen Times”. Tam dowiedziałam się, że autorka tekstu o wypadku nazywa się Linda Mayfair i jest obecna w redakcji.

- Mówi doktor Scarpetta – przedstawiłam się, gdy mnie z nią połączono.

– Och! Do licha, co mogę dla pani zrobić? – Jej głos brzmiał bardzo młodo.

– Chciałabym porozmawiać z panią na temat relacji z wypadku w Wirginii, w którym rozbił się mój samochód. Czy zdaje sobie pani sprawę, że napisała nieprawdę? O tym, że to ja prowadziłam wóz i zostałam aresztowana za jazdę po pijanemu? – mówiłam spokojnym, ale stanowczym tonem.

– Tak, proszę pani. Jest mi bardzo przykro z tego powodu, zaraz postaram się wszystko wyjaśnić. Późną nocą, wkrótce po wypadku, dostaliśmy na ten temat bardzo krótki faks. Podano informację, że samochód marki Mercedes, zidentyfikowany jako pani własność, uległ wypadkowi, a pani prowadziła go prawdopodobnie pod wpływem alkoholu. Byłam właśnie w redakcji, kończąc jakiś tekst, gdy przyszedł do mnie redaktor naczelny z tym faksem w rękę. Poprosił, abym sprawdziła, czy to rzeczywiście pani była wtedy w wozie, a jeśli tak, to żebym zamieściła tę informację w najbliższym wydaniu. Nie miałam wiele czasu, gdyż materiały musiały wkrótce iść do druku, byłam więc przekonana, że nie uda mi się tego zweryfikować. I nagle zadzwonił telefon. To była ta pani, która twierdziła, że jest pani przyjaciółką i dzwoni ze szpitala w Wirginii. Chciała nas poinformować, że nie jest pani poważnie ranna. Powiedziała, że powinniśmy wiedzieć, co się stało, ponieważ koledzy doktor Scarpetty, to znaczy pani, wciąż pracują w tej okolicy nad sprawą Emily Steiner. Wyjaśniła, że chce zapobiec sytuacji, w której dowiedzielibyśmy się o wypadku z innego źródła i podalibyśmy jakieś informacje, które mogłyby zdenerwować pani kolegów.

– A pani uwierzyła na słowo obcej osobie?

– Podała mi swoje nazwisko i numer telefonu, wszystko to sprawdziłam. Jeśli nie byłaby pani znajomą, skąd by wiedziała o wypadku i o tym, że

zajmuje się pani sprawą Emily Steiner?

Mogła oczywiście wiedzieć, pod warunkiem że była to Denesa Steiner, która dzwoniła z budki telefonicznej z Wirginii, zaraz po tym, jak usiłowała mnie zabić.

– W jaki sposób sprawdziła pani jej dane? – zapytałam.

– Zadzwoiłam pod podany numer i ona odebrała telefon. Kod wskazywał na Wirginię.

– Czy ma pani jeszcze ten numer?

– Chyba tak. Zapisałam go w swoim notatniku.

– Mogłaby go pani poszukać?

Słyszałam, jak wysuwa szuflady i przewraca kartki. Po długiej chwili odezwała się ponownie, dyktując mi numer telefonu.

– Bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że udało się pani zamieścić sprostowanie – powiedziałam, wyczuwając, że moja rozmówczyni jest bardzo speszona. Współczułam jej. Wierzyłam, że nie zamierzała mi zaszkodzić. Zawinił brak doświadczenia i młody wiek, a także intryga psychopatki, która prowadziła ze mną swoją wyrafinowaną grę.

– Tak, wydrukowaliśmy je od razu następnego dnia. Jeśli pani sobie życzy, mogę wysłać kopię.

– To niepotrzebne – powiedziałam, zastanawiając się już nad czymś zupełnie innym. Przypomniała mi się ekshumacja ciała Emily i towarzyszący temu najazd prasy. Domyślałam się, kto ich powiadomił. Denesa Steiner. Nie mogła sobie odmówić wykorzystania kolejnej okazji, aby zwrócić na siebie uwagę.

Po wykręceniu numeru podanego mi przez dziennikarkę długo czekałam, zanim ktoś podniósł słuchawkę. W końcu odezwał się jakiś mężczyzna.

– Przepraszam – powiedziałam.

– Słucham?

– Chciałabym się dowiedzieć, gdzie znajduje się telefon.

– Który telefon? Pani czy mój? – Mężczyzna zaśmiał się wesoło. – Bo jeśli nie wie pani, gdzie znajduje się pani telefon, to może pani mieć kłopoty.

– Pana telefon.

– Jestem w budce telefonicznej, z której chciałem zadzwonić do żony, żeby się dowiedzieć, jakie lody jej kupić. Zapomniała mi powiedzieć. Telefon nagle zadzwonił, więc podniosłem słuchawkę.

– W jakiej budce, gdzie?

– Na Cary Street.

– W Richmond? – zapytałam przerażona.

– Tak. Skąd pani dzwoni?

Podziękowałam mu i odwiesiłam słuchawkę. Zdenerwowana zaczęłam przemierzać pokój. A więc była w Richmond. Po co? Zobaczyć, gdzie mieszkam? Czy przejeżdżała obok mojego domu?

Wyjrzałam przez okno. Było pogodne popołudnie, a czysty błękit nieba i bajeczne kolory jesiennych liści zdawały się przeczyć, że w życiu mogą się zdarzać tak niegodziwe rzeczy. Świat wyglądał całkowicie niewinnie, jakby nie czaiły się na nim żadne złe siły, a moje podejrzania były zupełnie absurdalne. Zawsze sobie wmawiałam, że tak jest, gdy była cudowna pogoda, padał śnieg lub gdy miasto rozjaśniały sznury świątecznych lampek i wszędzie słychać było kolędy. Ale potem, dzień po dniu, gdy przychodziłam rano do kostnicy, zastawałam tam nowe ofiary. Zgwałcone, zastrzelone i zabite w wypadkach, których można było uniknąć.

Zanim opuściłam pokój, zadzwoniłam jeszcze do laboratorium fotograficznego FBI. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że pracownik, od którego spodziewałam się zastać wiadomość, był tam o tej porze osobiście.

Jak wielu z nas, którzy bez reszty poświęcali się swojej pracy, robił, co do niego należało, także w weekendy.

– Prawdę powiedziawszy, trochę się przy tym namęczyłem – wyznał, gdy zapytałam go o powiększenie zdjęcia, nad którym pracował od kilku dni.

– I co? – ponaglałam, czując w jego głosie rozczarowanie.

– Coś niecoś z niego wydobyłem. Jest nieco bardziej czytelne. Ale w dalszym ciągu nie mam pojęcia, co to może być.

– Jak długo będzie pan jeszcze w laboratorium?

– Jakaś godzinę albo dwie.

– A gdzie pan mieszka?

– Aquia Harbor.

Codziennie dojeżdżanie do pracy to nic przyjemnego, ale zadziwiająco wielu agentów pracujących w Waszyngtonie mieszka z rodzinami właśnie tam, gdzie on, w Stafford lub w Montclair. Miejscowość Aquia Harbor dzieli pół godziny drogi od domu Wesleya.

– Wiem, że nie spodoba się panu moja propozycja – powiedziałam. – Ale chciałabym mieć te odbitki możliwie szybko. Czy mógłby je pan podrzucić dzisiaj do Wesleya? Jazda w obie strony nie zajmie panu dłużej niż godzinę.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Mogę to zrobić, ale w takim razie będę musiał zaraz wyjechać. Zatelefonuję do niego i dowiem się, jak tam trafić.

Szybko spakowałam swoje rzeczy. Dopiero na lotnisku w Knoxville przełożyłam rewolwer do torby podróżnej, zamykając się na chwilę w damskiej toalecie. Przeszłam przez kontrolę, informując obsługę, co mam w bagażu podręcznym. Został oznakowany standardową, fluorescencyjną nalepką w kolorze pomarańczowym, co jeszcze raz przypomniało mi o

plastikowej taśmie. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Denesa Steiner użyła taśmy o takim właśnie kolorze i skąd ją wzięła. Nie mogłam znaleźć żadnego logicznego powiązania między nią a więzieniem w Attica. Przechodząc przez płytę lotniska, aby wsiąść do niewielkiego samolotu, doszłam do wniosku, że zakład karny nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

Zajęłam miejsce przy przejściu i, zatopiona w rozmyślaniach, nie od razu zauważyłam napięcie, panujące wśród pozostałych dwudziestu kilku pasażerów. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłam sobie, że na pokładzie znajdują się policjanci. Jeden z nich rozmawiał ze stojącym na dole kolegą, przyglądając się jednocześnie badawczo twarzom podróżnych. Bezwiednie zaczęłam robić to samo. Doskonale znałam takie zachowanie i mój umysł natychmiast włączył się do pracy. Gorączkowo zastanawiałam się, kogo szukają i co mogę zrobić w takiej sytuacji. Jak włączyć się do akcji, gdy podejrzany zerwie się nagle z fotela. Mogłabym zastąpić mu drogę albo zająć go od tyłu, gdyby mnie minął.

Przejściem między rzędami szło trzech funkcjonariuszy i nagle jeden z nich zatrzymał się koło mnie. Nie spuszczał wzroku z mojego paska. Jego dłoń powędrowała powoli do półautomatycznego pistoletu i palec odbezpieczył broń. Zamarłam.

– Pójdzie pani z nami – odezwał się do mnie oficjalnym tonem.

Zaskoczona, nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Czy pod fotelem stoją pani bagaże?

– Tak. – Czułam, jak wzrasta w moich żyłach poziom adrenaliny.

Pozostali pasażerowie przyglądali nam się w milczeniu.

Policjant schylił się szybko po moją torbę i torebkę, cały czas czujnie mnie obserwując. Wstałam i ruszyłam za nim do wyjścia. Myślałam tylko o jednym: ktoś podrzucił mi narkotyki. Z całą pewnością była to Denesa Steiner. Przechodząc przez płytę lotniska, rozglądałam się nerwowo

dookoła, szukając w oknach terminalu sylwetki kobiety, która zapewne kryła się w cieniu, obserwując swoją ofiarę złapaną w pułapkę.

Pracownik obsługi lotniska w czerwonym kombinezonie wskazał na mnie ręką.

– To ona! – zawołał podekscytowany. – Uwaga na pasek!

W tym momencie wszystko stało się dla mnie jasne.

– To tylko telefon. – Bardzo powoli podniosłam do góry ręce, żeby mogli zobaczyć, co mam pod zakietem. Gdy wkładałam spodnie, często wieszłam telefon komórkowy na pasku, aby nie szukać go w torebce.

Stojący obok mnie policjant szeroko otworzył oczy. Pracownik lotniska wyglądał na mocno zakłopotanego.

– Do diabła! – zawołał. – To wygląda zupełnie jak dziewięćmilimetrowy pistolet. Miałem kiedyś do czynienia z agenta mi FBI, a ona wygląda zupełnie jak ktoś stamtąd.

Patrzyłam na niego, powoli przychodząc do siebie.

– Czy ma pani broń w bagażu podręcznym? – zapytał policjant.

– Nie – kręciłam głową.

– Proszę nam wybaczyć, ale myśleliśmy, że mają pani przy sobie. Pilot sprawdził listę pasażerów, z której wynikało, że nikt na pokładzie nie jest upoważniony do posiadania broni.

– Czy ktoś powiadomił was, że mam broń? – zapytałam mężczyznę w kombinezonie. – A jeśli tak, to kto? – Jeszcze raz rozejrzałam się dookoła.

– Nie. Nikt mi tego nie powiedział. Wydawało mi się, że jest pani uzbrojona, gdy mijala mnie pani, wchodząc do samolotu – wyjaśnił, pełen poczucia winy. – To przez ten telefon. Bardzo przepraszam.

– W porządku – uspokoiłam go. – Wykonywał pan po prostu swoje obowiązki.

– Może pani wracać do samolotu – poinformował mnie policjant.

Idąc na swoje miejsce, wciąż czułam, że cała dygoczę, a kolana tak mi się trzęsły, że nieomal słyszałam, jak o siebie uderzają. Pozostali pasażerowie przyglądali mi się z zaciekawieniem. Nie patrząc na nikogo, usiłowałam skupić się na czytaniu gazety. Po chwili pilot wyjaśnił przez głośnik pokładowy przyczynę opóźnienia samolotu.

– Pasażerka była uzbrojona w dziewięćmilimetrowy telefon komórkowy – powiedział, a wszyscy zaczęli się śmiać, oddychając z ulgą.

Byłam na siebie wściekła, że tak szybko dałam się zwieść podejrzeniom o aferze wywołanej rzekomo przez Denesę Steiner. Ta kobieta zaczynała przejmować kontrolę nad moim życiem. Brała w zastaw ludzi, których kochałam. Usiłowała zapanować nad moimi myślami i czynami, ciągle czułam za plecami jej obecność. Gdy uświadomiłam to sobie, zrobiło mi się niedobrze. Aż podskoczyłam na fotelu, gdy nagle ktoś dotknął mojego ramienia.

– Naprawdę bardzo nam przykro z powodu tego incydentu – powiedziała stewardesa. Była ładna, miała kręcone blond włosy. – Chcielibyśmy poczęstować panią drinkiem na koszt naszych linii.

– Nie, dziękuję – odmówiłam.

– Może jakąś przekąskę? Niestety, mamy tylko słone orzeszki.

– Proszę nie przepraszać. Mam nadzieję, że nadal będziecie równie czujni, dbając o bezpieczeństwo pasażerów – powiedziałam, by wymianie uprzejmości stało się zadość. Czułam, że w moim mózgu huczy tak, jak w silniku odrzutowca.

– Miło z pani strony, że się pani nie gniewa.

Gdy wylądowaliśmy w Asheville, słońce już zaszło. Szybko znalazłam swój neseser w małej transportowni bagażu. Następnie udałam się do toalety, przełożyłam broń do torebki i wyszłam złapać taksówkę. Kierowcą był starszy mężczyzna w wełnianej czapce, nasuniętej głęboko na oczy, i

wyświechtanej marynarce ze sztucznego tworzywa, mocno przetartej na rękawach. Prowadził samochód bardzo ostrożnie, dając mi w rozmowie do zrozumienia, że do Black Mountain jest spory kawałek drogi. Martwił się za mnie, że zapłacę spory rachunek. Słuchając go, zamknęłam oczy, które zaczęły mi łzawić, prawdopodobnie pod wpływem ciepła w taksówce.

Jechaliśmy na wschód, a warkot starego, czerwono-białego dodge'a przypominał mi o podróży samolotem. Myślałam też o tym, że mieszkańcy tego małego miasteczka nie wiedzą jeszcze, co naprawdę przydarzyło się jedenastoletniej dziewczynce, wracającej samotnie do domu. Nie mają również pojęcia, co grozi tym, którzy starają się rozwiązać zagadkę jej śmierci.

Byliśmy osaczeni przez wroga, który posiadał niezwykłą zdolność wyczuwania naszych słabych punktów i z zimną krwią uderzał dokładnie tam, gdzie najłatwiej mógł nas zranić. Marino stał się więźniem własnego uczucia i nosił za tą kobietą broń. Moja siostrzenica, którą kochałam jak córkę, została ciężko ranna i tylko cudem uszła z życiem. Niewinny człowiek, który żył sobie spokojnie w górach, mógł zostać zlinczowany za potworną zbrodnię, której nie popełnił. Detektyw Mote skończy prawdopodobnie na rencie, a agent Ferguson nie żyje.

Zło rozrastało się niczym olbrzymie drzewo, które zasłoniło całe światło w moim sercu. Nie byłam w stanie przewidzieć, gdzie zaczyna się cała ta nikczemność ani gdzie może się kończyć. Nie miałam nawet dość odwagi, aby dłużej myśleć o tym, że jedna z jej potwornych macek sięga już po mnie. Któregoś dnia moje nogi mogą nie poczuć kontaktu z ziemią.

– Czy mogę coś jeszcze dla pani zrobić? – usłyszałam jakby z oddali głos taksówkarza.

Otworzyłam oczy. Staliśmy przed motelem Travel-Eze, nie wiedziałam nawet, od jak dawna.

– Nie miałem serca pani budzić. Ale zapewne będzie pani wygodniej położyć się do łóżka. A także taniej.

W recepcji przyjął mnie ten sam młody człowiek o włosach jasnych niczym dojrzałe zboże. Zapytał mnie, w której części życzę sobie pokój. Pamiętałam, że z jednej strony okna wychodziły na szkołę, do której chodziła Emily, z drugiej zaś na autostradę. W zasadzie było mi wszystko jedno, bo góry i tak były dookoła, w ciągu dnia płonąc purpurą lasów, a w nocy odcinając się czernią od rozgwieżdżonego nieba.

– Gdzieś w sektorze dla niepalących. Czy kapitan Marino wciąż jeszcze tu mieszka? – zapytałam.

– Tak, ale nieczęsto u nas bywa. Wołałaby pani pokój bliżej niego?

– Nie, raczej nie. On jest palaczem, a ja chciałabym odizolować się od dymu. – Oczywiście, nie to było przyczyną mojej decyzji.

– W takim razie dam pani pokój w innym skrzydle.

– Doskonale. Gdy przyjedzie Benton Wesley, proszę mu powiedzieć, żeby od razu do mnie zadzwonił. – Poprosiłam go jeszcze, aby zatelefonował do firmy, w której wypożyczyłam samochód, i zlecił im w moim imieniu zamontowanie poduszek powietrznych.

Po chwili byłam już w swoim pokoju. Zamknęłam drzwi na klucz, założyłam łańcuch i unieruchomiłam klamkę, podstawiając pod nią krzesło. Następnie przygotowałam sobie gorącą kąpiel, do której dodałam kilka kropel perfum Hermes. Wchodząc do wanny, położyłam broń na umywalce, w zasięgu ręki. Zapach podziałał na moją wyobraźnię i czułam się tak, jakby delikatnie pieściły mnie dłonie kochanka. Po raz pierwszy tego dnia byłam naprawdę zrelaksowana. Co jakiś czas dolewałam więcej gorącej wody, a odurzająca woń perfum unosiła się nad moją głową niby aromatyczny obłoczek. Zasunęłam szczelnie plastikową kotarę i oddałam się marzeniom.

Nie byłabym chyba w stanie zliczyć, ile już razy przeżywałam na nowo tamtą noc, gdy po raz pierwszy kochaliśmy się tu z Bentonem. Nawet przed sobą samą nie chciałam się przyznać, jak często wracały do mnie tamte sceny i ile razy, ulegając im, oddawałam się wspomnieniom. To było potężniejsze od wszystkich uczuć, jakie do tej pory znałam. Zatrzymałam w pamięci każdy szczegół, każdą sekundę naszego pierwszego spotkania. Pamiętałam nawet numer tamtego pokoju i wiedziałam, że nigdy go nie zapomnę.

Nie miałam wielu kochanków, ale każdy z nich był niezwykłym mężczyzną, czułym i wyrozumiałym. Wszyscy oni potrafili zaakceptować kobietę, która ma wiele cech męskich. Jestem kobietą z krwi i kości, także moja wrażliwość jest kobieca, ale posiadam siłę i energię typową dla mężczyzn. Gdyby któryś z nich chciał skrytykować mnie za te moje cechy, byłoby to równoznaczne z krytyką samego siebie. Za każdym razem było wspaniale, nawet z moim byłym mężem Tonym, który miał najwięcej problemów z zaakceptowaniem takiego partnerskiego układu i nawet sprawy łóżkowe traktował jak pole dla rywalizacji. Byliśmy niby dwa silne zwierzęta, które spotkawszy się w dżungli zmierzyły się ze sobą, dając sobie nawzajem tyle samo, ile jedno drugiemu odbierało.

Tylko Benton był tak skrajnie inny, że aż nie mogłam w to uwierzyć. Nasze męskie i kobiece składniki pasowały do siebie tak dokładnie, jakby był moją drugą połową. Albo jakbyśmy oboje byli jedną osobą.

Właściwie do końca nie byłam pewna, jaki jest naprawdę, ale wyobrażałam sobie nas razem na długo przedtem, zanim to się stało. Oczywiście podejrzewałam, że pod zewnętrzną skorupą zimnej powściągliwości może być człowiekiem czułym i miękkim, jak wojownik śpiący w hamaku rozwieszonym między potężnymi drzewami. Ale kiedy

dotknął mnie wtedy nad ranem na werandzie, delikatność jego dłoni zdumiała mnie.

Gdy jego palce rozebrały mnie i dotarły do mojego ciała, poruszały się po nim w taki sposób, jakby znały wszystkie jego tajemnice lepiej ode mnie. Czułam nie tylko pożądanie, ale także głęboką empatię. Miałam wrażenie, że Benton pragnie zadośćuczynić całemu złu i uleczyć cały ból, z którym się w życiu zetknął i którego nie akceptował. Zrozumiałam, że odczuwa potrzebę przebaczenia każdemu, kto gwałcił i maltretował, jakby ich wspólne grzechy dawały prawo do przeżywania rozkoszy kobiecego ciała, bo wszak i on rozkoszował się moim.

Powiedziałam mu wtedy w łóżku, że nie znałam do tej pory mężczyzny, który tak jak on potrafiłby zadowolić kobietę. Wyznałam też, że ponieważ nie znoszę być zawłaszczana ani pokonywana, nieczęsto decyduję się na seks.

„Doskonale rozumiem, dlaczego każdy chciałby zawładnąć twoim ciałem” – usłyszałam wtedy w ciemności jego stanowczy głos.

„Ja też doskonale rozumiem, dlaczego każda kobieta chciałaby zawładnąć twoim – odpowiedziałam mu z równą szczerością. – Ale to właśnie z powodu ludzi, którzy pragną zniewolić innych, ty i ja wykonujemy swoją pracę”.

„A więc nie używajmy już takich słów, jak zawładnąć czy zniewolić. Nigdy więcej takich słów. Wymyślmy sobie inny język”.

Nie mieliśmy najmniejszego problemu ze stworzeniem nowego słownictwa, którym szybko nauczyliśmy się płynnie porozumiewać.

Po kąpieli poczułam się dużo lepiej i postanowiłam włożyć coś nowego i świeżego. Niestety, po szybkim przeglądzie rzeczy w walizce okazało się to niemożliwe. Ubrałam się więc z powrotem w granatowy żakiet, spodnie i sweter z golfem, które nosiłam już od kilku dni. Butelka whisky, którą

znalazłam w bagażu, była do połowy opróżniona. Wlałam trochę alkoholu do szklanki i usiadłam przed telewizorem, aby obejrzeć wiadomości. Kilka razy miałam wielką ochotę zadzwonić do pokoju Pete'a, ale za każdym razem odkładałam słuchawkę, nie wykręcając numeru. Myślami byłam też w Newport, zastanawiając się, czy nie zatelefonować do Lucy. Tego jednak również nie zrobiłam. Telefon ode mnie mógłby ją rozkojarzyć. A teraz niczego nie potrzebowała bardziej niż skupienia na sobie i rozpoczynającej się terapii. Zamiast tego zadzwoniłam więc do matki.

– Dorothy nocuje tu dzisiaj w Marriotcie i jutro rano leci do Miami – powiedziała. – Katie, gdzie ty jesteś? Cały dzień usiłowała się z tobą skontaktować.

– Jestem w drodze – odpowiedziałam wymijająco.

– Tak, znowu to samo. Jak zawsze, zachowujesz się tajemniczo. Nie uważasz, że z własną matką możesz być szczerą?

Jakbym ją widziała, rozmawiającą przez telefon i zaciągającą się ze smakiem papierosem. Moja matka gustowała w dużych kolczykach oraz jaskrawym makijażu i – w przeciwieństwie do mnie – nie miała urody Włoszki z północnych regionów Italii.

– Mamo, jak się ma Lucy? Co mówiła Dorothy?

– Ona twierdzi, że Lucy jest lesbijką, i wini za to ciebie. Oczywiście, powiedziałam jej, że to niedorzeczność. Tłumaczyłam jej, że to, iż nie spotykasz się z facetami i chyba nie lubisz chodzić z nimi do łóżka, absolutnie nie znaczy, że jesteś homoseksualna. Podobnie bywa z zakonnkami. Chociaż słyszałam ostatnio plotki...

– Mamo – przerwałam jej – czy Lucy dobrze się czuje? Jak dotarła do Edgehill? Czy się tam zaaklimatyzowała?

– Co takiego? Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak zwracasz się do swojej matki. Czy Lucy dobrze się czuje? Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć,

całą drogę do Newport piła na umór.

– Nie mogę w to uwierzyć! – zawołałam, wściekła na Dorothy. – Myślałam, że gdy Lucy będzie ze swoją matką, nic takiego się nie stanie.

– Dorothy powiedziała, że gdyby Lucy nie była pijana, gdy przyjmowali ją na detoksykację, ubezpieczenie nie wypłaciłoby jej pieniędzy. Tak więc Lucy całą drogę w samolocie piła.

– Mam w nosie pieniądze z ubezpieczenia. A Dorothy też nie należy do ubogich.

– Wiesz, jak ona lubi pieniądze.

– Płacę za wszystko, czego potrzeba Lucy. Doskonale o tym wiesz, mammo.

– No dobrze, wiem.

– Co jeszcze mówiła Dorothy?

– Wiem tylko, że Lucy była w jednym ze swoich fatalnych nastrojów. Czowała się podobno rozczarowana, że nie miałaś czasu, aby pojechać z nią do Edgehill. Tym bardziej że to był twój pomysł, że jesteś lekarzem i tak dalej.

Żachnęłam się, ale to było jak kłótnia z wiatrem.

– Przecież to Dorothy nie chciała, żebym z nią pojechała.

– Jak zwykle, macie o wszystkim odmienne zdanie. Kiedy przyjedziesz do domu na Święto Dziękczynienia?

Nie muszę chyba dodawać, że gdy rozmowa się skończyła, a raczej, gdy ja nie mogłam już dłużej tego znieść i ją zakończyłam, całe dobroczynne działanie mojej kąpieli szlag trafił. Nalałam sobie kolejną szklankę whisky, chociaż wiedziałam, że nawet cały alkohol świata nie może mi poprawić nastroju, gdy jestem zła na moją rodzinę. Poza tym pamiętałam o przypadku Lucy. Odstawiłam butelkę, a kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi.

– To ja, Benton – usłyszałam jego głos.

Długo tuliliśmy się do siebie, a Benton, czując, jak desperacko do niego przylgnęłam, domyślił się natychmiast, w jakim jestem stanie. Poprowadził mnie do łóżka i usiadł obok.

– Opowiedz od początku – polecił, trzymając mnie za rękę.

Opowiedziałam mu więc o wszystkich swoich podejrzeniach oraz o przygodzie na lotnisku. Gdy skończyłam, na jego twarzy pojawił się ten sam nieprzenikniony wyraz, który doskonale znałam z pracy z nim i który odbierał mi natychmiast odwagę. Nie chciałam, aby patrzył tak na mnie, gdy jesteśmy sami w tym pokoju.

– Kay, musisz wyhamować. Czy zdajesz sobie sprawę z wagi takiego oskarżenia? Nie możemy przecież wykluczyć, że Denesa Steiner jest niewinna. Po prostu nie wiemy tego. A to, co się stało w samolocie, powinno być dla ciebie ostrzeżeniem. Bardzo mnie to martwi. Jakiemuś facetowi z obsługi lotniska zachciało się zgrywać bohatera, a ty natychmiast pomyślałaś, że stoi za tym Steinerowa. Ona opętała twój umysł.

– Nie chodzi o to, czy opętała mój umysł, czy nie – powiedziałam, wysuwając jedną rękę z jego dłoni. – Ona próbowała mnie zabić.

– To znowu tylko spekulacje.

– Nie tylko. Przekonałam się o tym, wykonując kilka telefonów.

– Niczego nie możesz udowodnić. I wątpię, czy kiedykolwiek ci się to uda.

– Musimy odnaleźć jej samochód.

– Chcesz jechać w nocy pod jej dom?

– Tak. Niestety, nie mam jeszcze wozu – powiedziałam.

– Ale ja mam.

– Przywiozłeś powiększenie tego zdjęcia?

– Tak, jest w moim neseserze. Już je oglądałem. – Wstał i wzruszył ramionami. – W dalszym ciągu nic mi to nie mówi. To tylko zamglona plama, w której doszukać się można miliona odcieni szarości. Po obróbce laboratoryjnej jest rzeczywiście może trochę bardziej wyraźna, oddaje większą liczbę szczegółów.

– Benton, musimy coś zrobić.

Patrzył na mnie dłuższą chwilę, zaciskając usta w sposób oznaczający determinację połączoną ze sceptycyzmem.

– Po to tu właśnie jesteśmy, Kay. Jesteśmy tu, aby coś zrobić.

Gdy wyszliśmy z motelu, poczułam, że już niedługo nadejdzie zima, przynajmniej tutaj, w górach. Zanim zdążyłam wsiąść do wiśniowej maximy, już dygotałam z zimna. Oczywiście częściowo był za to odpowiedzialny mój stres.

– A przy okazji, jak tam twoja noga i ręka? – zapytałam.

– Na razie świetnie, zupełnie jak nowe.

– To właściwie cud, bo przecież nie były nowe, gdy się skaleczyłeś.

Zaskoczony, roześmiał się głośno. Nie spodziewał się, że jestem w nastroju do żartów.

– Mam najświeższe informacje o tej pomarańczowej taśmie – powiedział. – Zbadaliśmy, kto z tej okolicy mógł pracować w Shuford Mills, gdy produkowano tam taką taśmę.

– Świetny pomysł – pochwaliłam go.

– Znaleźliśmy faceta, który był tam brygadzystą. Nazywa się Rob Kelsey i mieszkał w Hickory w czasie, który nas interesuje. Pięć lat temu przeszedł na emeryturę i przeniósł się do Black Mountain.

– Czy wciąż tu mieszka?

– Niestety, już nie żyje. Do cholery, pomyślałam.

– Co o nim jeszcze wiemy? – zapytałam.

– Biały, zmarł w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat. Mieszka tu jego syn. Dlatego pewnie Rob, gdy przeszedł na emeryturę, przyjechał do Black Mountain.

– Masz jego adres?

– Mogę go zdobyć.

– Jakie imię nosi jego syn?

– Takie samo jak ojciec. Dom Denesy Steiner będzie zaraz za zakrętem. Spójrz na jezioro, jakie jest niesamowicie ciemne. Niczym dół ze smołą.

– Masz rację. Wiesz, że Emily nie szła wieczorem drogą wzdłuż jeziora? Relacja Creeda potwierdza to.

– Nie dziwię się, sam nie wybrałbym tej drogi.

– Benton, nie widzę samochodu.

– Może gdzieś wyjechała.

– Ale samochód Pete’a stoi pod domem.

– To nie znaczy, że muszą być w domu.

– Nie znaczy też, że ich tam nie ma.

W oknach paliło się światło i miałam przeczucie, że Denesa jest w środku. Nie mogłam tego udowodnić, ale byłam pewna, że ona też wyczuwa moją obecność, nawet jeżeli jeszcze sobie tego nie uświadomiła.

– Jak sądzisz, co oni mogą robić? – zapytałam.

– A jak myślisz? – Uśmiechnął się dwuznacznie.

– To naprawdę niewybredne. Najprościej założyć, że ludzie zajmują się seksem.

– Bo to najprostsze zajęcie.

Czułam się niemal urażona. Nie chciałam, aby Wesley był taki płytki.

– Dziwię się, że ty to mówisz.

– Ale nie powinno cię to dziwić u nich. Tylko o to mi chodziło.

Nie przekonał mnie jednak.

– Kay, chyba nie będziemy w takich okolicznościach rozmawiali o naszym związku – dodał.

– Nie miałam pojęcia, że o nim rozmawiamy.

Wiedział, że nie mówię prawdy. Jednakże z całą pewnością podzielał moje zdanie, że nie ma nic gorszego niż romanse z kolegami z pracy.

– Powinniśmy już wracać. Dziś nic więcej tu nie zdiagnozujemy – powiedział.

– Jak dowiemy się, co z jej samochodem?

– Pomyślimy o tym rano. Ale już teraz wiemy, że jej wóz nie stoi tu w nienaruszonym stanie.

Nazajutrz była niedziela. Rano obudziło mnie bicie dzwonów i przez chwilę zastanawiałam się, czy dochodzi ono z tego małego prezbiteriańskiego kościoła, przy którym pochowano Emily. Rzuciłam okiem na zegarek i uznałam, że chyba jednak nie. Było kilka minut po dziewiątej, a z tego, co wiedziałam, msze u prezbiterian zaczynały się dopiero od jedenastej.

Wesley spał po tej stronie łóżka, którą uważałam za swoją. Było to nasze jedyne niedopasowanie jako kochanków. Oboje przyzwyczailiśmy się spać dalej od okna lub drzwi, jednym słowem, od miejsc, które mogłyby wejść napastnik. Tak jakby szerokość materaca odgrywała jakąś zasadniczą rolę w momencie sięgania po broń. Pistolet Wesleya znajdował się na stoliku po jego stronie łóżka, a mój na moim. Najzabawniejsze było to, że gdyby naprawdę ktoś wtargnął do pokoju, moglibyśmy się z Bentonem nawzajem pozabijać.

Zasłony jarzyły się jak abażury lamp, zapowiadając słoneczny dzień. Zamówiłam przez telefon śniadanie do pokoju i przy okazji dowiedziałam się od recepcjonisty, że dzisiaj zamontują mi w wozie poduszki amortyzacyjne. Włożyłam szlafrok i usiadłam na krześle, tyłem do łóżka,

aby nie rozpraszał mnie widok nagich ramion Bentona. Położyłam na stole zdjęcie z powiększeniem śladu na ciele Emily, kilka monet oraz szkło powiększające i zabrałam się do pracy. Wesley miał rację, mówiąc, że obróbka laboratoryjna wiele nie zmieniła, dodała tylko więcej odcieni szarości do niezidentyfikowanej plamy. Jednakże im dłużej się jej przyglądałam, tym wyraźniej zaczynałam odróżniać pewne kształty.

Najbardziej nasycone szarościami były partie znajdujące się poza częścią centralną tego niewyraźnie odbitego, kolistego śladu. Nie umiałabym dokładniej opisać ich rozlokowania, ponieważ nie miałam pojęcia, gdzie jest góra, gdzie dół, a gdzie boki przedmiotu, który zaczął oksydować pod ciałem Emily.

Zarys dającego się zauważyć kształtu przypominał głowę kaczki lub jakiegoś innego ptaka. Widziałam jego czaszkę, a także jakiś sterczący element, może dziób. Nie mógł to być jednak orzeł z rewersu monety ćwierćdolarowej, gdyż był dużo mniejszy. Zarys tego wyraźniejszego kształtu na fotografii zajmował powierzchnię około jednej czwartej całego śladu. W miejscu domniemanej części ptasiej szyi wypatrzyłam też lekkie wklęsnięcie.

Wzięłam do ręki leżącą na stole monetę i odwróciłam ją awerssem do góry. Obracałam ją powoli dookoła, aż nagle pojawiła się odpowiedź. Była tak prosta i oczywista, że osłupiałam. Pod ciałem Emily faktycznie leżała ćwierćdolarówka. Ale to awers dotykał jej ciała i pozostawił ów tajemniczy ślad. Ptasie kształt to nos i oczodoły George'a Waszyngtona, a ptasia głowa i dziób to zarys szlachetnej czaszki naszego pierwszego prezydenta, skrytej pod upudrowaną peruką.

Gdzie zatem mogło leżeć ciało Emily? Zastanawiałam się nad tym chyba już po raz setny. Przecież niemal wszędzie można się spodziewać pozostawionej na podłodze przez nieuwagę monety. Jednakże badania

laboratoryjne wykazały także obecność cząsteczek farby i zdrewniałego rdzenia łądygi. Gdzie zatem należy się spodziewać ćwierćdolarówki i pozostałych śladów? Na pewno w piwnicy, może w jakimś warsztacie, gdzie używano podkładek z wysuszonej łądygi, farb i innych gatunków drewna, jak orzech i mahoń.

Może ktoś miał pracownię w piwnicy, gdzie zajmował się swoim hobby – czyszczeniem biżuterii? Nie, to raczej nie ma sensu. Może naprawą zegarków? Też chyba nie. Ale nagle przypomniałam sobie zegary w domu Steinerów i serce zabiło mi mocniej. Zaczęłam się zastanawiać, czy nieżyjący mąż Denesy w wolnych chwilach nie zajmował się ich reperacją? I czy nie robił tego w piwnicy? Czy nie używał podkładek, by umieszczać na nich drobne elementy, które czyścić?

Wesley oddychał przez sen spokojnie i regularnie. W pewnej chwili energicznie potarł policzek, jakby łąził po nim jakiś owad, i naciągnął kołdrę na uszy. Sięgnęłam po książkę telefoniczną i zaczęłam szukać nazwiska syna brygadzysty z Shuford Mills. Znalazłam dwóch Robertów Kelseyów. Niewiele myśląc, wykręciłam pierwszy numer.

– Halo – usłyszałam kobiecy głos.

– Czy mówię z panią Kelsey? – zapytałam.

– To zależy z którą.

– W zasadzie chciałabym rozmawiać z młodszym panem Robertem Kelseyem.

– Ach tak. – Zaśmiała się i wyczułam, że jest miłą, przyjazną osobą. – A więc na pewno nie szuka pani mnie. Roberta, niestety, nie ma w domu. Poszedł już do kościoła. Dzisiaj pomaga przy mszy, więc musiał wyjść wcześniej.

Byłam zdumiona, słysząc te wszystkie informacje od kobiety, która nawet mnie nie zapytała, kim jestem i czego chcę. To pocieszające, że

wciąż jeszcze są na świecie miejsca, gdzie ludzie mają do siebie zaufanie.

– W jakim kościele można go znaleźć? – zapytałam.

– W Trzecim Prezbiteriańskim.

– Czy msza zaczyna się o jedenastej?

– Jak zwykle. Muszę pani powiedzieć, że wielbny Crow jest wspaniałym człowiekiem. Czy przekazać coś Robowi?

– Dziękuję, spróbuję zadzwonić później.

Podziękowałam jej za informację i odłożyłam słuchawkę.

Gdy odwróciłam się, zobaczyłam, że Wesley siedzi wyprostowany na łóżku i przygląda mi się zaspanymi oczami. Potem rozejrzał się po pokoju, zatrzymując wzrok na zdjęciu, monetach i szkle powiększającym. Znowu spojrzał na mnie i wybuchnął śmiechem.

– Co? – zapytałam mało uprzejmie.

Nic nie mówiąc, pokręcił głową.

– Już kwadrans po dziesiątej – powiedziałam. – Jeśli chcesz iść ze mną do kościoła, to lepiej się pośpiesz.

– Do kościoła? – Zmarszczył brwi.

– Tak. To takie miejsce, gdzie ludzie modlą się do Boga.

– Jest tu w okolicy kościół katolicki?

– Nie mam pojęcia.

Wyglądał na zupełnie zdezorientowanego.

– Dziś rano wybieram się na mszę do kościoła prezbiteriańskiego – poinformowałam go. – I jeśli nie masz nic przeciwko temu, chętnie dałabym się podwieźć. Wciąż jeszcze nie dostarczono mi samochodu.

– Podwiozę cię, ale jak stamtąd wrócisz?

– Nie chcę się teraz nad tym zastanawiać. – W mieście, w którym ludzie pomagają obcym przez telefon, nie musiałam układać aż tak precyzyjnych planów. Czulałam, że nie zaszkodzi sobie pozwolić na improwizację.

– Zawsze możesz zostawić mi wiadomość na pagerze – powiedział Wesley, wstając z łóżka.

– Świetnie – powiedziałam, wkładając do torebki telefon komórkowy.

Wesley wysadził mnie przed wejściem do kościoła zbudowanego z szarego kamienia. Chociaż było jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia mszy, wierni już napływali. Obserwowałam, jak wysiadają z samochodów, mrużą oczy w słońcu i czekają na swoje dzieci, gramolące się za nimi, a potem zatrzaszczą drzwiczki i kierują się wąską uliczką w stronę kościoła. Czułam na sobie ich zdziwione spojrzenia, kiedy odłączyłam się nagle od zgodnie podążającego tłumu i skręciłam w lewo, na teren cmentarza.

Słońce świeciło mocno, ale poranek był bardzo chłodny, zimne powietrze przenikało mnie na wskroś. Pchnęłam zardzewiałą żelazną furtkę, która nie spełniała tu żadnej funkcji poza symboliczną i dekoracyjną. Z całą pewnością nie służyła do tego, aby utrudnić komuś wejście lub wyjście z cmentarza.

Na wypolerowanych granitowych płytach połyskiwały świeżo wykute napisy, a te starsze można było rozpoznać po charakterystycznych kształtach liter. Tutaj także umarli mówili swoim językiem, za każdym razem, kiedy ich wspomniano. Szron chrząścił cicho pod moimi butami, gdy zmierzałam w stronę zakątka, gdzie pochowano Emily. Jej grób z usypanym kopczykiem czerwonej gliny, pozostałym po ponownym otwarciu i zamknięciu miejsca wiecznego spoczynku, wyglądał jak świeża blizna. Łzy napłynęły mi do oczu, gdy patrzyłam na nagrobek z aniołem i wyryte w kamieniu słowa:

*Nie ma innej na świecie –
Moja była jedyna.*

Ale tym razem fragment z wiersza Emily Dickinson nabrał dla mnie odmiennej wymowy. Odczytałam go na nowo, bogatsza o pewną wiedzę i mając zupełnie inne zdanie o kobiecie, która te słowa wybrała. Zrozumiałam, że kluczem jest tu słowo: „moja”. Moja. Życie Emily nigdy nie należało do niej samej, było jedynie przedłużeniem narcystycznego i obłąkanego żywota kobiety o nienasyconym apetycie na zaspokajanie własnego ja.

Emily była dla swojej matki tylko kukielką, podobnie zresztą jak my wszyscy. Byliśmy laleczkami Denesy, które mogła ubierać i rozbierać, przytulać i rozszarpywać na kawałki. Dobrze pamiętałam wnętrze jej domu, pełne puszystości i koronek, ozdobione tapetami we wzory dla małych dziewczynek. Bo tak naprawdę Denesa wciąż była małą dziewczynką, pragnącą za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Dziewczynką na tyle już dużą, aby wiedzieć, jak to osiągnąć. Niszczyła życie każdego, do kogo się zbliżyła, za każdym razem wypłakując się potem na łonie współczującego jej świata. Biedna, biedna Denesa, uzalali się ludzie nad tym ociekającym krwią potworem w skórze matki.

Na czerwonej glinie grobu Emily pojawiły się cienkie lodowe sople. Nie znałam fizycznego wytłumaczenia tej reakcji, ale domyśliłam się, że wilgoć znajdująca się w glinie zamarzła, zwiększyła swoją objętość i, nie mając innego ujścia, wydostała się na zewnątrz. Zdawało mi się, że to dusza Emily tak zamarzła, próbując wydostać się spod ziemi, i połyskuje teraz w słońcu jak kryształ. Uświadomiłam sobie nagle, że kochałam tę małą dziewczynkę, którą poznałam już po śmierci. Przecież równie dobrze na jej

miejscu mogłaby być Lucy. Obie nie zaznały matczynej miłości; jedna z nich już nie żyła, ale druga, jak na razie, była uratowana. Uklękłam i zmówiłam modlitwę, a potem z ciężkim sercem skierowałam się do kościoła.

Byłam spóźniona, bo gdy weszłam do środka, wierni rozpoczęli właśnie pierwszą pieśń. Usiadłam w jednej z tylnych ławek, starając się nie zwracać nikomu uwagi. Czułam jednak na sobie spojrzenia zebranych w świątyni ludzi. W takiej małej społeczności wiernych bardzo łatwo zauważyć kogoś nieznanego; obcy pojawiali się tu prawdopodobnie bardzo rzadko. Gdy zmówiliśmy wspólnie modlitwę, przeżegnałam się i przez chwilę obserwowałam, jak dzieci rozdają biuletyn kościelny.

Wielebny Crow rozpoczął kazanie. W długiej czarnej szacie wyglądał rzeczywiście jak olbrzymi kruk, a jego ptasie rysy uwypuklał jeszcze spiczasty nos. Mówiąc, gestykulował zapamiętale, a mnie wydawało się, że za chwilę uniesie się w górę. Witrażowe okna, na których przedstawione były cuda Chrystusa, lśniły w słońcu jak brylanty, kamień polny zaś, nakrapiany błyszczącą miką, mienił się niczym pokryty złotym pyłem.

Nadszedł czas komunii. Rozejrzałam się dookoła, chcąc się zorientować w zwyczajach kościoła. Wierni nie klękali przed ołtarzem, aby przyjąć opłatek. Zamiast tego pomocnicy pastora ruszyli przejściem między ławkami, niosąc na tacach kawałki chleba i małe kieliszki z sokiem z winogron. Przyjęłam podany mi poczęstunek i wysłuchałam pieśni pochwalnej na cześć Trójcy Świętej. Po błogosławieństwie wierni zaczęli opuszczać kościół. Odczekałam kilka minut, aż pastor pożegna się osobiście z każdym parafianinem. Podeszłam do niego, dopiero gdy został sam.

– Chciałam pastorowi podziękować za mądre kazanie – powiedziałam. – Bardzo lubię przypowieść o dokuczliwym sąsiedzie.

– Wciąż możemy się z niej wiele nauczyć. Często opowiadam ją dzieciom. – Uśmiechnął się, ściskając mi rękę.

– Z pewnością to dla nas pouczające – zgodziłam się.

– Cieszę się, że jest pani z nami. Domyślałam się, że mam przyjemność z panią doktor z FBI. Wiele o pani słyszałem. Widziałem też panią w telewizji.

– Jestem doktor Scarpetta – przedstawiłam się. – Szukam Roba Kelseya i byłabym wdzięczna, gdyby pastor pomógł mi go znaleźć. Mam nadzieję, że jeszcze nie wyszedł.

– Oczywiście że nie – potwierdził wielebny. – Rob pomagał mi dzisiaj przy komunii. Pewnie porządkuje teraz rzeczy. – Spojrzał w głąb kościoła.

– Czy mogę go poszukać? – zapytałam.

– Ależ tak. A przy okazji chcę powiedzieć – posmutniał nagle – że bardzo doceniamy to, co pani dla nas robi. Ta historia głęboko nami wstrząsnęła. – Pokiwał głową. – A ta jej biedna, biedna matka. Niektórzy ludzie po takim nieszczęściu odwróciliby się od Boga. Ale nie ona. Nie Denesa. Przychodzi tu w każdą niedzielę, jest jedną z moich najbardziej sumiennych owieczek.

– Czy dzisiaj też była? – zapytałam, czując nagle dreszcze na karku.

– Jak zwykle śpiewała w chórze.

Nie widziałam jej. Ale w kościele było co najmniej dwieście osób, a poza tym chór mieścił się na galerii za moimi plecami.

Rob Kelsey junior był pięćdziesięcioletnim, żyłastym mężczyzną. Tego dnia miał na sobie tani niebieski garnitur w prążki. Zastałam go wśród ławek, sprzątał coś czy porządkował. Przedstawiłam się, starając się nie podawać zbyt wielu szczegółów, aby go nie spłoszyć, ale na szczęście okazał się człowiekiem bardzo zrównoważonym. Usiadł obok mnie na

ławce i, pocierając sobie płatek ucha, słuchał uważnie wyjaśnień dotyczących celu mojej wizyty.

– To prawda – powiedział w końcu z wyraźnym miejscowym akcentem.

– Tata całe życie przepracował w tej firmie. Gdy odchodził na emeryturę, podarowali mu kolorowy telewizor i porządne złote spinki.

– Musiał być doskonałym brygadzystą – zauważyłam.

– Tak, ale awansował na to stanowisko dopiero po wielu latach pracy. Przedtem był kontrolerem jakości towaru, a jeszcze wcześniej prostym skrzynkowym.

– Na czym dokładnie polegała praca pana ojca? Na przykład gdy pracował jako skrzynkowy?

– Pilnował pakowania taśmy do skrzynek, nadzorował też robotników, którzy to robili.

– Rozumiem. Czy pamięta pan może samoprzylepną taśmę plastikową w kolorze jaskrawo-pomarańczowym?

Rob Kelsey zamyślił się, mrużąc piwne oczy. Już po chwili z wyrazu jego twarzy domyśliłam się, że sobie przypomniał.

– Tak, pamiętam. To była niezwykła taśma. Nigdy przedtem ani potem takiej nie widziałem. O ile się nie mylę, zamówiło ją jakieś więzienie.

– To prawda – potwierdziłam. – Zastanawiam się jednak, czy było możliwe, aby rolka albo dwie taśmy pojawiły się w tej okolicy. Na przykład jakieś wybrakowane sztuki.

– Nie wolno było nic wynosić. Ale oczywiście zdarzało się, że odrzuty trafiały gdzieś poza wytwórnię. Takie, które i tak nie zostałyby sprzedane.

Pomyślałam o śladach tłuszczu na brzegach taśmy, którą zostały skrępowane pani Steiner i jej córka. Być może była to partia zanieczyszczona smarem z maszyny.

– A gdy zdarzały się takie odrzuty, czy pracownicy mogli skorzystać i wziąć taśmę dla siebie lub kupić ją po obniżonej cenie?

Kelsey milczał. Miałam wrażenie, że czuje się zakłopotany.

– Czy pamięta pan, komu pański ojciec mógł dać rolkę tej pomarańczowej taśmy? – zapytałam.

– Jediną osobą, o której wiem z całą pewnością, że ją dostał, był Jake Wheeler. Zmarł jakiś czas temu. Był właścicielem pralni niedaleko Mack's Five-and-Dime. O ile pamiętam, należała do niego też drogeria na rogu.

– Dlaczego pana ojciec dał mu taśmę?

– Jake chodził na polowania. Pamiętam, że ojciec często mi o nim opowiadał. Powtarzał, że Jake panicznie się boi, aby nikt go przypadkiem w lesie nie zastrzelił, biorąc na przykład za indyka. Było to tak męczące, że nikt ze znajomych nie chciał z nim polować.

Słuchając go, zastanawiałam się, czy te informacje mogą mi się do czegoś przydać.

– Robił wokół potwornie dużo szumu, a później zaczął też nosić odblaskowe ubranie. W krótkim czasie wypłoszył z okolicy innych myśliwych. Wydaje mi się, że nigdy nic nie upolował, jeśli nie liczyć wiewiórek.

– A co ta historia ma wspólnego z taśmą?

– Jestem przekonany, że tata podarował mu ją dla żartu. Może Jake chciał okleić nią sztucer albo buty czy coś takiego. – Kelsey uśmiechnął się, ukazując spore braki w uzębieniu.

– Gdzie mieszkał Jake? – zapytałam.

– Niedaleko Pine Lodge. W połowie drogi między centrum Black Mountain i Montreat.

– Czy sądzi pan, że mógł przekazać taśmę komuś innemu?

Kelsey wpatrywał się przez dłuższą chwilę w tacę z kieliszkami, marszcząc brwi w skupieniu.

– Na przykład – podpowiadałam mu – komuś, z kim wspólnie polował? Czy komuś z jego znajomych mogła się przydać taka taśma?

– Nie mam pojęcia, czy komuś ją oddał. Ale przyjaźnił się z Chuckiem Steinerem. Każdego roku razem chodzili na niedźwiedzie, a my mieliśmy nadzieję, że żadnego nie spotkają. Nie mam pojęcia, dlaczego każdy myśliwy ma ambicję, aby natknąć się na misia grizzly. Zabije takiego zwierza i co z tego ma, oprócz skóry przed łóżko? Mięso nie nadaje się do jedzenia, chyba że ktoś, jak Daniel Boone czy Mingo, umiera z głodu.

– Chuck Steiner był mężem Denesy Steiner? – zapytałam, starając się nie okazywać nadmiernego zainteresowania.

– Tak. To był bardzo silny mężczyzna. Nie mogliśmy uwierzyć w wiadomość o jego śmierci. Gdybyśmy wiedzieli, że ma słabe serce, nie obciążalibyśmy go tak na polowaniach, nie stawialibyśmy mu takich samych zadań, jak sobie.

– Ale polował z wami? – chciałam się upewnić.

– O tak. Wiele razy chodziłem z nim i Wheelerem. Oni uwielbiali buszować po lesie. Zawsze im mówiłem, że powinni pojechać do Afryki. Tam się dopiero poluje.

– Czy dobrze znał pan Chucka Steinera?

– Znałem go z polowań i z kościoła.

– Podobno uczył w szkole.

– Tak, uczył Biblii w prywatnej szkole wyznaniowej. Gdybym mógł posłać do niej swojego syna, zrobiłbym to bez wahania.

– Co może mi pan jeszcze o nim powiedzieć?

– Swoją żonę spotkał w Kalifornii, gdy odbywał tam służbę wojskową.

– Czy pamięta pan, aby kiedykolwiek wspominał o dziecku, które zmarło w wieku niemowlęcym? O dziewczynce imieniem Mary Jo, być może urodzonej właśnie w Kalifornii?

– Nie. – Kelsey wyglądał na zaskoczonego. – Byłem pewien, że Emily to ich jedyne dziecko. Czyżby stracili także drugie? Boże, to okropne. – Był naprawdę przejęty.

– Co było potem, gdy opuścili Kalifornię? – pytałam go dalej. – Czy wie pan coś na ten temat?

– Przyjechali tutaj. Chuck nie przepadał za Zachodem, w te strony przyjeżdżał jako dziecko z rodzicami na wakacje. Mieszkali wtedy w domku w Gray Beard Mountain.

– Gdzie to jest?

– W Montreat, tam gdzie mieszka Billy Graham. Obecnie wielebny rzadko tam przebywa, ale widuję czasami jego żonę. – Przerwał na chwilę.

– Czy słyszała pani o Zeldzie Fitzgerald, która spaliła się w szpitalu niedaleko tamtego miejsca?

– Tak, wiem o tym – powiedziałam.

– Chuck w wolnych chwilach zajmował się zegarmistrzostwem. To było jego hobby i, prawdę powiedziawszy, sam naprawił wszystkie zegary w Biltmore House.

– Gdzie je reperował?

– Na miejscu, w Biltmore House. Ale ludzie z okolicy przynosili mu zegarki do domu. Miał warsztat w piwnicy.

Rob Kelsey z pewnością mógłby snuć swoje wspomnienia przez cały dzień. Ja jednak uprzejmie się z nim pożegnałam i wyszłam z kościoła. Zostawiłam na pagerze Wesleya zaszyfrowaną informację pod postacią policyjnego kodu 10-25, która oznaczała: „spotkaj się ze mną”. Benton wiedział, gdzie jestem. Właśnie wracałam do kruchty, aby schronić się

przed chłodem, gdy z rozmowy przechodzących obok mnie ludzi zorientowałam się, że to członkowie chóru. Omal nie wpadłam w panikę. W tej samej sekundzie, gdy pomyślałam o Denesie Steiner, pojawiła się przed moimi oczami. Stała przy wejściu do kościoła, uśmiechając się do mnie.

– Witam – powiedziała, obrzucając mnie spojrzeniem twardym jak stal.

– Dzień dobry – odparłam. – Czy jest z panią kapitan Marino?

– On jest katolikiem – przypomniała mi, wciągając na rękę czarne rękawiczki z koźlęcej skóry.

Ubrana była w czarny wełniany płaszcz, sięgający aż do zapinanych na pasek czarnych pantofli. Poza odrobiną szminki na ustach nie miała właściwie żadnego makijażu. Luźne fale miodowych włosów spływały dekoracyjnie na ramiona. Jej uroda była zimna jak listopadowy dzień i wydawało mi się niemożliwe, że mogłam współczuć tej kobiecie i uwierzyć w jej ból.

– Co sprowadza panią do kościoła? – zapytała. – W Asheville jest parafia katolicka.

Zacząłam się zastanawiać, co jeszcze o mnie wie. Co mógł jej powiedzieć Marino?

– Chciałam odwiedzić grób pani córki – wyjaśniłam, patrząc jej prosto w oczy.

– Teraz nie wygląda jak należy – rzekła, nadal uśmiechając się do mnie zimno.

– W zasadzie dobrze się stało, że się tu spotkałyśmy – zauważyłam. – Chciałabym zadać pani kilka pytań. Możemy chwilę porozmawiać?

– Tutaj?

– Wołałabym u pani w domu.

Zaprosiłam kilkoro gości na lunch. Żaden uroczysty niedzielny obiad, raczej małe spotkanie towarzyskie.

– Nie sprawię pani wiele kłopotu. – Starłam się nie ujawniać uczuć, chociaż moje serce było twarde jak granit. Ta kobieta usiłowała mnie zabić. Omal nie zabiła mojej siostrzenicy.

– A zatem czekam na panią u siebie.

– Byłabym wdzięczna za podwiezienie. Nie mam samochodu.

Chciałam zobaczyć jej wóz. Musiałam go zobaczyć.

– Ja też nie dysponuję w tej chwili wozem. Musiałam go reklamować.

– To dziwne, o ile pamiętam, był całkiem nowy. – Jeśli moje oczy byłyby laserami, już dawno wypaliłyby w niej dziury.

– Niestety, wcisnęli mi bubel i musiałam go zwrócić. Nawalił podczas podróży. Dzisiaj przyjechałam z sąsiadką, ale oczywiście może się pani z nami zabrać. Moja znajoma czeka już w samochodzie.

Zacząła schodzić po kamiennych schodach, a ja ruszyłam za nią. W pobliżu wciąż jeszcze parkowało kilka samochodów, a jeden lub dwa właśnie wyjeżdżały. Sąsiadką Denesy Steiner okazała się starsza kobieta w różowym kapeluszu, nosząca aparat słuchowy. Siedziała za kierownicą starego białego buicka, w którym włączone było ogrzewanie i rozbrzmiewała muzyka gospel. Denesa zaproponowała mi miejsce obok kierowcy, ale odmówiłam. Nie chciałam mieć jej za plecami. Nie mogłam spuścić jej z oka i żałowałam, że nie wzięłam ze sobą broni. Wydawało mi się, że nie powinnam zabierać jej na nabożeństwo, a poza tym nie przewidywałam, że wypadki potoczą się w ten sposób.

Pani Steiner i jej sąsiadka całą drogę rozmawiały, a ja siedziałam z tyłu, milcząc. Po kilku minutach byłyśmy już przed domem Steinerów. Natychmiast zauważyłam, że samochód Pete'a stoi w tym samym miejscu, w którym widzieliśmy go poprzedniego wieczora. Nie wiedziałam, jak

Marino zareaguje na mój widok i co mu powiem. Denesa Steiner otworzyła drzwi i weszliśmy do holu. Na stoliku przy lustrze leżały kluczyki do auta Pete'a i klucz do jego pokoju w motelu.

– Gdzie jest kapitan Marino? – zapytałam.

– Na górze, śpi. – Zaczęła zdejmować rękawiczki. – Nie czuł się najlepiej ostatniej nocy. Podobno w okolicy panuje jakaś grypa.

Rozpięła płaszcz i, lekko wstrząsnąwszy ramionami, zsunęła go z siebie. Zdejmując nakrycie, rozejrzała się wokoło, jakby dając każdemu przyzwolenie na podziwianie swoich piersi, których ponętnego kształtu nie były w stanie ukryć najskromniejsze nawet ubrania. Mowa jej ciała była bardzo uwodzicielska, co w zaistniałej sytuacji dawało mi nad nią przewagę. Drażniła się ze mną, ale z zupełnie innych powodów niż z mężczyznami. Denesa Steiner ostentacyjnie wystawiała się na pokaz. Kobiety traktowała jak rywalki i gdy uświadomiłam to sobie, zrozumiałam także jej stosunek do Emily.

– Może powinnam do niego zajrzeć? – zaproponowałam.

– Pete potrzebuje tylko trochę snu. Zaniosę mu na górę gorącą herbatę i zaraz wracam. Proszę rozgościć się w salonie. Podać pani kawę czy herbatę?

– Nie, dziękuję, nic nie będę piła – powiedziałam. Panująca w tym domu cisza niepokoiła mnie coraz bardziej.

Gdy tylko usłyszałam, jak wchodzi na górę, wróciłam do holu i włożyłam do kieszeni klucze Marino. Następnie szybko przeszłam do kuchni. Na lewo od zlewozmywaka znajdowały się drzwi prowadzące na podwórze, a po prawej jakieś inne, zamknięte na zasuwkę. Podeszłam do nich, odsunęłam rygiel i przekręciłam gałkę.

Podmuch zimnego, stęchłego powietrza świadczył, że to zejście do piwnicy. Nachylając się w głąb ciemnej czeluści schodów, próbowałam

wymacać kontakt. Po chwili udało mi się i ujrzałam przed sobą drewniane, pomalowane na czerwono stopnie. Zaczęłam ostrożnie schodzić na dół, chcąc zobaczyć piwnicę. Nic nie mogło mnie już zatrzymać, nawet strach, że ona mnie tam zaskoczy. Czułam, że moje serce bije tak mocno, jakby za chwilę miało mi wyskoczyć z piersi.

Stół do pracy Chucka Steinera ciągle jeszcze tam stał, zavalony przeróżnymi narzędziami, między którymi wznosiła się tarcza starego zegara, wskazująca dawno już zatrzymany czas. Wszędzie leżały porzrzucone podkładki z wysuszonego, porowatego rdzenia, na których widoczne były tłuste ślady po naoliwionych drobnych częściach mechanizmu zegara. Kilka z nich leżało również na betonowej posadzce, razem z kawałkami drutów, śrubkami i gwoździami. W głębi dostrzegłam obudowy po innych starych zegarach, które stały cicho, niczym wartownicy na straży, a obok nich także zabytkowe już odbiorniki telewizyjne i radiowe. Dalej majaczyły rozmaite meble, pokryte grubą warstwą kurzu.

Ściany były białe, bez okien, a na długiej, biegnącej wzdłuż nich półce leżały porządnie zwinięte przedłużacze oraz różne sznury i liny, wykonane z najrozmaitszych materiałów. Przypomniałam sobie liczne makramy na górze, dekoracyjne frędzle na narzutach, przykrywających meble w salonie, a także zwisające z sufitu plecione koszyczki, w których Denesa umieszczała doniczki z roślinami. Wszystko to pasowało do węzła wisielca, który zacisnął się na szyi Fergusona. Dopiero tam, w piwnicy, zaczęłam się zastanawiać, jak to się stało, że nikt wcześniej nie sprawdził tego miejsca. Gdy policja szukała małej Emily, ciało dziewczynki prawdopodobnie wciąż jeszcze się tu znajdowało.

Chciałam zapalić dolne światło, ale żarówka była przepalona. Nie miałam ze sobą latarki, a w uszach szumiało mi od naporu krwi do mózgu, którą moje serce tłoczyło z niezwykłą prędkością. Po chwili dostrzegłam

jakieś drzwi, ledwo widoczne zza sterty drzewa na opał, pokrytego grubą warstwą pajęczyn. Prowadziły na zewnątrz, ale gdy podeszłam bliżej, zauważyłam obok termy na wodę drugie, za którymi znajdowała się łazienka. Weszłam do środka i zapaliłam światło.

Białe niegdyś urządzenia sanitarne były już mocno pożółkłe i poplamione farbą. Klozet nie był chyba spłukiwany przez lata, bo stojąca w muszli woda zabarwiła go na kolor rdzy. W umywalce leżał wyschnięty pędzel, a kiedy zajrzałam do wanny, pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, była moneta ćwierćdolarowa. Leżała niemal na środku, odwrócona do góry awersem z podobizną George'a Waszyngtona. Przy odpływie dostrzegłam ślady zakrzepłej krwi. Oględziny przerwał mi odgłos zatraskiwanych na górze drzwi od piwnicy. Natychmiast zrozumiałam, że Denesa Steiner domyśliła się, gdzie jestem.

Błyskawicznie wybiegłam z łazienki i rozejrzałam się po warsztacie, zastanawiając się gorączkowo, co robić. Szarpnęłam za klamkę drzwi znajdujących się przy stercie drewna, z całych sił napierając na nie ciałem. Ustąpiły z trzaskiem i nagle znalazłam się na zalanym słońcem tylnym podwórku. Nie widziałam ani nie słyszałam nikogo, ale czułam, że ona mnie obserwuje. Musiała wiedzieć, że tędy mogę się wydostać. Nagle z przerażeniem zrozumiałam, co planuje ta kobieta. Wcale nie zamierzała mnie schwytać w pułapkę. Chciała mieć pewność, że nie dostanę się z powrotem do domu.

Natychmiast pomyślałam o Marino. Gdy biegłam w stronę podjazdu, gdzie stał jego wóz, ręce tak mi się trzęsły, że nie byłam w stanie wygrzebać z kieszeni kluczyków. Z trudem udało mi się otworzyć tylne drzwi chevroleta. Winchester z nierdzewnej stali jak zwykle leżał pod fotelem kierowcy.

Poczułam w dłoni zimny jak lód metal i trochę się uspokoiłam. Zostawiając samochód otwarty, rzuciłam się w stronę głównego wejścia. Tak jak przypuszczałam, drzwi były zamknięte. Ale po obu stronach znajdowały się wąskie okna. Nie zastanawiając się ani sekundy, rozbiłam jedno kolbą winchestera. Odłamki szkła miękko upadły na dywan w holu. Owinęłam dłoń szalikiem i ostrożnie wsunęłam rękę do środka, szukając zamka. Otworzyłam drzwi i wbiegłam na górę po pokrytych dywanem schodach. Zachowywałam się jak automat, jakby ktoś z zewnątrz sterował moim ciałem. Pamiętałam, które okno było poprzedniego wieczora oświetlone, i bez namysłu rzuciłam się w tamtą stronę.

Pokój był zamknięty, ale gdy wpadłam do środka, ona tam była. Siedziała spokojnie na brzegu łóżka, a obok niej leżał Marino, z głową w plastikowej torbie na śmieci, zaciśniętej na jego szyi pomarańczową taśmą. Od tego momentu wypadki potoczyły się równocześnie. Podczas gdy ja odbezpieczałam broń, Denesa sięgnęła, po pistolet Pete'a leżący na stoliku nocnym, zrywając się na równe nogi. Równocześnie wymierzyłyśmy w siebie i pociągnęłam za spust. Rozległ się ogłuszający huk, błysk i Denesa Steiner powoli zaczęła osuwać się na podłogę. Załadowałam znowu i wypaliłam, załadowałam po raz trzeci i wypaliłam do niej jeszcze raz i jeszcze.

Leżała pod ścianą, a po tapetach w kwiatowe desenie spływała krew. W powietrzu czuć było dym i proch. Podbiegłam do łóżka i ściągnęłam torbę z głowy Pete'a. Jego twarz była sina, na tętnicy szyjnej nie wyczuwałam już pulsu. Natychmiast rozpoczęłam akcję ratunkową. Cztery uciski na klatkę piersiową, jeden wdech i Marino złapał powietrze. Rzęząc, zaczął oddychać samodzielnie.

Zostawiłam go na łóżku, chwyciłam telefon i wykręciłam numer dziewięć-jeden-jeden.

– Policja! Policja! Proszę natychmiast przysłać karetkę!

– Skąd pani dzwoni? – usłyszałam głos dyżurnego policjanta. Nie miałam pojęcia, jaki jest adres.

– Mówię z domu Steinerów! Pośpieszcie się! – krzyknęłam i odłożyłam słuchawkę.

Próbowałam Pete'a posadzić, ale był za ciężki.

– No, jeszcze trochę, proszę – szeptałam, szamocząc się z jego ciałem.

Odwróciłam twarz Pete'a ku sobie i włożyłam mu palce między zęby, aby otworzyć usta i umożliwić swobodny przepływ powietrza. Rozejrzałam się dookoła, żeby znaleźć jakieś opakowania po lekarstwach lub inny ślad tego, czym go nafaszerowała. Na stoliku nocnym stały puste szklanki. Powąchałam je i poczułam zapach bourbona. Na wpół odrętwiała, spojrzałam na leżącą pod ścianą kobietę. Wszędzie było pełno krwi i strzępków mózgu, a ja dygotałam jak zwierzę przed śmiercią. Miałam drgawki, jakby zaczynała się agonia. Denesa osunęła się wzdłuż ściany i znieruchomiała w pozycji pólśiedzącej. Jej czarne ubranie było przesiąknięte krwią i poszarpane od kul. Z przechylonej na bok głowy sączyła się na podłogę strużka krwi, tworząc sporą kałużę.

Gdy usłyszałam wreszcie wycie syren, zdawało mi się, że będą tak zawodzić w nieskończoność. Minęła długa jak wiek chwila, zanim na schodach rozległ się tupot wielu nóg i trzask rozkładanych noszy, a zaraz potem znalazł się przy mnie Wesley. Objął mnie mocno i przytulił, podczas gdy mężczyźni w białych kombinezonach otoczyli Pete'a. Za oknem migotały czerwone i błękitne lampy. Dopiero gdy poczułam powiew zimnego powietrza, zorientowałam się, że przestrzeliłam kulą szybę. Poplamione krwią firanki wydymały się na wietrze jak balony, unoszące się na tle żółtego nieba tapet. W pokoju pełno było pluszowych zwierzaków, na

lustrze kalkomanie z wizerunkiem tęczy, a obok plakat z Kubusiem Puchatkiem.

- To jej pokój – powiedziałam do Wesleya.
- Już dobrze – pogładził mnie delikatnie po włosach.
- To pokój Emily – powtórzyłam.

Wyjechałam z Black Mountain już następnego dnia, w poniedziałek rano. Wesley chciał mi towarzyszyć, ale odmówiłam. Wolałam być sama. Musiałam załatwić pewną niedokończoną sprawę, a jego opieki bardziej potrzebował Marino, który po wypompowaniu z żołądka demerolu wciąż przebywał w szpitalu. Wiedziałam, że wyjdzie z tego, przynajmniej jeśli chodzi o stan fizyczny, i wróci z Wesleyem do Quantico. Tam przez pewien czas będzie zwolniony z obowiązków służbowych jako agent wymagający specjalnej ochrony. Potrzebował dużo odpoczynku, poczucia bezpieczeństwa i przyjaciół.

Ponieważ w samolocie nikt koło mnie nie siedział, mogłam w drodze robić notatki. Sprawa Emily Steiner wyjaśniła się, gdy zabiłam jej matkę. Złożyłam zeznania na policji i dalej dochodzenie toczyło się już własnym trybem. Byłam jednak całkowicie spokojna, nie miałam żadnych podstaw do obaw. W zasadzie nie umiałam precyzyjnie określić swojego stanu psychicznego. Dziwiłam się, że nie czuję żalu z powodu tego, co się stało.

Byłam ogromnie zmęczona i najprostsza czynność kosztowała mnie wiele wysiłku. Moje ciało zachowywało się tak, jakby zamiast krwi krążył w nim płynny ołów. Nawet pisanie sprawiało mi kłopot, a umysł pracował ociężale. Łapałam się na tym, że siedzę bez ruchu i patrzę przed siebie, nic nie widząc i nie mrugając nawet powiekami, bez poczucia miejsca i czasu.

Mimo to usiłowałam jednak skoncentrować się na opisie sprawy Emily i Denesy Steiner. Musiałam przygotować nie tylko raport dla FBI, ale także uzupełnienie zeznań dla policji. Chociaż poszczególne fragmenty łamigłówek dobrze do siebie pasowały, wciąż pozostawało kilka pytań, na które już nigdy nie poznamy odpowiedzi, gdyż główni bohaterowie tej tragedii nie żyli. Nie dowiemy się, na przykład, co naprawdę zdarzyło się tej nocy, gdy zmarła Emily. Ja oczywiście mam na ten temat własną teorię.

Na pewno wyszła z kościoła, zanim spotkanie młodzieży dobiegło końca, i poszła prosto do domu. Tam prawdopodobnie doszło do sprzeczki z matką, być może podczas kolacji. Denesa Steiner, chcąc ukarać córkę, mogła kazać jej zjeść coś bardzo słonego. Zmuszanie dzieci do spożywania dużych dawek soli jest, niestety, dość popularną formą znęcania się nad nimi.

Kazała pewnie Emily wypić słoną wodę, po której dziecko zaczęło wymiotować, co pewnie jeszcze bardziej rozwścieczyło matkę. Dziewczynka mogła zapaść na hipernatremię, która później przerodziła się w śpiączkę. Gdy Denesa Steiner zносиła córkę do piwnicy, Emily była już bliska śmierci albo nawet nie żyła. Taki scenariusz wyjaśniałby pozornie sprzeczne wyniki oględzin ciała. Na przykład podniesiony poziom sodu i brak reakcji życiowych organizmu na odniesione obrażenia.

Szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego jej matka zdecydowała się upozorować zabójstwo w stylu Eddiego Heatha, mogłam założyć jako wielce prawdopodobne, że kobieta cierpiąca na zespół Münchhausena uważnie śledziła wszelkie tego typu przypadki. Tylko że jej reakcja na przerażające zbrodnie popełnione na dzieciach była odmienna, niż to normalnie bywa. Z łatwością wyobraziła sobie, jak wiele uwagi i zainteresowania skupia się na osobie matki, która w tak tragiczny sposób straciła swoje dziecko.

Tego rodzaju fantazjowanie z pewnością ją podniecało i mogła zaplanować coś podobnego. Tamtego niedzielnego wieczora była gotowa z premedytacją otruć własną córkę, aby zrealizować swój makabryczny plan. Oczywiście, pomysł z wykorzystaniem takiego scenariusza mógł jej przyjść do głowy nawet wówczas, gdyby zatrula Emily przypadkowo, działając pod wpływem złości. Nigdy nie poznamy prawdy, ale nie ma to w zasadzie żadnego znaczenia. Sprawa i tak nie znajdzie się w sądzie.

W piwnicy Denesa Steiner włożyła ciało córki do wanny. Moim zdaniem, właśnie wtedy strzeliła jej w tył głowy; krew mogła spłynąć do kanalizacji przez otwór w dnie. Rozebrała ją też dopiero w łazience i dlatego w wannie znalazła się ćwierćdolarówka, być może składka na kościół, której Emily nie zdążyła zapłacić. Moneta wypadła z kieszeni, gdy matka ściągała dziewczynce spodnie, i przez następne sześć dni leżała pod jej gołym pośladkiem.

Prawdopodobnie także w nocy, prawie tydzień później, Denesa Steiner postanowiła pozbyć się ciała Emily, które cały czas znajdowało się w stosunkowo niskiej temperaturze. Mogła owinąć zwłoki w koc, co wyjaśniałoby ślady wełnianych włókien, znalezione podczas analizy laboratoryjnej. Mogła też włożyć je do plastikowej torby, służącej do wywożenia liści. Odnalezione pod mikroskopem ślady rdzenia rośliny wskazywały na warsztat pana Steinera, który używał tego materiału przy naprawie zegarów. Dotychczas nie znaleziono ani pomarańczowej taśmy, której Denesa Steiner użyła do skrupowania córki i siebie, ani rewolweru kaliber 22. Podejrzewałam, że tych rzeczy nigdy już nie znajdziemy. Pani Steiner była zbyt inteligentna, aby przechowywać przedmioty, które mogłyby stanowić dowód jej zbrodni.

Gdy myślałam o tych wydarzeniach z perspektywy czasu, wszystko wydawało się proste i z wielu względów oczywiste. Na przykład kolejność,

w jakiej odcinano kawałki taśmy z rolki, wyjaśniała przebieg wypadków. Oczywiście, pani Steiner najpierw związała córkę, co wyeliminowało konieczność wcześniejszego przygotowania wszystkich kawałków taśmy i przyklejania ich na krawędziach mebli. Nie musiała przecież używać siły, aby skrępować martwą dziewczynkę.

Zdecydowanie trudniej było jej związać samą siebie. W tym celu odcięła najpierw potrzebną liczbę kawałków taśmy i przyklepiła je na komodzie. Potem skrępowała się nią tak, aby móc się łatwo uwolnić, zrywając paski taśmy w odwrotnej kolejności. Postąpiła tak raczej przez nieuwagę niż niewiedzę, bo Denesa Steiner musiała zdawać sobie sprawę z wagi tego szczegółu.

W Charlotte przesiadłam się na samolot do Waszyngtonu. Na lotnisku złapałam taksówkę, która zawiozła mnie do Russell Building, gdzie byłam umówiona z senatorem Lordem. Przyjechałam na miejsce około wpół do czwartej; senator nie wrócił jeszcze z głosowania w Senacie. Czekałam cierpliwie w recepcji jego biura, obserwując, jak sekretarki bez przerwy odbierają telefony, jakby cały świat potrzebował pomocy senatora Lorda. Pomyślałam, że trudno chyba normalnie żyć z tak przytłaczającą świadomością. Senator wkrótce przybył, uśmiechając się na mój widok szeroko. Z jego oczu wyczytałam, że wie już o wszystkim.

– Kay, cieszę się, że cię widzę.

Wskazał mi drogę i przeszliśmy przez następny pokój, gdzie było jeszcze więcej biurek i ludzi odbierających telefony. Zamknął za nami drzwi swojego gabinetu, w którym na ścianach wisiało kilka cennych obrazów, a zasobna biblioteka świadczyła, że senator lubi dobrą literaturę.

– Dziś rano telefonował do mnie dyrektor. Co za koszmar. Sam nie wiem, co powiedzieć – zaczął.

– Wszystko w porządku.

– Usiądź tu, proszę. – Wskazał mi miejsce na kanapie, a sam zajął krzesło. Senator Lord nie odgradzał się biurkiem od swoich gości. Nie lubił stwarzać pozorów niedostępności, gdyż jego wielkość czyniła go skromnym i uprzejmym.

– Ciągle jeszcze czuję się zupełnie otepiała. Moja świadomość jest w dziwnym stanie – powiedziałam. – Myślę, że najgorsze przyjdzie później. Stres pourazowy i tym podobne rzeczy. To, że zdaję sobie z tego sprawę, wcale nie czyni mnie odporniejszą.

– Musisz się sobą zaopiekować. Jedź w jakieś miłe miejsce i odpocznij.

– Frank, co będzie z Lucy? Chciałabym oczyścić ją z wszelkich zarzutów.

– Wydaje mi się, że już tego dokonałaś.

– Nie całkiem. Chociaż w FBI wiedzą, że to nie ona odcisnęła kciuk na skanerze zamka biometrycznego, niektórym ludziom to nie wystarcza, aby uznać ją za całkowicie niewinną. Ja przynajmniej odnoszę takie wrażenie.

– To nie jest tak. Absolutnie nie tak. – Senator skrzyżował długie nogi i spojrzał na mnie. – Zgadza się, że mogą być problemy z pewnymi pogłoskami, jakie tam krążą. Mam na myśli plotki. Ale ponieważ w sprawę wmieszany jest Tempie Gault, nie można za wiele o tym mówić.

– A zatem Lucy będzie musiała godnie znosić podejrzliwe spojrzenia, gdyż nie wolno jej ujawniać szczegółów całej sprawy – sprecyzowałam jego myśl.

– Otóż to.

– Należy się też liczyć z tym, że znajdą się ludzie, którzy nie ufając jej do końca, będą uważać, że nie powinna pracować w Quantico.

– Może być i tak.

– To nie jest korzystna sytuacja.

– Nie możesz jej chronić w nieskończoność, Kay. Pozwól jej samej wylizać rany i oswoić się z sytuacją. W miarę upływu czasu będzie jej coraz łatwiej. Niech tylko działa zgodnie z prawem – uśmiechnął się.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecałam. – Wciąż jeszcze wisi nad nią oskarżenie o jazdę pod wpływem alkoholu.

– Jest ofiarą napadu na drodze, może nawet usiłowania morderstwa. Myślę, że to w oczach sędziego powinno zmienić nieco obraz sytuacji. Poza tym byłoby dobrze, aby zgłosiła się na ochotnika do jakiejś służby publicznej.

– Masz na myśli coś konkretnego? – zapytałam, wiedząc, że tak. Inaczej nie wspominałby o tym.

– Prawdę powiedziawszy, tak. Zastanawiam się, czy nie chciałaby wrócić do Ośrodka? Nie wiemy, do jak wielu informacji o programie CAIN dotarł Gault. Mogę zasugerować dyrektorowi, żeby zwrócono się do Lucy z prośbą o sprawdzenie, ile wiadomości o systemie mógł zdobyć.

– Frank, wiem, że to ją przerazi – powiedziałam, czując jednocześnie wdzięczność dla tego człowieka.

– Nie znam nikogo, kto lepiej by się do tego nadawał – oświadczył. – Poza tym to dałoby jej szansę odzyskania utraconej pozycji. Lucy świadomie nie zrobiła nic złego.

– Powiem jej o tym – oświadczyłam.

Pożegnałam się z senatorem i pojechałam do hotelu Willard zamówić pokój. Byłam zbyt zmęczona, aby wracać tego samego dnia do Richmond. Postanowiłam najpierw polecieć do Newport, aby zobaczyć się z Lucy, nawet gdyby ta wizyta miała trwać godzinę lub dwie. Chciałam jak najszybciej przekazać jej propozycję senatora Lorda, aby mogła z większym optymizmem patrzeć w przyszłość.

Wyglądało na to, że sprawa Lucy zakończy się pomyślnie. Byłam o tym przekonana. Czułam potrzebę powiedzenia siostrzenicy, jak bardzo ją kocham. Musiałam się do tego przygotować i znaleźć odpowiednie słowa, które zawsze tak trudno przychodziło mi wypowiadać. Zamiast tego wolałam dusić je w sobie. Bałam się, że gdy zdradzę się ze swoim uczuciem, zostanę sama, jak to bywało już wielokrotnie. Nauczyłam się więc tłumić w sobie to wszystko, co było dla mnie najcenniejsze.

Z pokoju zadzwoniłam do Dorothy, a ponieważ nikt nie odpowiadał, zatelefonowałam do matki.

– Gdzie jesteś tym razem? – zapytała, a ja słyszałam w tle lejącą się z kranu wodę.

– W Waszyngtonie – powiedziałam. – Gdzie jest Dorothy?

– Akurat jest u mnie, pomaga mi przy obiedzie. Będzie kurczak w cytrynie i sałata. Szkoda, że nie widziałaś naszego drzewka cytrynowego, Katie. Grejpfruty też są bardzo dorodne. Właśnie płuczę sałatę. Jeżeli odwiedziłabyś kiedyś matkę, mogłybyśmy zjeść wspólnie obiad, jak normalna rodzina.

– Chciałabym porozmawiać z Dorothy.

– Poczekaj chwilę.

Usłyszałam dźwięk odkładanej słuchawki, a potem głos Dorothy.

– Jak nazywa się terapeuta Lucy w Edgehill? – zapytałam bez wstępów.
– Przypuszczam, że już jej kogoś przydzielili.

– Raczej nie. Lucy już tam nie ma.

– Coś ty powiedziała? – krzyknęłam. – Jak to nie ma?

– Nie spodobała jej się ta terapia i postanowiła wyjechać. Nie chciałam jej do niczego zmuszać. To przecież już dorosła kobieta. I wcale nie ma zamiaru się poświęcać ani nic z tych rzeczy.

– Co? – wciąż nie mogłam zrozumieć. – Czy jest w Newport? Czy wróciła do Miami?

– Nie – powiedziała moja siostra spokojnie. – Chciała zostać przez jakiś czas w Newport. Powiedziała, że nie byłoby rozsądne wrócić od razu do Richmond. Do Miami także nie zamierzała wracać.

– A więc jest teraz sama w Newport, z rozbitą głową, i prawdopodobnie pije na umór, a ty nic na to nie możesz poradzić?

– Kay, jak zwykle przesadzasz.

– Gdzie się zatrzymała?

– Nie mam zielonego pojęcia. Powiedziała mi, że chce się trochę pokręcić tu i tam.

– Dorothy!

– Pozwól, że ci przypomnę. Lucy jest moją córką.

– I to właśnie jest największą tragedią twojego życia.

– Czemu zawsze musisz wsadzać ten swój pieprzony nos w nie swoje sprawy! – warknęła.

– Dorothy! – usłyszałam w tle głos mojej matki. – Proszę nie używać przy mnie tego słowa na pe!

– Posłuchaj mnie – powiedziałam zimnym tonem, cedząc słowa. – Jeżeli cokolwiek jej się stanie, będzie w tym sto procent twojej winy. Jesteś nie tylko beznadziejną matką, jesteś również okropnym człowiekiem. Doprawdy żałuję, że urodziłaś się jako moja siostra.

Odłożyłam słuchawkę. Sięgnęłam po książkę telefoniczną i zaczęłam wydzwaniać do informacji lotniczych. Znalazłam jedno połączenie z Providence, na które mogłabym zdążyć, gdybym się pośpieszyła. Wypadłam z pokoju i, wzbudzając pewną sensację, przebiegłam pędem przez elegancki hol hotelu Willard.

Portier sprowadził taksówkę, a ja zaproponowałam kierowcy podwójną stawkę, jeżeli jak najszybciej zawiezie mnie na lotnisko. Pędził jak szalony. Wpadłam do terminalu, gdy z głośników wywoływano już spóźnionych pasażerów. Kiedy wreszcie usiadłam na swoim miejscu w samolocie, zachciało mi się płakać. Wypiłam gorącą herbatę i zamknęłam oczy. Nigdy przedtem nie byłam w Newport i nie miałam pojęcia, gdzie się zatrzymać.

Taksówkarz, u którego zamówiłam kurs, poinformował mnie, że z uwagi na śnieg i złe warunki drogowe jazda z Providence do Newport zajmie nam około godziny. Przez mokre szyby przyglądałam się czarnym, granitowym ścianom majaczącym po obu stronach autostrady. Wielkie płatki śniegu opadały na przednią szybę samochodu niczym delikatne, białe ćmy. Przyglądałam się im tak długo, że nagle poczułam, jak kręci mi się w głowie.

– Czy mógłby mi pan polecić jakiś dobry hotel w Newport? – zapytałam taksówkarza, który mówił z akcentem typowym dla mieszkańców Rhode Island.

– Według mnie najlepszy będzie Marriott. Stoi nad samą wodą, a do sklepów i restauracji może pani dojść spacerkiem. Poza tym dobry jest też Doubletree na Goat Island.

– Sprawdźmy zatem najpierw Marriotta.

– Oczywiście, proszę pani.

– Jeżeli byłby pan młodą kobietą, szukającą pracy w Newport, dokąd by pan się udał? Moja dwudziestojednoletnia siostrzenica postanowiła spędzić tu jakiś czas. – Czułam, że to niepoważne zadawać takie pytanie zupełnie obcej osobie. Niestety, nie umiałam wymyślić nic mądrzejszego.

– Po pierwsze, nigdy nie przyjechałbym tu o tej porze roku. Newport jest teraz cholernie martwym miastem.

– Ale założmy, że ktoś przyjechałby tu teraz. Powiedzmy, mając ferie na uczelni.

– Hm. – Taksówkarz zamyślił się, a ja obserwowałam ruch wycieraczek.

– Może gdzieś w restauracji? – próbowałam go wysondować.

– Oczywiście. Wielu młodych ludzi pracuje w restauracjach. Szczególnie w tych na wodzie. Mają z tego niezłe pieniądze, bo turystyka to w Newport gałąź przemysłu. Niech pani nie wierzy, gdy ktoś będzie się upierał, że rybołówstwo. W obecnych czasach trzydziestotysięcznik wraca do portu z trzema tysiącami funtów ryby. I to tylko wtedy, gdy trafi się dobry dzień.

Mówił coś jeszcze na ten temat, ale ja już go nie słuchałam, zajęta myślami o Lucy. Próbowałam wyobrazić sobie, co zrobiłabym na jej miejscu. Połykając łzy, modliłam się w duchu, aby nic się jej nie stało. Nie zniosłabym następnej tragedii. Tylko nie Lucy. To mogłaby być ostatnia strata w moim życiu.

– Jak długo są otwarte takie miejsca? – zapytałam.

– Jakie miejsca?

Zorientowałam się, że mówił o jakiejś rybie, której mięso dodaje się do konserw dla kotów.

– Restauracje – wyjaśniłam. – Czy są o tej porze otwarte?

– Nie, proszę pani. No, może nieliczne. Już prawie pierwsza w nocy. Jeżeli chce pani znaleźć pracę dla swojej siostrzenicy, najlepiej zrobić to rano. Większość knajp otwarta jest od jedenastej, a niektóre nawet wcześniej, jeśli wydają śniadania.

Taksówkarz miał oczywiście rację. Była noc i powinnam pójść do łóżka, spróbować się trochę przespać. W Marriotcie dostałam pokój z widokiem na przystań. Przez okno woda wydawała się czarna, a na horyzoncie, którego nie byłam w stanie dostrzec, migotały światełka statków rybackich.

Wstałam o siódmej rano, bo nie było sensu dłużej leżeć w łóżku. Przez całą noc nie zmrużyłam oka, instynktownie bojąc się snów.

Śniadanie zjadłam w pokoju, a potem rozsunęłam grube zasłony w oknach. Dzień był stalowoszary, jeden z tych, kiedy z trudem można rozpoznać, gdzie kończy się powierzchnia wody, a zaczyna niebo. W oddali widać było klucz dzikich gęsi, lecących w szyku przypominającym myśliwce bojowe, śnieg ustąpił miejsca marznącej mźawce. Chociaż wiedziałam, że o tak wczesnej porze niewiele zdziałam, już około ósmej opuszczałam hotel z listą najpopularniejszych restauracji, kawiarni i pubów w mieście.

Po chwili znalazłam się na nabrzeżu, gdzie pracowali rybacy ubrani w kurtki przeciwdeszczowe, z nieprzemakalnymi ochraniaczami na spodniach. Krążąc tam, zaczepiałam napotkanych ludzi i jeśli mieli czas, aby ze mną porozmawiać, zadawałam im te same pytania, na które otrzymywałam podobne odpowiedzi. Opisywałam im, jak wygląda moja siostrzenica, ale nikt jej nie widział. W przybrzeżnych restauracjach pracowało setki młodych kobiet.

Nie miałam parasolki, a zawiązany na głowie szalik nie chronił mnie dostatecznie przed deszczem. Mijałam szeregi lśniących jachtów i łodzi, przykrytych ciężkimi płachtami folii, które osłaniały pokłady od deszczu i wiatru. Tu i ówdzie leżały wielkie połamane kotwice, przeżarte rdzą. Pogoda nie sprzyjała spacerom, ale wiele lokali było już otwartych. Dopiero gdy dotarłam do Brick Market Place, przypomniałam sobie, że tego dnia wypada Halloween. W witrynach sklepowych roiło się od duchów, chochlików i innych stworów nie z tego świata.

Spędziłam kilka godzin, wędrując po kocich łbach Thames Street, zaglądając do sklepów, gdzie sprzedawano najrozmaitsze pamiątki, od ozdób wykonanych z muszli do prawdziwych dzieł sztuki. Potem skręciłam

w Mary Street i wstąpiłam do Inntowne Inn. Niestety, szatniarzowi nic nie mówiło nazwisko Lucy. Nikt też o niej nie słyszał w barze Christiego, gdzie piłam kawę, patrząc przez okno na zatokę Narragansett. Doki portowe były mokre od deszczu i upstrzone odchodami mew, które siedziały nastroszone i zbite w stado, gapiąc się, jak na komendę, w tę samą stronę. Spłoszyły je dwie kobiety, które zatrzymały się, aby popatrzeć na wodę. Ubrane były ciepło, miały kapelusze i rękawiczki, a w ich zachowaniu było coś niepokojącego, coś, co wskazywało, że są czymś więcej niż przyjaciółkami. Znowu ogarnął mnie niepokój o Lucy i pośpiesznie wyszłam z baru.

Odwiedziłam po kolei Black Pearl na Bannister Wharf, Anthony'ego, Brick Alley Pub i Inn przy Castle Hill. Sprawdziłam również Cafe Zelda i miejsca, gdzie sprzedaje się ciastka i kremy. Do niektórych barów wchodziłam nawet po dwa razy, tracąc powoli orientację, gdzie już byłam. Nigdzie nie natrafiłam na ślad Lucy i nikt nie potrafił mi pomóc. Padał coraz większy deszcz, a ja z ciężkim sercem przemierzałam Bowden Wharf. Woda lała się już strumieniami z ołowianego nieba. Jakaś kobieta, mijając mnie w pośpiechu, uśmiechnęła się spod parasolki.

– Kochanie, tylko się nie utop – powiedziała. – Życie nie jest tego warte.

Patrzyłam, jak znika w Aguidneck Lobster Company na końcu nabrzeża, i postanowiłam pójść za nią, gdyż wydała mi się przyjazną duszą. Weszłam do budynku i widziałam, jak wchodzi do niewielkiego biura za szklanym przepierzeniem. Szyba była tak zadymiona i zalepiona fakturami, że w środku widziałam tylko farbowane włosy tej kobiety i jej ręce, przekładające sterty papierów.

Aby dostać się do drzwi, musiałam minąć zielone akwaria wielkości łodzi, wypełnione homarami, langustami i krabami. Przypomniała mi się kostnica i sposób, w jaki przechowujemy tam niektóre preparaty. Akwaria stały jedne na drugich, spiętrzone aż do sufitu, a z rur spływała do nich

woda z zatoki, wylewając się z hałasem na posadzkę. W zbiornikach z homarami huczało jak podczas monsunu, a powietrze pachniało oceanem. Przy akwariach uwijało się kilku mężczyzn w ortalionowych pomarańczowych osłonach na spodnie i wysokich, gumowych butach. Rozmawiali ze sobą, przekrzykując łoskot lejącej się wody.

– Przepraszam – powiedziałam, stając w drzwiach niewielkiego biura. Byłam zdziwiona, że w środku oprócz kobiety jest także jakiś rybak, którego nie dostrzegłam przez szybę. Siedział na plastikowym krzeselku i palił papierosa, trzymając go w dużej czerwonej dłoni.

– Kochanie, jest pani kompletnie przemoczona. Proszę wejść i ogrzać się. – Kobieta była tęga i wyglądała na przepracowaną, ale uśmiechała się ciepło. – Chce pani kupić homary? – Zrobiła ruch, jakby chciała wstać.

– Nie – zaprzeczyłam szybko. – Szukam swojej siostrzenicy. Pewnie zabłądziła albo źle się umówiliśmy. Może ktoś z państwa ją widział.

– Jak wygląda? – zapytał rybak.

Opisałam Lucy.

– Gdzie ją pani widziała ostatnio? – Kobieta wydawała się zakłopotana.

Wzięłam głęboki oddech, czując, że mężczyzna domyśla się czegoś.

– A więc uciekła. Dzieci robią to czasami – powiedział, zaciągając się papierosem. – Pytanie tylko, skąd zwiła. Jeśli powienam pani, może coś wymyślimy.

– Była w Edgehill – powiedziałam.

– I stamtąd dała nogę? – Rybak był z Rhode Island, ostatnie sylaby każdego słowa przeciągał tak, jakby na nie nadeptywał.

– Po prostu wyszła.

– A więc nie podobała jej się kuracja albo skończyło się ubezpieczenie. To się tu często zdarza. Miałem tam kilku kumpli, którzy musieli się

wynosić po czterech, pięciu dniach, bo ci z ubezpieczenia nie chcieli dłużej płacić. Wielka mi korzyść.

– Ona nie chciała poddać się tej kuracji – wyjaśniłam.

Uniósł do góry poplamioną czapkę i pogładził się po rozczochranych czarnych włosach.

– No tak, a pani pewnie umiera z niepokoju – współczuła mi kobieta. – Zrobię pani kawy.

– Jest pani bardzo miła, ale dziękuję.

– Jeśli wychodzą stamtąd wcześniej, zwykle znowu zaczynają pić albo ćpać – mówił dalej rybak. – Przykro mi to mówić, ale tak sprawy wyglądają. Dziewczyna załapała się pewnie do pracy jako kelnerka lub barmanka, żeby być blisko tego, czego potrzebuje. W okolicznych restauracjach dość dobrze płacą. Na pani miejscu sprawdziłbym u Christiego, w Black Pearl na Bannister Wharf, a także u Anthony’ego na Waites Wharf.

– Byłam tam już.

– A w White Horse? Tam też niezłe można zarobić.

– Gdzie to jest?

– Mniej więcej w tamtym kierunku – wskazał ręką w stronę zatoki. – Za Marlborough Street, niedaleko Best Western.

– A gdzie mogłaby nocować? – pytałam dalej. – Na pewno nie chciałyby wydać na noclegi zbyt wiele.

– Kochanie – odezwała się kobieta. – Powiem pani, gdzie ja bym sprawdziła. Poszłabym do Seaman’s Institute. To niedaleko. Przechodziła pani obok, idąc tutaj.

Rybak pokiwał głową, zapalając kolejnego papierosa.

– Tak, powinna pani tam pójść. Od tego można zacząć. Mają tam również kelnerki i dziewczyny, które pracują w kuchni.

– Co to właściwie jest? – zapytałam.

– Miejsce, gdzie rybacy, którym się nie poszczęściło, mogą przenocować. Coś w rodzaju małej YMCA, z pokojami do wynajęcia na górze, jadalnią i barem.

– Dom prowadzony jest przez katolickich księży. Niech pani zapyta o ojca Ogrena.

– Dlaczego dwudziestojednoletnia dziewczyna miałaby pójść akurat tam, a nie do jednego z tych miejsc, które wymieniliście wcześniej? – zapytałam.

– Jeżeli poszła tam – powiedział rybak – to znaczy, że postanowiła więcej nie pić. Tam nie wolno spożywać alkoholu. – Pokręcił głową. – Idą tam ludzie, którzy przerwali kurację, ale nie chcą więcej pić ani brać narkotyków. Znam wielu takich. Sam też tam kiedyś mieszkałem.

Gdy wyszłam na ulicę, ulewa była tak straszna, że krople deszczu uderzające o chodnik rozbryzgiwały się z impetem, jakby chciały wrócić z powrotem do grzmiącego, płynnego nieba. Natychmiast przemokłam do suchej nitki. Poza tym byłam głodna, zmarznięta i bez miejsca, do którego mogłabym wrócić, jednym słowem w podobnym stanie, jak ludzie szukający pomocy w Seaman's Institute.

Budynek przypominał niewielki, ceglany kościół. Przed wejściem stała tablica z wypisanym kredą jadłospisem, a nad drzwiami powiewał transparent głoszący: ZAPRASZAMY KAŻDEGO. W środku przy barze siedziało kilku mężczyzn popijających kawę, a w jadalni na wprost holu jeszcze paru innych przy stolikach. Gdy weszłam, przerwali rozmowy i przez chwilę przyglądali mi się z umiarkowanym zainteresowaniem. Na ich zniszczonych surowym klimatem twarzach widać było ślady wieloletniego

picia. Natychmiast podeszła do mnie kelnerka, która mogła być w wieku Lucy, i zapytała, czy podać mi coś do jedzenia.

– Szukam ojca Ogrena – powiedziałam.

– Nie widziałam go ostatnio, ale proszę sprawdzić w bibliotece lub w kaplicy.

Weszłam po schodach na piętro, gdzie znajdowała się mała kaplica, zupełnie pusta, ozdobiona freskami z wizerunkami świętych. Wnętrze stwarzało wrażenie bardzo przytulnego. Na sklepieniu wymalowano motywy morskie, a posadzka z kolorowych marmurów inkrustowana była przeróżnymi muszlami o fantastycznych kształtach. Stałam bez ruchu, przyglądając się świętemu Markowi, podtrzymującemu maszt okrętu, i świętemu Antoniemu Padewskiemu, błogosławiącemu morskie stwory. Obok święty Andrzej ciągnął sieci. Pod zwieńczeniem jednej ze ścian umieszczono cytaty z Biblii:

Zamienił burzę w wietrzyk łagodny, a fale morskie umilkły. Radowali się z tego, że nastąpiła cisza i że On przywiódł ich do upragnionej przystani.

Zanurzyłam dłoń w głębokiej misie w kształcie muszli, wypełnionej święconą wodą, i przeżegnałam się. Potem pomodliłam się chwilę przed ołtarzem i zostawiłam datek w niewielkim plecionym koszyku. Banknot za Lucy i za siebie, ćwierć dolara za Emily. Przez cały czas zza drzwi kaplicy dobiegały mnie wesołe głosy i pogwizdywania mieszkańców schroniska. Mieszały się z bębnieniem deszczu o dach i krzykiem mew nad wodą.

– Dzień dobry – usłyszałam nagle za sobą czyjś cichy głos. Obejrzałam się i zobaczyłam ojca Ogrena w czerni.

– Dzień dobry, ojczu – odpowiedziałam.

– Musiałaś przebyć daleką drogę w taki deszcz. – Miał ciepłe spojrzenie i miłą twarz.

– Szukam mojej siostrzenicy, ojczy, i jestem zrozpaczona.

Nie musiałam mu długo opowiadać o Lucy. Już po kilku słowach zorientowałam się, że wie, o kim mówię. Moje serce rozkwitło natychmiast jak róża.

– Pan Bóg jest miłosierny i nieskończenie dobry – oświadczył z uśmiechem. – Przywiódł cię tutaj tak samo, jak uczynił to z tymi, którzy zagubili się na morzu. Twoją siostrzenicę przywiódł także kilka dni temu pod ten dach. Przypuszczam, że Lucy jest teraz w bibliotece. Znalazłem jej tam pracę przy katalogowaniu książek i drobnych porządkach na półkach. To bardzo inteligentna dziewczyna i ma wspaniałe pomysły na skomputeryzowanie dosłownie wszystkiego.

Znaleźliśmy ją w niewielkim pomieszczeniu o ścianach wyłożonych ciemnym drewnem, pełnym starych książek. Siedziała przy długim stole, odwrócona do nas plecami, i pisała coś na papierze, bez pomocy komputera, w skupieniu podobnym do tego, jakie towarzyszy muzykom przy komponowaniu symfonii. Wydawało mi się, że schudła. Ojciec Ogren delikatnie dotknął mojego ramienia i wyszedł, zamykając za sobą bezszelestnie drzwi.

– Lucy – powiedziałam.

Odwróciła się i spojrzała na mnie, w jej oczach zobaczyłam całkowite zaskoczenie.

– Ciocia Kay? Mój Boże! – wyszeptała tonem zawodowego bibliotekarza. – Co tu robisz? Jak mnie znalazłaś? – Spłonila się, a blizna na czole zrobiła się intensywnie czerwona.

Przysunęłam sobie krzesło i ujęłam w dłonie jej rękę.

– Proszę cię, wróć ze mną do domu.

Lucy wciąż patrzyła na mnie tak, jakbym była duchem.

– Zostałaś już oczyszczona z zarzutów.

– Całkowicie?
– Całkowicie.
– Obiecałaś, że mi pomożesz.
– I dotrzymałam słowa. Biuro ma dowody, że zrobiła to Carrie – powiedziałam.

Widziałam, że do oczu napływają jej łzy.

– Lucy, to, co zrobiła ta kobieta, było potworne. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo cierpisz. Ale już po wszystkim. Prawda wyszła na jaw i w Ośrodku chcę, abyś do nich wróciła. A z sądem i z oskarżeniem o jazdę pod wpływem alkoholu same sobie poradzimy. Sędzia na pewno weźmie pod uwagę fakt, że ktoś chciał cię zepchnąć z drogi, a to udowodnimy z łatwością. Ale w dalszym ciągu uważam, że powinnaś poddać się kuracji,

– Czy mogłabym zrobić to w Richmond? Mogę zamieszkać z tobą?

– Oczywiście że możesz.

Spuściła wzrok, a jej łzy kapały na blat stołu. Nie chciałam jej już ranić, ale było jeszcze coś, co musiałam jej powiedzieć.

– To z Carrie byłaś tamtej nocy, kiedy widziałam cię na terenie piknikowym?

– Tak. – Wytarła oczy dłonią.

– Naprawdę jest mi przykro.

– Nie zrozumiałabyś tego.

– Rozumiem to bardzo dobrze. Kochałaś ją.

– Wciąż jeszcze ją kocham. – Pociągnęła nosem. – To okropnie głupie. Jak mogłam? Ale nie byłam w stanie nic na to poradzić. A ona przez cały czas... – Lucy wytarła nos – przez cały czas była z Jerryem czy z kimś innym. Wykorzystywała mnie.

– Lucy, ona wszystkich wykorzystuje. Nie byłaś jedyna.

Teraz już rozpłakała się na dobre.

– Wiem, co przeżywasz – powiedziałam, tuląc ją do siebie. – Nie można tak po prostu nagle przestać kogoś kochać. Potrzebujesz czasu.

Obejmowałam ją mocno, czując, jak od jej łez wilgotnieje mi kark. Siedziałyśmy tak, aż horyzont stał się granatową linią na tle zapadającej nocy. Później spakowałyśmy jej rzeczy. Gdy szłyśmy po kocich łbach, rozchlapując butami kałuże, deszcz przechodził już w marznącą mżawkę, a w oknach mijanych domów widać było ludzi świętujących Halloween.